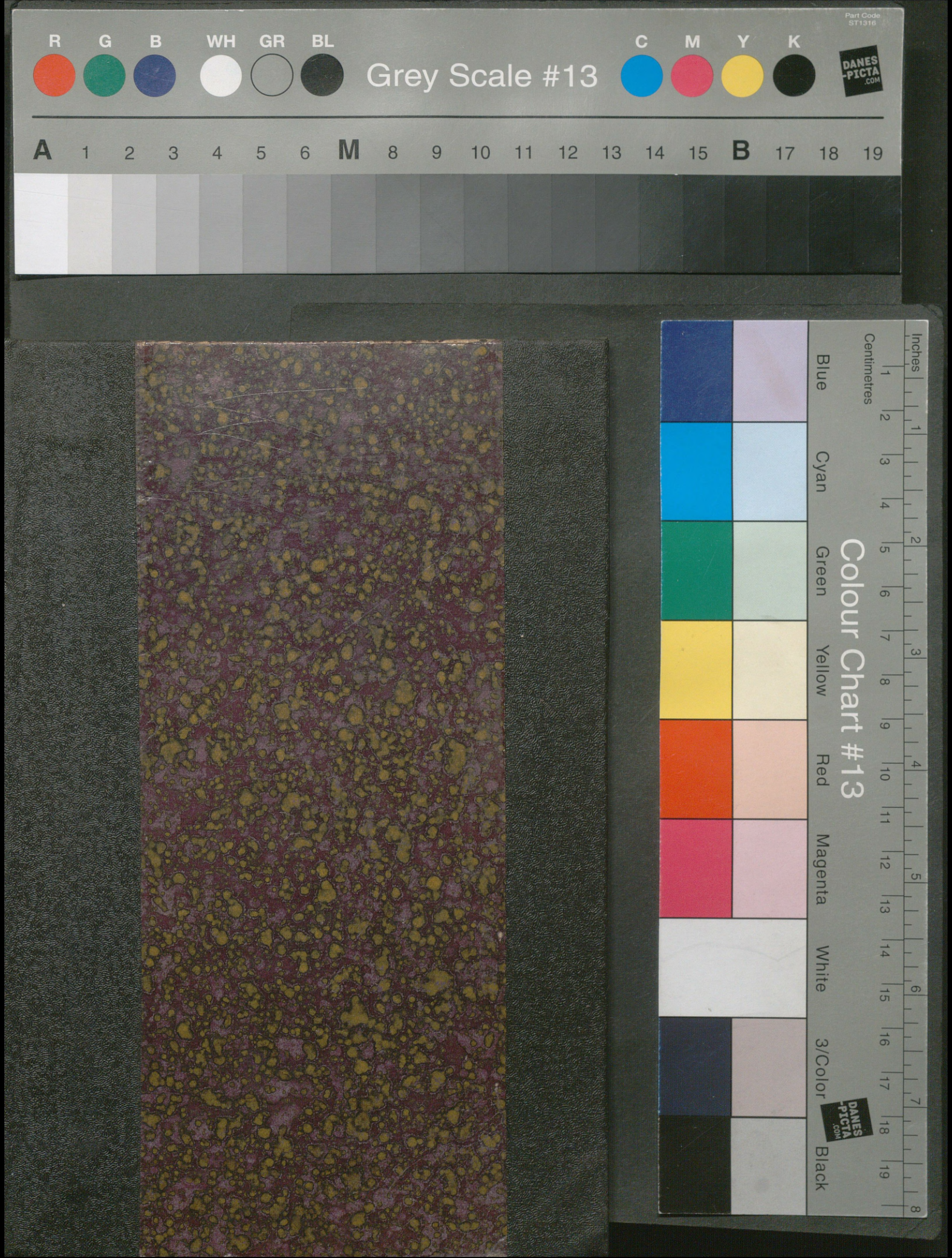
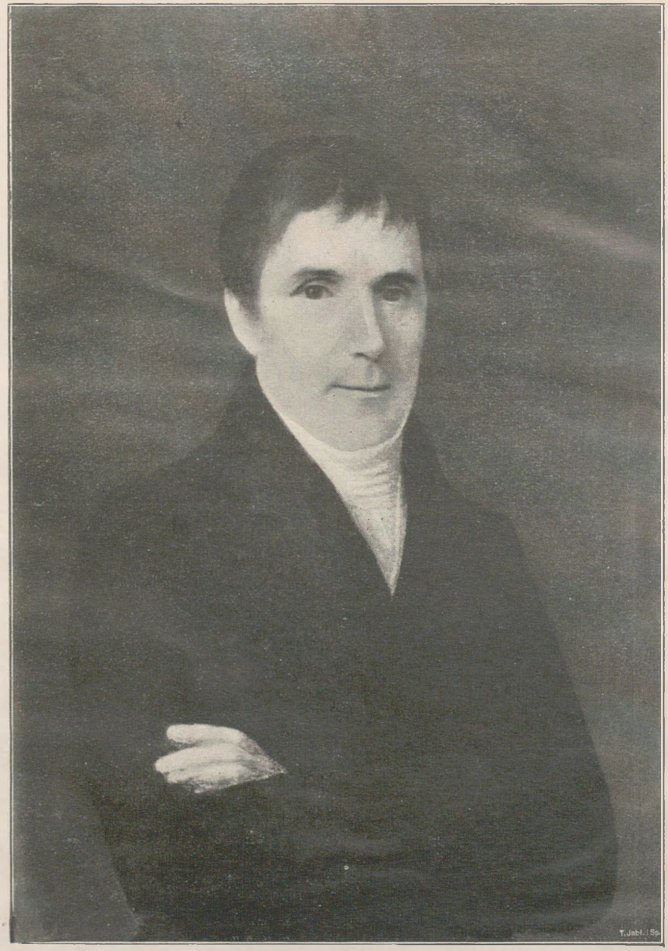

Part Code
ST1316
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Inches
Centimetres
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA.COM

WSPOMNIENIA
AMBROŻEGO GRABOWSKIEGO

NAKŁADEM TOW. MIŁOŚNIKÓW HISTORYI I ZABYTKÓW KRAKOWA.



PORTRET AMBROŻEGO GRABOWSKIEGO.

MALOWAŁ WOJCIECH KORNELI STATTLER W R. 1838.

BIBLIOTEKA KRAKOWSKA.

WSPOMNIENIA AMBROŻEGO GRABOWSKIEGO

WYDAŁ

STANISŁAW ESTREICHER.

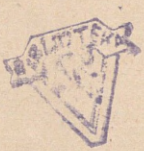
Z ILLUSTRACYAMI.

TOM I.



ODBITO W DRUKARNI „CZASU“ W KRAKOWIE 1909 R.

92(Lyakhovichi R.) ; 93(438) 9



33462/2

OD WYDAWCY.

I.

„Wspomnienia“ Ambrożego Grabowskiego nie były do druku przeznaczone. Autor ich, z zawodu długoletni księgarz krakowski (utrzymywał księgarnię aż do r. 1837), był z zamiłowania archeologiem i zbieraczem dawnych pamiątek. Owocem tego zamiłowania jest nietylko długi szereg prac, drukowanych częścią osobno, częścią po czasopismach, — które zestawiam pod koniec niniejszej przedmowy, — ale przedewszystkiem ogromne zbiory, gromadzone pilnie przez całe długie i pracowite życie. Zbiory te obejmowały wszystko, co się mogło do wyświetlenia przeszłości przyczynić, a przedewszystkiem co stało w jakimkolwiek związku z tak ukochanym przez niego Krakowem. Zebrał ogromną ilość rysunków dawnych i nowszych malarzy, sztychów, drzeworytów, litografii. Gromadził dawne księgi, dokumenty, papiery — nie gardząc nawet ulotnymi świstkami, wygnanymi z urzędowych zbiorów i bibliotek. Przedewszystkiem jednak z ogromną wytrwałością przepisywał i streszczał zabytki dawnych archiwów. Widział, jak w jego oczach giną nieładem i brakiem opieki, i troszczył się, że może niedługo nie zostanie dla

potomności i śladu z dawnych pamiątek. Z górą pół wieku życia poświęcił benedyktyńskiej pracy przepisywacza i uratował przez to lub uprzystępnił tysiące zabytków zwłaszcza krakowskich. Pozostałe po nim zbiory są też mozaiką i mięszaniną najrozmaitszych źródeł i pomników dziejowych. Składają się one ze stukilkudziesięciu ogromnych tomów *in folio* lub *in quarto majori*, zszywanych i oprawianych najczęściej własnoręcznie przez właściciela, z których każdy posiada odrębną nazwę (zazwyczaj miewa ich nawet kilka obok siebie), nadaną mu często nie bez lekkiej przymieszki żartobliwości: „I to i owo z przydatkiem niekiedy czego innego“, „Cokolwiek o czemkolwiek“, „Magazyn tego wszystkiego, co cierpliwy papier przyjąć na się zdoła“, „Rozmaite rozmaitości w chwilach próżniaczych zebrane“, „Księga pisana, drukowana i lepiona“... I tym podobnie.

Tomy takie — jak zaznaczyłem, — są w przeważnej swej części mieszaniną trudną do zanalizowania. Obok dawnego sztychu idą ubiory wojska, karty do gry, dawne pieniądze papierowe, ryciny chłopskiej roboty (kołderki), kartki pogrzebowe, paszkwile lub panegiryki — to wszystko poprzeplatane starymi drukami, kopiami lub oryginałami dawnych wilkierzy, ordynacyi cechowych, manifestów, dyplomów, listów, testamentów, fragmentów z ksiąg sądowych, dyaryuszy, rachunków. Nie brak aforyzmów, wyjątków z wierszy, ciekawostek i anegdot odpisanych z druków lub manuskryptów. Najczęściej grupuje to Grabowski w ten sposób, iż zbiera i oprawia po sobie razem większą ilość zabytków najrozmaitszego pochodzenia, byle tylko

wiązały się ze sobą treścią, byle n. p. odnosiły się do tej samej osoby, instytucyi czy przedmiotu. Ale zdarza się także, że ugrupowanie jest zupełnie dowolne i przypadkowe, to jest, że następowało w miarę jak miał zabytki pod ręką, bez względu na ich treść i charakter. Tych sto kilkadziesiąt tomów, pozostawionych przez niego, to niewątpliwie ostatnie *Silvae Rerum*, jakie przeszłość nasza wydała w tak ogromnej ilości; aczkolwiek nie zdarzyło się chyba nigdy, aby jeden i ten sam zbieracz zgromadził przez czas swego żywota tak wielką liczbę tego rodzaju tomów i o tak wszechstronnej i doniosłej treści. Jeżeli kiedy przyjdzie do należytego zinwentaryzowania i zindeksowania kollekcyi Grabowskiego, to dzieje nasze, a zwłaszcza dzieje Krakowa, zostaną niemal na każdem polu wzbogacone pierwszorzędnej doniosłości materyałem.

Oryginalności i uroku dodają tym zbiorom gęsto po nich rozsiane a bardzo indywidualne dopiski samego zbieracza i kopisty. Ambroży Grabowski, aczkolwiek samouk, posiadał wykształcenie wszechstronne, umysł krytyczny i rozważny. Zbierając zabytki lub excerpta źródłowe i kopiując je w swoich księgach, zastanawiał się zawsze nad ich wiarygodnością i doniosłością; a zwłaszcza tam, gdzie chodziło o przeszłość Krakowa, opatrywał każdą niemal wiadomość obszerniejszym komentarzem. Nie brak oczywiście komentarzy dzisiaj już przestarzałych, ale przeważna ich większość posiada jeszcze donioślejsze naukowe znaczenie. W zakresie historyi Krakowa był on bowiem wielkim erudytą; znał na wskróś wszystkie dostępne

podówczas zabytki miejskiego archiwum, a przeczytał je z ołówkiem w ręku, nie odstraszając się łaciną lub średniowieczną niemczyzną. A co jest rzeczą równie ważną, znał dawny Kraków żywy, w ostatnich tego życia chwilach, nim się on przerodził (tak jak cała Rzeczpospolita po rozbiorach) na dzisiejsze nowożytne miasto.

Popęd do wszechstronności nie jest u zbieraczy pożądany. Miał go Grabowski. Kollekcyonował wszystko, co się do Polski odnosi, próbował nawet gromadzić zbiory przyrodnicze: polskie rośliny, minerały, motyle. Siłą rzeczy jednak główną część jego zbiorów zajęły pamiątki, odnoszące się do przeszłości Krakowa, i one to nadają tym zbiorom ich właściwy charakter. Ale i do ogólnopolskiej historyi zgromadził on bądź co bądź ogromnie liczne — jak na człowieka prywatnego — materyały, a zwłaszcza dzieje polskiej sztuki były zawsze przedmiotem jego wyjątkowego zainteresowania. W zbieraniu materyałów nie ograniczał się do jednej epoki; chwila dzisiejsza zajmowała go tak samo, jak popielnice i krzemienne siekierki. Toteż znaczna część jego zbiorów obejmuje pamiątki najbliższej nam przeszłości, to znaczy współczesnej jemu epoki. A epoka to — mierząc ją przeciętną długością życia ludzkiego — bardzo rozległa.

Przybywszy do Krakowa z końcem 18 wieku (1797), a żyjąc w nim do r. 1868, obejmował Grabowski swą pamięcią przeszło siedmdziesiąt lat życia tego miasta. Znał mnóstwo zapomnianych tradycyi, stykał się z wielu wybitniejszemi i zwykłemi osobistościami, patrzył na ważne dla miasta

i narodu wypadki, obserwował życie potoczne i obyczajowe.

Zbierając materyały do współczesnych sobie dziejów postępował tak samo jak z materyałami dawniejszemi. Chował i zlepiał razem w tomach nadzwyczaj grubych — (jeden z nich nazwał żartobliwie „księgą Goliata“) — każdą pamiątkę współczesnych sobie wydarzeń, która mu podpadła pod rękę. Pamiątki te grupował — taksamo jak materyały archiwalne — dookoła pewnych osób lub przedmiotów i opatrywał dokładnemi komentarzami, czerpiąc obficie ze wspomnień długiego swego życia; nieraz czyjaś karta pogrzebowa, list lub inna pamiątka, którą wklejał do księgi, wywoływała u niego dłuższą notatę o pewnej znajomej mu osobistości; nieraz kopiując jakiś dokument, przypominał sobie, że sam jeszcze patrzył na opisany tam lub choćby tylko wspomniany a później znikły obyczaj czy zabytek kultury.

Nieraz jakikolwiek pretekst, który potrącał o żywą pamięć starca, stawał mu się powodem do długich opisów tych burzliwych i pełnych grozy dziejów, na jakie patrzył za swojej młodości lub w swoim wieku męskim. W ten sposób prawie w każdym tomie swego zbioru rozsypał — niejako po marginesach — okruchy swoich wspomnień, przeznaczając je w pierwszej linii za komentarz dla zgromadzonych materyałów.

Już w tych marginesowych zapiskach tkwi niewątpliwie duży materyał pamiętnikarski, który należało tylko razem zebrać i spoić w jedną całość. Ale nadto pozostawił Grabowski szereg tomów, nie odbiegających wprawdzie od zwykłego

typu jego kollekcyi, ale mających w pierwszej linii charakter kroniki, odnoszącej się do osoby autora i do losów najbliższej mu rodziny. Kronika ta, którą rozpoczął prowadzić w czwartym dziesiątku lat ubiegłego stulecia, a nieprzestał prowadzić aż do śmierci, pisana była przezeń dzień za dniem, a przeplatana dołączanemi tam licznie pamiątkami zarówno o rodzinnym jak i ogólniejszym charakterze. Pełno tam nadto jego wierszy, ulotnych myśli własnych i obcych, modlitw, uczuciowych wylewów, pisanych dla siebie i dla swoich dzieci, dla których te księgi jako pamiątkę pozostawił. Autor zastrzegał się usilnie na każdym kroku, że pretensyi literackich niema, że pisze dla najbliższych i najżyczliwszych, że tak w tych, jak w innych tomach, spisując wspomnienia swego życia, daleki jest od myśli przekazywania swoich dziejów dalszej i szerszej publiczności.

Do tej myśli, do tej przestrogi przed przecenianiem swoich wspomnień powraca on zwłaszcza we wstępach do każdego z pozostawionych tomów, zaznaczając to prozą i wierszem, poważnie i żartobliwie. „Nie zmierzam pisać“ — mówi on na czele owej „księgi Goliata“ — „ani pamiętników mojego czasu, ani dziejów mojego życia. Do pierwszych potrzeba wyższych zdolności i nie tak małego jak moje usposobienia, bo tam częstokroć przedmiot bywa niczem, a talent i dowcip wszystkiem. Do drugich nic szczególnego do wniesienia nie miałbym, bo moje życie prozaiczne i ciche żadnej nie dostarczyłoby osnowy, a stanowisko moje w społeczeństwie nader jest poziome. Wreszcie oceniając sam najwłaściwiej siebie

...wyznam słowem szczerem,
Że na tym świecie byłem niemal zerem.
Lecz tego mógłbym dowieść życiem mojem całem,
Żem pragnął być czemś więcej, ale niezdołałem.

Ktokolwiek zatem, kiedy ja już w lepszy świat się przeniosę, karty tej księgi przewracać będziesz i drobiazgowości jej się dopatrzysz, zechciej użyć dla pisarza jej pobłażania, bo on ją na widok wystawić nie zamierzał, przeznaczając ją dla dzieci, i pragnąc, aby nie wychodziła za obręb rodziny. Jaki zaś dla pisania jej służył mi pochop, to tu w wierszyku napomknę:

Każdy to robi, co zabawkę niesie,
Każdy rozrywki szuka w swym zakresie:
Ten gra w karty, ów lisy i zające goni,
Ten szumnie pędzi czwórką, ów w kieliszek dzwoni,
Inny wreszcie pacierze przez cały dzień klepie...
Ja piszę to i owo i obrazki lepię.
Tak każdy to rad czyni, co zabawie sprzyja
I jak może i umie, nudny czas zabija".

W innem miejscu podaje znowu następującą „Potrzebną przestrogę":

„...W podobnym rodzaju jak obecna wielka księga spisałem ja i więcej zbiorów, notat i drobnych wiadomości bądź to odnoszących się do Krakowa, bądź też tylko stosunki moje osobiste i rodzinne obejmujących, — a jest takich w pomniejszym formacie wiele woluminów pod różnymi tytułami. Winienem atoli z góry dać tu ostrzeżenie, aby nikt nie mniemał, że to są pamiętniki takie, jakimi Pasek i inni zaznaczyli imiona swoje na kartach historyi. Co do mnie, ja, spisując te

drobne fakciki, nie kusiłem się wcale, by wstąpić w ich ślady, bom nie czuł w sobie sił donośnych do władania takiem jak oni piórem. Nie tajno mi było, że, aby pisać pamiętniki, nie dosyć jest być pisarzem, ale jeszcze potrzeba być artystą. To, com ja napisał, nie wychodzi za brzegi skromnych notat i nie da nikomu powodu do powiedzenia o mnie: porwał się z motyką na słońce".

Zbliżone myśli wypowiada też niekiedy wierszem:

Do tych, co będą po mnie.

A ja tę wielką księgę tym złożyłem końcem,
Aby, kiedy mnie tu już zabraknie pod słońcem
I gdy — strudzony długą podróżą wędrowiec —
Spocznę, złożywszy w grobie duszy mej pokrowiec,
Ona wskazała, żem żył, lichy sługa Boży,
A imię moje było: Grabowski Ambroży.

Zdanie pisarza tej księgi o niejże samej.

Małe tylko ma rzeczy, choć wielka ta księga:
Po ważne wiadomości niech tu nikt nie sięga.
Pisarz jej, naukową pomocą nie wsparty,
Jedynie drobiazgami zapisał jej karty.
Więc miły czytelniku! ostrzegam Cię z przodu,
Nie szukaj w niej nauki, — bo doznasz zawodu.

Wydanie niniejszych „Wspomnień", dokonane przezemnie, stoi więc w niejakiej sprzeczności z wielokrotnie wyrażonemi przestrogami autora; i dlatego to poczuwam się do obowiązku usprawiedliwić w dalszym ciągu, choćby w krótkich słowach, dlaczego rozpatrując się w zbiorach Grabowskiego doszedłem do przekonania, że wbrew intencyi autora można przystąpić do opracowania

i ogłoszenia znacznej części jego zapisek pamiętnikarskich. A zarazem pragnę wytłomaczyć, w jaki sposób je zebrałem i na jakie trudności natrafiłem przy redagowaniu w jednę całość niesystematycznych i różnorodnej treści notat, wreszcie, jakich zasad trzymałem się przy ogłaszaniu drukiem materyału.

Jak już zaznaczyłem, zapiski Grabowskiego nie powstały równocześnie i nie tworzyły nigdy zwartej, systematycznej całości. W okresie lat kilkudziesięciu (bo najstarsze, jak wspomniałem, pochodzą z roku 1832, a ostatnie z roku 1868) zapisywał je autor przy różnych sposobnościach i z różnego powodu*). Przechodząc kolejno tom za tomem, karta za kartą, i zbierając rozsypane tam notaty, nagromadziłem wprawdzie materyał stosunkowo liczny, ale ogromnie różnorodny. Trudność zwiększał fakt, iż zapiski tej samej lub zbliżonej treści powtarzały się nieraz kilkakrotnie w różnych miejscach. Należało przeto najprzód połączyć rzeczy zbliżone treścią ze sobą a następnie nadać tym

*) Aż do r. 1865 pisał swoje notaty własnoręczne. Pod r. 1865 notuje następującą „konkluzyą kroniki“: „Tu już konieczność zniewala mnie i nakazuje zaprzestać prowadzenia dalej tego miłego mi zajęcia, gdyż wzrok tak widocznie mi niknie, że mało co już widzę i prawie na pamięć piszę. Smutna mię czeka przyszłość, gdyż przewiduję, że mię czeka kalectwo Homera, Edypa i Ossyana, ale z żalem notuję, iż nie mam Antygony lub Alwiny, któraby kroki moje wspierała i przewodniczyła“. W rzeczywistości jednak nie przestał mimo ślepoty prowadzić dalej swoich zapisek, tylko zamiast sam pisać, dyktował je jednej z osób ze swojego otoczenia.

luźnym notatom jakiś porządek, umożliwiający ich drukowanie i czytanie.

Oczywiście musiał to być porządek systematyczny, bo chronologiczny nie dałby się przeprowadzić. Większa ich część nie nosi daty wpisu, a nawet treść nie da się często związać z żadną datą, dotyczy bowiem większego okresu czasu.

Toteż podzieliłem cały materyał na ośm działów wedle treści, a w obrębie każdego działu ugrupowałem zapiski tak, aby układ posiadał jak największą przejrzystość.

Szanując, o ile możności, sposób wyrażania się a nawet częściowo i pisownię autora, musiałem jednak poddać cały materyał gruntownemu przerobieniu stylistycznemu, łącząc razem ustępy należące treścią do siebie, a rozsypane w różnych tomach, niejedno zaś skracając, opuszczając lub dopełniając. Rzecz jasna, że poprawki nie przekraczały granic redaktorskiej konieczności i nie zmieniły nigdzie ani zapatrywań, ani nawet sposobu rozumowania autora.

Notaty Grabowskiego mają przeważnie charakter komentarzy do uzbieranego przezeń materyału archiwalnego lub rysunkowego. Ogłaszając je tutaj jako zapiski samodzielne, muszę dodać, że niemal przy każdej z nich znajduje się spory materyał, wiążący się ściśle z daną zapiską i uzupełniający zawarte w niej wiadomości. Jeśli n. p. zapiska odnosi się do jakiejś głośniejszej osoby, to z pewnością tuż obok znajdą się razem zebrane i oprawione jej mowy, listy, dokumenty, wizerunki albo karykatury i t. p. Jeśli odnosi się ona do jakiegoś zabytku, to można liczyć,

że w tym tomie, z którego ją zaczerpnąłem, znajdą się troskliwie zebrane wypisy archiwalne, ryciny, rysunki, ilustrujące przeszłość i teraźniejszy stan tej pamiątki. Dla czytelnika interesującego się bliżej treścią pewnej notatki Grabowskiego nie jest też rzeczą obojętną, w którym tomie jego zbiorów została ona pomieszczona — i dlatego, przedrukowując poniżej te notatki, podaję u dołu każdej cyfrę rzymską, oznaczając nią tom odnośny i umożliwiając w ten sposób dalsze poszukiwania za zgromadzonymi przez autora tak pracowicie materyałami*).

Jeśli pewna zapiska powstała przez złączenie kilku notat Grabowskiego — rozsypanych każda w innym tomie — w jedną stylistyczną całość, to pod odnośną zapiską pomieściłem wówczas cyfry rzymskie odnoszące się do tych kilku tomów.

Winienem tu jeszcze dodać, że zbierając materyał uwzględniłem tylko zapiski donioślejszej wagi, a bynajmniej nie przedrukowywałem wszystkiego; wymagałoby to bowiem kilkakrotnie większej objętości wydawnictwa. Nadto muszę zaznaczyć, co zresztą z samej natury „Wspomnień“ wynika, że uwzględniłem tylko te zapiski, które mają charakter pamiętnikarski, to znaczy odnoszą się do czasów współczesnych autorowi a zwłaszcza do wydarzeń znanych mu bliżej z widzenia lub słyszenia. Pominąłem natomiast w zupełności zapiski o treści archeologicznej a więc wypisy z współ-

*) Obacz niżej na stronie XLI objaśnienie, wskazujące jakim tomom odpowiadają zamieszczone pod notatami cyfry rzymskie.

czesnych dzienników, listów, broszur, chociaż są one nieraz bardzo ciekawe i skądinąd wcale lub mało znane. Niewątpliwie jednak, biorąc rzecz z innego punktu widzenia, byłaby i ta strona zbiorów Grabowskiego bardzo interesującą — a zbiory te zasługiwałyby i z tego względu na szczegółowy opis i wyzyskanie.

W ten sposób zebrany materyał złożył się, jak sądzę, na całość bardzo charakterystyczną i rzucającą wiele światła na osobistość autora. Nie jest to ani działacz polityczny czy społeczny, ani nie jest to bynajmniej artysta lub literat zawodowy. Jeśli opisuje ważniejsze zdarzenia wojenne czy polityczne, to nie stykając się z niemi bezpośrednio przynosi tylko drobniejsze o nich spostrzeżenia i wiadomości, jakie może zdobyć i posiadać człowiek żyjący bądź co bądź na partykularzu, zdala od wielkich wypadków narodowych. Toteż nie ta część wspomnień, chociaż przynosi niejeden szczegół ciekawy i doniosły — że wspomnę tylko zupełnie nowe i nieznane wiadomości o Bartoszu Głowackim, o roku 1809 i następnych, o upadku Wolnego Miasta — nie ta część usprawiedliwić może wydanie niniejszych wspomnień. Raczej należy tu najprzód wskazać na ich część obyczajową, niewątpliwie bardzo obfitą i interesującą. Mamy tu na małą skalę krakowskiego Kitowicza, zapewne pierwsze i ostatnie pamiętniki tego rodzaju z czasów dawnego Krakowa. Należy tu dalej wskazać na mnóstwo zapisek, dotyczących wydarzeń ściśle lokalnych, jak zapiski o drożyźnie i taniości, o chorobach i wylewach, o ważniejszych wypadkach z artystycznego i literackiego życia. Należy zazna-

czyć dalej doniosłość tych kart, które są poświęcone doli i niedoli dawnych pamiątek, kościołów, gmachów, zabytków, burzonych lub rozpadających się niemal w oczach rozmiłowanego w nich autora; nie darmo jest on pełen smutnych przeczuć o ich dalsze zachowanie i pragnąłby przekazać późniejszym jak najwięcej wiadomości o tem, co jeszcze sam widział a co uległo już zniszczeniu. Tu także należy podnieść te przesiąknięte podziwem dla piękności polskiej przyrody karty, które spisał autor pod wpływem swoich dalszych i bliższych wędrówek po okolicach Krakowa; jeden z pierwszych zwiedził i opisał Tatry (Morskie Oko), jeden z pierwszych poznał się na piękności Panieńskich Skał, Bielan, Ojcowa, Prądnika, Krzeszowic i Tyńca. Rozkoszując się ich pięknością, z miłością też (jako prawdziwy przyjaciel Brodzińskiego) patrzył na lud, zapisywał jego pieśni, podania i obyczaje. Z jego zapiskami, poniżej wydanemi, cofają się nasze wiadomości o ludzie krakowskim przed czasy W. Zaleskiego, Paulego i Wójcickiego.

Nie będą też zapewne obojętnemi dla szerszego nawet grona czytelników te zapiski anegdotycznej i biograficznej treści, które się odnoszą do licznych osobistości, z jakiemi się Grabowski przez ciąg swego życia stykał. Są to w znacznej części ludzie głośni i znakomici, poeci, jak Brodziński, Wężyk, Kondratowicz, Deotyma, malarze jak Stachowicz lub Stattler, uczeni jak Przybylski, Ossoliński, Bandtkie i t. p. O każdym z nich zapisał sporą liczbę charakterystycznych choć nieraz drobnych szczegółów. Ale zapisywał także mnóstwo wiado-

mości o osobach mało lub bynajmniej niegłośnych, nie gardził światem szarym, codziennym, pospolitym, — ale właśnie dlatego skądinąd nieznanym, przez nikogo nieopisanym i dzisiaj po upływie niespełna stu lat zupełnie zapomnianym.

Nie brak w jego zapiskach chłopców, pasących bydło i tworzących przy tem krakowiaki z akompaniamentem brzdąkania na końskim włosie; nie brak kucharki Małgorzaty, pieczętującej ożóg krzyżem świętym; wiernego Błażeja, nosiwody i pucobuta, którego stary pan pragnąłby po śmierci „odszukać w krainie nieśmiertelności“; piegowatej Margośki, opowiadającej bajkę o drewnianej Marynie z odkręcanymi palcami; jowialnych Bernardynów i ich dykteryjek rubasznych; czeladzi księgarskiej lub przekupniów sprzedających na krakowskim rynku psie kiełbaski i dwuraźne piwo; oryginała alchemisty, umiejącego znajdować kwiat paproci i wyszukiwać źródła z pomocą cudownej rózgi; nawet szwargoczący motłoch żydowski znalazł się tu opisany. Stąd można się dowiedzieć, jak pito, jedzono, ubierano się i bawiono w dawnym Krakowie, kiedy to zaczęto palić węglem, kurzyć znienawidzone przez Grabowskiego cygara, nosić szelki i wolne, nieobcisłe pantalony, pić herbatę, urządzać zbytkowne przyjęcia z łososiem i szczupakiem. Co do mnie, zbierając materyał do poniżej wydanych „Wspomnień“, wędrowałem przez ten najmniej dotąd znany, „najciemniejszy“ Kraków z najżywszą ciekawością.

Z zapisek, kreślonych poprostu, bez pretensyi do artyzmu czy do subtelnej psychologii niektórych pamiętników, z tych notat rzucanych na pa-

pier w chwilach wolnych od pracy zawodowej i antykwarskiej, wyłania się wyraziście sylweta autora. Syn małomieszczański, pochodzenia na pół chłopskiego, bez tradycyi i głębszego wykształcenia szkolnego — dosadnie opisuje w kilku miejscach nędzę austryackiej szkółki w Kentach — dostaje się młodym wyrostkiem na bruk krakowski w chwili najgłębszego upadku zarówno kraju jak i miasta. Miasto zalane obcym żywiołem, urzędniczym i kupieckim — jest już niemal dla polskości stracone, zda się, że jeszcze chwila a ulegnie zupełnej germanizacyi. Wspomnienia Grabowskiego potrącają nieraz pośrednio lub bezpośrednio o to zniemczenie ówczesnego Krakowa. Z krajów niemieckich sprowadza się nietylko towar, ale nawet czeladź kupiecką, stamtąd pochodzi na początku XIX wieku „prawie cały stan kupiecki“ (tom I str. 207), stamtąd płyną wojskowi, urzędnicy, księża i zakonnicy, osiadający na stałe w Krakowie lub pod Krakowem (Tyniec). I oto w tem na poły niemieckiem już środowisku, w społeczeństwie złożonem z tylu obcych rodzin, świeżo z zachodu tu przybyłych, powiał powiew polskiego ducha. Skąd się wziął? Czy z Warszawy od ław sejmu czteroletniego? Czy z legionami od Włoch i dalekiego Paryża napłynął do Krakowa? Czy też w dworach szlacheckich, najwyżej wówczas narodowo uświadomionych, należy szukać pierwszego jego źródła? mniejsza o to. Bądź co bądź powiew ten musi być nader silny, skoro urabia nowych ludzi, nowe pokolenie w Krakowie, ścierając z niego wszelki obcy pokost i budząc żywe uczucie patryotyczne. Wspomnienia Grabowskiego będą jednem

z najciekawszych źródeł do tej genezy mieszczańskiej, patryotycznie nastrojonej Polski, której niestety nie mieliśmy nigdy w naszej przeszłości. Dwudziestoletni młodzieniec, zamiast zniemczeć w otoczeniu Groeblów, Cypcerów, Kochów, wśród którego się obraca, chwyta zrazu za polskie książki bez względu na ich rzeczywiście niską wartość; — sięga potem do piśmiennictwa polskiego wieków przeszłych, rozczytuje się w Skardze, Kochanowskim, Staszycu, i na nich uczy się polskiego stylu i języka, religijnej i polskiej, patryotycznej myśli. Rola skromnego dostarczyciela starych i nowszych książek ułatwia mu poznanie się z ówczesnymi przedstawicielami literatury i nauki. Zawiązuje przyjaźń z Brodzińskim i Reklewskim, mimo, że dotąd przebywał tylko w towarzystwie rachujących kredką kupców lub niewykształconej czeladzi. Garnie się do towarzystwa Jacka Idziego Przybylskiego, uczonego profesora i tłomacza Homera, władającego biegle wszystkimi Europy językami. Używany do pomocy przez Woronicza, Bandtkiego, Ossolińskiego, Czackiego, jedna sobie ich życzliwość a nawet wchodzi z nimi w bliski, pod pewnymi względami dość poufały stosunek, jak to liczne karty poniższych jego wspomnień świadczą. Towarzyszy Ossolińskiemu na jego słynne wyprawy do klasztorów i wysyła dla niego butwiejące po zaniedbanych archiwach papiery (tom II str. 96). Do niego zgłasza się Chodakowski, poszukując pod Krakowem pogańskich grobów i ludowych pieśni. Zetknięcie się z tymi ludźmi staje się dla niego silnym bodźcem do ciągłego, wszechstronnego

kształcenia się... A mało chyba komu przychodziło ono w tak trudnych jak jemu warunkach.

Autor przemilczał w swoich pamiętnikach — albo co najwyżej wspomniał o tem tylko w humorystycznem oświetleniu — jak usilnie, jak ciężko pracował w tych właśnie latach nad sobą. Ze szkółki małomiejskiej wyniósł elementy czytania i pisania, sam zaś wyuczył się języków nowożytnych, łaciny, średniowiecznej niemczyzny, historyi, paleografii, sam zdobył całe to wykształcenie ogólne, jakie innym dają szkoły i nauczyciele; nawet na kształcenie się w muzyce i śpiewie znalazł jeszcze czas wolny i siły. A przecież równocześnie przebijał się ciężko przez życie, przechodząc po kolei zawód księgarski od najniższych do wyższych stopni i zdobywając sobie własną pracą dostatek i niezależność. Gorąco umiłowawszy Kraków, pełen podziwu dla piękności jego zabytków, tak właśnie w tym czasie przez ogół lekceważonych i lekkomyślnie niszczonych, poświęcił im bardzo wcześnie swą uwagę i w nich znalazł cel życia. Nie mam tu zamiaru dotykać bliżej jego zasług na tem polu; rzuci zresztą na nie dostateczne światło to bibliograficzne zestawienie wszystkich dzieł, rozpraw, artykułów, napisanych przez Grabowskiego, które podaję poniżej. Działalność swoją na polu literackiem rozpoczyna bardzo skromnie od spisywania anegdot i fraszek, obieg w społeczeństwie mających („Encyklopedya komiczna“, 1807 r.), i od kompilowania opisów różnych cudów natury egzotycznych i europejskich („Cuda natury“ 1818 r.). Ale rychło (1822 r.) przechodzi na właściwe swoje pole, pisząc pierwszy „Historyczny Opis

Krakowa", do którego impuls dał interes i obstalunek księgarski, ale który w jego ręku zamienił się na dzieło naukowe. Za tym opisem poszły liczne tomy i monografie, wyliczone w dalszym ciągu. Grabowski sam nie przeceniał nigdy wartości swoich prac naukowych; uważał się za pracowitego zbieracza, za miłośnika w późniejszem znaczeniu tego słowa (*dilectans* - dyletant), torującego drogi innym, szczęśliwszym i bieglejszym, którzy z czasem po nim przyjdą. Czuł to sam i zaznaczał niejednokrotnie, że nie umie gromadzić wiadomości systematycznie — i dlatego nie doszedł i nie starał się dojść do naukowej syntezy. Widział doskonale, że zanadto rozprószył swoją naukową ciekawość, a że bez ograniczenia terenu badań nie można wyczerpać materyału i odtworzyć żadnego procesu dziejowego. W licznych ustępach swoich zbiorów, w niejednym też z ustępów przedrukowanych poniżej (n. p. tom I str. 49 lub tom II str. 232) kładzie nacisk na to skromne zdanie o swojej naukowej działalności, a nie jest to skromność udana ani pretensyonalna, zaprzeczeń żądna.

Natura to wogóle ogromnie szczera, prosta. Nic wyrafinowania, nic sentymentalizmu, właściwego epoce romantycznej. W zdenerwowanym świecie literatów i uczonych — *irritabile genus* — reprezentuje on pierwiastek duchowej równowagi. Na punkcie narodowym gorący i uczuciowy, — dowodów tego przynoszą sporo następujące karty — nienawidzi Moskali, Austryaków i Prusaków; ale na własne społeczeństwo patrzy trzeźwo; rozumie jego wady i błędy; położenie polityczne i niedojrzałe porywy, zwłaszcza lat 1846—48, sądzi trafnie i bez-

stronnie. Tylko szlachty mocno nie lubi i ma zwłaszcza dla jej wybryków w przeszłości gorzkie słowa potępienia; znać, że się kształcił na lekturze Staszyca.) Uderza natomiast jego głęboka religijność, wolna zarówno od bigoteryi jak i od metafizycznego zabarwienia, właściwego okresowi lat 1830—1850, głęboko jednak tkwiąca w duszy i zwracająca myśl przy każdej sposobności ku Bogu. Wszystkie tomy jego zbiorów obfitują w modlitwy, rozpamiętywania, dziękczynienia; pełno tam prozy i wierszy o charakterze dewocyjnym, ale przechodzących łatwo w pogodną żartobliwość, jak n. p. następujący wierszyk (ostatni zapewne jaki w życiu ułożył, bo dyktowany na rok przed śmiercią, kiedy był już mocno chory i pozbawiony wzroku):

Żyję Panie, boś kazał, a żyję czas długi...
Zlewałeś łaski Twoje na dni swego sługi,
Obdarzyłeś mnie zdrowiem, chlebem, cichym bytem,
Dni też moje spływały spokojnem korytem.
Czemże Panie odpłacę te twoje szczodroty,
Gdy nie mam tylko błędy, grzechy i brak cnoty?
Przyjm je — Ty, co ich nie masz, Istoto bez winy,
A nie bierz z życia mego do kary przyczyny.
Znając zaś życia mego wszystkie niecne sprawy,
Przebacz je, jako ojciec na dzieci łaskawy
I gdy Piotr wpuszczać będzie szczęśliwych do raju,
Każ Panie, by rzekł do mnie: Wejdź i ty hultaju!

Istotnie — jak zaznaczył w tym wierszu — całe jego życie przebiega pogodnie i słonecznie, dzięki właśnie temu, że obie władze duszy, rozsądek i uczucie, połączyły się w harmonijną całość. „Wspomnienia“ owiane są na wskróś atmosferą

tego pogodnego, możnaby powiedzieć Fredrowskiego humoru, jakiego małą próbką jest wierszyk powyższy, a którego zazdrościmy pokoleniom dawniejszym, zatraciwszy jego tajemnicę bodaj na zawsze.

Podstawą tego pogodnego usposobienia jest wielka pracowitość i obowiązkowość autora, skromność i oszczędność w życiu*), umiarkowanie w używaniu dobrobytu, słowem te cnoty mieszczańskie, których w historyi naszej tak mało, a których społeczeństwu tak potrzeba. Ambroży Grabowski byłby niewątpliwie doskonałym typem obywatela-mieszczanina, tak jak go mogła wytworzyć epoka czteroletniego sejmu, gdyby nie to, że z pojęciem mieszczanina nie godzą się dwa wybitne u niego rysy: głęboka miłość i zrozumienie przyrody —

*) Niejeden ustęp „Wspomnień“ poświadcza prawdziwość tego spostrzeżenia. Przytaczam tu jeszcze jeden, bardzo charakterystyczny. Wróciwszy z Wiednia w r. 1850 zapisuje w swoich notatkach: „Ktokolwiek jedziesz do Wiednia, nie zapomnij wziąść z sobą nie pusty worek, lecz dobrze banknotami naszpikowany pulares, bo trudno nie ulegnąć pokusie nabycia różnych fraszek, które Wiedeńczykowie oczom przechodzących podsuwają... Uległem i ja tej słabości i, pominąwszy inne drobiazgi, kupiłem dla siebie kołdrę wełnianą w niebieską kratę na zimowe okrywanie starych kości... jeżeli Opatrzność tej przykrej pory dożyć mi dozwoli — za ryńskich ośm i pół w papierach. Ale co największa, dopuściłem się grzechu marnotrawstwa pierwszego a może już ostatniego w mojem życiu — i kupiłem sobie mały zbiorek motylów egzotycznych, za który zapłaciłem po książęcemu cenę miłowniczą — a to *pretium affectionis* wynosi ryńskich 36, co zaiste pokazuje we mnie i wielkiego miłownika i niemałego marniciela grosza, na którego zebranie i długo pracowałem i oszczędzałem“.

spotykane najczęściej tylko u dzieci wsi i u poetów, — oraz gorący interes dla przeminionej doby, dla nieprzynoszących materyalnej korzyści badań nad dawnym obyczajem, sztuką, literaturą. Te dwa rysy, które podnoszą go wysoko nad poziom przeciętnego mieszczanina, sprawiły właśnie, że drugą połowę swojego życia (od r. 1837) — zapewniwszy już sobie materyalną niezależność, za którą tak często Opatrzności składa dzięki — poświęcił nie wytchnieniu i odpoczynkowi, ale pracy nad dziejami Krakowa i okolic. Dla tych to dwóch rysów pamiętnik jego nie jest tylko banalnem „zwierciadłem poczciwego człowieka“, ale ma charakter własny, budzący u czytelnika żywszą sympatyę, rzucający światło na odmienne pokolenie i odmienną psychologię jednostki.

Jeśli się zastanowimy nad całością poglądów i uczuć tego mieszczanina z rodu i zawodu — z pewną chlubą podpisywał się zawsze „księgarzem i mieszczaninem krakowskim“ i nie doszukiwał sobie paranteli szlacheckiej, jak to zwykło często nasze mieszczaństwo i dziś i dawniej robić — to uderza jeden rys bardzo charakterystyczny. Nawet na jego przykładzie widać jasny i niewątpliwy związek między światem szlacheckim a kulturą nowej — odrodzonej przypływem chłopskich i mieszczańskich pierwiastków — Polski. W swoich wynurzeniach o tem, co się dobrze dzieje, lub o tem, co się dziać nie powinno, jakże bliskim jest ten krakowski księgarz, ta najmłodsza odrośl polskiego drzewa — owego zapadającego w otchłań świata, opisanego niemal współcześnie po raz ostatni mistrzowskiem piórem Mickiewicza. W towa-

rzystwie podkomorzego i wojskiego jakżeby się dobrze czuł ten syn organisty a wnuk chłopa, który musiał wśród ludzi podobnie, jak sam, myślących i czujących wzrastać i kształcić się. Sam gaduła — w najlepszem znaczeniu tego słowa, — miłośnik dykteryjek i anegdot, zbieracz szlacheckich facecyi, jakżeby się łatwo pogodził z „gadułą“ Wojskim. Nawet w drobiazgach, w nienawiści n. p. do fajki, — jak wiadomo, wymyślonej od Niemców ażeby nas zniemczyć — spotkaliby się z pewnością. Pomimo całej niechęci do staroszlachetczyzny, która tu i ówdzie z kart poniższych „Wspomnień“ przebija, widać jasno, że tradycya szlachecka i tradycya polska są to synonima, i że demokratyczny świat Polski współczesnej jest tylko prostą filiacyą najszlachetniejszych elementów XVIII wieku.

Nie ulega wątpliwości, że nad niejednym ustępem tych pamiętników unosi się powiew ośmnastego wieku, że niejeden pogląd nie dzisiejszy uderzy tutaj czytelnika. Od śmierci Ambrożego Grabowskiego upłynęło lat czterdzieści, od przyjścia jego na świat lat z górą sto dwadzieścia. Toteż pod wielu względami musi się on różnić od pokolenia, wśród którego zamknął strudzone i wyczerpane pracą oczy. Ale z generacyą naszą, z generacyą z końca XIX wieku, łączy go zato już powyżej zaznaczona, nadzwyczaj silna nić. Jest nią ta miłość dla przeszłości, której był całe życie gorącym wyznawcą i agitatorem ruchliwym, ten historyczny pogląd na wszystkie sprawy ludzkie, tak dalece odbiegający od epoki oświecenia, któremu Grabowski w swojej skromnej sferze działania stara

się wszystkiemi siłami dopomódz do zwycięstwa. Jest nią ta badawcza ciekawość historyi narodu, a dziejów Krakowa przedewszystkiem, która uczyniła go najstarszym miłośnikiem Krakowa, patryarchą młodszego o tyle pokolenia Łuszczkiewiczów, Matejków, Szujskich. Kiedy on schodził z pola, oni właśnie dojrzewali w pośród krakowskich kościołów, gmachów i baszt, a z pewnością bez jego pracy, przygotowującej grunt i zrozumienie dla starego Krakowa, nie byliby się rozwinęli w kierunku „służenia grobom“, jak to nazwał raz Szujski.

Towarzystwo miłośników dawnego Krakowa, którego nakładem wychodzą niniejsze „Wspomnienia“, ogłaszając je drukiem w czterdziestą rocznicę śmierci Ambrożego Grabowskiego, spełnia w ten sposób obowiązek uczczenia pamięci swojego poprzednika i duchowego twórcy. Zarówno jego prace drukowane, jak i pozostawione po nim zbiory, były przez długie lata jedynym wysiłkiem i jedyną próbą uratowania od niepamięci kultury starej stolicy. Na szczęście, będąc pierwszym, nie pozostał jedynym i ostatnim miłośnikiem Krakowa, a rozszerzenie się tego miłośnictwa na coraz dalsze koła, czego świadkami jesteśmy w ostatnich latach, może być z pewnością w znacznej części między jego zasługi policzone.

II.

Zbiory pozostawione przez Ambrożego Grabowskiego, a znajdujące się dzisiaj w posiadaniu jego wnuka, profesora Eugeniusza Grabowskiego

w Krakowie, składają się, jak wspomniałem, ze stu kilkudziesięciu tomów i tek. Każdy tom posiada tytuł, nadany mu przez twórcę zbioru, a wskazujący — chociaż tylko w ogólnym zarysie — główną treść tam zawartą*). Z góry należy jednak ostrzedz, że najczęściej obok wskazanej tytułem treści domięszywał Grabowski do danego tomu materyały zupełnie odrębne, charakterem swym różnorodne i na tem miejscu nieoczekiwane.

Toteż poniżej przeprowadzone uszeregowanie tych tomów wedle ich treści ma tylko bardzo przybliżone i mało doniosłe znaczenie, co musi dobrze pamiętać każdy czyniący w tych tomach poszukiwania za pewną interesującą go kwestyą.

Wszechstronność tych zbiorów jest niewątpliwie — jak zaznaczyłem wyżej — z pewnego punktu widzenia ich słabą stroną, w żadnym bowiem kierunku nie dają one wyczerpującej całości — a surowa Klio wolałaby może, gdyby ich było mniej, ale więcej. Ale trzeba pamiętać, w jakim czasie i pod jakiem hasłem Grabowski swe „rozmaitości“ gromadził i układał z nich do druku mozaikowe źródła dziejowe. Trzeba pamiętać, że zbierał w chwili powszechnej dla tych rzeczy obojętności, w chwili gdy widział archiwum krakowskie przykryte warstwą pajęczyn i pomiotu ptasiego (bo ptactwo masami gnieździło się w sali ratuszowej, w której było złożone); archiwa sądowe widział oddawane

*) Często spotyka się dwa lub trzy tytuły obok siebie, n. p. inny na okładce, a inny na pierwszej karcie tomu. Te drugie tutuły podane są poniżej w nawiasach okrągłych. Uwagi zamknięte w klamrach [ ] są dodatkiem wydawcy.

na sprzedaż do papierni lub na tutki przekupniom; pierwszorzędne zbiory tynieckie nieumiejętnie przebrakowane przez rząd (przed wywiezieniem ich do Lwowa), z pozostawieniem na miejscu — jako rzecz *nullius* — mnóstwa ciekawych ksiąg i pism, ocalonych przez Grabowskiego; archiwa możnych rodzin (Zamoyskich) oglądał porzucone bez troski na poddaszu kościelnem; biblioteki klasztorne (Trynitarzy) sprzedawane na funty w kramikach pod Sukiennicami; rękopisy z bogatych zbiorów Dominikańskich — zniszczonych potem pożarem — pamiętał oddane jako patryotyczną ofiarę dla robienia ładunków prochowych; inne kollekcye niedbale strzeżone i rozszarpywane przez tych zwłaszcza, którzy mieli je porządkować i strzedz. Wiele cennych zabytków, stanowiących niegdyś własność publiczną, odkupywał Grabowski z rąk prywatnych, jak to poniżej opisuje. Mnóstwo dawnych ksiąg, rycin, dokumentów widział bezradnie, jak je za bezcen wyławiali handlarze i wywozili z Krakowa*). Czytając niejedną kartę jego wspomnień, przypominają się słowa Czackiego, wypisane na czele „Polskich i litewskich praw“ — te, które i dla niego stały się również pobudką do gromadzenia historycznych zbiorów: „Już Polska wymazana z liczby narodów; w mieszkaniach królów,

*) Pod r. 1852 notuje n. p. Grabowski: „Od niejakiego czasu pojawił się szczególnego rodzaju spekulant na ziemi naszej, jakiego nasze plemie dotąd nie miało. Przybywa tu peryodycznie do Krakowa izraelita Zelman Igel, zamieszkujący w Brodach, człowiek w bibliografii polskiej niepoślednio obeznany; przynajmniej należy mu przyznać, że ma uzyskane na drodze praktycznej wiadomości o dawnych autorach polskich

w siedliskach władzy pająk wije pajęczynę a puszczyk, bezpiecznie na wieżach gmachów spoczywając, wydaje głos ostrzeżenia...“

Widząc, jak szybko pamiątki giną, a nie widząc, by je powołani do tego ratowali, wątpił wogóle Grabowski, czy się je uda następnym pokoleniom przekazać. Stanęło więc przed nim zadanie, jakby podczas powodzi lub pożaru: ratować na ochotnika co się da, co pod ręce podpadnie, skoro nie ma czasu brakować rzeczy cennych od mniej doniosłych. Spieszył się, gorączkował, dniami i latami kopiował, skupywał pamiątki przeszłości (zatrzymując je dla siebie lub odstępując je do zbiorów Czackiego, Czartoryskich, Ossolińskich, Baworowskich etc.), przedrukowywał nawet znaczną część własnym kosztem — nie w jednym wyspecyalizowanym kierunku, ale pod hasłem wszechstronności, z zamiarem przekazania i udowodnienia, jak bogatą, ciekawą i różnolitą była cała kultura naszych przodków. Był przekonany, że po nim nie tak prędko przyjdzie ktoś drugi, ktoby archiwa zaniedbane i brudne, ktoby księgi łacińskie i nieczytelne, ktoby te zbutwiałe i stęchłe papiery z równą przyjemnością jak on wertował i przepisywał. Na jednej wolnej karcie krakowskich ksiąg radzieckich, które dziś można oglądać tak doskonale uporząd-

---

i ich dziełach. Za pomocą żydków faktorów wyszukuje po rękach prywatnych dawnych książek polskich, takowe wykupuje i z Krakowa wywozi, tak, że dotąd już wyprowadził bardzo wiele rzadkich dzieł, tudzież rycin dawnych polskich, niedługo nie będzie można tu ani widzieć tych dawnych relikwii, które on sprzedaje, rozumie się, z wielkim zyskiem. Od tego to Zelmana Igla nabyłem niektóre bardzo rzadkie polskie ryciny“.

kowane i pomieszczone, znajduje się następujący dopisek jego ręki: „...Dawno już zapewne, Bóg wie od wielu lat, nikogo nie wzięła ciekawość obznajamiania się z treścią tych mnogich ksiąg... z treścią suchą i wcale nie ciekawą, bo kogoż ona zająć mogłaby? Długo zapewne czekały te księgi na mnie ciekawca, umiłownika dawnych rzeczy, zbieracza dziejowych wiadomości, który te księgi z przyjemnością przeglądałem... Nie prędko, tuszę, znajdzie się równego ze mną smaku następca, któryby te foliały przetrząsał i z takiem, jak ja, upodobaniem suche rzeczy chciał czytać.... Pisałem to dnia 27 maja 1848 roku, wieku mojego lat 66, w czasie wielkich politycznych zamieszek. Mieszkam w ulicy św. Jana Nr 483, urodzony w miasteczku Kenty roku 1782. Imię moje znajdzie się wspomniane w wielu książkach, których pisarze do moich dziełek często się odwołują... Ambroży Grabowski, były księgarz i mieszczanin krakowski, teraz sędzia pokoju okręgu 2-go miasta Krakowa“...*).

W tych to chwilach dla przyszłości narodu tak groźnych i wątpliwych, dla spokojnej pracy historyka tak niesposobnych, przeważnie „w czasie wielkich politycznych zamieszek“, obijających się bezpośredniem echem o okna jego pracowni, powstawały te potężne wolumina, przepisywane, zbierane, komentowane, nawet troskliwie klejone

*) *Acta consularia*, pod r. 1605 (str. 900—901). — Poczem dopisek: „Znalazł się nowy szperacz przeszłości Polski i przejrzał wszystkie księgi w hipotece krakowskiej, a tę przeglądał dnia 16 czerwca 1850 Jan Wincenty Smoniewski, przyjaciel A. Grabowskiego, mający lat 58“.

i w całość oprawiane jego własnemi rękami. Są to „teki“ niepodobne niczem do tek jakiegokolwiek naszego czy obcego historyka, a samo rozejrzenie się w ich tytułach i w ich treści — aczkolwiek jeszcze raz należy uprzedzić, że nazwy im nadane pozostają do ich rzeczywistej zawartości tylko w bardzo ogólnym i nieścisłym stosunku — pozwala choć w przybliżeniu zoryentować się w ogromie zgromadzonego tu materyału.

A) Pierwszą grupę pomiędzy tymi materyałami tworzą tomy, poświęcone dokumentom i zapiskom o charakterze osobistym i rodzinnym. Tu należą:

1) Kronika domowa od r. 1832—1853. (*Domestica facta, liber memorabilium*, wspomnienia drobnych zdarzeń z ostatnich lat mojego życia a niekiedy sny i marzenia moje). [Na okładce tej olbrzymiej swym formatem i objętością księgi jest dopisek następujący: Księgę tę, jakby z biblioteki jakiegoś Goliata, oprawiał w mieszkaniu mojem pod Nr 95 na Piasku w domu Wnej Szołayskiey introligator Kornecki, a raczej jego czeladnik Janowski, r. 1855. Oprawa kosztuje mnie złp. 47]. *folio.*

2) Kronika domowa, część I (1853—1857). *in 4-o.*

3) Kroniczka domowa, tom 2-gi (1858—1861). *in 4-o.*

4) Kronika domowa, tom 3-ci (1862, 1863, 1864). *in 4-o.*

5) Kronika domowa, tom 4-ty (1865 i 1866). *in 4-o.*

6) Kronika domowa, tom 5-ty (1867). *in 4-o.*

7) Kronika domowa, rodzinna i postronna, tom 6-ty (1868). *in 4-o.*

8) Rodzinne. *in 4-o.*

9) Pamiątka dla dzieci moich. *in 4-o.*

10) Akta moje osobiste. [Konwolut]. *in 4-o.*

11) [Liczne notaty i książki, zawierające rachunki A. Grabowskiego, dochody i rozchody domowe, wierzytelności etc. z I połowy 19 wieku, poczynając od r. 1817]. *in 4-o.*

12) Pamiątki po ś. p. dobroczyńcy moim, księdzu Raciborskim, dziekanie czernichowskim, *folio.*

12 *a*) Notaty z podróży ś. p. Raciborskiego do Niemiec, Francyi, Włoch. *in 8-vo.*

B) Do historyi Krakowa odnoszą się:

13 i 14) Kraków (Okruszyny wiadomości o Krakowie), tom 1-szy i 2-gi [oprawa w papier]. *in 4-o.*

15, 16, 17). Kraków (Zbiór notat i wiadomości do opisu miasta Krakowa). Tom 1-szy, 2-gi i 3-ci. [Oprawa w półskórek]. *in 4-o.*

18) Miasto Kraków. Zbiór pism i notat. Tom 4-ty. *in 4-o.*

19) Starożytności miasta Krakowa. Część opisowa pierwsza. *folio.*

20) Skarbiec wiadomości o starym Krakowie. (Starożytności miasta Krakowa, część dziejowa druga). *folio.*

21) Kraków i jego okolice, wydanie 5-te. [Rękopis z dopełnieniami i notatami]. *in 4-o.*

22) Kraków w obrazkach. Kościoły i gmachy. Baszty i bramy, które niegdyś otaczały stary Kraków. Dodane są wizerunki kościołów zburzonych. *folio.*

23) Wiadomości o mieście Krakowie. (Wiadomości drobne, ale owoc długiego szperania. Wypisy z ksiąg archiwum miasta Krakowa). *folio.*

24) *Cracoviensia.* Zbiór pism tyczących się dziejów miasta Krakowa jakoteż Akademii, szkół, burs, pobożnych zakładów i t. d. *folio.*

25) Krakowskie rozmaitości. Zbiór pism i wiadomości odnoszących się do miasta Krakowa, tudzież jego praw i dawnych przywilejów. *folio.*

26) Kraków. Widoki panoramiczne miasta Krakowa i okolic, rysował Łuk. Kozakiewicz [w r. 1827]. *folio.*

27) Pamiątka bytu Rzeczypospolitej krakowskiej. Pisma odnoszące się do założenia przechadzek (plantacyi) około miasta. *folio.*

28) Kronika odbudowy Sukiennic. (Pismo zaczęte w roku 1867). *in 4-o.*

29) Rok 1846, oraz Dodatek do fascykułu Rewolucya w Krakowie 1846. *folio.*

30) Pustelnik z Sikornika. *in 4-o.*

31) Pożar Krakowa r. 1850. *in 4-o.*

32) Pamiątka spalonej biblioteki Dominikańskiej i inne druki. *in 4-o.*

33) *Chronique scandaleuse.* Kronika skandaliczna. Sekretne archiwum zgorszeń, któremi się czasy nasze kalały pod wpływem złych ludzi i nieprzyjaznych okoliczności oraz ościennych wrogów. Pisane za czasu bytu Rzeczypospolitej krakowskiej, kiedy jeszcze wolno było przelać na papier myśli swoje. [Dopisek: Książkę tę z obawy przed szpiegostwem tutejszej policyi do Wrocławia celem oprawy jej posłałem]. *in 4-o.*

34) Grobowce królów polskich. *folio.*

35) Kraków. Notaty o tem mieście Franciszka Piekarskiego. *folio.*

35 *a*) Objaśnienie znaków i odsyłaczów do planu Krakowa z r. 1783 przez Józefa Czecha. *in 8-vo.*

36) Ubiory mieszczan krakowskich z rękopisu Behma. [Nadto dodatek, zawierający czasopisma z r. 1831, oraz różne ordynacye cechowe]. *folio.*

37) Kaplica różańcowa w kościele OO. Dominikanów w Krakowie. [Są to: Regestra przychodu i wydatków kaplicy bractwa Różańcowego z końca XVII i XVIII wieku do roku 1716]. *folio podł.*

38) Akta wielkorządów krak. i innych władz w interesach konwentu XX. Stróżów Grobu Chryst. u św. Jadwigi na Stradomiu z końca XVI i XVII w. [Dopisek na okładce:] Nabyłem tę księgę od rękawicznika Behma tu w Krakowie, który jej używał do prasowania w niej rękawiczek i do potrzeb gospodarskich wyrywał z niej karty. *folio.*

39) Opis baszt, bram i wszelkich dóbr nieruchomych do miasta Krakowa jako własność należących. (Zbiór opisów dóbr miasta stołecznego Krakowa, rękopis z roku 1792). *folio.*

40) Sprawa pomiędzy sukcesorami Marka Szarfenberga, księgarza krakowskiego i podział majątku po tymże. [Akta oryginalne z XVI w.]. *folio.*

41) Regestra wikaryuszów katedry krak. r. 1487—1571. *folio wąskie.*

42) *Visitatio capellarum, altarium altaristarum in ecclesia cathedrali Cracoviensi.* (Rękopis z r. 1711). *folio.*

43) *Regestrum Lobzow, anni 1559.* (Rejestr przychodu, funduszów i wydatków na reparacyę dworca tego; dodany w końcu przychód i wydatek siarki i prochu). *folio.*

44) *Census civitatis conscripti.* [Rękopis na pergaminie *in 4-o.* str. 52, pisany przez Jana Heydeke w r. 1500, zawierający spis czynszów i innych dochodów miasta Krakowa, oraz na końcu wyciąg ze Summy Rajmunda (z Wiener Neustadt): *De rectoribus civitatum* etc. Na końcu dopisek Grabowskiego: Z pozostałych ksiąg po zmarłym Kasprze Meciszewskim nabyte od Wnego Kazimierza Meciszewskiego. — Oprawa rękopisu pochodzi z XVI w. i dowodzi, że rękopis był niegdyś własnością rady miejskiej krakowskiej]. *in 4-o.*

45) [Rękopis zawierający dawne wilkierze i przywileje krakowskie, zbiór urzędowy, dokonany z polecenia rady miejskiej w r. 1398 przez Piotra notaryusza a uzupełniony w XV w.; zbiór ten został opisany przezemnie na posiedzeniu Akademii Umiejętności w r. 1908. Obacz „Sprawozdania“ za kwiecień].

C) Do różnych miast i wsi polskich odnoszą się następujące tomy:

46) Miasta i wsie polskie. Zbiór wiadomości do opisu Polski. *in 4-o.*

47) Myślenice. *folio.*

48) Wieliczka, Bochnia i Olkusz. Zbiór drobnych wiadomości o tych skarbach przyrody. *in 4-o.*

49) Wieliczka i Bochnia. *folio.*

50) Wieliczka. Plany kopalń i różne notaty. *folio.*

51) Ojców i Pieskowa Skała. *folio.*

52) Rachunek starostwa Nowotarskiego z folwarków: Szaflarskiego, Śreniawskiego, Czarnodunajeckiego i podmiejskiego gruntu z lat 1737—1756. [Rękopis spółczesny, będący niegdyś własnością starostwa nowot.] *folio.*

53) Góry Tatry i Pieniny oraz widoki miast i ruin zamków w Galicyi [przeważnie Stęczyńskiego]. *folio.* Do tego należy tom *in 4-o.*: Góry Sudety (Dodatek do Karpat).

D) Materyały, odnoszące się w przeważnej części do dziejów całej Polski, mieszczą następujące tomy:

54) Album narodowe tom I. [W tomie tym — bardzo znacznej objętości — mieszczą się, podobnie jak i w dalszych, poniżej wyliczonych tomach „Albumu“, przeważnie ryciny, portrety, widoki, mapy etc. Między innemi obejmuje ten tom następujące ryciny: książąt i królów polskich sztuk 148; „rozszarpywaczy naszej ojczyzny“ 79 portretów; portretów sławnych Polaków 191; artystów polskich 244; artystów dramat. 32; scen z dziejów polskich 26; numizmatyka 29; widoki 265; obrazki polskie Pana Jezusa i M. Boskiej 361; obrazy świętych Polaków 335 etc. Daje to miarę o zawartości reszty tomów Albumu]. *folio.*

55) Album narodowe, tom II. *folio.*

56) Album narodowe. (Znakomici Polacy). Tom 3-ci. *folio.*

57) Album narodowe. (Wizerunki znakomitych Polaków etc.). Tom 4-ty. *folio.*

58) Album narodowe. (Zdarzenia z dziejów polskich). Tom 5-ty. *folio.*

59) Iconotheca polska, oddział IV. (Mieści: obrazy cudowne w Polsce, etnografię etc.). [Tworzy 6-ty tom Albumu narodowego]. *folio.*

60) Album narodowe. Tom 7-my. *folio.*

61) Rzeczy narodowe polskie. *in 4-o.*

62) Dykcyonarz sławnych Polaków. *in 4-o.*

63) Życiopisma Polaków, tom I (lit. A—M). *in 4-o.*

64) Toż, tom II (lit. N—Z). *in 4-o.*

65) Wiadomości o życiu znakomitych Polaków. *in 4-o.*

66) Życiorysy Polaków. *folio.*

67, 68) Dwa przekłady odmienne „Historyi rewolucyi“ Zajączka [z tych jeden pióra Grabowskiego]. *folio.*

69) Autografy znakomitych mężów. *in 4-o.*

70) Autografy znakomitych mężów Polaków. *folio.*

71) Autografy królów polskich. *folio.*

72, 73) Królowie polscy, tom I i II. *folio.*

74, 75) Konfederacya barska, tom I i II. *folio.*

76) Konfederacya Barska (Moskale w Krakowie). (Dodatek do 2 tomów p. t. Konfederacya barska). *folio.*

77) Szkice żołnierskie Bog. Gąsiorowskiego [i inne rysunki]. *folio.*

78) Armia polska za czasów króla Augusta III-go od r. 1733—1763. [Kopie współczesnych sztychów]. *in 4-o.*

79) Wojskowość dawna polska. (Zbiór pism i wiadomości, oraz rycin i rysunków). *folio.*

80) Mieszkańcy różnych okolic. *folio.*

81) Sfragistyka, dawne pieczęcie. *in 4-o*

82) Medale polskie. *folio.*

83) Herbarz J. Kołozwarskiego z roku 1645 (z tytułem: *Rhetor polonus seu praecepta in collegio Ostrogiano tradita*). [Rękopis spółczesny z licznymi rysunkami herbów]. *in 4-o.*

83 *a*) Swiat polski herbownemi klejnotami przyozdobiony... do każdej mowy materyą padający. *in 8-vo.*

84) Herby i ubiory województw polskich. *folio.*

85) Starodawne pamiątki w pismach w. XV i następnych. [Dopisek na tytule:] Ułamki te dawnych pism wyłączone są z kupy starych papierów, zbutwiałych, które przeznaczone były w kancelaryi hipotecznej na sprzedaż do papierni, których tylko część przejrzałem. [Obejmuje ułamki ksiąg krak. i kazimierskich od r. 1380, wiele dawnych dokumentów, rachunków, kwitów, pism etc.]. *folio.*

86) Pergaminy. (Malowania na pergaminie, pisma na tymże, dawne drzeworyty i inne tym podobne przedmioty). *folio.*

87) Myśli polityczne o Polsce przez szlachcica polskiego w połowie XVIII w. *in 4-o.*

88) Rok 1549. (Rejestr przychodu i wydatków króla Zygmunta Augusta w r. 1549, kopia z oryginału znajdującego się w Berlinie, spisanego przez Stanisława Włoska podskarbiego lit.). *folio.*

89) Kronika drobnych zdarzeń od r. 1693 do 1723, które w Polsce zaszły. [Kopia współczesnego rękopisu]. *in 4-o.*

90) Mowy sejmowe oraz pisma w przedmiotach rozmaitej treści [głównie z w. XVIII]. *folio.*

90 *a*) Polityk to jest statysta polski... na różne dyszkursy słuszną materyą padający. [Rękopis z XVIII w. z wzorowemi mowami]. *in 8-vo.*

91) Jerzego Dowmonta, posła do Moskwy, listy do Jana III. króla polskiego, pisane w r. 1692. [Kopia]. *in 4-o.*

92) Małe *silva rerum*, ułożone w r. 1714 przez Kazimierza Sokołowskiego, starostę Inowłocławskiego. *in 4-o.*

93) Pisma z czasów sejmu czteroletniego. *in 4-o.*

94) Rękopisma. (Rozmaitości rękopiśmienne krajowych okoliczności się tyczące). *folio.*

95) Ułamki pism z r. 1830—1. *folio.*

96) Fabrykaty z szpitala obłąkanych. (Pomniki szału i obłędu rozumu ludzkiego z r. 1848). *in 4-o.*

97) Dwaj obrońcy Polski: Tadeusz Kościuszko, Książę Józef Poniatowski. *in 4-o.*

98) Pisma wierszem do dziejów r. 1830—31. *8-vo.*

99) Dawne pamiątki polskie. *folio.*

100) Pomniki ojczyste w obrazach i pismach. *folio.*

101) Konwolut dokumentów i dyplomów z różnych czasów (sztuk kilkadziesiąt).

102. Rozmaitości. (Okruchy wiadomości starożytniczych i dziejowych). [Oprawa w pergamin z nutami]. *in 4-o podł.*

103) Chwila spoczynku. *Silva rerum.* Książka oryginalnego rodzaju. Rozmaitości. *Mixtum compositum.* Fraszki i nie fraszki. Rzeczy błahe i poważne. Magazyn tego wszystkiego, co tylko cierpliwy papier na się przyjąć może. Rękopism obrazkowy. Książka pisana, drukowana i lepiona. *Rudis indigestaque moles. folio.*

104) Rozmaitości. R. 1848. Wrażenia chwilowe z ostatnich czasów a niekiedy przypomnienia rzeczy dawniejszych. *in 4-o.*

105) Rozmaitości polskie. *in 4-o.*

106) Rozmaitości. (Rozmaite rozmaitości w chwilach próżniaczych zebrane). *folio.*

107) Pamiątki z niedawnej przeszłości. *in 4-o.*

108) Mięszanki pism różnej treści wierszem i prozą. *in 4-o.*

109) Pisma rozmaite, zbierana drużyna. *folio.*

110) Literackie *mixtum compositum* z pism rozmaitej treści. *in 4-o.*

111) Drużyna luźnych pism. *in 4-o.*

112) Fraszki polskie. Przypowieści, anegdoty, przysłowia i żarty. *in 4-o.*

113) *De omnibus rebus et de quibusdam aliis.* I to i owo kwoli rozrywki nakreślone z przydatkiem niekiedy czego innego. *Silva rerum* czyli cokolwiek o czemkolwiek. *in 4 o.*

114) *De omnibus rebus et quibusdam aliis.* Zapiski rozmaitej, naszej i obcej treści. *in 4-o.*

115) Skarbniczka różnych wiadomości drobnych, której zamiarem rozpierzchłe drobne wiadomości razem zebrać i przechować. *in 4-o.*

116) *Liber memorabilium.* Pisma i wspominki w przedmiotach narodowych. *folio.*

E) Przeważnie dziejom sztuki polskiej poświęcone są:

117) Sztuki piękne i archeologia. (Pisma różne). *folio.*

118) Notat tom 1-szy. Wiadomości do dziejów sztuk pięknych w Polsce. *in 4-o.*

119) Fascykuł 2-gi notat o sztukach pięknych. *folio.*

120) Fascykuł 3-ci notat o sztukach pięknych. (Wiadomości różne tyczące się sztuk pięknych etc.) *folio.*

121) Notatki archeologiczne i o sztukach pięknych, tom 4-ty. *in 4-o.*

122) Notatki i drobne wiadomości z dziedziny sztuki i starożytności, poszyt 5. (Notat tom 5-ty). *in 4-o.*

123) Stromates. Notat o sztukach pięknych tom 6-y. *in 4-o.*

124) Notatki o sztukach pięknych, tom 7-my. *in 4-o.*

125) Notatki o sztukach pięknych, archeologii tudzież bibliografii. (Notat tom 8-my). *in 4-o.*

126) Notat o sztukach pięknych tom 9-ty. *in 4-o.*

127) Notat o sztukach pięknych tom 10-ty. *in 4 o.*

128) Sztuki piękne. Tom 11-ty. (Notaty o sztukach pięknych). *in 4-o.*

129) Sztuki piękne, tom 12-ty. (1868). *in 4-o.*

130) Spis rycin zbioru Mieczysława Pawlikowskiego, Lucyana Siemieńskiego i moich. *folio.*

131) Szkoła rytownicza Antoniego Oleszczyńskiego [132 jego prac]. *folio.*

132) *Mixtum compositum* z rycin i obrazków. [Konwolut]. *folio.*

133) Początek ikonografii naszej w spisie małego zbioru rycin etc. *in 4-o*

134) Rytownicy: Stefan Dolabella [56 rycin], Adolf Dietrich i Jan Piotr Norblin [11 prac]. *in 4-o.*

135) Stefan Dolabella (dodatek). *in 4-o.*

136) Prace rysownicze i malarskie Stęczyńskiego. *in 4-o.*

137) D. Chodowiecki. [Obejmuje 400 jego prac]. *folio.*

138) Szkoła Stachowicza (*Schola Stachoviciana*). *folio.*

139) Prace rytownicze Kajet. Winc. Kielisińskiego. Zbiór I *n 4-o* oraz część II (album) *folio*

140) Szkielety Holbeina [i różne notaty]. *folio.*

141) Zbiór ikonograficzny. Dawne obrazy w kościołach krak., kopiował Bogumił Gąsiorowski. [Zawiera różne prace Gąsiorowskiego do Krakowa się odnoszące]. *folio.*

142) Album Wojnarowskiego. *folio.*

143) Biskupi krakowscy (wizerunków 27 Wojnarowskiego i innych). *folio.*

144) Rękorysy Polaków (prace malarskie ziomków). *folio.*

145) Fryderyk John, rytownik polski *folio*

146) Szkoła rytownicza Fryd. Johna, poszyt drugi. *folio.*

147) Moja pinacotheca czyli galerya obrazów, wprawdzie nie taka, jaką mają cesarze, królowie i książęta, ale na jaką stać chudobę mieszczańską. *folio.*

148) Trzy szkoły malarzów polskich: Aleksander Orłowski, Artur Grottger i Józef Brodowski. *folio.*

149) Zbiór rycin polskich, tom I. *folio.*

150) Zbiór (Volumen) rycin polskich, tom II. *folio.*

161) Nadto pozostawił jeszcze Grabowski kilkanaście osobnych tek, zawierających luźne, dawne i nowsze ryciny i rysunki (przeważnie polskie), a to mianowicie takie, które ze względu na swoją wielkość nie mogły być pomieszczone w powyżej opisanych tomach.

F) Wreszcie do dziejów literatury polskiej odnoszą się:

152) Bibliografia. Spisy dawnych ksiąg polskich z oznaczeniem ceny, za jaką były sprzedawane. *folio.*

153) Katalog biblioteki A. Grabowskiego, spisany roku 1855. *in 4-o.*

154) Brodziński Kazimierz, Przybylski Jacek Idzi. Pamiątki dwu moich przyjaciół. *in 4-o.*

155) Korespondencye własnoręczne znakomitych na polu naukowem mężów oraz przyjaciół z Ambrożym Grabowskim, księgarzem w Krakowie. Tom I. *in 4-o.*

156) Listy przez literatów pisane do Ambrożego Grabowskiego. *in 4-o.*

157) Listy własnoręczne J. I. Kraszewskiego oraz listy Wójcickiego i innych. *in 4-o.*

158) Fab. Seb. Klonowicza Zwycięstwo bogów [w przekładzie Jacka Idziego Przybylskiego, pierwszych 35 pieśni]. *folio wąskie.*

159) Krótkie przypowieści starych Polaków [rękopis Grabowskiego]. *folio.*

160) Pamiątka po przyjacielu: Autograf ś. p. Jerzego Bandtkego. (Historya biblioteki Jagiell.). *in 4-o.*

161) Krótka rozprawa między trzema osobami [odpis dzieła Reja]. *in 4-o.*

162) Pisma Franciszka Wężyka. [Autografy czterech tragedyi]. *in 4-o.*

163) *MS. selectorum versorum latinorum Dom. Choynacki, Sch. P. in 4-o.*

164) Kancyonał. Śpiewnik szczęśliwszych czasów, które niestety prędko uleciały. Zawiera światowe i pobożne pieśni, według którego śpiewywaliśmy pod niebem na Bielanach i Skałach Panieńskich w kwartecie pieśni, dopóki Wszechmocny niektórych śpiewaków do Siebie nie powołał. *folio**).

---

*) Cyfry rzymskie, drukowane kursywą pod poszczególnemi zapiskami „Wspomnień“ oznaczają — jak już niżej podałem — te tomy zbiorów, z których zapiskę zaczerpnąłem. Mianowicie cyfra I oznacza tom wymieniony powyżej pod nr. 8. — II oznacza nr. 1. — III = nr. 2. — IV = nr. 3. — V = nr. 4. — VI = nr. 5. — VII = nr. 6. — VIII = nr. 23. — IX = nr. 13. — X = nr. 14. — XI = nr. 15. — XII = nr. 16. — XIII = nr. 17. — XIV = nr. 18. — XV = nr. 63. — XVI = 64. — XVII = nr. 65. — XVIII = nr. 117. — XIX = nr. 118. — XX = nr. 119. — XXI = nr. 120. — XXII = nr. 121. — XXIII = nr. 124. — XXIV = nr. 125–6. — XXV = nr. 127. — XXVI = nr. 138. —

III.

Zbiory powyższe, pozostawione przez Ambrożego Grabowskiego, stoją w najbliższym związku z licznym szeregiem większych i mniejszych prac, ogłoszonych przezeń pomiędzy r. 1807 a 1868, a więc w przeciągu lat sześćdziesięciu. Prace te (oparte na mało wyzyskanym nawet i dzisiaj materyale archiwalnym) nie utraciły jeszcze w przeważnej części swojej wartości. Nietylko więc dla uzupełnienia charakterystyki autora poniższych „Wspomnień“, ale i dla naukowego użytku wszystkich miłośników dawnego Krakowa warto zestawić tutaj jego prace, zwłaszcza że mała tylko ich część ogłoszoną była osobno, a przeważnie są one rozsypane po trudno dostępnych wydawnictwach zbiorowych. A najprzód prace większe, wydane osobno:

1) Pierwszą pracą ogłoszoną przez Grabowskiego jest: Encyklopedya komiczna, zbiór fraszek i anegdot, zebrany z różnych druków i rękopisów (Kraków, 1807, 2 tomy). Ency-

---

XXVII = nr. 74. — XXVIII = nr. 61. — XXIX = nr. 24. — XXX = nr. 23. — XXXI = nr. 66. — XXXII = nr. 97. — XXXIII = nr. 106. — XXXIV = nr. 105. — XXXV = nr. 102. — XXXVI = nr. 111. — XXXVII = nr. 104. — XXXVIII = nr. 69. XXXIX = nr. 100. — XL = nr. 115. — XLI = nr. 27. — XLII = nr. 140. — XLIII = nr. 103. — XLIV = nr. 114. — XLV = nr. 33. — XLVI = nr. 96. — XLVII = nr. 99. — XLVIII = nr. 46. — XLIX = nr. 29. — L = nr. 31. — LI = nr. 30. — LII = nr. 154. — LIII = nr. 109. — LIV = nr. 112. — LV = nr. 116. — LVI = nr. 110. — LVII = nr. 69. — LVIII = nr. 113. — LIX = nr. 79. — LX = nr. 54. — LXI = nr. 60. — LVII = nr. 144.

klopedya powyższa została niebawem (1809 r.) przedrukowana powtórnie. „Przy utrudnionych wówczas stosunkach komunikacyjnych i przy braku księgarń po miasteczkach egzystowali księgarze jarmarczni, których gniazdem był Głogów. Ci rozkupili dziełko to tak szybko, że w kilka lat musiano tłoczyć edycyą drugą a i ta od razu rozeszła się tak, że dziś to dziełko jest rzadkością bibliograficzną. Zdaje się, że trafiła ona do ówczesnego gustu. Urządzenia cenzury ówczesne utrudniały niezmiernie wydawanie polskich książek, we wszystkiem odnoszono się do Wiednia, a doznawane trudności były jedną z głównych, przyczyn, że nic nie drukowano prawie po polsku. Z tych to przyczyn cenzor krakowski Behm zezwolił na druk niebezpiecznej Encyklopedyi tylko pod warunkiem, że jako miejsce druku będzie Lipsk oznaczony“. (Objaśnienie to pochodzi od mego ojca).

2) Drugą pracą ogłoszoną przez Grabowskiego są: Cuda i osobliwości natury i sztuki w różnych znajdujące się krajach (Kraków, 1818, tomów 2). — Dziełko to cieszyło się ogromnem swego czasu powodzeniem, „Bibliografia“ mego ojca podaje kilka przedruków.

3) W r. 1819 wydał: Krótkie przypowieści dawnych Polaków czyli apophtegmata, – dziełko ułożone wspólnie (na podstawie dawnych druków i rękopisów) z Hier. Juszyńskim, do którego przedmowę pisał Ossoliński. Znaczenie jego naukowe podniósł świeżo prof. Brückner, który sam ogłosił zbiór podobny. Praca ta została niedawno (1886 r.) przedrukowana w Poznaniu.

4) W r. 1822 ogłosił: Opis historyczny miasta Krakowa i jego okolic. Historyę powstania tej swojej pierwszej — a do dziś dnia cennej — pracy przedstawia autor w swoich „Wspomnieniach“. Jeszcze za jego życia wyszło kilka wydań, każde zmienione, każde na nowo z gruntu opracowane. Wydanie drugie (z r. 1830) nosi tytuł: Kraków i jego okolice, podobnie wydanie 3-cie, 4-te i 5-te (drukowane dwa lata przed śmiercią autora, w r. 1866). Wydanie 6-te (tytułowe) ukazało się w r. 1900. Ponieważ autor opuszczał dla braku miejsca w wydaniach dalszych niejeden szczegół podany w edycyach poprzednich, przeto dla badacza przeszłości Krakowa każde z tych wydań ma swoją wagę.

5) W r. 1835 ogłosił: Groby królów polskich w Krakowie (z kroniką Zelnera); wydanie drugie, bardzo zmienione, wyszło w r. 1868. (Na końcu pierwszego wydania jest dodanych kilka źródeł, ważnych dla przeszłości Krakowa, ale nie łączących się z grobami królów).

6) W r. 1840 wydał: Starożytności historyczne polskie (2 tomy).

7) W r. 1845: Ojczyste spominki (2 tomy).

8) W r. 1845 ogłosił: Listy Wład. IV.

9) W r. 1848 przedrukował: Pisma wierszem M. Reja.

10) W r. 1850: Dawne zabytki miasta Krakowa.

11) W r. 1852: Starożytnicze wiadomości o Krakowie.

12) W r. 1854: Skarbniczkę archeologii naszej.

Wszystko to są prace większe, przeważnie mozaikowe i niesystematyczne, ale zawierające bardzo wiele nieznanego dotąd materyału archiwalnego, bądź to przedrukowanego, bądź też podanego w wyciągach i opatrzonego objaśnieniami, będącemi zwykle owocem rozległych kombinacyi i erudycyi autora. Bliższy opis tych wydań podany jest w Bibliografii mego ojca, a mianowicie w tomie I str. 70–71 i VI str. 249–250.

Obok tych prac obszerniejszych wymienić należy następujące prace drobniejsze, przeważnie znowu o podobnym jak powyższe charakterze:

13) Morskie Oko i Czarny Staw w Tatrach [opis wycieczki, odbytej około r. 1816]. (W „Pamiętniku“ Bentkowskiego r. 1817).

14) O malarzu Fr. Leksyckim (W „Pamiętniku“ Bentkowskiego 1817, oraz w „Przyjacielu ludu“ 1837).

15) Malarz Teofil Polak. (W „Pamiętniku“ Bentkowskiego 1817).

16) O poecie Wrześniowskim. (Tamże 1817).

17) Katalog książek. 1820.

18) Kalimacha Rady. („Pszczółka krak.“ 1821).

19) Wiadomość o Ibrahimie wielkim wezyrze, rodowitym Polaku. („Pszczółka krak.“ 1821, III).

20) Wspomnienie Kazimierza Puławskiego. („Pszczółka krak.“ 1821, III).

21) Pustelnia na górze św. Bronisławy. („Pszczółka krak.“ 1821 r.).

22) Testament Anny Ossolińskiej. („Pszczółka krak.“ 1821 r.).

23) Katalog książek, 1832.

24) Kościół XX. Dominikanów w Krakowie. („Przyjaciel ludu“, 1836).

25) O Kazim. Brodzińskim. („Przyjaciel ludu“, 1836).

26) Opis Krakowa. („Przyjaciel ludu“, 1837).

27) Wit Stwosz. („Przyjaciel ludu“, 1837).

28) Maryonetki w Warszawie XVII w. („Niezapominajki“, 1844 r.).

29) O Andrzeju Kochanowskim, kaznodzieju. („Przyjaciel ludu“ 1845).

30) Ubiór dziewicy polskiej. („Niezapominajki“, 1844 oraz „Przyjaciel ludu“, 1845).

31) Teatr w Krakowie. (Biblioteka war., 1847, lipiec).

32) Ogrojec, płaskorzeźba w kamieniu Wita Stossa. („Starożytności“ Łepkowskiego, 1847, poszyt 2-gi).

33) Do dziejów budowy wielkiego ołtarza w kościele Panny Maryi. (Dodatek liter. do „Czasu“ 1850 i „Bibl. warsz.“, 1847 r.).

34) Promemoria dla badaczów dawnych zabytków z czasów przedchrześcijańskich. (Bibl. warsz., 1849, lipiec).

35) Sprostowania i dopełnienia wiadomości o medalach koron. N. M. P. berdyczowskiej. (Bibl. warsz., 1848, III).

36) Rzecz o zasługach Wacława Sierakowskiego. (Rocznik Tow. nauk. krak. 1849).

37) Jeszcze jeden dowód polskiej narod. Kopernika. (Rocznik Tow. nauk. krak. 1850).

38) Wiadomość z dziejów malarstwa. (Rocznik Tow. nauk. krak. 1850).

39) Kilka słów w odpowiedzi na recenzyę Zabytków miasta Krakowa. (Bibl. warsz. 1851).

40) Wiadomość o znalezionych popielnicach na gruntach folwarku Popówka. (Bibl. warsz., 1851, lipiec).

41) Dopełnienie wiadomości zawartych w dziele p. t. Zabytki etc. (Bibl. warsz., 1851).

42) Przyczynek do wiadomości o Jer. Falcku rytowniku. (Bibl. warsz. 1852, IV).

43) O J. Łepkowskim („Czas“, 1853).

44) Okruszyny wiadomości z dziedziny sztuki i starożytności. (Bibl. warsz., 1854 i osobno).

45) Słowniczek numizmatyczny. (Bibl. warsz., 1854).

46) Baltazar Opeć. (Bibl. warsz. 1854, III).

47) Wit Stwosz jako rytownik. (Bibl. war. 1855).

48) Mozajka złożona z wiadomości starożytniczych etc. (Bibl. warsz., 1855 i osobno).

49) Imiona i nazwiska księgarzy krak. w XVI i XVII w. (Bibl. warsz., 1855).

50) Prowincyonalizmy X. Oświecimskiego. (Bibl. warsz. 1855 r.).

51) Początek ikonografii naszej (Bibl. warsz., 1857, styczeń i nast. miesiące); oraz: Dodatek do artykułu powyższego. (Tamże 1859 r.).

52) Sądownictwo karne w Krakowie XVI wieku. (Bibl. warsz., 1858).

53) Fryderyk John, rytownik polski i jego prace. (Bibl. warsz. 1858, III).

54) Zbieranka pomniejszych wiadomości w dziedzinie sztuk nadobnych (Bibl. warsz., 1859, II).

55) X. M. H. Juszyński. (Bibl. warsz., 1861, maj).

56) Wit Stwosz i nowo odkryta jego praca (Bibl. warsz., 1864, III).

57) O Leksykonie sztuk pięknych Dra Soczyńskiego (Bibl. warsz., 1867).

58) Historya zimy r. 1821 na 1822 („Czas“, r. 1866).

59) Michał Stachowicz i jego prace („Czas“, 1866, nr. 167).

60) Do redakcyi Bibl warsz. o Wicie Stwoszu. (Bibl. warsz., 1867, II).

Spis powyższy nie jest prawdopodobnie zupełny; o zupełności trudno było jednak myśleć wobec ogromnej przestrzeni czasu, jaką obejmuje działalność pisarska Grabowskiego (1807—1868 r.) i wobec niemożności przejrzenia wszystkich czaso-

pism z tych lat. W każdym razie jest to zestawienie, obejmujące najważniejsze prace autora „Wspomnień“ a wystarcza ono, aby poświadczyć niezwykłą jego erudycyę i wszechstronną miłość przeszłości*). I nie wątpię, że czytelnik, rozejrzawszy się w tym wykazie prac licznych, w tym spisie zgromadzonych skrzętnie zbiorów, w tem wreszcie życiu, co ubiegło „jak strumień cichy sączący się w gęstwinie leśnej“ ale zacnie i pracowicie, uzna trafność napisu, jaki autor „Wspomnień“ projektował zamieścić na swym grobie:

. . . . . że był Polak szczery,
Boga wielbił, a dawne czytał rad papiery...

Stanisław Estreicher.

*) O Ambrożym Grabowskim pisali: J. Łepkowski w Przeglądzie pozn. 1854 r., III; Wurzbach Biogr. Lexicon; Z. P. S. w Kółku rodzinnem (1860); Nowakowski J. F. w „Gaz. polsk.“ 1861 i osobno w 1869 r. (podaje dość dokładny opis zbiorów); Wójcicki w „Tygodniku illustr.“ 1861, III, nr. 79; Sobieszczański w Encyklop. Orgelbr.; Gloger w Albumie biogr. 1902.

ZAPISKI AUTOBIOGRAFICZNE.

I.

Kilka słów o życiu mojem wyrzeczone do moich dzieci.

Opis żywota mojego w nikim prócz może dzieci moich nie obudzi zajęcia: bo wreszcie na cóżby się komu ta wiadomość przydała? Pasmo dni moich nie składało się z głośnych wydarzeń, ani też na widowni świata niczem nie zabłysnąłem. [1]) Był to bieg cichego strumienia, ukrytego pomiędzy chróstem, który tam sączy się niepostrzeżony, a zaledwo ptak i zwierz leśny wiedzą o istnieniu jego. Mając ścieśniony zakres kształcenia się, zdolności moje nie wyszły za obwód mierności; niczem się przeto odznaczyć nie mogłem, skądby się dowiedzieć było można, żem kiedyś żył. Słowem, przemknąłem się w przestrzeni czasu nakształt lotu ptaszyny w powietrzu, nakształt biegu

[1]) Dają się tu zastosować słowa, które ktoś inny powiedział o sobie: „Bóg nie naznaczył mnie piętnem wyższości. Sława mnie nie czeka. Życie moje nie było bogate w wypadki — a wspomnienia o niem są niczem dla obcych mi ludzi“.

łodzi po wodzie, po których żaden ślad nie pozostał.

Urodziłem się r. 1782 w miasteczku Kentach, niegdyś leżącem w księstwie Oświęcimskiem, — a dzień 31 grudnia roku tegoż był dniem, w którym przez obrząd chrztu świętego do społeczeństwa chrześcijan wstąpiłem. Ojciec mój, Jan Chrzciciel Grabowski, a matka, Teresa z Florkiewiczów, liczne bo z sześciu córek i trzech synów [1]) złożone mieli potomstwo. Dziad mój był włościaninem we wsi Głębowicach, a ojciec organistą kościoła parafialnego w Kentach. Ojciec odumarł mnie, kiedym ledwo lat 11 do 12 liczył, a matka żyć przestała w r. 1812. Początkowo stan majątkowy rodziców moich, jak zwykle mieszkańców małych miast polskich, był wielce ograniczony i ledwo na zaspokojenie potrzeb życia dostateczny. Później ojcu mojemu, z natury przemysłem i zręcznością obdarzonemu, nie trudno było w krótkim czasie do poprawionego podnieść się mienia: chwycił się handlu solą, także winem, wreszcie sycenia miodu i — jakto mówią — dorobił się. Lecz gdy obok łatwego przejścia do ulepszonego bytu weselsze zaczął prowadzić życie, gdy nadto obrany burmistrzem czyli pierwszą figurą w mieście, zbyt często współdygnitarzy swoich, syndyka i rajców w gościnę do siebie zapraszał i tych hojnie przyjmował, — odwróciła się baczność jego od gospodarstwa, upadał zarobek i wnet potem wrócił się na drogę ubóstwa

[1]) Siódma córka Rozalia zmarła mając lat kilkanaście, a czwarty syn Jan Kanty umarł w wieku niemowlęcym. Był z synów najmłodszym.

bliską, sprzedał piękny murowany dom z kosztownie założonym wielkim ogrodem, znikał powoli dawniejszy stan zamożności, — i ja tę już tylko epokę upadającego stanu rodziców moich w rozwijającej się dziecinnej pamięci przechowałem. Nastąpiona potem śmierć ojca, przytem dwa pożary, a nadewszystko przypadły w r. 1797, kiedy całe miasteczko (będące wówczas całe prawie drzewiane), z wyjątkiem małej liczby domów, w kupę popiołów się zamieniło, położenie nasze niezmiernie pogorszyły; bowiem dom drzewiany z wszelkimi innemi budynkami gospodarskiemi wtedy się spalił.

Lata dzieciństwa mego, aż do 14-go roku życia przetrawiłem w domu rodzinnym (tylko kilka lat chowałem się u babki), uczęszczając przez lat może 4 lub 5 do szkółki normalnej miejscowej, gdzie według systemu austryackiego uczono nas czytania, pisania, katechizmu, rachunków i początków języka niemieckiego; a resztę czasu, która od godzin szkolnych pozostawała, z rówiennikami wieku przeskakałem po polach, najczęściej o chłodzie i głodzie, latem boso w płócienkach, a zimą w podartej kapocie i dziurawych butach.

Pamiętam to dobrze, jak w porze lata biegałem boso, a buty służyły tylko do szkoły i kościoła, które mi ciążyły jakby kajdany i chętnie je zrzucałem, a i z nich często przez dziury ciekawe palce wyglądały na ten piękny świat Boży i dziwiły się słońcu, że ono tak pięknie wszystko oświeca, a one w ciasnem zostawać muszą zamknięciu.

Częstokroć szanowna babka moja, u której się chowałem, widząc mnie wracającego z pusto-

tliwych gonów, gromiła mnie: „latawcze! tyranie! oto drzesz buty, — a dawnoż to dałam za nie 12 czeskich?“ (zł. pol. 2 gr. 12); której pokazując gołe nogi tłómaczyłem się: babusiu! „ja biegałem boso“.

Byłem już wyrostkiem, i wypadało pomyśleć o obraniu dla mnie stanu i jakiegoś do życia sposobu. Siły moje i słabowitość nie wskazywały, abym jakiemu trudniejszemu rzemiosłu mógł podołać, bowiem w dzieciństwie mojem aż do roku 9-go byłem bardzo chorowitym. Przecież dobroczynna natura przemogła i za jej jedynie pomocą bez wsparcia sztuki lekarskiej przyszedłem do zupełnego zdrowia; tego nieocenionego Bożego dobrodziejstwa, choć już do późnego doszedłem wieku, jeszcze do chwili obecnej używam.

Babka moja Zofia Florkiewiczowa, jadąc do Krakowa w roku 1797 za interesem swym, wzięła mnie ze sobą w tym widoku, że może przy wielkiem mieście znajdzie się większa sposobność oddania mię do nauki jakiego lekszego rzemiosła. Znajdował się w klasztorze OO. Bernardynów X. Paschalis Serwan, kustosz tegoż zgromadzenia a daleki powinowaty nasz [1]), który mając obszerne znajomości po mieście, a przytem widząc we mnie chęć do nauki, zalecił mnie do księgarni Antoniego Gröbla. W domu tym przepędziłem znaczną część życia, gdyż lat 20. Tam ile mogłem uzdalniałem sam siebie: uczyłem się bez żadnej pomocy czyjejbądź, żadnego w drodze tej nie mając przewodnika; czytając bez wyboru, co mi pod rękę

[1]) Są w druku jego kazania, mała kilkunastoarkuszowa książka, drukowana w Krakowie u Ign. Gröbla.

weszło; i tym sposobem wielce odległą szedłem drogą, bo podczas gdy można było prostą idąc ścieżką zbliżyć się ku świątyni nauk (nie mówię wejść do niej), ja krążąc z daleka, obchodząc ją naokoło, błąkałem się po manowcach, czytałem rzeczy nieużyteczne i drogi czas bez żadnej dla umysłu korzyści upływał mi jak woda. Taką idąc drogą niewielki też w naukach uczynić mogłem postęp; i przy dojrzalszem zastanowieniu się nad sobą, gdym się potem obejrzał na przebytą przestrzeń i marnie upłynione lata, z żalem spostrzegłem, że ubóstwa mego w tym względzie sam (acz niedobrowolnie) byłem przyczyną i sprawcą. [1]) W r. 1797 umarł w młodym wieku Antoni Gröbl, po którego śmierci pozostała wdowa Tekla z Raciborskich Gröblowa dalszem utrzymywaniem drukarni i księgarni się trudniła. W r. 1803 ukończyłem blizko sześcioletnią praktykę handlu księgarskiego czyli termin, i pozostałem w tymże domu jako subjekt czyli czeladnik handlowy. Następnie, gdy Rudolf Bogumił Koch, pełniący obowiązki buchaltera, z domu tegoż się oddalił, ja po nim objąłem prowadzenie handlu książkowego, oraz korespondencyę, przyczem utrzymywałem także i korektę drukarni; aż wreszcie przez ostatnie lat trzy t. j. od r. 1815 do 1818 przypuszczony byłem przez Józefa Mateckiego [2]), ówczesnego właściciela

[1]) Początków języka francuskiego udzielił mi przyjaciel mój Walenty Szacfajer, znany z tak wielu przekładów dzieł, które wychodziły z druku w Wilnie. Cała moja nauka nie kosztowała ani grosza.

[2]) Józef Matecki ożenił się w r. 1807 z wdową Teklą Gröblową i żył z nią do r. 1812, w którym to czasie ona umarła,

księgarni, jako wspólnik handlowy do części zysków.

W r. 1817 dn. 6 maja zaślubiłem się z Józefą Nowakowską w roku jej życia 20-ym, a gdy ta potomstwem obdarzyć mię miała, przeto przewidując blizkie powiększenie się potrzeb i wydatków moich zamierzyłem rozwinąć większe w zaspokojeniu ich staranie. Z tego to jedynie względu — mimo wstrzymywania mnie śp. Mateckiego — opuściłem spółkę handlową księgarni Gröblowskiej i założyłem niewielką księgarnię tu w Krakowie w domu Leszczyńskiego Nr. 24 na wnijściu do ulicy Grodzkiej, którą pod własnym imieniem i na rzecz własną otwarłem w czerwcu r. 1818 i prowadziłem do r. 1837.

Widziałyście wyżej, kochane dzieci! żem się urodził w stanie ubogim i pojmiecie łatwo, że nie mającemu z domu żadnej pomocy [1]) trudne też dorobkowi memu towarzyszyły początki. Postawiony w takich okolicznościach, lecz razem i przekonany, że najlepiej jest samemu być sprawcą własnego losu, nie unosiłem się wcale żądzą poprawienia bytu mojego posagiem. Ciągle miałem w pamięci zbawienną przestrogę króla Salomona, który mówi:

„Szedłem przez pole męża leniwego, a przez winnicę człowieka głupiego: a oto, porosła wszędy ostem i pokrzywy wszystko pokryły. Co ja ujrzawszy złożyłem to do serca mego, a widząc to wziąłem ku przestrodze.

---

a po niej przez zapis on został właścicielem księgarni i drukarni.

[1]) Cały zasiłek, który po sprzedaniu w Kentach ojcowizny mojej otrzymałem, wynosił złp. pol. 500.

Trochę się prześpisz, trochę podrzemiesz, trochę założysz ręce, abyś odpoczywał: a w tem ubóstwo twoje przyjdzie jako podróżny, a niedostatek twój jako mąż zbrojny". (*Proverb. VI).*

Przeto zachęcony do pracy korzystałem z sił i czasu, i ciągłym tylko uczciwym zabiegom moim oraz gospodarnemu używaniu owoców starań moich winien jestem byt mój obecny, mierny lecz dostateczny, spokojny bo granicami rozsądku objęty, którym ile mogłem rządząc się, nigdy pragnieniami dalej za możebność spełniania ich nie sięgałem.

Gdy zatem w wyborze małżonki a waszej matki poszedłem jedynie za natchnieniem rozumu i serca, przeto i Opatrzność nie zostawiła mnie za to bez nagrody. Upłynęły, jak jedna krótka chwila lat 15 przeszło, przeżytych z nią w szczęściu i pokoju domowym, uprzyjemnione widokiem was, kochane dzieci, jako to:

1) Józefy urodzonej r. 1818, 2) Heleny, która urodziła się r. 1820, lecz umarła r. 1822, 3) Julii, urodz. r. 1824, 4) Maksymiliana, urodz. r. 1826, 5) Maryi, urodz. r. 1829.

Roku 1832 osierociałyście, dzieci moje, po zgonie nieodżałowanej matki waszej i cały rok przeżyłem w stanie wdowieństwa; a gdy przecież zarząd domowego gospodarstwa i opieka macierzyńska była wam potrzebna, przeto powtórnem małżeństwem pojąłem w r. 1833 d. 8 sierpnia Józefę Służewską, która nie zawiodła mojego wyboru, ile że jak tego jesteście świadkami, łagodnością charakteru, przymiotami duszy i przywiązaniem do was najlepiej wam rodzoną matkę zastępuje.

Z tego to małżeństwa obdarzył mnie Pan Bóg jeszcze jedną córką: 6) Stefanią, która urodziła się r. 1837, tudzież 7) synem Kazimierzem urodz. r. 1844.

Stanowi mojemu, który mi Opatrzność przeznaczyła, poświęcałem się z upodobaniem i chętnie pomagałem, ile mogłem, do wyjaśnienia bibliografii polskiej, którą dotąd u nas tak mało zajmowano się. Nigdy mi nie było żal, żem się poświęcił powołaniu, tak mało ponęt i rękojmi mającemu dla tych, którzy posiadanie wielkich dostatków za cel szczęścia uważają. Widziałem to dobrze, jak rówiennicy moi, którzy się innej gałęzi handlu a szczególniej winiarstwu oddali, w krótkim czasie do dobrego bytu przyszli; ale mię wcale zazdrość nie piekła i pełen dobrej otuchy tę w sobie żywiłem nadzieję, że może i ja (choć trochę później) zdążę do tego, że sobie na dalsze lata byt niezawisły zapewnię.

Księgarstwo i drukarstwo w Polsce i było od dawna i jest jeszcze dotąd na stopniu bardzo ograniczonym, a nawet długi czas upłynie, nim zdołamy zrównać się w tym względzie z Niemcami, Anglikami i Francuzami. Jeszcze u nas czytanie nie jest upowszechnione, a tembardziej nie zamieniło się w potrzebę. Nie wielu u nas jest czytających, a i tych połowa większa zaspokaja ciekawość swoją w językach obcych. Damy nasze tylko francuskie czytają romanse, a nawet rzadka jest, którąby dobrze językiem ojców swoich mówiła. W pomoc księgarstwu ja jeszcze przybrałem i antykwarstwo, a odżywione zamiłowanie do dawnych zabytków literatury polskiej było dla mnie polem

niejednej pięknej korzyści; z powodu tego krzątałem się czynnie około nabycia tak w kraju jak i za granicą dawnych tak drukowanych dzieł, jako i rękopismów Polski się dotyczących, i nimi zaopatrzyłem biblioteki i zbiory lubowników, jako to hr. Jana Tarnowskiego w Dzikowie, Konstantego Świdzińskiego, Jana Chyliczkowskiego i innych.

Nieraz udało mi się odkryć w zaniedbaniu pogrzebiony niejeden zabytek szanowny dawnej literatury polskiej i takowy od zniszczenia ocalić, i stąd to niejedna biblioteka moim zabiegiem wspartą została tak drukowanemi dziełami, jako i rękopismami, a najszczególniej puławska księcia Adama Czartoryskiego, której w r. 1830 sprzedałem razem 31 rękopismów dawnych [1]), pomiędzy któremi było samych Polski się dotyczących 26, a pomiędzy temi osobliwszy i bardzo piękny rękopism, obejmujący zbiór wszystkich pism księdza Stanisława Orzechowskiego, jako też pism w obronie jego i przeciw niemu, który to zbiór obmyślony był staraniem księdza Stanisława Górskiego, kanonika krakowskiego, i niezawodnie wchodził do liczby tomów, znanych pod imieniem Akta urzędowe z czasów panowania obu Zygmuntów, których biblioteka puławska już wtedy 19 tomów posiadała. Starożytny ten rękopism, in folio, ozdobnie pisany i na pięknym mocnym papierze,

[1]) Rękopisma te nabyłem od komornika sądowego Henryka Salomońskiego. Ten egzekwując za długi hrabiego I. M., sprzedał je z wolą właściciela i wierzyciela zaspokoił. Hrabia, wcale nie literat, nałowił te rękopisma po bibliotekach zakonnych w czasie urzędowania swego, jako komisarz do lustracyi dóbr.

ceniłem sobie za złp. 50, a za wszystkie te 31 rękopismów otrzymałem zapłaty ogółem zł. pol. 3000.

Przy księgarstwie, raczej szukając przyjemnego zapełnienia chwil od zatrudnień wolnych, jak głośnego imienia, próbowałem też i autorstwa; i jakkolwiek prace moje małej są naukowej wartości, jednak dobrze bywały przyjęte i widziałem powtórzone ich wydania n. p.

1) Encyklopedya komiczna (2 tomy) w Krakowie. Wydanie 1-sze r. 1807, 2-gie r. 1809.

2) Cuda natury (2 tomy) w Krakowie. Wydanie 1-sze r. 1811, 2-gie r. 1822. Prócz tego 3-cie wydanie w Berdyczowie (bez mojej wiedzy) r. 1816.

3) Kraków i okolice. Wydanie 1-sze r. 1822, 2-gie r. 1830, 3-cie r. 1836, 4-te r. 1844, 5-te r. 1866.

4) Groby królów polskich, r. 1835.

5) Przypowieści dawnych Polaków, r. 1819.

Zaprzestałem trudnić się księgarstwem w lipcu r. 1837, po latach 40-tu poświęcania się temu przedmiotowi. Poczem wydałem:

6) Starożytności historyczne polskie. (2 tomy), r. 1840.

7) Ojczyste wspominki (2 tomy), r. 1845.

8) Pisma wierszem Mikołaja Reja z Nagłowic.

9) Dawne zabytki miasta Krakowa, r. 1850.

10) Starożytnicze wiadomości o Krakowie, r. 1852.

11) Skarbniczka archeologii naszej, w Lipsku, r. 1854.

12) Listy króla Władysława IV, Kraków, r. 1845. [1])

[1]) Inne prace Ambr. Grabowskiego, obacz wyliczone we Wstępie wydawcy. *(P. W.)*

Maluczkie są zasługi moje w literackim zawodzie, i raczej świadczą o moich dobrych chęciach, niż o mojej zdolności: ani mnie podnosi w zarozumienie ta okoliczność, że drobne moje prace publiczność dobrze przyjmowała, i te powtórzonych wydań doczekały. Uważać to raczej należy za dowód, żem umiał trafiać w gust czytających, który długim stanem zawodu mego tj. księgarstwa poznać miałem sposobność. Czytelnicy raczej potężną treścią, niż rodzajem wypracowania przychęcani, dziełka moje rozkupywali.

Tu zaprzestaję, kochane dzieci, mówić do was o sobie, bo doszłyście do tej pory, że wam nie są obcymi szczegóły domowego i ustronnego mojego życia. Tak tedy otoczony wami, gdym doczekał późnego wieku, liczę bowiem lat 60, przeto zdając się na wolę Opatrzności, z spokojnością umysłu czekam ostatniej chwili, kiedy, wezwany do krainy duchów, stanę przed wszechwładnym Stwórcą światów i zdam liczbę z błędów i pomyłek moich... ufny w miłosierdzie Pana, że duszy, która go pojmowała i czciła, wiecznie zagubić nie raczy. *(I)*.

II.

Krótkie wspomnienie o ś. p. ojcu moim.

Jan Grabowski był synem Józefa Grabowskiego, włościanina, rolnika osiadłego we wsi Głębowicach. Naukę pobierał w szkole miasteczka Myślenic, gdzie zamieszkiwał blizki krewny rodziny naszej. Naukę muzyki i gry na organach

otrzymał tamże w Myślenicach, a był też czas jakiś niedługi członkiem muzyki kościoła P. Maryi w Krakowie, gdzie na chórze grywał na skrzypcach lub na trąbie. Stąd przeniósł się do Kent i zajął miejsce organisty w kościele parafialnym. W wieku jeszcze młodym poznał się z matką moją w sposób następujący. Leży w pobliżu Kent wieś Bulowice z kościołem, który jest filią parafii kenckiej, a jest założony pod wezwaniem św. Wojciecha, toteż w dniu tego patrona był tam odpust. Było to dn. 23 kwietnia, kiedy matka moja, kilkonastoletnia dziewczyna, z rówieniczkami swojego wieku udała się tamże na odprawę odpustu, a że to było na początku wiosny i poranki były chłodne, miała na sobie sukienkę, dochodzącą do kolan, a ta była z sukna zielonego podszyta barankami, którą zwano bekieszką. Po skończonem nabożeństwie porannem gdy powracała do domu, że już słońce znacznie się podniosło i powietrze ociepliło, przeto zdjęła ją i niosła przewieszoną przez ramię. Wtem zbliża się młody organista i mówi do niej: „pozwól waćpanna, abym jej mógł nieść tę sukienkę“, w skutek czego matka sukienkę jemu oddała, on zaś tę przysługę pełnił, prowadząc stosowną rozmowę do zagajonej znajomości. W krótki też czas potem zjawili się w domu rodziców mej matki dwaj poważni mężowie mieszczanie i prosili o pozwolenie bywania w domu babki dla polecania się i proszenia później o jej rękę, co też z łatwością otrzymali, a wreszcie w niedługi czas odbyły się zręczkowiny i wkrótce potem nastąpiło zaślubienie czyli wesele.

Dochód organisty był bardzo mały, ale że ojciec mój przyniósł na świat wielką zdolność do zatrudnień technicznych i przemysłowych, przeto rozpoczął jak wyżej zaznaczyłem handel solą, której sprzedażą trudniła się matka; nadto sprowadził 3 czy 4 beczki wina z Węgier i rozpoczął handel winny, który przyniósł mu pożytek. Później rozpoczął sycenie miodu i dość długo przemysł ten prowadził, co ja jeszcze pamiętam. Wreszcie, wzmógłszy się w dobry byt, kupił znacznej wielkości dom murowany o jednem piętrze z obszernym ogrodem, do którego sprowadził wielką liczbę drzewek owocowych i założył chmielnik. Dom ten leżał w ulicy Czanieckiej, po prawej ręce wchodząc do niej z rynku. Takowy przez lat kilka lub więcej posiadał, co spowodowało mieszczan, iż go na urząd burmistrza podali. Dom ten prawie jedyny murowany w tej ulicy, później sprzedali rodzice baronowi Larysowi z Osieka, i z tego funduszu nabyli dom wielki, drzewiany, położony w ulicy kościelnej bardzo blisko kościoła parafialnego, który to dom już po śmierci ojca zgorzał w chwili pożaru w r. 1797 dn. 28 czerwca w wilię św. Piotra wraz z całem miasteczkiem. Wyliczę tu niektóre rodzaje zatrudnień, jakim się ś. p. ojciec mój oddawał, jako to: umiał odlewać świece woskowe, tak do kościołów w mieście jako też i wiejskich w około Kent leżących; niemniej też wachle czyli świece długości stóp pięciu i znacznej grubości, jakie miał każdy cech rzemieślniczy, a raczej czeladź tychże, tak zwana gospoda, (z któremi ta czeladź w czasie uroczystych świąt i nabożeństw zwykle w kościele występywała), otoczone u wierzchu kwiatami

tudzież wstęgami różnych kolorów, których długie końce spadały na dół. Nadto ojciec mój umiał oprawiać książki i miał do tego potrzebne stosowne narzędzia; robił klatki druciane i takowe kolorem zielonym malował; wykładał irchą drzewiane szkatułki na srebra, robił futeraliki na okulary; osnował struny jeliciane cieniutką nicią metalową czyli tak zwane kwarty na skrzypce — i umiał wykonywać inne podobne tego rodzaju zajęcia.

W późniejszym wieku zapadł na słabość nóg, które napuchłe zwykle ś. p. matka okładała mu tak zwaną glinką białego koloru, rozrobioną na gęste ciasto, a ta chłodem swoim przynosiła mu ulgę w cierpieniu. Dożył on niezbyt późnego wieku i zaledwie dociągnął życie do lat pięćdziesięciu kilku lub sześćdziesięciu. Daj mu Panie wieczny odpoczynek i zbawienie duszy.

Przy zakończeniu wzmianki o ś. p. ojcu moim podnoszę, że mój rodowód zaczyna się w najniższej klasie społeczeństwa to jest w stanie włościańskim, i że dziad mój na lichy kawałek chleba pracować musiał w pocie czoła, w znoju i trudzie czyli w stanie chłopskim, ale tem się pocieszyłem, że pochodzę nie z klasy próżniaczej, lecz z pracowitej i użytecznej, toteż zawsze mówiłem do siebie:

„Ja pochodzenia mego nie mam za ohydę,
Nie patrzę skąd wychodzę, ale dokąd idę".
(I).

III.

Z życia mej ś. p. matki.

Była nią Teresa Jadwiga, urodzona z Zofii z Marchwickich i Grzegorza Florkiewicza, którzy mieli kilkoro potomstwa jako to: Jadwigę, zamężną Monsiołową, której mąż był pisarzem w młynie, zwanym Dolny, a po dawnemu Kamienny, a młyn ten był własnością królów polskich i należał do dóbr stołowych królewskich, czyli do wielkorządów; drugą córką była Katarzyna, zamężna Baczakowa, której mąż był sukiennikiem; trzecią córką była moja matka, czwartem dziecięciem był ś. p. Kajetan Florkiewicz; piątą córką była Wiktorya, której mężem był Karol Serwan, ekonom we wsi Pisarzowicach, a ostatniem dziecięciem była Maryanna, która, będąc już dorosłą, umarła w stanie dziewiczym. — Miałem liczne rodzeństwo, bo siedm sióstr i trzech braci.

Najstarsza siostra, Tekla, była zamężną za Gralewskim, organistą we wsi Bestwina, w bliskości Kent; druga siostra Anna, zamężna Żuberska, mąż jej był złotnikiem, trzecia siostra Rozalia, ta wcześnie umarła; czwarty był brat Kajetan, sukiennik; piąta Teresa Stafińska, mąż kołodziej; szósty Wincenty, organista; siódmy ja, Ambroży Grabowski, księgarz krakowski; ósma Katarzyna Bajerska, mąż młynarz; dziewiąta Józefa Majchrowska, a dziesiąta Salomea Wiśniowska, mąż jej garncarz. Otóż jest drzewo genealogiczne mojej rodziny, które atoli nie wyrosło z korzenia szlache-

ckiego i pochodziło z klasy, która w języku salonowym francuskim naszych panów zowie się *la canaille*. Drzewo to bocznych gałęzi miało nie skąpo, które nisko się zaczynały, bo od stanu włościańskiego, jakim był mój dziad, Józef Grabowski [1]), włościanin osiadły we wsi Głębowicach, koło Zatora, gdzie i stryjowie moi pracowali w rolnictwie, ziemię w pocie czoła uprawiali, ale żadna gałęź niecnotliwym czynem nie splamiła się, jak tego dopuszczała się burzliwa szlachta dawniejszych czasów, która nieszczęśliwy, teraźniejszy los nasz przygotowała. Wszyscy ci powyżej wymienieni przenieśli się już dawno na łono Abrahama i pozostałem przy życiu tylko ja *ultimus*, *solus et unicus*.

Gdym się z rodzinnego gniazda oddalał, pobiegłem dla pożegnania matki, a był to dzień 9 lipca w niedzielę, która, gdym jej ręce ucałował, dobywając z kieszeni trzy grajcary miedziane i błogosławiąc mi, rzekła: „niech ci Bóg da, aby ci się w złoto obróciły“. I ziściły się macierzyńskie słowa. Przez długie lata terminu mojego w księgarni pisywała czasem matka moja do mnie, żądając, abym jej o powodzeniu mojem doniósł, a jednego

[1]) Jeszcze pamiętam zacnego dziada mego ś. p. Józefa, który niekiedy rodziców moich odwiedzał: ubiór jego mocno w pamięci mojej się wypiętnował. Nosił on kitlę wieśniaczą z cienkiego czystego płótna, na wierzch której przyodziewał kurtę, sięgającą do kolan z sukna oliwkowego, której troki były podwinięte. Był on gościem upragnionym nadewszystko przez młodsze dzieci, gdyż nam dawał pieniądz miedziany, zwany półtorak, z wizerunkiem N. Panny, a po drugiej stronie ces. Maryi Teresy z podpisem Regina Hungariae: ta moneta, choć była dla Węgier, ale miała obieg w całem państwie austryackiem, a w Galicyi znaczyła groszy pol. trzy.

roku posyłając mi życzenia na dzień moich imienin list zaczęła temi słowy: „Kochany synu Ambroży! Na Twoje imieniny życzę ci błogosławieństwa Pana Boga, niech ci to dać raczy, abyś był zdrów i czerstwy jak zima, miły jak wiosna, pożądany i kochany od ludzi jak lato, a bogaty jak jesień". — Poczciwa ta matka zmarła 1812 r., a ś. p. ojciec na kilka lat pierwej zgonem swoim ją uprzedził. *(I).*

IV.

Wspomnienia z pierwszych lat życia.

Opowiedziałem już poprzednio główne wspomnienia z pierwszej mojej młodości, ale wracam jeszcze do tego przedmiotu, aby go uzupełnić kilku rysami.

Rodzice moi obarczeni byli licznem potomstwem, to też przez parę lat, może od roku 1788 do 1797, wzięła mię na wychowanie rodzona babka, ś. p. Zofia z Marchwickich Florkiewiczowa... Było moim i chłopaków rówieników koniecznością i zwyczajem, że tylko do szkoły i kościoła chodziliśmy w obuwiu, resztę zaś, jeżeli cieplejszy czas pozwalał — jak już wyżej opowiedziałem — biegaliśmy na bosaka...

Istotnie buty na gołej nodze najczęściej nie bardzo artystycznej roboty i z twardej skóry, były też młodemu wiekowi bardzo uprzykrzone i dlatego, wróciwszy ze szkoły, zrzucałem je niby kajdany i dopiero czułem się w zupełnej swobodzie.

Nikt sobie tego dzisiaj nie wyobrazi, jak był wówczas biednym stan mieszkańców małego miasteczka... i jak ludzie ówcześni byli do nieporządku około osób swych nawyknieni.

Całe moje życie lat młodości była to ciągła walka z potrzebami. Wiek chłopięcy przeżyłem niemal w niedostatku, a jakiejkowiek wygody nie znałem ani z nazwiska; wzrosłem o ziemniakach i kapuście, które są u nas codziennym chlebem klas niższych. Odzienie moje w przykry mróz, w skwarny upał, zawsze było jednakie, t. j. kapota, koszula, spodnie płócienkowe, buty i czapka — ani mniej, ani więcej. Jeśli który chłopak przyniósł do szkoły pieczone ziemniaki, iluż on wtedy miał około siebie przyjaciół!... Były one dla nas łakocią, przysmakiem, słowem tem, czem są dla paniczów karmelki.

W czasie wakacyj wysługiwałem się gospodarstwu czem mogłem, prowadząc życie skotacza. W żniwa pasłem bydło, a opatrzony przez babkę sporą kromką śniadego chleba z twarogiem, wesoło pędziłem krowy i trzodę na pastwisko, kontent, że bez nadzoru, całe dnie w swobodzie z kolegami niedoli, w polach bujać mogliśmy. Nie oceni tych przyjemności ten, kto ich sam nie doświadczył.

Małym jeszcze byłem chłopcem, a już czytanie było mi wielce ulubionem. Pożyczałem, skąd tylko mogłem, małych broszurek, które były w posiadaniu moich znajomych, i tak unosiłem się nad pięknościami „Historyi o Meluzynie“ ze smoczym ogonem, zachwycały mnie „Historya o siedmiu

mędrcach", Historya o Poncyanie cesarzu", „Historye rozmaite rzymskie", „Magielona, królewna neapolitańska" i inne tym podobne. Ze szczególnem zajęciem czytywałem „Legendę o św. Patrycyuszu", czyli o czyśćcu pod ziemią w Irlandyi, jak jeden pobożny odprowadzony przez procesyę i wpuszczony do jaskini, będącej wstępem do czyśćca, po pewnym czasie wyszedł stamtąd na świat i cuda prawił o tem, co tam widział. Miejsce to znajdowało się na wyspie wpośród jeziora.

Czytywałem także i „Żywoty Świętych" ks. Skargi, które były w domu, i zadziwiałem się wprawdzie nad tem, jak święci mężowie znieść mogli tyle męczeństw, jakie im za wiarę zadawano, ale nie zrodziła się w mojem przekonaniu ta wątpliwość, że to siły natury ludzkiej przechodzi.

(I).

V.

Przybycie moje do Krakowa

d. 11 lipca r. 1797 (w roku życia 14½).

Za ten kąsek chleba, którym mię Kraków, albo raczej dobrzy ludzie w nim ugościli, nie pokazałem się niewdzięcznym i odpłaciłem się pracą moją — to jest opisem tej stolicy kraju, do czego prócz dzieła Pruszcza nie miałem żadnych prac. I było to prawdziwe to nasze przysłowie: i porwał się z motyką na słońce. A po wyjściu z druku piątego wydania mego dzieła zacząłem wierzyć w łacińskie *audaces fortuna juvat.*

Majątek, jaki do Krakowa z sobą przywiozłem, było to wszystko, co było na mnie, t. j. kapotka mocno schodzona z sukna granatowego, spodnie w paski z dziurami na kolanach, skrzynka mała podłużna, którą do dziś dnia posiadam i jako pamiątkę przechowuję, a w niej dwie koszule, a 3-cia na mnie mocno zużyta, dwie czy trzy książki szkolne niemieckie, a reszta były różne drobiazgi chłopięce — a ta biedota zaledwie połowę skrzynki zapełniała, a reszta była próżnią, wbrew temu co łacina mówi, że *natura horret vacuum*.

Zaraz po przybyciu do Krakowa, poszedłem z babką drogiej mi pamięci Zofią Florkiewiczową (która w Kentach trudniła się piekarstwem i przyjechała tu za kupnem zboża) do klasztoru OO. Bernardynów na Stradomiu, gdzie był przełożonym daleki krewny nasz O. Paschalis Serwan. Ten po powitaniu zapytał babki: „czy to wnuk pani?“; co gdy ona potwierdziła, mówił dalej: „czy go tu pani do szkół przywiozła?“ Na co odrzekła, że nie, lecz po to, żeby sobie wyszukał kawałek chleba. Na co mówił O. Paschalis: „Oh, w Krakowie jest dużo chleba, to mu go tu łatwo wynajdziemy“, a obracając się do mnie zapytał: „do czego miałbyś ty ochotę?“ na co ja nie znając innego zatrudnienia jak krawca, szewca, stolarza, kowala i t. p., nie umiałem odpowiedzieć. „Jeżeli chcesz“ — mówił — „to cię zarekomenduję do handlu korzennego lub do księgarni“. Nie namyślając się odrazu odrzekłem, że do księgarni, gdyż lubiłem czytać i czytałem wszystko, cokolwiek mi pod rękę wpadło, wszystko co znajdowałem na straganach jarmacznych.

Usłyszawszy wybór mój, O. Paschalis usiadł przy stoliku i napisał bilet polecający mnie do ś. p. Antoniego Ignacego Gröbla, księgarza, oraz dał mi instrukcyę: „Idź i po prawej ręce uważaj napis na okiennicy sklepu: księgarnia Gröbla, a jest ona po prawej ręce, wchodząc w Rynek na końcu ulicy Grodzkiej“.

(Zapomniałem dodać wyżej, że przywiozłem do Krakowa i kapitał gotowizny, zabrany za sprzedaż 2-ch par gołębi, wynoszący złp. 2 gr. 12, za które ś. p. babka kupiła mi w kramie kapelusz — niczem nowy kapelusz! — dołożywszy do tego kilka krajcarów).

Wchodzę do księgarni i zastaję tam ś. p. Gröbla; oddałem bilet, który on przeczytał i spytał: „Chodziłeś ty do szkoły?“ „Chodziłem“. „Czegóż tam uczyłeś się?“ Odrzekłem. „języka niemieckiego“. Zadał mi z niego kilka pytań, a następnie kazał podać papier i nazwisko swoje napisać; co też uczyniłem, a nie było to bardzo kaligraficznie. Spytał wreszcie: „czy masz jakie rzeczy?“ Odpowiedziałem, że mam pierzynkę i poduszkę oraz skrzynkę z rzeczami „To sobie to wieczór przynieś i wejdź za kasę“.

Wszedłem i obejrzawszy się na półki z książkami, wziąłem książkę pierwszą lepszą, a był to dykcyonarz historyi naturalnej, tłómaczony z francuskiego przez księdza Rem. Ładowskiego, Pijara, drukowany u Gröbla. Zacząwszy zaraz od pierwszej karty czytanie, czytałem go z wielką ciekawością, i tam dowiedziałem się, że są jakieś kraje, które się nazywają Europa, Azya, Afryka i Ameryka, o czem w szkole w Kentach nigdyśmy nie

słyszeli. Zajęła mię też ta książka niezmiernie, zwłaszcza gdym się z niej dowiedział o zwierzętach i ptactwie, o których mi się nigdy słyszeć nie zdarzyło. Była ta książka niby pierwszy próg lub szczebel, prowadzący do poznania świata, i był to rzeczywisty początek mojego upodobania w czytaniu, a czytanie było istotnym kursem moich nauk.

W Kentach była wprawdzie szkoła normalna o dwóch klasach, czyli najniższa, w której uczył na obie klasy jeden profesor. Wszedłszy do klasy pierwszej w r. 1791 już umiejąc czytać, rozpocząłem kurs w klasie I-ej pod profesorem Antonim Salomońskim, od którego dane mi świadectwo szkolne do dziś dnia posiadam. Te dwie klasy ukończyłem w dwóch latach, a następne dwa zmarniłem, ucząc małych bębnów poznawać litery i sylabizować, sam zaś nic się nie uczyłem, gdyż wszystko już umiałem, i na tem uczęszczanie moje do szkół skończyłem w r. 1794. (*1*).

VI.

Z pierwszych lat mojego pobytu w Krakowie.

Zaraz w pierwszą niedzielę po mojem do Krakowa przybyciu w lipcu r. 1797 udałem się pierwszą bytnością do kościoła katedralnego... Gdym chodził i oglądał kaplice i wspaniałe grobowce, przystąpił do mnie świątnik, pytając mię, czy umiem do mszy służyć... Któremu gdym odpowiedział, że umiem, zaprowadził mię do zakrystyi i wskazał jeden z ołtarzy. Po mszy świętej w za-

krystyi ksiądz przywołał mię, dobył z kieszeni grajcar i dał mi mówiąc: „Idź, chłopczyku, pod kościół św. Piotra, tam siedzi przekupka, która daje po sześć gruszek za grosz“. — Od tego to grajcara zaczęły się moje dochody w Krakowie.

Całem mojem życiem najwidoczniej opiekowała się łaska Opatrzności. Młody, bo lat czternaście i pół mający, z małem bardzo szkolnem przysposobieniem ruszyłem w świat pod jej opieką... kierunek ten boży poprowadził mię w dom Antoniego Ignacego Gröbla, księgarza...

Wdzięczność moją obojgu małżonkom Gröblom dochowuję w pamięci, odpłacam się pobożnem za ich zbawienie westchnieniem — bo gdybym w ich domu nie znalazł był przytułku, może nie byłbym więcej trafił na ścieżkę, którąby mię do tego położenia, jakie dziś zajmuję, doprowadziła.

Czasem jedna mała chwilka stanowi o losie i życiu człowieka. Ze swobody i wolności wepchnięty nagle pomiędzy mury ciasnej księgarni, tęskniłem zrazu niezmiernie za ptaszą wolnością dawnych dni i zamierzałem cichaczem opuścić nowy pobyt i wrócić do rodziny. W tym celu jednego dnia udałem się wcześnie rano na Kleparz wyszukać fury, jakie tu w poniedziałek przybywały po zboże; ale że to było w lipcu w porę żniw, nikt z moich okolic nie przybył i zamiar się odwlókł do kilku dni, w przeciągu których przywykłem do nowego położenia — i w domu Gröblów pozostałem lat dwadzieścia. Gdybym był zamiar spełnił, zniszczonaby była cała moja przyszłość i może sie-

działbym przy warsztacie krawca lub szewca, a dobrobyt mój i jakie takie imię, którem sobie wyrobił, byłyby przepadły.

Trojga rzeczy od najpierwszej młodości mojej nie doznawałem: 1) od chwili, gdym na siebie zarabiać zaczął, przy najszczuplejszym dochodzie nigdy nie wiedziałem, co to jest nie mieć pieniędzy[1]); tak bowiem wydatki w stosunku do dochodów moich miarkowałem, że zawsze w kasie mojej leżało gotowego zapasu zł. pol. 4 lub 6. — 2) Nigdy od nikogo pieniędzy nie pożyczałem, ani borgowałem, bom sobie zawsze tak mówił: Panie Ambroży! kiedy nie masz, to się obejdź. — 3) Nigdym tego nie pragnął, czegom posiadać nie mógł.

Stopniowo rzeczy wzrastają, tylko się trudnemi początkami zrażać nie należy. Gdym przybył do Krakowa, całe moje mienie, jak wyżej zaznaczyłem, składało się z ubioru i obuwia, które było na mnie, lichej pościeli, dwóch czy trzech starych koszul, tudzież 3 książek[2]) i tyluż przetartych chustek — i całe to moje mienie obejmowała w sobie mała skrzyneczka, na której jest napis: *Migdały w ślawroku* (tak), a która dotąd jeszcze się w moim domu znajduje. Ilekroć mi się zdarzy spostrzedz ją, z przyjemnością przebiegam w myśli tę przestrzeń lat... i dzięki składam Opatrzności, że mi udzieliła tyle, iż prowadzić mogę życie wygodne,

[1]) Nawet i wtedy, kiedy roczna moja pensya wynosiła tylko zł. pol. 300.

[2]) „Zabawki oratorskie“ przez ks. Bohomolca: „Utopia“ Jakóba Bedermana; Książeczka do modlenia się.

a niezawisłe... i trudno byłoby to, co mam, zmieścić do tej wąskiej skrzyneczki.

Zanotuję tu jedną okoliczność. Jedyną moją chorobą była zgniła gorączka, którą odbyłem w r. 1800 lub 1801 tu w Krakowie, a była tak mocną, iż mi nie wróżono życia. Leżałem na 3-ciem piętrze zupełnie samotny, i tylko czasem zaglądano na mnie celem podania mi lekarstwa, które mi ordynował dr. Wahlburg, co potem był profesorem w Warszawie. Jaką zaś o mnie była piecza, dowiedzie to, że pomocnik drukarski Mateusz, który mieszkał na Kleparzu ożeniony z praczką, przynosił mi gruszki i wkładał je pod moją poduszkę, a te ja obok lekarstwa zjadałem... Nie tuszę, żeby kto chciał do mnie zastosować znane przysłowie: . . . . . nie utonie. — Sama dobroczynna natura była moją lekarką. *(1)*.

Iwan Gołowin, pisarz rosyjski, w dziele, które wydał w Paryżu r. 1845 pod tytułem: *La Russie sous Nicolas I* etc., przytacza słowa jednego kniazia, który mu to powiedział: *Le premier coup de poing, que j'ai reçu à l'étranger pour un coup de cravache, telle fut ma première leçon de liberté.* Co jest i prawdą, bo w Rosyi parobek lub lokaj nie ważyłby się oddać wet za wet, choćby tego miał powód najsprawiedliwszy.

Ja zaś pierwszą lekcyę obyczajności otrzymałem tu w Krakowie od szewca, a to tym sposobem. Przybyłem tu młodym chłopcem i przyniosłem z sobą to mniemanie, że szewc, a do tego ubogi jeszcze, jest bardzo podrzędną istotą, niemal parja

europejski. Był bowiem w Kentach, gnieździe moim, ubogi szewc, nazwiskiem Pakowski, który mieszkał w nędznym spróchniałym domku, a temu swywolne chłopcy, zaglądając przez rozbite okienko do jego schronienia, różne robili psoty i przedrzeźniali go; on też nieraz, wypadłszy z nienacka, nie jednego dobrze pociągłem osmagał.

Niedługo po mojem wejściu do księgarni Antoniego Ignacego Gröbla do terminu czeladnik Rudolf Bogumił Koch (teraźniejszy wydawca kalendarzy krakowskich) wyprawił mnie z butami do szewca, nazwiskiem Janowski, mieszkającego w ulicy Floryańskiej. Wszedłem do tegoż z czapką na głowie, a podczas gdy opowiadam, co około butów zrobić potrzeba, Janowski zbliża się, porywa mi czapkę z głowy i silnie uderza nią o ziemię mówiąc: „Do kogóż to przyszedłeś?... a znasz ty mores?“... Zawstydzony, bo się chłopcy szewckie śmiały, podjąłem czapkę i wyszedłem, i odtąd już zawsze przed wejściem do drzwi czapkę zdejmowałem.

Upłynęło lat kilkanaście, przez które Janowski rabiał i mnie obuwie. Ile razy przyniósł mi buty, zawsze go witałem, lub też w spotkaniu go temi słowy: „jak się ma i czy zdrów mój pan profesor polityki“... Naukę tę otrzymałem r. 1797.

(XLIII).

VII.

Początki mojego zawodu.

Trudne były dorobku mojego początki, zwłaszcza, że mój zawód handlowy niewielkim pieniężnym zapasem rozpocząłem, a jeszcze i tę niewielką gotowiznę, owoc mojej 20-letniej poprzedniej pracy, nie zupełnie w przedsięwzięcie to włożyć chciałem, gdyż jego dobry wypadek zagadką pozostawał. Znając cenę zapracowanego grosza, tylko w oszczędności domowej upatrywałem nadzieję polepszenia przyszłego bytu... Po otwarciu własnej księgarni przez lat dwa obchodziłem się nawet bez chłopca do posług sklepowych; sam księgarnię moją otwierałem i sam zamykałem... Pracowałem, oszczędzałem i prosiłem Boga, aby mi do tego stanu zdążyć pozwolił, abym na późniejsze lata, kiedy siły ciała osłabną, a władze umysłowe przytępieją, spokojne z owocu pracy mojej znalazł utrzymanie. „Zaprawdę, potrzebać jest nie zasypiać... ale ma pracować pilno, kto myśli mieć niegdy dobre bydło (byt, mienie)“. (*Baltazar Opeć r. 1522, przedmowa).*

Starania i modły moje nie zostały głosem wołającego na puszczy; Opatrzność Boga wspierała mię — i teraz w nachylonym wieku moim z owocu dawniejszych usiłowań moich mogę prowadzić dnie życia wygodne acz skromne, stanowi mojemu odpowiednie, a co mi najmilsza, iż od nikogo nie zawisłe, stwierdzone tem zdaniem: *beatus, qui procul negotiis.*

Kiedy bliżej położenie moje rozważę, widzę, iż mógłbym niejedną wygodą powiększyć regestr moich wydatków, bo znalazłby się fundusz na to; ale daleki od błyskania próżnością, przywykły do mierności od samego dzieciństwa, nie życzę sobie w tem nadgrobowem mojem stanowisku, do którego mię wiek późniejszy doprowadził, zmieniać rodzaju życia i wychodzić z granic zwyczaju, którego się dotąd trzymałem.

Całe życie obywałem się jak najmniejszą można było liczbą domowników i tylko tyle ich utrzymywałem, ile niezbędnie było potrzeba. Nawet z politowaniem poglądałem nieraz na to, gdy niejeden, dopiero poczynający chlebowy zawód, przyjmował posługacza i t. p... Takiemu nigdy ja nie wróżyłem długiego powodzenia, przekonany, że lokaj, stangret i t. p. są to konie, które pana swego z pośpiechem ciągną, aby tem prędzej do biedy i golizny podążył.

Mimo prawie całego życia przetrawionego w mieście, pragnąłem resztę dni moich przeżyć na wsi, bo wrażenia pierwszych lat młodości mojej silnie tkwiły w umyśle moim odbite — i byłem *parentum more rura colens*. Gdym już mój zawód księgarski ukończyć miał, życzyłem sobie nabyć wioskę i gospodarzyć, bo właśnie nastręczała się do kupna mała wioska (Niegoszowice pod Krakowem). Atoli nie chcąc lekkomyślnie rzucić się w nowy rodzaj życia, zasięgałem w tem rady Wgo Józefa Trzebińskiego, właściciela dóbr Słupia z przyległościami, którego się przyjaźnią zaszczycam. Ten mnie zapytał, czyli mam w zupełności

środki zapłacenia tego nabycia i czy znam się cokolwiek na gospodarstwie rolnem... Gdym na pierwsze odpowiedział *affirmative*, a na drugie *negative* — zapytał mnie jeszcze, wiele mam lat... A dowiedziawszy się, że mam skończone lat 52, rzekł mi na to: „za stary jesteś na studenta... siedź w mieście i nie oddalaj się od ludzi. My się rodzili i postarzeli na zagonie, a ledwo z biedą na niej utrzymać się i wyżyć możemy“. I tem mnie do pozostania w mieście zdecydował. (*l*).

Cieszy moją starość i późne dni moje uprzyjemnia to wspomnienie, że byłem pierwszy, który oko zastanowienia wstrzymałem nad starym Krakowem — pierwszy, który zajrzałem pomiędzy jego dawne pomniki, stare dzieje, i zatliłem tę małą zapałkę, która cokolwiek oświetliła jego przeszłość... Może kto inny z tą samą chęcią, lecz z bogatszym zapasem usposobienia i daru piśmienniczego, byłby rozniecił jasną pochodnię i przy jej blasku odsłonił minione dni świetności tego starego grodu, czego siły moje umysłowe uczynić mi nie pozwoliły.

W tem, co wyżej rzekłem, niechaj mię nikt o samochwalstwo pomawiać nie raczy, gdyż to sobie samemu dane świadectwo opieram na twierdzeniu i zdaniu mężów uczonych, którzy mi to przyznali. Dosyć jest, gdy się odwołam do listu znakomitego czasów naszych literata Józefa Ignacego Kraszewskiego z daty d. 5 czerwca r. 1850, który jest w osobnym fascykule jego ze mną korespondencyi.

Nie mogłem dać wyraźniejszej oznaki przywiązania i polubienia Krakowa, jak w tej okoliczności. Kiedym powziął zamiar oddalenia się ze spółki handlowej księgarni Józefa Mateckiego i otwarcia oddzielnej, choćby małej księgarni na własny rachunek, niektórzy znajomi i przyjaciele życzący mi dobrze, znając moje usposobienie w tym rodzaju handlu, oparte na znajomości potrzebnych języków, technice księgarstwa, a nawet i na znajomości książek (gdyż nie każdy księgarz bywa bibliografem), uznając Kraków za szczupłe pole do jakiegoś powodzenia, doradzali mi, abym się przeniósł do Warszawy, gdzie nieporównanie większy nastręczał się zakres, a liczba usposobionych księgarzy wówczas nie była tak wielka. Jakkolwiek pochlebne wróżyli mi widoki, jednak wstrzymywała mnie od tego obawa, aby nie puścić się na niepewność, a więcej jeszcze przemagało przywiązanie moje do Krakowa i przeto zamierzając przestawać na małem, pozostałem na miejscu i oddałem się losowi — który mi nie najgorzej usłużył, bo po niejakim przeciągu czasu przy cierpliwości i oszczędności stanąłem u kresu pragnień moich zjednania sobie życia skromnie wygodnego, a co największa, od nikogo niezawisłego. Ani też ja za kęs chleba Krakowowi nie stałem się niewdzięcznym i małemi swemi zdolnościami pierwszy wskazałem Polakom ważność tego miasta, tej kolebki narodowości polskiej, i bliższe poznanie piękności, starożytności i pomników jego — ja ułatwiłem.

Jeszcze tu dawniejsze przywiodę okoliczności, które mię z Krakowa wywoływały, a przecież głos

ich został bezsilny. — Kiedym już praktykę księgarstwa (termin) ukończył, a było to około roku 1804 lub 1805, właśnie kiedy już pensyę roczną w kwocie zł. pol. 300 pobierać zacząłem, kupiec wileński, nazwiskiem Bietsch, powziął zamiar założenia tamże handlu książkami; odezwawszy się o związki handlowe do właścicieli księgarni Gröblowej (Tekli Gröblowej) zapytywał razem, czyliby z Krakowa nie mógł pozyskać młodego człowieka, oswojonego z księgarstwem i kupującym książki dobrze zalecać umiejącego, którego do Wilna sprowadzić sobie życzył. Czując się w tem, że te zdolności posiadam, i przytem życząc sobie poprawy losu, gdy Kraków żadnych mi nie ukazywał widoków, przeniknąłem się chęcią puszczenia się na los pomiędzy ludzi... Gdym się atoli z myślą tą ś. p. matce mej zwierzył, która w tę porę odwiedzić mię po kilku latach niewidzenia do Krakowa przybyła... ona uwagą swą ostudziła ten zamiar, przekładając, że, oddzielona odemnie tak wielką odległością, jużby mię nigdy widzieć nie mogła.

Później około r. 1810—1811 niejaki p. Milkowski, który tu był adwokatem, a w tym czasie przeniósł się na urząd sędziego trybunału do Radomia, gdy tam urząd Prefektury Departamentu uorganizowano, korzystne, jak na ów czas, ofiarował mi widoki, bowiem pokazała się potrzeba założenia tamże drukarni dla posługi rządu; znając on mię tu w Krakowie (gdyż był ubiegającym się o rękę ś. p. Gröblowej), listem do ś. p. Joachima Statlera pisanym wzywał mnie imieniem prefekta dep. radomskiego, abym tamże się przeniósł i tam drukarnię otworzył, do czego prefekt (podobno

książę Jabłonowski) awansu pieniężnego dostarczyć mi ofiarował się. Propozycya ta zdawała mi się wielce korzystną i przyjąć takową zamierzałem; w tym to celu oświadczyłem ś. p. Gröblowej (już wtedy żoną Józefa Mateckiego będącej), że dom jej opuścić zamierzam ze względu na otwierające się dla mnie pole... To usłyszawszy ś. p. Gröblowa oświadczyła mi, że nie potrzebuję troskać się o mój byt, gdyż ona zamierza przybrać mię za zięcia, dając mi w małżeństwo jedynaczkę córkę swą Elżbietę... Do tego atoli nie przyszło, gdyż ta panienka była jeszcze zbyt młodą, zaledwie lat 12 liczącą, a ś. p. Gröblowa wkrótce umarła, później zaś, mimo życzeń babki ś. p. Wójcikiewiczowej i ś. p. wuja tejże, ks. dziekana Raciborskiego, związek ten dojść nie mógł, bo nie był dla nas w przeznaczeniu nieba.

Po tem oświadczeniu ś. p. Gröblowej (Mateckiej) podziękowałem za przychylne dla mnie życzenie W-mu Miłkowskiemu, postanawiając pozostać w Krakowie.

Jeszcze i potem poczciwy Bartłomiej Jabłoński, księgarz ze Lwowa, nastręczał mi partyę z p. Gołębiowską, córką właściciela drukarni w Przemyślu — lecz to już leżało za granicą moich widoków i Przemyśl Krakowa równoważyć nie mógł.

(I).

VIII.

Reminiscencye z czasów młodości mojej.

Ktokolwiek czuć jest zdolny porządne kochanie,
Albo już jest poczciwy — albo się nim stanie.
Trembecki.

Nie zawsze ja miałem lat 60, jak teraz... Nie zawsze srebrny włos bielił skroń moją... i nie zawsze serce moje było tak zimne. Był czas, gdy miałem lat 20... był czas, gdy kruczy włos ocieniał żywsze oko, i w sercu mojem zatliła się nieraz przelotna iskra skłonności ku pięknej dziewicy, którą często wypadek na ścieżkę życia mojego wprowadził, aby monotonię jego urozmaicić.

Młodość, żywość, wesołość krótkie trwanie miały...
Wszystko przeszło... tylko się wspomnienia zostały.

Zanim zgaśnie ostatni promyk mego istnienia, jeszcze sobie przywołam w pamięć przedmioty uczuć lat moich młodzieńczych, a mianowicie Bogdanię z Mogilan, blondynę z tkliwem wejrzeniem, która tu potem w Krakowie była zamężną i młodo życie skończyła; Józefę Brzozowską, która, gdy opuściła Kraków, wróciła mnie samemu sobie — a była żywa i rumiana bruneta, która mnie mocno zajęła; po tej polubiłem poważną, acz młodą Basię I..., ale zbyt daleki widok chleba i przyszłego losu zreflektował mnie i namiętności nie dał się rozżarzyć.

A gdy mówią, iż żona od Boga jest przeznaczona, przeto lat kilkanaście czekałem... nim ukochaną towarzyszkę życia przed ołtarz zaprowadzić mi przyszło.

Do wymienionych już, dodam jeszcze nawiasowo namiętnie kochającą mnie Nanettę Nanseau, belgiankę, i Magdusię Chwastecką, na której się dorywcze miłostki moje skończyły. *(II).*

IX.

Wspomnienie o pierwszej mej żonie, Józefie Grabowskiej.

Józefa z Nowakowskich Grabowska, urodzona tu w Krakowie w miesiącu wrześniu r. 1797, była najstarszą z dzieci Jana Nowakowskiego i Salomei z Jastrzębskich. Ojciec jej, pomimo iż miał liczną rodzinę a małe dochody, dał przecież staranne wychowanie dzieciom, które Józefa dobrze przyjęła. Poznałem ją, gdy zaledwie 12 lat miała, a już w młodziuchnej panience podziwiałem tę powagę nad lata, tę uprzejmość i skromność dziewiczą, które mnie w późniejszym czasie tyle zająć miały.

Młodociane lata Józefy przeszły na uczęszczaniu do jednej z tutejszych pensyi płci żeńskiej, którą utrzymywała pani Sokulska, oraz na nauce domowej. Po tych następujące lata trzy przebyła w intytucie wychowania w klasztorze panien Wizytek tu w Krakowie, pod okiem przewodniczącej w tym zakładzie panny Haller. Uzdatniona należycie w roku życia swego 17-ym zdolną już była

przyjąć obowiązek guwernantki w domu obywatelskim województwa sandomierskiego, który przez rok jeden pełniła. Następnie, gdy księżna Anna Sanguszkowa wdowa życzyła sobie przyjąć do dworu swego panienkę uzdolnioną i z dobrem wychowaniem, którąby wnuczce jej Annie Kiełczewskiej towarzyszyła i razem pomocą w edukacyi być mogła, panny Wizytki przekonane, że te przymioty znajdzie w młodej Józefie Nowakowskiej, oną jej poleciły. Odwiózł ją ś. p. ojciec do Tarnowa i oddał opiece księżnej, która (udawszy się na ciągłe zamieszkiwanie do Wiednia) tamże po dwuletnim pobycie umarła.

Przez ten czas pobytu Józefy na dworze księżny Sanguszkowej trudniła się ona nauczaniem początków muzyki wnuczki tejże, przytem dokończając na dworze tak znakomitej damy własnego ukształcenia, które tylko w obejściu się z osobami wyższego tonu i tego poloru, jakim się Polki znakomitego rodu odszczególniają, uzyskane być może. W stolicy Austryi bawiąc lat dwa, rozwinęła w sobie talent muzyki, z najmłodszych lat już jej nie obcej; pobierała bowiem od jednego większej wziętości nauczyciela lekcye grania na fortepianie, przytem i na gitarze; nadewszystko przyswajając sobie prawidła generał-basa, bez poznania których wyższego postępu w muzyce uczynić nie podobna. Po śmierci księżny powróciła Józefa do domu rodziców do Krakowa.

Umiejętność grania na fortepianie posiadała w znakomitym stopniu. Przy łatwości i szybkości w egzekucyi choćby kompozycyi najtrudniejszej, przy biegłości w czytaniu nut, ręka jej wydoby-

wała z instrumentu tego czarowną harmonię i wdzięk melodyi nieporównany, który znakomici znawcy w niej podziwiali. Wystąpiła ona kilka razy przed publicznością w koncertach przez amatorów na dochód wsparcia ubogich dawanych, już to z towarzyszeniem całej orkiestry, już to w wykonaniu solo, i powszechne sobie zjednywała oklaski, tem mniej podejrzane, że nie mając po sobie korzyści ani bogatego pochodzenia, ani znaczenia familii, przeto ani pochlebców posiadać, ani nawet publiczności znaną być mogła.

W domu rodziców zostając, wyręczała częstokroć ojca w dawaniu za niego lekcyi muzyki, gdy mu słabość lub jakie domowe zatrudnienie samemu tego dopełnić nie dozwoliły. W takiemto zastępstwie, w takiem pełnieniu obowiązków dobrej córki napotkałem Józefę w domu przyjacielskim Jana Kantego Krzyżanowskiego, którego córkom ojciec jej lekcye muzyki dawał. Było to w r. 1816. Pierwszy raz widząc ją po kilkoletniej przerwie, odnowiłem z nią dawniejszą znajomość i przejęty zostałem dla niej czcią niepojętą oraz czuciem dotąd mi nieznanem. Odżył we mnie ten szacunek w dzieciństwie jej dla niej powzięty i zatliła się w sercu mojem tęsknota za nieobecną; wsparty przeto przeczuciem, że w niej znajdę godną i pożądaną towarzyszkę życia, na tej jedynej i bezinteresownej zasadzie założyłem budowę przyszłego mojego szczęścia i o rękę jej starać się postanowiłem. Nagrodziła też Opatrzność czystotę moich zamiarów, darząc mnie żoną, a przy niej błogosławieństwem, z którem żadne choćby i największe korzyści wziątku równane być nie mogą.

Nie było mi trudnem uzyskanie serca ukochanej i cnotliwej Józefy, oraz zezwolenia jej rodziców. W styczniu uczyniłem jej stosowne oświadczenie, a już w dn. 6-ym maja r. 1817 w kaplicy kościoła N. Panny na Piasku zaślubiłem w roku jej życia 20-ym tę, która i szczęście moje ustanowić i po prędkim upływie dni błogich życie moje smutkiem i boleścią zapełnić miała.

Lata naszego małżeńskiego pożycia zbiegały nadzwyczaj rączo i nieraz dziwiliśmy się, jak nam znikał niepostrzeżony rok po roku. Był to owoc tej miłej w małżeństwie naszem zgody, tej harmonii i błogosławieństwa niebios, które ona w dom mój wniosła. Rozsądna, uprzejma, łagodna i cicha, pełna oraz najczystszej religii, z umysłem wykształconym, z cnotliwem sercem i z tą nieporównanej słodyczy duszą, mogłaż nie obudzać we mnie najwyższego przywiązania, wypływającego z wzajemnego szacunku, z tej jedynej zasady, z której prawdziwe szczęście domowe wyrasta?

Do r. 1826 używała najzupełniejszego zdrowia, lecz w tym czasie zjawiła się choroba, która najtroskliwszą zaradą lekarzy pokonaną być nie mogła. Była to słabość skrofuliczna, która wzrastając zdrowie jej ze wszystkiem zwątliła. W jesieni 1831 r. przyłączył się do tego uporczywy kaszel, który stan jej jeszcze pogorszył. Całą zimę była wiele cierpiącą i ciągle używała lekarstw; na wiosnę r. 1832 za poradą medyków miała sobie wskazane użycie wód w Reinerz, miasteczku hrabstwa Glackiego w Prusach. D. 2-go lipca r. t. puściliśmy się w podróż, wśród łez i życzeń przyjaciół, z którymi, niestety!, już nigdy widzieć się

nie miała. We Wrocławiu jeszcze zasięgaliśmy rady największego tamże doktora, profesora i protomedyka Remera, który wskazanie tych wód potwierdził. Stanęliśmy w Reinerz, dokąd nas zwodnicza wiodła nadzieja, d. 9 lipca. Zaczęła używać źródeł tutejszych, które piła naprzemian z serwatką koziego mleka lub mlekiem oślic [1]), lecz zamiast jakiejkolwiek ulgi zdrowie jej większego jeszcze doznawało upadku. Kaszel bynajmniej nie wolniał, a bezsenność, utrata sił i wreszcie puchlina nóg wskazywały mi smutny los, który mię czekał. Przykrząc sobie pobyt pomiędzy obcymi, tęskniąc za domem, dziećmi i rodziną, prosiła, abyśmy jak najprędzej do Krakowa wracali. Jakoż wyjechaliśmy z Reinerz d. 3 sierpnia, krótszą, choć mniej dobrą drogą na Nissę i Kosel. Tu smutne na mnie czatowało przeznaczenie, które w d. 4 sierpnia r. 1832 w sobotę o godz. 11 w nocy w domu gościnnym wioski Twardawa, o półtory mili od fortecy Koźla, wydarło mi jedyną i nieodżałowaną przyjaciółkę, zostawiając mnie niepocieszonym czworga małych sierot ojcem.

Śmierć jej była lekkiem zaśnięciem cnotliwej i bogobojnej istoty. Strudzona drogą udała się wcześnie na spoczynek — i pomodliwszy się raz ostatni, lekki przytem wziąwszy posiłek, położyła się i wnet zasnęła. Około godz. 11-ej budzi się i przywołuje mię nagle: „Mężu! ratuj mię!“ Z posłania przy jej łożu na ziemi porywam się i pospieszam z podaniem wody kolońskiej. Siedziała na łożu, a świeca paliła się, przeto spostrzegłem,

[1]) Kwarta mleka oślicy kosztowała zł. pol. 4.

jak już bladość śmiertelna osiadła na jej obliczu, a usta sinością się pokryły. Widząc mnie trzeźwiącego ją, a czując ulatujące życie, rzekła do mnie głosem omdlałym, którego brzmienie do końca życia w duszy mojej tkwić będzie: „to już koniec! — to już koniec!“... i z pomocą oraz córki Józefy głowę na poduszkę złożyła. Z duszą rozdartą wyrzekłem do niej słów kilka, niosąc jej pociechę religii i zachęcając, aby jak prawa chrześcianka do woli Boga zastosowała się. Poczem razy kilka silniej odetchnąwszy w niewielu minutach zasnęła na zawsze i zakończyła cierpienia w roku życia 35-ym, ulatując w krainy nadziemne do miejsca pobytu błogosławionych, gdzie wiecznej szczęśliwości nic już zamięszać nie może.

Dzień zgonu drogiej Józefy był rzeczywiście dniem najsmutniejszym mojego życia. Sam z córką Józefą własnemi rękami oddałem zgasłej ostateczną usługę, zwłoki jej składając w prostą wiejską trumnę (gdyż innej nie było) i rzewnemi skrapiając je łzami; a otoczeni licznem gronem dzielących żal nasz poczciwych włościan i wielmożnych Pulstów, dziedziców Twardawy, z obrządkiem chrześciańskim, którego prostota najuroczystszą była cechą, po nabożeństwie żałobnem, przy głosie hymnów pogrzebowych w języku polskim, dnia 6 sierpnia rano na cmentarzu kościoła parafialnego Twardawy, na obcej pochowaliśmy ją ziemi.

(I).

X.

Drugie moje ożenienie.

W ten sposób byłem wdowcem, a zarazem ojcem kilkorga małych dzieci. Potrzebowałem dobrej matki dla nich, a dla siebie towarzyszki życia i rządnej gospodyni. Dwie przyjaciółki domu i rodziny mojej, obie już zmarłe, Paprocka i Habrowska, wskazywały mi pannę Józefę Służewską, około lat 30 wieku, którą dobrze znały i za charakter jej ręczyły. Ja jej wcale nie znałem i nigdy z nią nie mówiłem. W czerwcu r. 1833 umówiliśmy się o pierwsze widzenie, które nastąpiło w ogródku wsi Zwierzyńca: tam obie panie kandydatkę przywiozły i w kilka chwil umówienie małżeństwa nastąpiło.

Narzeczona moja już wcześniej utraciła rodziców, a ojciec jej, nie bardzo gospodarny, zostawił ją w niepomyślnym stanie; przeto wielkiej zacności dama, pani z Dębińskich Floryanowa Straszewska, przyjęła ją w dom swój w formie respektowej panny, jak to było w zwyczaju za dawnych czasów przy znaczniejszych domach polskich — i z wielką dla niej była przychylnością... Narzeczona, wróciwszy wieczorem do domu, zwierzyła się swej protektorce, która jej zapytała, jak dawno poznała się ze mną?... Gdy jej ta odpowiedziała, że dopiero dzisiaj poznała mnie, rzekła pani Straszewska: „Jest właśnie u mego męża kilku panów, przeto pójdę dowiedzieć się cokolwiek o twoim przyszłym mężu“. W liczbie tych gości znajdował

się ś. p. Wężyk i generał Franciszek Paszkowski, którzy mię dobrze znali, a pierwszy z nich od r. 1805. Na pytanie ś. p. Straszewskiej odpowiedział ś. p. Wężyk: „Niech panna Służewska uklęknie i dziękuje Bogu, że ją darzy mężem, którego uczciwość znana mi jest od dawnych lat“, a słowa te generał Paszkowski zatwierdził... W sześć tygodni później poprowadziłem anioła dobroci przed ślubny ołtarz i przeżyłem z nią lat 21 w serdecznej miłości, w zgodzie i niczem nie zamąconem szczęściu domowem... na której wspomnienie oczy moje zachodzą łzami.

Ojciec ukochanej służył w wojsku za Stanisława Augusta i wyszedł ze służby z tytułem generała i tak był tu nazywany. Piśmienne dowody służby jego wojskowej są u mnie w wielkim wolumnie pod napisem: *Wojsko polskie*, z wielką liczbą rysunków, okazujących ubiory wojska polskiego w różnych epokach. Generał Służewski był posłem na sejm 1793 r., a gdy go Sievers oddalić się z Grodna przymusił, a nawet zabronił, aby się w Warszawie nie znajdował, udał on się z stosowną skargą i prośbą do króla, które to ciekawe dokumenta znajdują się drukowane z odpowiedzią króla w tejże wielkiej księdze *Wojsko polskie*.

(V).

XI.

Moja najważniejsza praca.

Twórczością umysłu nie odznaczyłem się nigdy... Daru tego Bóg mi nie dał, ani też nauki,

których pobierać nie miałem sposobności, nie usłały mi do tego drogi... Przecież niedostatek ten wynagrodził mi się w inny sposób, a tym było namiętne upodobanie i wytrwałość w przeglądaniu starych, zabrudzonych, a niekiedy stęchlizną przejętych szpargałów — z których wydobywałem owe zapomniane i nieznane wiadomości różne, do przeszłości odnośne, jakiemi dział kilka, które wydałem, są zapełnione. *(I).*

Koniec przeszłego, a początek naszego wieku nie były zbyt korzystnemi dla piśmiennictwa polskiego. W tych też czasach było to *rara avis* jakie dzieło oryginalne — i powszechnie wychodziły tylko tłomaczenia z francuskiego, niekiedy bardzo niskiej wartości... Czasy te były zwróceniem całej uwagi na wojny Francyi z całą niemal Europą, do których korzystniejszego wypadku i do kierownika losów państwa tego przylepialiśmy nasze nadzieje, który *bon-gré*, czy też *mal-gré*, niejednokrotnie nas zawiódł... Po zwaleniu przez skonfederowane mocarstwa kolosu tego Europa zaczęła się uspakajać i wracały pokojowe stosunki między krajami; zaczęli się od r. 1814 pokazywać w Krakowie przejezdni mieszkańcy Polski i Litwy, czyli Polacy z pod rządów Rosyi, i pytali się o opis Krakowa, chcąc w nim znaleść jaką wskazówkę w zwiedzaniu starej stolicy całej niegdyś ojczyzny. Wtedy przyszło mi na myśl poddać właścicielowi drukarni niegdyś Gröblowskiej projekt obmyślenia takowego opisu; lecz trudna była rzecz, komu tę pracę powierzyć?... Gdy prawie do tego jedynym był kandydatem znany z nauki i zdolności pisarskiej ś. p. Józef Sołtykiewicz, przeto w imieniu

mego pryncypała udałem się do niego z propozycyą; on ją co do celu pochwalił i napisanie przewodnika przyjął, z warunkiem atoli wielce trudnym, bo mi rzekł: „ale chciejcież mi dostarczyć do tego niezbędnie potrzebnych źródeł, bez których przystąpić do pracy niepodobna“. Tu dopiero pokazał się *hic rodus hic salta*, bo źródeł na powierzchni ziemi nie było, a grzebać za niemi w łonie jej, to zadanie do spełnienia trudne.

Po takiej odpowiedzi udałem się z tąż propozycyą do uczonego męża ś. p. Jerzego Samuela Bandtke, bibliotekarza i profesora akademii krakowskiej. Tu spotkała mię taż sama trudność; i on położył za warunek dostarczenie mu źródeł t. j. rzeczy, o której nikt nie wiedział.

Tak więc rozbił się na szczęty projekt, którego byłem początkiem; i rzecz ta na długie lata poszła *ad acta*, czyli mówiąc po moskiewsku *w odstawkę*. (*IX*).

Co tu wspominam o umowie z ś. p. Sołtykiewiczem i Bandtkem jest istotną i rzeczywistą prawdą, z czego pokazuje się, że łatwiej jest opisać jakiekolwiek miasto, niżeli zgromadzić do tego koniecznie potrzebne materyały.

Dodam, że kiedym czynił powyższą propozycyę ś. p. Bandtkemu, a tenże zażądał, aby mu dostarczyć źródeł, przedstawiłem, że on właśnie ma pod ręką najbogatsze źródła do tej pracy, gdyż ma całą bibliotekę akademii krakowskiej. Na to odpowiedział on: „Ah... to Pan chciałbyś, abym czytał 40 tysięcy woluminów i kilkaset rękopismów? tego się nie podejmuję“... W ciągu dalszej rozmowy mówił, że do dzieła tego byłby wprowadził

wiadomość o prawach, jakiemi rządziło się miasto. Lecz rzecz do skutku nie doszła i pomysł opisu Krakowa przez nikogo podniesiony nie był. Przerwa ta trwała lat blizko 7 lub 8.

Upłynęło lat kilka, w przebiegu których umarł Matecki i ja też spółkę z księgarnią jego opuściłem, jako nie odpowiadającą moim dalszym widokom, otwierając za to małą, osobną dla siebie księgarnię. Wtedy to właśnie w zaufaniu, że się przecież kto znajdzie, co przedsięwzięcie to wykona, ś. p. Matecki, będąc na kąpielach w Baden i przejeżdżając przez Wiedeń, zamówił tam z leżących u rytownika Lebarta Langera po kilkaset odbić z blach miedzianych owych ubiorów włościan z okolic Krakowa i widoki tego miasta, które roku 1810—1811 znajdowały się w Kalendarzyku politycznym krakowskim — a teraz miały służyć do przyozdobienia dzieła o Krakowie. Niedługo potem zmarł jednakże i odbicia rycin nieużyte leżały w księgarni.

Było to r. 1819 lub 1820, kiedy wdowa po zmarłym Mateckim, z pierwszego małżeństwa wdowa po Józefie Czechu, rektorze gimnazyum w Krzemieńcu, wstąpiła do mojej księgarni i prosiła mię, abym jej dał jaką radę, jakimby sposobem spożytkować owe ryciny, o których wyżej mówiłem, i czy nie doradziłbym jej, kogoby użyć do napisania owego dawniej już projektowanego opisu tego miasta... Gdy nikogo w owym czasie nie widziałem do tej pracy zdolnego, uczyniłem jej tę propozycyę: „ja się tego podejmę, uczynię co będę mógł i na co mię stać będzie, a w nagrodę autorstwa żądać będę sto egzemplarzy wydrukowanych

tego dzieła“. Przyjęła ona chętnie tę nieuciążliwą dla siebie propozycyę, bo w to honoraryum nie wchodziła gotówka, a ja zaraz chwyciłem się oburącz do dzieła i w przeciągu roku skleiłem ten opis jeszcze w sposób bardzo ujemny. Przecież dla nowości przedmiotu i rycin kraszących go rozchodził się ten opis po kraju tak, że tysiąc egzemplarzy nakładu ze wszystkiem rozkupiono i dziś jeszcze jest ta pierwsza edycya poszukiwana przez miłośników, a żydy antykwarze po wysokich cenach ją pozbywają.

Przed niedawnym czasem opowiadał mi to Walery Wielogłowski, znakomity pisarz czasów naszych, a przytem i właściciel księgarni, zwanej katolicką (który po wojnie r. 1831 długi czas przebywał w emigracyi, a nakoniec do Krakowa powrócił) — że po zmarłym emigrancie z tegoż czasu w jednem miasteczku południowej Francyi była urzędowa sprzedaż pozostałych po nim ruchomości, pomiędzy któremi było kilka książek polskich, w liczbie zaś ich był i opis Krakowa, wydanie pierwsze. Książki te nabył on hurtownie za kilkanaście franków, jako pozostałą po tułaczu a koledze swoim ubogą spuściznę, i z sobą do Krakowa przywiózł. Pewnego razu wchodzi do księgarni jego jakiś obcy przybysz do Krakowa i zapytuje, czyliby nie dostał u niego p i e r w s z e g o wydania opisu Krakowa?... Odpowiada na to W. Wielogłowski: „mam ja wprawdzie jeden egzemplarz, ale nie chcę go pozbyć z powodu, że to wydanie stało się bardzo rzadkiem“. Obcy gość nalega o ustąpienie, tak że wreszcie powiedział mu cenę, która, jak sądził, odstręczy go, to jest ryńskich 20

(zł. pol. 80). A tu z podziwieniem jego obcy położył żądaną kwotę i z poszukiwaną książką odszedł.

Pierwsze wydanie Opisu Krakowa wyszło z druku r. 1822. Gdy już dzieło to wyczerpywało się, zacząłem poszukiwać nowych szczegółów o Krakowie do edycyi drugiej, która też już trochę rozszerzona i z potrzebnemi poprawami wyszła z druku r. 1830.

Zachęcony tem powodzeniem nie zaprzestałem dalszej kwerendy w kronikach i księgach archiwum miasta Krakowa i ciągle kontynuowałem tę niekoniecznie ponętną pracę czytania ksiąg pismem bladem kreślonych. Wnet też pokazało się w r. 1836 wydanie trzecie, za niem w r. 1844 edycya czwarta, a każda z tychże poprawniejsza od poprzedniej.

W r. 1864, gdy pytania się po księgarniach o to dzieło stały się częstszemi, pan Józef Friedlein, przedsiębiorczy księgarz krakowski, zaproponował mi, czylibym nie zezwolił na to, że on podejmie nakład na wydanie edycyi piątej, na co chętnie pozwoliłem, kładąc warunki honoraryum bardzo skromne i jemu wielce dostępne. Przekształciwszy jeszcze raz to dzieło i poprawiwszy zaszłe usterki, oglądam teraz wychodzące to dzieło w Lipsku, ozdobione kilkudziesięciu drzeworytami i widokiem Krakowa oraz innemi rycinami. Druk jego był już właśnie na dokończeniu, gdy chwilowe zamieszanie pomiędzy czeladzią drukarską, która opuściła drukarnię, wstrzymało na krótki czas zupełne ukończenie, co przecież, jak ufam, niedługo nastąpi.

Takie to są dzieje mojego Opisu Krakowa, które tu skreśliłem w tym celu, aby zaznaczyć, że

nie zuchwalstwo ani przesadne zaufanie we własne siły skłoniły mnie do przeistoczenia w czyn rzeczy, jaka zdawało mi się, że przechodzi moje siły.

Nigdym się nie spodziewał ani nie tuszył o tak pomyślnym przebiegu autorstwa mojego, bo nie przypuszczałem możebności tak długiego życia (lat 82½), ani tak względnego przyjęcia i pochlebnego ocenienia tej mojej pracy. *(IX).*

XII.

Album moje.

Każdy z synów Adama posiada małą lub większą dozę próżności. To też i ja pragnę pochwalić się moim zbiorem prac ręcznych, objętych grubą nieoprawną księgą, albo raczej fascykułem pod napisem *Rękorysy Polaków.*

Wzorem do tego nie była mi teraźniejsza moda i naśladownictwo panów, bo jeszcze u nas o tym zwyczaju nie było pojęcia, kiedy ja mój zbiór od lat już może około 20-tu formować zacząłem, gromadząc co mi z robót podobnych pod rękę się nawinęło. Idąc za mojem tylko upodobaniem, nie kierowany znajomością sztuki (w czem zawsze już pozostanę laikiem), gromadziłem dobre i mierne, biorąc to raczej za materyał dla przyszłego umiejętnego posiadacza, który, mając go pod ręką, coś kształtniejszego zbudować będzie mógł, odmiatając poślad i plewy, a zatrzymując dobre i czyste ziarno.

Zbiór zatem mój nie wyszczególnia się tyle doborem, ile rozmaitością i liczbą. Składa on się

z kilkuset sztuk różnej wartości: są to akwarele, roboty tuszowe, rysunki ołówkiem i piórkiem i inne tym podobne. Wyszły one z pod rąk znakomitszych w sztuce malarskiej mężów, lecz są i płody *obscurorum virorum*, dyletantów i uczniów, imion znajomych oraz i nieznanych, na jednych są ich własnoręczne podpisy, na wielu nie ma żadnych — a między temi mogą się znaleść roboty nie polskie, ale odróżnienie tych jest niepodobne. Przywiodę tu niektóre choć imiona, tak znanych malarzy, jako i takich, których sztuka nie zna i dołączę ilość robót niektórych:

Smuglewicza Franc. 3, Suchodolskiego Reinolda 3, Stachowicza M. 48, Stachowicza Teodora syna 3, Wojnarowskiego I. K. 146, Kurowskiego 2, Stattlera, Głowackiego J. Nep. 8, Kopfa Jana, Radwańskiego Andrzeja 10, Sokołowskiego Jakóba 3, Łuszczkiewicza Wł. 15, Wendorfa Jana kilka, Peszki Józefa kilka, Hadziewicza Rafała, Dębowskiego, Lorenowicza, Łepkowskiego, Wojniakowskiego, Michałowskiego, Sontaga Józefa. *(XXI).*

XIII.

Rzetelne oświadczenie.

Po mojem zejściu ze świata pozostanie wprawdzie znaczna liczba rękopismów, czyli woluminów, ręką moją pisanych; lecz co do tego winienem (nie uzurpując dla siebie tytułu uczonego męża) zostawić wyjaśnienie, że to nie są ani pamiętniki, ani dowody mojej naukowości, badania dziejowe

lub jakiekolwiek utwory ducha i rozumu mojego — lecz są to tylko notaty, wspominki, szczegóły i mało znaczące wiadomostki... słowem drobiazgi bez rzeczywistej wartości, które niczego więcej nie dowiodą, jak tego, żem posiadał chęć pisania i zamiłowanie jakiego takiego zajęcia umysłowego w chwilach wolnych od pracy.

Gdyby wystarczyło do nabycia sławy pisarskiej, że się pisało wiele i zaczerniło atramentem mnogą ilość cierpliwego papieru, to ja z pewnością mógłbym być pomieszczonym w licznym poczcie głośnych mężów... Ale gdy świat inaczej sądzi, że nie ilość, lecz jakość prac stanowi i daje prawo do sławy; to ja z wielu innymi zejdę do tych licznych zastępów, których gdy kilka łopat ziemi przykryje, pamięć o nich zaginie i świat na zawsze o nich zapomni. *(I).*

Kogo Opatrzność obdzieliła talentem twórczym, komu się dostał dar pięknej mowy — ten gdy co napisze dla następców, może być pewnym, że z chęcią czytane będzie.

Mnie oprócz chęci pisania nic się z powyższych przymiotów nie dostało... Mimo tego przecież piszę, bo mi to sprawia przyjemność... notuję co mogę, bo w tem znajduję zabawę... Pomny, że ludzie gasną, a z nimi znikają z pamięci i zdarzenia, niejednej już librze papieru powierzyłem to, co chciałem, aby się przechowało. Następne kartki obejmują to, co z pióra dorywczo wypłynęło, i stąd też te notatki ani się treścią, ani obrobieniem nie odznaczają.

(XXXVII).

XIV.

Apologia moja.

O!... to wcale niewielka sztuka, że ktoś urodzony w zamożnym stanie, mający dobre przewodnictwo, postępuje po drodze nauk, kierowany przez światłych nauczycieli... przyswoi sobie wyższe ukształcenie i okaże się światu uczonym mężem, co bynajmniej nie jest jego zasługą. Ale to jest większego uznania godne, jeśli kto jak ja wyszedł z ubogiego domu, puszczony na świat bez początków nauki, bo zaledwie umiejący czytać, bez przewodnika, o własnej sile, zdołał zaczerpnąć choć trochę nad poziom zwyczajności — ten rzeczywiście dokazał wiele bez żadnej jakiejkolwiek pomocy.

Takiem też było położenie moje, a przecież zostało imię moje znanem w obszerniejszem kole czytających, a spotkać je też można zacytowane w mnogich książkach polskich, a nawet w leksykonach konwersacyjnych niemieckich i francuskich. *(I).*

Mają szewcy patrona swego św. Kryspina, który z pobożności kradł garbarzom skóry, szył z nich buty i darmo rozdawał ubogim. Mają i krawcy patrona, którego malują z żelazem do prasowania. Złotnicy mają św. Eligiusza, który, będąc biskupem, w wolnych od modlitwy chwilach fuszerował złotnictwo, ale nie wiem tego, czy robił łyżki z srebra próby 8-ej, a sprzedawał za 12-tą próbę, jak to dziś czynią żydzi, a czasem i nieżydkowie.

Dotąd nasi księgarze i drukarze nie zdobyli się na jakiego świętego patrona i trudno im to będzie. A gdy takiego niema, to może obiorą mnie jako tymczasowego zastępcę, a to z tego tytułu, że jestem pierwszy z ich cechu, który w Polsce coś więcej pisał, jak tytuły książek do sklepowego katalogu. Modlić się do mnie nie potrzebują, bo cóżbym ja im chudak pomógł!... *(IX).*

XV.

Przedpogrobowe przepowiednie i nocne marzenia moje.

Śmierć do mnie.

I ty dawny księgarzu! jakoś nadaremno
Opóźniasz się do tańca zapuścić się ze mną.
Wszak dość długie na ziemi przetrawiłeś lata,
Czasby już był na ciebie odejść z tego świata.

Ja.

Prawdę mówisz!... późnego wieku się dobiłem,
A jednak niczem dobrem się nie odznaczyłem.
Bogaty w mnogie lata, lecz w czyny ubogi,
Gdy czas przyjdzie, znajdziesz mnie gotowym do drogi.
Świat stracił dla mnie powab, bo mi odebrana
Sprawczyni mego szczęcia, małżonka kochana.
Pójdę w błogosławionych poszukać ją rzędzie,
I twe przyjście bynajmniej strasznem mi nie będzie.

Przy dokończeniu lat 73 życia.

Panie!... z którego łaski wiek przeżyłem długi,
Przyjmij niegodną prośbę od Twojego sługi:
Przebacz błędy... i odpuść karę za me grzechy,
A w ciężkim smutku swojej udziel mi pociechy,
Spraw, aby dusza z więzów uwolniona ciała,
Z drogą małżonką wiecznie złączoną została.

W 77-ym roku życia.

Zestarzałem się, i na obliczu mojem zapisały się zmarszczkami przesnute dnie wędrówki mojej po świecie... Nie zapaśny w dary Ducha św., nie zaopatrzony w potęgę słowa, żyję wprawdzie, ale nie działam... Siły ducha ulatują i opuszczają mnie, a z niemi nikną we mnie i fizyczne siły... Z tej spóźnionej epoki mego życia nic już o mnie powiedzieć się nie da, a niewarto grzebać w zastygłym popiele, gdzie już wszystkie iskry wygasły. — *Sum non bello, sed senectute victus.*

A chociaż przez wiek długi... w życiu mojem całem
Zbyt mało, raczej nawet iż nic nie zdziałałem;
Jednak z tego co po mnie pozostanie... przecie
Może się kto doczyta, iż żyłem na świecie.

Gdy nadejdą długie zimowe noce, gdy odeśpię zwykłe moje godzin sześć — pozbawionemu snu przychodzą do głowy różne marzenia, a między innemi i to: Co to będzie, gdy mię wola Wszechmocnego odwoła z tej niziny biedy, ucisku i narzekania?... Przewidując to wyobrażam sobie, że gdy na bruku krakowskim gruchnie wieść: „Grabowski umarł!“... wszyscy słysząc to osłupieją... Babia góra, gdy ją wiadomość ta doleci, zatrzęsie się i z zadziwienia gębę rozdziawi... Wisła wstrzyma bieg i płynąć przestanie... lasy i drzewa szumieć przestaną... ptaszki zamilkną... Finansowa dyrekcya i urzędnicy austryaccy, studenci i rzemieślniczkowie, lokaje, parobcy, wyjmą z ust na chwilę cygara, a chłopi kapuścianem liściem napchane a śmierdzące fajki... przekupki swarzyć

się, a żydzi szachrować pod św. Wojciechem na kilka minut przestaną... a wszyscy okrzykiem: „Grabowski umarł!“ przerażeni będą.

Ale nie lękajcie się zacni Krakowa mieszkańcy! Oto mała chwilka upłynie, a znowu do Bałtyku Wisła bieżeć będzie... Oficerowie, urzędnicy, studenci, paupry, chłopi i lokaje, na nowo cygara i fajki do gęby wetkną... znowu policyanci śpiewających rozganiać, a dyrekcya policyi śpiewaków do kozy brać będzie [1]), znowu finansowa dyrekcya *Zahlungs-Aufträge* rozsyłać i defraudantów stempla śledzić będzie... Kula ziemska zwykłym swoim torem potoczy się — i o zmarłym już nikt nie wspomni, chyba tylko rodzina i te wróble, które od lat czterdziestu żywiłem — albo to szczupłe już kółko przyjaciół i dawnych znajomnych, którzy pomyślą: *Fuit, quasi non erit...* *(XLII).*

Gdyby nie żywe pragnienie serca, aby zwłoki moje spoczęły przy popiołach nigdy nieopłakanej mojej małżonki, nie mógłbym się oprzeć życzeniu (które możeby spełnić się nie dało), abym był pochowany w tem zaciszu, w tym przybytku pokoju, gdzie tylko wiatr poruszając gałęziami wydaje szmer, a tylko czasem ptaszki zaświergocą, a potem znowu cisza (Panieńskie skały)... Grób mój wykuty w jądrze skały dałby się zakryć kamienną płytą z tym napisem:

Tu Ambroży Grabowski leży!... Polak szczery,
Boga wielbił, a dawne czytał rad papiery.

---

[1]) Nie pijane baby i śpiewających krakowiaki na ulicy... lecz tych, którzy w kościołach śpiewają: „Boże coś Polskę“ etc.

Pisma, w których on stare opowiadał czasy,
Wytłoczyły Krakowskie oraz Lipskie prasy.
Stęsknionego po stracie ukochanej żony
Wezwał Pan, by z nią wiecznem życiem był złączony.
Przechodniu! uczyń za nim do Boga westchnienie,
By duch jego w pokoju wiecznym miał spocznienie.
(LIII).

WSPOMNIENIA WYPADKÓW HISTORYCZNYCH.

I.

Niektóre wspomnienia miejscowe z czasów Konfederacyi Barskiej.

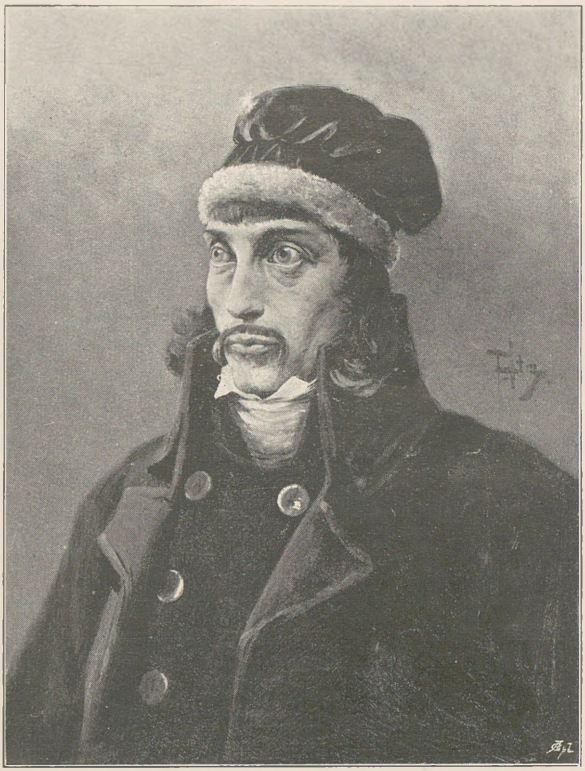
Stary czeladnik drukarz, nazwiskiem Jan Górnicki, który w czasie konfederacyi naocznym był świadkiem wypadków w Krakowie, opowiadał mi, że w d. 22 czerwca r. 1768, kiedy Moskale do Krakowa szturm przypuszczać mieli, kolumna wojska, mająca takowe działanie rozpocząć, idąc przez Kleparz ulicą Długą złożyła tamże z siebie tornistry i inne rzeczy na kupę, otoczywszy je strażą, a tylko żołnierze z bronią — prowadząc z sobą drabiny — pod same mury miasta podstąpili i stanęli w linii od bramy Floryańskiej ku bramie Sławkowskiej. Generał Panin, przywodząc nimi, przejechał przed frontem parę razy, a gdy zbliżył się ku murom, jakby dla upatrzenia miejsca dogodnego do szturmu, w tej chwili wypalił do niego z ręcznej broni mieszczanin krakowski Marcin Oracewicz, pasamonik i trafił go w głowę. Który to wystrzał Pa-

nina z konia zwalił, a wypadek ten rzucił taki popłoch w szeregi Moskali, że, porwawszy się jak oparzeni, spiesznie odstąpili od murów i cofnęli się za przedmieścia.

W czasie tym, gdy wojska regularnego prawie że nie było do obrony Krakowa, konfederacya powołała wszystkich mieszczan krakowskich do pełnienia służby na murach. Każdy zatem kupiec, rękodzielnik i wszelki w mieście zamieszkały, opatrzony w broń, robił powinność wojaka. Obywatele krakowscy oswojeni byli dobrze z ognistą bronią, bowiem istniało wówczas w Krakowie tak zwane Towarzystwo kurkowe, t. j. strzelcy kurkowi, którzy corocznie ćwicząc się strzelali do kurka (koguta drewnianego), a ten, kto ostatni szczątek ustrzelił, ogłoszony był królem kurkowym. Warto zaś było zyskać ten tytuł, bo przywiązane były do niego pewne korzyści. Obieranie takowego króla kurkowego odbywało się corocznie.

Oracewicz był właścicielem kamieniczki w ulicy Szpitalnej, stojącej pomiędzy kamienicą X. Prałata Panny Maryi, a kościołem św. Tomasza.

O śmierci Panina daje także wzmiankę Wojciech Mączyński w dzienniku swym w tych słowach: „R. 1768 d. 22 czerwca wojsko rosyjskie przyszło pod Kraków z rana o godzinie 9-tej pod komendą generała Panina, synowca księcia Repnina, posła pełnomocnego rosyjskiego w Warszawie. Zaczęty atak od bramy Floryańskiej, w którym zabity gen. Panin, a wojsko rejterowało się nazad. Było wojska rosyjskiego circiter 1200, z tych podczas ataku zginęło 29, rannych liczono 60“.



MARCIN ORACEWICZ.

Z OBRAZU P. STACHIEWICZA (ORYGINAŁ W ARCHIWUM M. KRAKOWA).

Oracewicz, później, gdy Kraków wpadł w ręce Moskali, przebrany umknął z miasta przez mur podobno i długo tułał się w ukryciu — dopóki rzeczy się nie uspokoiły. Obacz o nim wzmiankę w mowie J. Przybylskiego, mianej przy obrzędzie rozdania nagród przez Towarzystwo filantropów — która wyszła z druku in 4-to w Krakowie u J. Gröbla r. 1788.

Wiem to od współczesnego świadka, że gen. Panin, zabierając się do szturmu, zaopatrzył się przezornie od wypadku i głowę okrył szyszakiem, a piersi pancerzem, a na wierzchu tego miał mundur. Atoli niedyskretna kula, pomijając członki od ciosu zabezpieczone, uderzyła w samą twarz i tak zniweczyła ostrożność jego i przyspieszyła koniec i czynom wojennym i razem życiu jego.

Tenże sam Górnicki wspominał mi, że podczas kiedy konfederaci ucierali się z Moskalami i kozakami na polach około przedmieść krakowskich, zwykle mieszczanie krakowscy stali z bronią na murach miejskich i w bramach, a kobiety zgromadzone tłumnie na Rynku około kościoła Panny Maryi zapytywały stróża na wieży tego kościoła, który, widząc z wyniosłej wieży, co się w okolicach dzieje, stosowne dawał im odpowiedzi wołając przez tubę „nasi biją!“... a wtedy kobiety poczciwe biegły do kościoła Panny Maryi i wznosiły z płaczem modły dziękczynne — albo też wołał: „naszych biją!“... a znowu dobre kobiety zalegały świątynię, prosząc ze łzami Pana Boga o powodzenie broni dla swych rodaków.

Z wojskiem, jakie składało konfederacyę [1]), trudno było wielkich dokazać rzeczy. Była to szlachta dobrą wprawdzie ożywiona chęcią uwolnienia kraju z pod wpływu obcej przemocy, ale zamiar ten inaczej osiągnionym być nie mógł, jak tylko przez wyparcie z kraju wojska obcego i przez postawienie siły zbrojnej, któraby powrotowi dawnego stanu rzeczy na zawsze opierać się mogła. Szlachcic, który za przykładem drugich wsiadł na koń, trudnem być widział uległość podobnemu sobie szlachcicowi i niepodobna mu było dobrowolnie poddać się pod karność, bez której żadne wojsko celu nie osiągnie; z tego też powodu każdy dowódca konfederacki (marszałek) tysiączne w wykonywaniu swej władzy spotykał trudności, z których tu jednę wspomnę:

Jednego razu straż na wieży kościoła Panny Maryi daje znak, że spostrzega wielki tuman kurzu i stąd wnosi, że kozaki zbliżają się pod Kraków. Marszałek konfederacyi krakowskiej, Czarnocki, wyznacza imiennie dwóch panów braci konfederatów, aby do miejsca dotarli i niezwłocznie mu raport zdali: „Jedź waszmość panie marszałku sam“, odpowiedzieli panowie bracia konfederaci, „bo my nie pojedziemy“. A zanim dowódca był w stanie innych posłuszniejszych wyznaczyć, już się wyjaśniła kwestya, bo straż z wieży doniosła, że ów tuman kurzawy zrobiła trzoda baranów, którą ku miastu pędzą. *(XIV).*

---

[1]) Stupajki ruskie, t. j. sołdaty, zwali konfederatów: „wot konderak, sukin syn“.

Wzięcie zamku krakowskiego przez konfederatów barskich nastąpiło d. 2 lutego 1772 r. Dziwić się nie należy, że nasze dawne dzieje tak mało są wyjaśnione, kiedy o nowszych zdarzeniach w kraju naszym tak niekiedy zmącone mamy wiadomości, że trudno jest dobadać się w nich prawdy. Konfederacya barska nie jest jeszcze tak odległą co do swej czasowni, a przecież w opisaniach jej wypadków takie zachodzą sprzeczności, że jest trudność niemała z pewnością dojść, które opowiadanie jest prawdziwe.

Ówczesne relacye w rękopismach rozrzucone o ubieżeniu i opanowaniu zamku krak. przez konfederatów bardzo się nie zgadzają z sobą. Posiadałem opisanie zdarzenia tego (rękopisanie) przez E. N. Murray'a, Francuza [1]), który w młodości swej do Polski przybył z owymi Francuzami pod Dumouriezem, i jak przedemną samym utrzymywał, gdy tu był w Krakowie r. 1813, miał być uczestnikiem owej podziemnej wyprawy do zamku krak. i takową relacyę po francusku napisał. Lecz gdy tę relacyę odczytywałem, natedy zapatrując się na jej szczegóły, zdaje mi się, że Murray zmyślał i wcale do zdobycia tego nie należał, a tylko potem to, co od drugich słyszał, napisał i za swój towar obwoływał.

Przeglądając rękopismo jedno napadłem w niem relacyę p. t.: *Ekscerpt wiadomości z Krakowa*, obejmującą szczegóły zdobycia zamku krak., którą zamieszczam w zbiorze moim, poświęconym wiadomościom o konfederacyi Barskiej.

[1]) Mówi o nim Bentkowski w tomie I.

Od chłopięcego wieku, t. j. od r. 1797 zamieszkując ciągle w Krakowie, słyszałem wprawdzie od żyjących jeszcze ówczesnych ludzi, świadków zdarzenia, różne opowiadania o konfederacyi, o utarczkach naprędce uzbrojonej szlachty z regularnem wojskiem moskiewskiem, o okrucieństwach Drewicza i t. p.; gdy jednak wówczas jeszcze byłem za młody i nie zajmowały mnie wtedy miejscowe wypadki, jak w późniejszym moim wieku, przeto i nie badałem i nie śledziłem prawdy, a stąd niejedną opuściłem sposobność wyjaśnienia zdarzeń, które już teraz mgła niepewności okryła.

Około r. 1828 jeszczem jednego starego znalazł człowieka, który tu od młodości swej na zamku krak. zamieszkiwał, a był członkiem muzyki kościoła katedralnego, którego nazwisko jest Zbyszyński. Ten mię osobiście zaprowadził i ręką wskazał miejsce, to jest szyję kanału, którym konfederaci do zamku wdarli się. Ponieważ zawsze słyszałem, że weszli kanałem, a zatem z pewnością utrzymywać mogę, że nie innym, jak tym podziemnym otworem, który leży za gmachem Psałteryi w stronie zachodniej i służy do wyprowadzenia wody ku Wiśle nad Rybakami z wielkiego dziedzińca (na którym stoi kościół katedralny i wpośród którego stały dwa kościoły, t. j. św. Michała kolegiacki i św. Jerzego, zburzone dopiero przez rząd austryacki). Nie weszli zaś kanałem prowadzącym do tego dziedzińca, który się znajduje wpośród gmachu pałacu królów polskich.

(*XXVII*).

Wzięcie przez konfederatów zamku krakowskiego (który to śmiały czyn w dziejach sztuki

wojennej zawsze błyszczącą będzie gwiazdą), wprawiło dowódców wojsk moskiewskich w okropną zajadłość. To też postanowili wydrzeć napowrót z rąk konfederatów zamek, bez względu choćby to z największym krwi rozlewem nastąpić miało. Zgromadzono w tym celu wojsko i szturm postanowiono. Dn. 25 lutego r. 1772 stanął na czele kolumny szturmowej sławny generał Suwarow, wówczas jeszcze pułkownik, prowadząc znaczny oddział grenadyerów do bramy zamkowej, celem wyrąbania jej. Dla zasłonienia się od kul konfederackich kazał urządzić na kołach drzwi mocne, żelazną blachą okute, które przed nim żołnierze toczyli, za których zasłoną z szpadą w ręku szedł naprzód, ale nim pod bramę przysunął się, już prawie cała „koronka“ grenadyerów poległa od kul konfederackich, a tę poniósłszy klęskę generał Suwarow, nic nie wskórawszy, od zamiaru odstąpił i do miasta się cofnął. Wiem to z ustnej relacyi starych ludzi. *(XXVII).*

II.

Z czasów Tadeusza Kościuszki.

Kościuszko w Krakowie przed wyruszeniem na bitwę racławicką (opowiadanie starego Księskiego).

Owoż tedy Mości Dobrodzieju! stałem sobie w Rynku przed odwachem, niedaleko rogu ulicy

[1]) Koronka, może kompania, oddział jakiś wojska, nazwisko w dawnych czasach w wojsku rosyjskiem używane.

Wiślnej. Już był odwach pusty, bo dniem wprzód wyszła z Krakowa piechota Wodzickiego. Stały przed odwachem cztery armaty, ale przy nich nie było żadnej straży, bo obywatele krakowscy jeszcze byli na odwach nie nadciągli. Oficer zaś, który tu został, poszedł się z przyjaciółmi pożegnać, bo już i te armaty z garstką artylerzystów wyruszyć miały. Wszyscy byliśmy jak powarzeni, bo wiedzieliśmy, że Moskale niedaleko, a naszych mało; i jaki taki, niepewny wypadku, zamierzał wynieść się na Podgórze, uchylając się od zemsty Moskali.

Było to przed południem, kiedy tak stoję rozmyślając, co to będzie, i co czynić?... Wtem przybiega kłusem na małym koniku jakiś pan w cywilnym ubiorze, staje i woła, ale nikt się nie odzywa. Wtem nawraca ku mnie i pyta, czy nie wiem, gdzie jest oficer? Rzekłem, że nie wiem. „Proszę, idź Panie poszukaj go“. Biegnę ku ulicy Brackiej, zamyślony, bo twarz ta nie była mi obcą: dopiero nagle przypominam sobie, że to ten sam, co na Rynku przysięgę wykonał, a więc to Kościuszko! Właśniem też dostrzegł biegnącego prędko oficera z ulicy Grodzkiej, ku któremu pospieszył naczelnik i rzekł: „Panowie! co robicie, czas wyruszyć... spieszcie się, bo każda chwila droga“.

Może w parę godzin przyszły konie i trochę ludzi od armat: zaprzężono i spieszno wyszli z Krakowa.

Byliśmy tak może dwa dni w największej niepewności — nie było od wojska nic słychać i wielu czekało tylko chwili oddalenia się na Podgórze. Ja sam tej byłem myśli i szedłem do ulicy Floryańskiej po zegarek, który miałem w spo-

rządzaniu. Patrzę: ludzi mnóstwo pędzi ku Rynkowi i zdjęty byłem trwogą. Pytam się, co się stało — aż spostrzegam kilka powozków moskiewskich, które nasi żołnierze prowadzą. Tu dowiedziałem się, że nasi wygrali. Biegnę pędem na Rynek i spostrzegam stojących na ganku w gmachu komisyi p. Kaspra Marciszewskiego i kilku panów, do których wołam: „Panowie! już się nie bójcie, nasi zwyciężyli... wnet obaczycie zdobycze". Jakoż przyszli na Rynek z powozkami — i wnet się umysły uspokoiły i jaki taki zaprzestał się wybierać za Wisłę.

W kilka godzin przyszło i 12 armat zdobytych i była wielka wesołość po całem mieście.

(Stary Księski był dawniej urzędnikiem, a teraz, t. j. w r. 1842, żyje biedny, żywiony przez swych ziomków i w klasztorach. Umarł w moim domu w r. 1846). *(XXXII).*

Kościuszki skromność.

Mąż ten znakomity, który uszlachetnił ostatnie chwile istnienia kraju, ten prawdziwy wzór cnót starożytnych, o których już tylko w książkach doczytujemy się — jak był skromnym i umiarkowanym w pragnieniach, wykaże się to z następującej okoliczności.

W ciągu kampanii r. 1794, znajdując się w obozie, zeszli się do niego znakomitsi wojskowi na wieczorną pogwarkę. Prowadząc rozmowę o tem i owem, przyszła z kolei mowa o własnościach wiejskich, o położeniu wiosek i o urządzeniu w tychże gospodarstw. Gdy każdy z obecnych przytaczał i chwalił włość, która mu się najwięcej po-

dobała — Naczelnik otwierając o tem swe zdanie, rzekł: „Moi Panowie!... z wiosek krajowych, którem widział, najmocniej podobają mi się Winiary [1]) i położenie ich znajduję najbardziej mnie zajmującem... Gdyby Opatrzność dozwoliła, abyśmy wywalczyli niepodległość Ojczyzny, i gdyby mnie Rzeczpospolita nagrodę jaką za to wydzielić chciała, natedy prosiłbym, aby to były Winiary. Więcej nie żądałbym — a te mając i zamieszkując w tem miejscu, jużbym tam i dni moich ostatek przeżył!“

Niestety! nie zezwoliły nieba, aby życzenia sławnego męża ziściły się... Kraj upadł, Ojczyznę rozszarpano, a obrońca jej życie zakończył na obcej ziemi.., i dopiero popioły jego spoczęły w Ojczyźnie, którą tak kochał.

Szczegół ten opowiedział mi Józef Frankowski, obywatel wiejski w krakowskiem województwie; — on zaś słyszał to od obecnego przy tej rozmowie Kościuszki z oficerami świadka.

(XXXII).

Krakowiak o Kościuszce.

Pamiętam jeszcze, jak w pierwszych latach przybycia mego do Krakowa r. 1797 chłopcy uliczni śpiewali krakowiaka następującego, którego Niemcy nie rozumieli, boby im tego płazem nie byli puścili:

Tadeusz Kościuszko — Czerwone jabłuszko,
A szyszka borowa — Imperatorowa.

(XXXII).

---

[1]) Winiary leżą w województwie Sandomierskiem, sławne z dawna spichrzami zbożowemi na brzegu Wisły.

Junakerya pruska.

W r. 1794 po nieszczęśliwej bitwie pod Szczekocinami, kiedy chytry król pruski, Wilhelm III, zdradziecko, bo bez wypowiedzenia wojny, przybył z armią pruską na plac boju i zajął tył nielicznemu oddziałowi polskiego wojska pod dowództwem naczelnika Tadeusza Kościuszki, zmuszeni byli nasi flankowym pochodem opuścić plac boju, na którym poległa już znaczna liczba polskiego rycerstwa, a pomiędzy tymi i dwóch naszych generałów: Józef Wodzicki i Grochowski, i tym sposobem odsłonione zostało miasto Kraków, ku któremu korpus pruski w pochód się udał. Nie było w Krakowie ani jednego żołnierza z wojska regularnego, tylko kilkuset mieszczan i mieszkańców uzbrojonych w krótkie szabelki, a niektórzy w fuzye, którzy mieli ciężkie zadanie bronić miasta przeciwko wojsku regularnemu, złożonemu z piechoty, konnicy i artyleryi. Dowódcą tej zbieraniny, prawie bezbronnej, mianowany był przez rząd powstańczy pułkownik Ignacy Wieniawski, który, widząc niepodobieństwo najmniejszego oporu, jako człowiek rządzący się rozsądkiem i sumieniem, aby uniknąć niepotrzebnego krwi rozlewu i zasłonić miasto i mieszkańców od zupełnego zniszczenia, rozpoczął z dowódcą pruskim układy i zawarł kapitulacyę, oddając miasto Prusakom, a sam miasto opuścił... W obozie polskim powstała nań wrzawa: sąd wojenny, złożony z ludzi gorących, ogłosił go zdrajcą i jako takiego skazał na śmierć, któremu atoli wyrokowi on nie uległ, gdyż się z kraju oddalił... Zajęli więc Prusacy miasto bez utraty ani jednej

kropli krwi, obsadzili główniejsze punkta i zajęli kwatery przy zachowaniu największej ostrożności wojennej... Cały opór mieszkańców Krakowa skończył się na tem, że na przeciągającą pikietę konną pruską około kościoła WW. Świętych (teraz już nie istniejącego, bo go zburzono za czasów wolnego miasta) napiły czeladnik szklarski z ulicy Szerokiej z fuzyi wystrzelił i zuchwalstwo swoje życiem zapłacił, bo kilku huzarów rzuciło się nań i rozsiekało go.

To zajęcie Krakowa nastąpiło d. 15 czerwca 1794 r., a d. 5 stycznia r. 1796 oddali Prusacy to miasto rządowi austryackiemu.

Na żołnierzy pruskich, stojących kwaterą po domach mieszczan, nie podnoszono skarg, aby byli uciążliwymi. Zachowali się spokojnie, a byli to ludzie powolni, po większej części Ślązacy, mówiący polszczyzną zepsutą, a do tego wielcy prostacy. Nie marnowali oni czasu i można było widzieć żołnierzy siedzących na progu domu, a robiących niebieskie wełniane pończochy na drutach.

Jako próbkę ich prostactwa przywiodę tu jedno zdarzenie. W domu na ulicy Szpitalnej stali kwaterą żołnierze, a mieszkał tamże czeladnik drukarski Stan. Karmelicki. Żołnierze otrzymali nowe mundury i jeden z takich, podnosząc nogę, pokazuje drukarzowi nowe spodnie i mówi: „Patrzcie, jakie mi to piękne galoty (spodnie) nasz król sprawił“. Na to drukarz: „A widzę, że piękne, a dobry wasz król, skoro wszystkim takim kpom, jak wy, dał nowe galoty“. — „A to macie recht“ — odrzekł żołnierz.

Kiedy Prusacy do Krakowa wchodzili, już prawie połowa ludności miasta wyszła była na Podgórze za Wisłę; a nawet ci, którzy Krakowa bronić mieli (milicya), albo się ukryli, schowawszy broń i inne oznaki wojskowe, albo ustąpili za Wisłę. Jakiego zaś mieli ducha wojennego ci improwizowani wojacy, okaże to opowiadanie jednego z tychże, zmarłego już od może 30 lat, Adama Ekielskiego, którego potomstwo dotąd żyje w okolicach Krakowa. Był ten ś. p. Adam Ekielski właścicielem domu w Rynku, zwanego *pod kanarkiem*. On to w towarzystwie jednem, gdy wszczęto rozmowę o zdarzeniach r. 1794, mówił o sobie: Dano mi stanowisko na wale za Kleparzem, a był to niski okop przed niewielu dniami świeżo usypany i nie było na nim ani jednej armaty, gdyż jakie tu były, zabrał naczelnik idąc pod Racławice. Kiedy sobie spokojnie chodzę po okopie, a było to wtedy, kiedy już Prusacy pod Kraków podchodzili, ujrzałem, jak żołnierz pruski cichaczem skrada się i mierzy do mnie. Ja to spostrzegłszy, mówię do niego: „Przyjacielu, czegóż chcesz, alboż ja ci co mówię?... Dajże mi święty pokój, a kiedy koniecznie chcesz bić się, to idźże i poszukaj sobie takiego, jak jesteś, napastnika“... I wtedy zszedłem z okopu i udałem się do domu.

(Ten Ekielski trudnił się adwokaturą; będąc atoli niedouczonym prawnikiem, stawał tylko w sprawach mniejszej wagi. Żona jego była z domu Lekszycka, spokrewniona z bernardynem Franciszkiem Lekszyckim, malarzem. Ona i dwóch jej braci, Jakób i Szymon, niezbyt dawno tu pomarli, których znałem).

Wspomniawszy na początku junakeryę pruską muszę tu objaśnić: Na domu stojącym przy kościółku św. Wojciecha, gdzie jest główny odwach, zwanym komisya, zawieszony był na murze znacznej wielkości obraz olejno malowany, przedstawiający stosowne do owej chwili pobratanie się stanów, mianowicie ksiądz stojący na środku, z obu zaś stron koło niego stał szlachcic i chłop, którym on podawał ręce.

Malowanie to tak obrażało oczy pruskie, że zaraz w chwili zajęcia miasta zaczęli do niego strzelać i kulami go na strzępy podarli.

(*XLIV*).

Bartosz Głowacki.

Rodzinne miano jego było Głowacz, a był to zagrodnik ze wsi Zakrzów, około Skalbmierza w Krakowskiem.

Gdy w r. 1794 Moskale wyruszyli z Krakowa, naczelnik Tadeusz Kościuszko udał się za nimi z wojskiem polskiem i powstaniem uzbrojonem w kosy i doszedł ich około wsi Racławice. Tam oni, zająwszy stosowną pozycyę, ustawili baterye pod lasem i z armat wojsko polskie razili. Generał Kościuszko polecił batalionowi piechoty regimentu Wodzickiego wystąpić do ataku, a za piechotą szedł zasłoniony oddział uzbrojonych w rolnicze narzędzia włościan. Gdy już pod samą bateryę zbliżyli się, wtedy rozstąpił się batalion i kosyniery ruszyli do ataku; rzucili się na armaty i takowe zdobyli, przyczem odznaczył się odwagą wspomniany Głowacz; za co na placu boju mianował go naczelnik oficerem i dał mu szarfę na od-

znaczenie rangi, którą nosił przy swem ubraniu wiejskiem — a od tej chwili oficerowie zaczęli go mianować Głowackim.

Byłto człowiek mężnego serca, lecz jako syn sioła nie miał wykształcenia; przecie znaczenie swe pojmował i żarty z siebie dotkliwie karcił... Opowiadał mi o tem 78-letni obywatel krakowski, Jan Bogucki, dawny oficer polski, następną anegdotę, którą tu własnemi jego słowy przywiodę: Po bitwie Racławickiej, gdyśmy w dalszy ruszyli pochód, Głowacki, już jako oficer, dobrał się wielce chudej białej szkapy. Stanąwszy dla wypoczynku, przybliżył się na owej szkapie Głowacki do grona oficerów, z których każdy uprzejmie go powitał... Ja młodym będąc chłopcem, bo zaledwie lat 22 miałem, przystąpiwszy do niego rzekłem: „Panie kolego, dzielnego macie konia“... a on wyciągnąwszy z za pasa batog i potrząsając takowym odpowie: „Panie młodziku, wejże ze mnie nie kpijcie, bo jak was tem liznę, to wam się żartów odechce“... Oficerowie na głos się rozśmiali, a ja wstydem zapłoniony odszedłem.

Wiem to z opowiadania Jana Wójcikiewicza, legionisty, brata przyrodniego ś. p. Tekli Gröblowej [1]), że po upadku Polski Głowacki przybył do

[1]) Ów Jan Wójcikiewicz w czasie wojny z Austryą r. 1805, gdy Francuzi do Wiednia weszli, służył jako adjutant jednego z generałów i przybył wówczas na kilkanaście dni do Krakowa dla widzenia się z rodziną. W r. 1807 odbywał kampanię przeciw Prusakom i jadąc kuryerem zabity został przez Kaszubów, którzy go w drodze napadli — za co Francuzi całą ich wieś spalili.

Włoch i służył w legionach polskich. A że nabył nałogu napijania się, przeto często się zapruszał i kolegów wstydu nabawiał, zataczając się po ulicach. Gdy go który z legionistów spostrzegł, odprowadzał go do kwatery i do snu układał. Zapewne on tam na ziemi włoskiej lub na St. Domingo życie zakończył.

Głowacki w bitwie pod Racławicami odebrał oficerowi moskiewskiemu sakiewkę z dukatami, i z tej to okazyi kosynierowie ułożyli śpiewkę, w której było:

Głowacki, co był Bartosem,
Chodzi sobie jak pan z trzosem etc.

(LIX).

Fragment o generale Dąbrowskim (1794).

Generał Dąbrowski, znając gruntownie kawaleryjską służbę, jeszcze w czasie oblężenia Warszawy z rozkazu naczelnika z dwóch nowych pułków Ośmiałowskiego i Gładyszewskiego, w których panował nierząd i nieukontentowanie podkomendnych (mianowicie w pułku Gładyszewskiego przez zbyt surowe jego postępowanie i zdzierstwo), uformował brygadę, przyłączając do niej i porucznika Bielamowskiego z Mazurami. Nic lepszego stać się nie mogło. Waleczny ten porucznik, niemało narobiwszy pod Warszawą strachu i szkody Prusakom, nierównie więcej dokazał w czasie dalszej wyprawy. Nadmienię tu, jakim sposobem temu porucznikowi udało się zabrać pruską kasę wojenną. Po zabraniu jej miał ją zakopać — jak mówił — w lesie



»BARTOS GŁOWACKI
DOWODCA KOSYNIERÓW, PIKINIERÓW I STRZELCÓW W POWSTANIU NARODU POLSKIEGO W KRAKOWIE R. 1794 D. 7 KWIETNIA«.

M. STACHOWICZ RYSOWAŁ I LITOGRAFOWAŁ (OBACZ »KATALOG« ŚWIEYKOWSKIEGO NR. 364).

kampinowskim. Mimo jego mocnego zapewnienia, nikt wtenczas nie chciał dać wiary, by się ta okoliczność z garstką ludzi nieregularnych w tyle ogromnego obozu nieprzyjacielskiego stać była mogła. Póki Warszawa była w oblężeniu, porucznik Bielamowski nie mógł istotnie dowodzić i przekonać o pewności tego zdarzenia; nawet cała ta rzecz poszła już była w zapomnienie, zadziwił więc niemało wszystkich, kiedy później, przyszedłszy do gen. Dąbrowskiego, prosił o komendę z pozwoleniem, aby mógł jechać po zdobycz wyżej wspomnianą, zachowaną w miejscu niezbyt dalekiem od Dębina. Jedzie, znajduje i przywozi. Słusznie mógł całą tę kasę nazwać swoją, gdyż wtedy co kto zdobył na nieprzyjacielu, mógł to uważać za własność swoją. Ale Bielamowski był poczciwym Polakiem i dobrowolnie wszystko poświęcił ojczyźnie.

Skarb publiczny w tym czasie tak był ubogim, że gen. Dąbrowskiemu nic nie dano gotowych pieniędzy, tylko w asygnatach, radość więc jego była najżywszą, kiedy tem szczęśliwem zdarzeniem mógł przez niejaki czas płacić żołnierzom gotowizną. *(LIX).*

III.

Wojny napoleońskie.

Bitwa pod Austerlitz.

Nigdym nie był świadkiem ani uczestnikiem batalii, nigdym okropnościom wojny z bliska się nie przypatrywał i tylko miałem sposobność wi-

dzieć z daleka skutki i następności bitwy Austerlitzkiej. Co mnie uderzyło mocniej, co utkwiło w młodocianej wówczas pamięci mojej i dotąd w niej pozostało, to w krótkości skreślę, chociaż już przez te lat 36 po trochu się wyobrażenia moje przytarły.

Nie będę tu wypisywał powodów do tej wojny, bo te każdy z ówczesnej historyi sobie wynajdzie. Rozpoczęła się ona przez danie zaczepki ze strony Austryi, która też za to porządnie potem zapłaciła; wmięszała się potem do niej Rosya, wprawdzie już z musztardą po obiedzie, bo, jeśli chciała posiłkować Austryę, trzeba się było wcześniej namyślić i nie czekać, aż siły jej ze wszystkiem zniesione będą. Skutki tej wojny były dla Austryi opłakane, a raczej dla ludów jej, które bynajmniej nie zawiniły, a które potem przygniótł okropny ciężar klęsk i nieszczęść.

Cesarz Franciszek, zebrawszy krociowe wojska, wtargnął z niemi do Niemiec, które były sprzymierzeńcami Francyi; przybiegł wkrótce Napoleon, cesarz Francuzów, również z wielkiemi siłami i w niewielu bitwach zgniótł i rozbił całą potęgę armii austryackiej, co było bardzo naturalne, bo naród austryacki jest bardzo nieliczny, a Węgrom, Czechom, Morawcom, a nadewszystko Polakom, z których po większej części wojsko austryackie składało się, zbyt mało na tem zależy, czyli cesarz austryacki będzie zwycięzcą, czy też weźmie... Dosyć już te ludy krwi wylały w nie swojej sprawie; krocie synów Lechii położyło życie broniąc obcego interesu – życie i krew zmarnione!... które powinny być świętą własnością swojej ojczyzny.

A zatem jaki mieli cel Słowianie do osiągnięcia zwycięstwa? Tak się też bili, co było bardzo logicznie, bo tylko głupiec i niedołęga narażać może życie w sprawie, która mu ani śmierdzi, ani pachnie.

Podczas kiedy już Napoleon zajął całe księstwo Austryi i posiadł Wiedeń, i wojska francuskie już gospodarzyły w Morawie, wtedy to, ratując sprzymierzeńca swego, cesarz rosyjski Aleksander kazał ruszyć wojskom rosyjskim w pochód ku teatrowi wojny. Jakoż w jesieni r. 1805 korpus kilkadziesiąt tysięcy wojsk, złożony z najwyborniejszych pułków, z samego czoła armii rosyjskiej, ciągnął przez Kraków. Były to po większej części pułki gwardyi cesarskiej, zebrane z ludzi najdorodniejszych, rosłych na wybór, ubranych przepysznie, konie najdzielniejsze, a między temi celował pułk pieszy gwardyi przeobrażeńskiej i pułk konny kawalergardów, którym dowodził w. książę carewicz Konstantyn. Trudno sobie wystawić co doborniej zebranego i piękniej ekwipowanego nad ten pułk, podobno kirasyerski, ale nie mieli kirysów. Mundury białe, na głowach hełmy z kitami ogromnemi, a i reszta ubioru i uzbrojenia imponująca; sami zaś ludzie wzrostu atletycznego, a konie ogromne, jak to mówią, jak piece. Było dosyć i innych pułków pięknych pieszych i konnych, jako to: huzarów, dragonów, ułanów, a nadewszystko kozaków, a szczególniej pułk kozacko-gwardyjski. Wszyscy niemal kozacy byli starcy i siwosze z brodami, lecz żwawi i czerstwi, trudom wojennym nawykli i z niemi dobrze oswojeni, którzy, mówić można, na koniach i w obozach się zestarzali. Armaty wojsko to ciągło ogromne (pu-

szki), amunicyi i potrzeb wojennych ilość wielką, i tylko mię to uderzało, że w tych pułkach gwardyjskich, z ludzi dawno służących i z wielkoludów złożonych, wielu oficerów było bardzo młodych, zaledwie z dzieciństwa wyszłych, rozumie się, samych kniaziów, grafów, słowem paniczów, z których niejednemu najukochańsza mamunia dała na drogę piękną toaletę srebrną, a w tej puszki z pomadą, słoiki z pachnidłami, szczoteczki, grzebyki i t. p. eleganckie sprzęciki — jak to sam na własne oczy widziałem u kniazia Kantakuzena, lat zaledwie 20 mającego, a już oficera w gwardyi przeobrażeńskiej, który stanął kwaterą w domu ś. p. Tekli Gröblowej. Pomiędzy jego rzeczami podróżnemi, gdy je muzyki i deńszczyki wnieśli, znajdowała się wielka waliza z puszkami srebrnemi, czajnikami i t. p. rekwizytami. Potem zachapali je Francuzi, a kniaź Kantakuzen, zyskawszy postrzał w rękę, leżał w miasteczku Holitsch w Morawie, i nigdy się ze swoją srebrem ładowną walizą nie obaczył.

Patrząc na ten zbiór ludu celnego, na tę treść całego wojska, na dobór koni, wielkość i liczbę armat i potrzeb wojennych, zgoła na to całe przygotowanie do boju, trudno było nie przypuścić, że gdy te wojska przed Francuzami staną (o których mówiono, że to lud drobny, mały i nędzny), ci ze strachu uciekną i nie oprą się aż za Renem. Tak bowiem utrzymywali urzędnicy austryaccy, z ukontentowaniem i uśmiechem przechodzący się po Rynku krakowskim, wśród którego stawały dla przeglądu owe pyszne zastępy rosyjskie, z których każdy żołnierz był prawie czworobocznym (*lauter*

viereckige Kerls, jak ci Niemcy twierdzili). Im się już naprzód zdawało, że gdy się ci obrońcy ich z Francuzami spotkają, na miazgę ich zgniotą, na proch zetrą, na drobne szczęty zsiekają; ale że przysłowie jest: *belli et juris dubius eventus*, tak i tu wszelkie przepowiednie i nadzieje zawodnemi się być okazały. Wojska te spotkały i starły się z sobą na polach Morawy, pod miasteczkiem Austerlitz, w bok od Brünnu: bój rozpoczął się zacięty, krwawy i morderczy, w którym Rosyanie okropną ponieśli klęskę, a który biegłość wojennego rzemiosła, posilkowaną męstwem żołnierza, na stronę Napoleona przeważyła. Owe ogromne chłopy, owe rosłe konie, owe pułki gwardyi rosyjskiej ciężką odniosły klęskę, a ów pułk kawalergardów, dowodzony przez samego w. ks. Konstantego, jakże okropną poniósł stratę! został bowiem nagnany czy naprowadzony na zamarzły staw, w którym pod takim ciężarem załamały się lody, a kule artyleryi francuskiej siały śmierć i całe zmieszane powalały szeregi. Słowem w tej jednej bitwie tak zniszczały te groźne zastępy rosyjskie, że to przechodziło wszelkie pojęcie. Bitwa ta nastąpiła dnia 2 grudnia r. 1805, w której o mało że obaj cesarze, Franciszek austryacki i Aleksander rosyjski, nie dostali się w niewolę, bo już prawie byli otoczeni. Z biedą tylko reszty rozbitego ich wojska wycofały się z tej katastrofy, a wkrótce też zawarty był pokój, poczem wojsko rosyjskie odwrót do kraju rozpoczęło.

W miesiącu styczniu r. 1806 wśród ciężkich mrozów przechodziły napowrót te wojska, niegdyś tak świetne, przez Kraków. Ale jakże był smutny

stan owej niedawno tak groźnej armii!... Trudno pojąć i wyobrazić sobie, jakim sposobem w przeciągu kilku tygodni tak ogromna zmiana nastąpić mogła. Owe pułki, niedawno tak liczne, teraz prawie tylko z niedobitków złożone, mundury ich zdarte, owe hełmy z pióropuszami i kitami zastąpione magierkami i furażerkami, mnóstwo rannych na wozach, marudery, wlokący się kupami w małych oddziałach — a główny korpus przeszedł nawet nocą przez Kraków. Owe ekwipaże, toalety oficerskie z srebrnemi puszkami, wszystko załapili Francuzy, a szczęśliwy ten, który, choć wszystko stracił, gdy z tej bitwy wyniósł w całości głowę, ręce i nogi. Zgoła wojsko, niegdyś idące jak na pewny tryumf, po wieńce laurowe, powracało w najopłakańszym stanie... i tak to widzieliśmy te pułki gwardyi najjaśniejszego cesarza i samodzierżcy wszech Rosyi!

Taki był stan wojska wracającego z pod Austerlitz, lecz jakże okropny był widok miejsca tego olbrzymiego boju? W r. 1806 dnia 1 kwietnia, jadąc do Wiednia, przejeżdżałem przez pobojowisko. Na polach przed Brünnem zastałem jeszcze wszystkie ślady okropnego spustoszenia, zburzone i spalone wsie całe, nawet drzewa, któremi był obsadzony gościniec, obcięte kulami lub na wylot przestrzelone; ogniska wzdłuż całej drogi, na których spaliły się chaty, a przy ich płomieniu koczowały wojska. Na polach, gdzie zaszła bitwa, leżały jeszcze porozrzucone kawałki zielonych mundurów rosyjskich, kawałki skórzanych pasów, szczęty potłuczonej broni i t. p. Tam to malowały się wszystkie skutki gniewu i nienawiści, jakiemi nawzajem

ku sobie tchnęli ludzie, którzy sobie nigdy nic złego nie wyrządzili, którzy się nigdy nie widzieli... Widziałem tam mnogie doły, świeżo ziemią zasypane, w których legły ofiary mordu... W samym Brünnie napotkałem kilka wozów, ładownych strzaskaną bronią, ułamkami pałaszów, lansztoków i t. p., a o które, gdym się pytał wieśniaków, po co je wieźli, jeden z nich odpowiedział mi: „to sem sedlaki nachledali“. Z miejsca mordu mimowolnie odwróciłem oczy i oddaliłem się, a przez duszę moją przeszło tysiąc uwag nad opłakanym stanem ludzi, którzy, mogąc żyć szczęśliwie i spokojnie, padają ofiarą dumy i ambicyi władców i giną w nędzy i cierpieniach... a ci co nawarzyli piwa, stoją z daleka i wcale go kosztować nie chcą!

(*XXVIII*).

Powstanie w Polsce r. 1806—1807.

Po smutnym rozbiorze ojczyzny, gdy każdy z rozdzierców jej część swą nieprawego łupu na swoje kopyto urządzał; gdy Moskwa w Litwie, na Wołyniu i Podolu rządziła po swojemu, a Niemcy do ucisku przydawali jeszcze i urągowisko nieszczęściu Polaków... zjawiła się mściwa Nemezis i Austryacy pod Austerlitz, a Prusacy pod Jeną potężną chłostę z rąk cesarza Napoleona otrzymali.

Wyzwany zuchwałymi przechwałkami Prusaków, a mianowicie zarozumiałych niższych i wyższych oficerów, Napoleon, zaczepiony będąc, szybkością błyskawicy przybył na pole boju... i jednem uderzeniem rozgromił pod Jeną całą potęgę pruską. Gdy legiony polskie we Włoszech pod dowództwem

generała Dąbrowskiego uformowane, zjawiły się na ziemi polskiej i gdy odgłos pieśni: *Jeszcze Polska nie zginęła* odbił się w sercach uciśnionego ludu, powstali Polacy i spiesznie wojsko zbierać i formować zaczęli, tak że już w początku kampanii r. 1807, pierwsze szyki polskie w linii bojowej stanęły i w bitwie pod Czczewem już Prusacy pierwsze ciosy oręża nowego wojska polskiego otrzymali. Tam Polacy zdobyli na Prusakach kilka armat i jedną z tych widzieliśmy tu w Krakowie r. 1809, gdy takową Polacy w bitwie pod Jedlińskim utracili i tę Austryacy z tryumfem tu sprowadzili, gdzie czas jakiś stała w Rynku krakowskim przy głównym odwachu — a teraz jeszcze widzieć ją można w wielkiej zbrojowni wiedeńskiej. Dodam, że jest tam także chorągiew polska z czasów insurekcyi r. 1794 z napisem: *Bronią i żywią* nad dwiema kosami, ale ta się dostała Austryakom w bardzo spokojny sposób, bo przyniósł ją w owym czasie jakiś oddział kosynierów polskich, który, upędzany będąc przez Moskali, przeszedł Wisłę do Galicyi i tam się rozpierzchnął.

Gdy w r. 1806 - 7 Polacy wojsko narodowe formować zaczęli, młodzież nasza zewsząd ochoczo biegła pod ojczyste znaki; mimo przeszkód, które stawiali Austryacy, pilnujący brzegów Pilicy (będącej granicą), gromadami uciekała młódź szkolna z Krakowa, a nawet uprowadzała z sobą synów urzędników austryackich, rodem Niemców [1]). W owym to czasie między innymi poszedł do wojska, opuściwszy szkoły w Krakowie, Wincenty Reklew-

[1]) Np. synów konsyliarza gubernialnego Riedheima.

ski, miły poeta sielski (który tu później w r. 1809 powrócił jako oficer artyleryi, a w r. 1811 wydał z druku sielanki pod tyt.: *Pienia wiejskie*, in 16-o). Był to młodzieniec piękny, łagodny i potulny, i wielce kochany od wszystkich; łączyła mnie z nim wielka przyjaźń. Skończył życie w kampanii r. 1812 w szpitalu w Moskwie, gdzie z trudów kampanii zachorował i młodo dni swoje zakończył. Rodem był z województwa sandomierskiego.

Tych lat kikanaście pomiędzy rozbiorem kraju a sformowaniem i wkroczeniem wojsk polskich do Poznania, Warszawy i Krakowa, należały istotnie do najprzykrzejszych i najtrudniejszych do wytrzymania. Po nieszczęśliwym upadku Polski w r. 1794 i ostatniem jej rozdarciu boleśnie drgające jej części opanowały jedno- i dwugłowe orły czarne i Polakom narzuciły się za panów. W Krakowie białe, w Warszawie granatowe Niemcy, a gdzieindziej znowu kto inny, cierpko panując, napawali goryczą i zniewagą biednych Polaków, wydzierając im skarb najdroższy, bo aż pamięć przodków i dawnych dziejów. Częstokroć chłystek Niemiec, wyrzutek własnej ziemi, głodny chleba (bo kto godniejszy, ten się na swej obsiadał skibie), urzędując w uciśnionym kraju, zuchwale a bezkarnie poniewierał majestat narodowości naszej, a imponując znaczeniem urzędziku swego, najszanowniejszym obywatelom dawnej Polski rozdzierał serce przeszłości pamiętne. Na to złe nie było lekarstwa, bo wyżsi urzędnicy albo o tem nie wiedzieli, albo wiedzieć nie chcieli, żelazną ręką gnębiąc i zdzierając podatkami z miłości ojcowskiej przez cesa-

rza na ludy swe włożonymi) nieszczęśliwy ród polski.

Lecz wszelkie złe, kiedy najbardziej dokucza, zwykle bliskim bywa koniec jego istnienia. Lat dwanaście mijało cierpienia Polaków pod rządem pruskim (chociaż ten był względniejszy i łagodniejszy od innych) — gdy król pruski r. 1806, wywoławszy na bój cesarza Francuzów Napoleona, los i szczęście swego kraju stawił na jedną kartę, która też nieszczęśliwie padła na jego stronę, a bitwa pod Jeną stoczona obaliła przesadne zarozumienie Prusaków o sobie: cała armia pruska rozbitą i zniszczoną została, a wskutek przegranej część Polski, z pod obucha pruskiego wyjęta, przetworzoną została ręką zwycięzcy w krainę oddzielną pod nazwiskiem Księstwa Warszawskiego, którego panującym został Fryderyk August, król saski.

Dwa lata politycznego bytu zaledwie liczyło Księstwo Warszawskie, gdy w r. 1808 zaniosło się na nową wojnę z Francyą.

Przez całą jesień i zimę r. 1808—1809 gotował się cesarz Franciszek uderzyć na Francyę i na jej sprzymierzeńców, do których należało i Księstwo Warszawskie. Zimą ściągały do Krakowa i udawały się nad rzekę Pilicę liczne wojska austryackie, złożone z pułków węgierskich i niemieckich (w których bardzo mało było Polaków), tudzież Kroatów i t. p. Naczelne nad tem wojskiem dowództwo miał arcyksiąże Ferdynand d'Este, brat cesarzowej austryackiej. Gdy już ta armia, która i innym traktem do teatru wojny zdążała, w potężnej się zebrała sile, wkroczył książę Ferdynand w kwietniu r. 1809 do Księstwa Warszawskiego,

a w odezwie swej, datowanej w Odrzywole, jako głównej kwaterze, wezwał Polaków, aby mu się poddali. W odpowiedzi na to wyszły przeciwko niemu z Warszawy nieliczne, ale męstwem i dobrą chęcią ożywione wojska polskie, pod naczelnem dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego. Pierwsze spotkanie nastąpiło pod Raszynem o mil 4 od Warszawy, w którem wprawdzie korpus polski ustąpić musiał przed siłą kilka razy liczniejszego nieprzyjaciela, lecz razem dowiedli Polacy arcyksięciu, że się w kaszy zjeść nie dadzą. Wskutek umowy książę Poniatowski odstąpił Warszawy, którą zajął arcyksiążę Ferdynand, a Polacy przeprawili się na drugi brzeg Wisły na Pragę, celem dalszego prowadzenia działań wojennych.

Trwała i toczyła się wojna na ziemi polskiej przez miesięcy trzy, w której liczbę najeźdźców ważyła odwaga Polaków. W wielu spotkaniach dowiedli Polacy, że własnej bronią ziemi, i nieraz Niemcom cierpką dali lekcyę, np. pod Górą i t. d. Nie wiodło się arcyksięciu i coraz osłabiała jego potęga, a wzmagała się siła wojska polskiego, do którego młodzież ochoczo się garnęła. Nie było co robić w Warszawie, przeto arcyksiąże cichaczem, w nocy opuściwszy Warszawę, zaczął się cofać i wojska swe wyprowadzać, za któremi tuż postępował korpus polski, aż wreszcie arcyksiąże Ferdynand po różnych utarczkach w odwrocie owym pod Kraków przyciągnął, skąd nie tak dawno jak wyprowadził hufce swoje, marząc zapewne o laurach i łatwem zwycięstwie, które się odnieść spodziewał.

Cały bieg tej wojny był wielką tajemnicą okryty dla mieszkańców Krakowa, czasem tylko wydawali Austryacy *extrablaty* o swoich zwycięstwach, z których widać było, że były przesadzone i naciągane. Taili zaś najszczelniej swoje porażki, osłaniając je tylko kiedy niekiedy przyprowadzeniem do Krakowa małych oddziałów jeńców Polaków. Najliczniejszy ich transport przyprowadzili z bitwy pod Jedlińskiem około Radomia, lecz była to sama prawie ruchawka wielkopolska, wojacy improwizowani, którzy niedawno na głos generała Dąbrowskiego, porzuciwszy motyki i narzędzia rolnicze, w chłopięce prawie dłonie ujęli lekkie fuzyjki, jakie kto miał, i z temi czoło staremu żołnierzowi stawić odważyli się. Takich to wojaków około 200, ubranych w białe spencerki z zielonym kołnierzem, w płóciennych pantalonach, ludzi zaledwo z dzieciństwa wyszłych, których ani czasu, ani pieniędzy nie było, aby lepiej ubrać, przyprowadziła do Krakowa ciężka austryacka konnica, pod liczną eskortą piechoty prócz tego, a ustawiwszy ich wpośród Rynku i otoczywszy dokoła z dobytą bronią, pokazywała Krakowianom swoje przewagi wojenne. Wtedy to słyszałem na własne uszy, jak kirasyer zapewniał otaczających i ciekawie wypytujących go Niemców, że już wszystko pobite, rozproszone, zgniecione, i że tylko mało co do pokonania zostaje, czem się ich fizyonomie wielce rozjaśniły, a nasze się zachmurzyły.

Na wiosnę r. 1809, około końca maja, odebrała armia austryacka znaczne posiłki. Były to bataliony landwerów, jako tako wyćwiczone w robieniu bronią. Uzbrojeni byli należycie jako lekka

piechota, niektórzy mieli sztućce jako strzelcy, a zamiast bagnetów osadzone w ich miejsce nakształt szabel szerokie ostrza; ubrani byli w krótkie do kolan katanki koloru jasno kawowego, na głowach kapelusze z podniesionem z jednego boku kołem, *à la Henri IV.* Byli to Morawcy, Czechy, Ślązacy, ludzie po większej części młodzi, sami rzemieślniczkowie i t. p., których przeznaczeniem było stanowić rezerwę; żołnierz to był nietęgi, bez serca i pełen obawy, z ogniem nie ochrostany. Od takich to wojaków kapitana dano na kwaterę w domu po-Gröblowskim (Józefa Mateckiego), którego poszedłem przywitać imieniem gospodarza. Znalazłem w nim człowieka wcale nie wojennego ducha, miłego i uprzejmego, syna właściciela dóbr w Czechach, a zatem panicza, który miał swój ekwipaż. Rozpoczął on ze mną gawędkę, pytając się troskliwie, jak daleko jest nieprzyjaciel i co to za rodzaj wojska, z którem oni bić się idą? Gdyż, jak wyrozumiałem z niego, wpojono w nich i utrzymywano przekonanie, że całe wojsko polskie jest zbieraniną chłopów, po największej części uzbrojonych w pałki, *mit Knüteln bewaffnet.* Zastanowiła go moja odpowiedź, gdym mu wspomniał, że to nie musi być tak, jak on mówi, bo trudno byłoby chłopom uzbrojonym pałkami odebrać szturmem fortecę, której bronił liczny garnizon pod komendą generała, nazwiskiem Pulski, i dobra artylerya, jaką jest ces. austryacka, a tą fortecą jest Zamość.

Landwery te zostały wkrótce (jak to mówią) przypuszczone do pocałowania ręki po wyjściu z Krakowa — i niedługo przywieźli do szpitali krakowskich rannych z ich szeregów, czego siedząc w do-

mu przy warsztatach wcale sobie nie życzyli, ani się spodziewali.

Od niejakiego czasu Kraków był prawie jak odcięty od dalszych okolic kraju. Wojska polskie już za Pilicę przeszły, we Lwowie i w Galicyi gościł generał Różniecki i związki pocztowe były przecięte. Do Krakowa prawie nikt z teatru wojny nie przybywał, przeto w zupełnej byliśmy niewiadomości, co się dzieje. O tem, że wojska austryackie wzięły w skórę pod Górą przy Pradze, dopiero dowiedzieliśmy się wtedy, gdy cały korpus oficerów od regimentu piechoty, mającego wyłogi koloru tabaczkowego, przybył na podwodach do Krakowa. Cały regiment ten okopany pod Górą przy Pradze wraz z artyleryą został w niewolę zabrany i tylko oficerowie na „słowo honoru“ wolno puszczeni. Na początku lipca zaczęły się przebijać wieści, że arcyksiążę Ferdynand, nic nie wskórawszy, czyni poruszenia wsteczne i uchodzi, ale my nie wiedzieliśmy przed kim.

Dnia 13 lipca przyszła niemal cała armia inwazyjna austryacka pod Kraków, już potężnie przerzedzona, i przybywali ranni, którzy już tu w pobliżu Krakowa, pod Książem i t. p. guzy odnieśli. Zrana dn. 15 lipca, było to w piątek, od żołnierzy z regimentu piechoty Kotulińskiego, z żółtemi wyłogami dowiedzieliśmy się, że Polacy już są niedaleko. Około południa, podczas gdy cała ludność Krakowa znajdowała się w Rynku i na ulicach (któż bowiem przy takich okolicznościach obsiedziałby się przy warsztacie) — nagle z góry Michałowickiej zagrzmiały wystrzały armatnie. Austryacy, stojący na Rynku, tudzież około wałów,

ciągnących się pomiędzy furtką Mikołajską i bramą Floryańską, które jeszcze w całości wtedy stały, wyruszyli ku Kleparzowi i za tem przedmieściem zajęli stanowisko na dawnych okopach, jeszcze w r. 1794 w czasie rewolucyi wzniesionych. Ustawili na tychże armaty a po mieście zaczął się ruch niesłychany: huzary, dragony i oficerowie na koniach upędzali się z miasta ku przedmieściom i napowrót; zdawało się, że się w okopach tych bronić będą, a potem (jak mówiono) zapalą przedmieścia dla osłonienia swej rejterady za Wisłę. W czasie tym padały kiedy niekiedy pojedyncze wystrzały armatnie i kule aż pod Kleparz dolatywały. Zaczęli się także pokazywać po ulicach ranni, tak Austryacy, jak polscy żołnierze, których do szpitala przeprowadzano; sam widziałem okropnie ciętego strzelca konnego (szasera) polskiego, skrwawionego i rękę zawiązaną mającego. W tem ogólnem zamięszaniu wyszedłem i ja na Kleparz, a idąc Długą ulicą, spotkałem, jak nieśli żołnierze na drabince od wozu rannego, a może i zabitego huzara. Leżał tamże pod ścianą zabity koń huzarski, któremu kula armatnia cała górną kość szczękową wyrwała: koń był w piersi pchnięty pałaszem, zapewne przez własnego jeźdźca, z litości, aby się długo nie męczył. Pierwsze to były znamiona wojny, które wzrok mój uderzyły. Nie bawiąc dłużej na Kleparzu, gdy i konnica austryacka pospólstwo odganiała, powróciłem do miasta, gawroniąc z drugimi po Rynku. Sklepy były w tym dniu zamknięte i warsztaty puste, a każdy gdzie kto mógł wstępował na wyższe miejsca, na dachy, kominy i t. p., aby coś ujrzeć. Ja sam wdrapałem

się po dachu na altanę wysoką domu Lubowieckiego i tam po południu 2 lub 3 godziny siedziałem. Panowała przez te pół dnia wielka niepewność i obawa, bo nikt nie przewidywał końca tego zamięszania.

Słońce właśnie miało zachodzić, wszystko uciszyło się, a wojsko austryackie ciągle to samo zajmowało stanowisko [1]). Tylko z dachów spostrzegano niekiedy pikiety konnicy, która uwijała się po polach około Prądnika i t. p. Większa część ludności Krakowa snuła się po Rynku, gdy w tem nagle dał się słyszeć tentent konnicy i odgłos: Moskale idą! Jakoż hurma ludu rzuciła się pędem ku ulicy Grodzkiej ku kościółkowi św. Wojciecha, i tu spostrzegliśmy oddział niewielki dragonów i kozaków z oficerem rosyjskim, których atoli prowadził oficer austryacki. Ci natychmiast, zsiadłszy z koni i założywszy bagnety na karabinki, obsadzili odwach główny pod wieżą ratuszną, a Austryacy zeszli. Przybyli oni przyspieszonym pochodem w jednym dniu aż z Tarnowa. Powiększyła się trwoga, bo nikt nie wiedział, jaką w zdarzeniu tem wojska rosyjskie grać będą rolę, ani nawet nie wiedzieliśmy, że Moskale się zbliżają. Mówiono, że mają oni być posiłkującymi wojsko polskie, zwłaszcza że cesarz Aleksander z cesarzem Napoleonem byli w stosunkach wielkiej przyjaźni, ale nikt w szczerość tego przymierza nie wierzył. (Potem za tę przyjaźń Rosya oderwała od Galicyi

[1]) Tak już zbliżyli się nasi, że wieczór słyszano capstrzyk polski na przedmieściach, dokąd głos bębnów dochodził.

w czasie pokoju Presburskiego dwa cyrkuły: Złoczowski i drugi Zaleszczykowski).

Nadeszła nareszcie noc, a nie wyjaśniła się ta niepewność, i jaki taki udał się na spoczynek, ciekawy jutra. Wprawdzie już przed wieczorem dn. 14 lipca przybyli parlamentarze polscy do głównej kwatery austryackiej tu w Krakowie i działy się układy, ale treści takowych nikt nie był świadomy. W skutku takowych usuwały się w nocy wojska austryackie z Krakowa na Podgórze, co się działo w wielkiej cichości, a wojsko nawet nie szło przez miasto, tylko przedmieściami około murów.

Rano d. 15 lipca, około godz. 4 ej, przebudził mnie turkot kół po bruku prędko pędzącej bryczki. Wyjrzałem oknem i spostrzegam oficera polskiego siedzącego w tej bryczce, który z ulicy Grodzkiej udawał się w Rynek, a około niego czterech ułanów polskich cwałujących. Zebrawszy się naprędce, pospieszam ku Kleparzowi, dokąd także dążył, kto w Boga wierzył. Wychodzę za rogatki za św. Floryanem, a tam już stała piechota polska, która w ten moment przy odgłosie bębnów ruszyła do miasta. Gdym przybył ku bramie Floryańskiej, ujrzałem oddział jazdy polskiej spieszno idącej z ulicy Długiej do bramy Sławkowskiej i razem spostrzegłem szwadron huzarów moskiewskich, stojących w szyku na Kleparzu. Nie bawiąc, biegniemy w Rynek krakowski, a za chwilę zaczęła się wysypywać z ulic piechota, jazda i artylerya polska, które stają w Rynku, jak równie kłusem z ulicy Grodzkiej do Rynku tłoczy się jazda i artylerya konna rosyjska. Po niedługiej przerwie

zjawia się i ks. Józef Poniatowski, otoczony głównym sztabem, przy nim generałowie Dąbrowski, Zajączek i inni, poprzedzeni oddziałem guidów. Tu pod kościółkiem św. Wojciecha zastępuje drogę księciu-dowódcy magistrat i znakomitsi obywatele miasta Krakowa, oddając mu klucze od bram miasta [1]). Krótko zabawił książę przy tej delegacyi, gdyż nagliła potrzeba wydawania dalszych rozkazów i rozporządzeń, wskutek których kolumna ułanów polskich popędziła do ulicy Grodzkiej, dążąc na Podgórze na prawy brzeg Wisły. Podgórze bowiem, stosownie do umowy dnia poprzedniego z arcyksięciem Ferdynandem, miało zająć wojsko polskie i razem taką przestrzeń miejsca za Podgórzem, jaka była potrzebną na rozwinięcie się całego korpusu polskiego. W ulicy Grodzkiej wojsko polskie napotkało się z ciągnącem do miasta od Podgórza wojskiem rosyjskiem, skąd powstało wielkie zamięszanie, a nareszcie oba te wojska tak się ciasno zeszły w stojącej jeszcze wówczas Grodzkiej bramie, że ułani polscy nie mogli się za tę bramę na Stradom dostać i aż poboczną bramą w około zamek obiegli, udając się za Wisłę.

Zjawienie się to wojsk rosyjskich w Krakowie, jak było niespodziewane, tak też i niemiłe, aż wreszcie dało powód do wniosku, że Austryacy nie dotrzymali umowy i onych dla zwiększenia trudności sprowadzili. W krótkiej chwili Rynek krakowski tak się obu wojskami, piechotą, jazdą

---

[1]) Przy pierwszej edycyi mojego opisu Krakowa są trzy rycinki, przedstawiające zdarzenia w czasie tego zajęcia Krakowa przez wojsko narodowe.

i artyleryą zapełnił, że pomimo znacznej obszerności jego ani ruszyć się nie było można.

Po południu, aż do wieczora, trwało rozlokowanie tymczasowe wojsk na kwaterach w mieście i na przedmieściach. Umowa, czyli rozejm z arcyksięciem Ferdynandem, kończyć się miała w dniu następnym, kiedy tymczasem przybiegł w nocy kuryer francuski z głównej kwatery cesarza Napoleona, donosząc o zawieszeniu broni, wskutek warunków, którego wojska z sobą walczące miały z obu stron pozostać w tych stanowiskach, jakie w tej chwili zajmowały; z tego zatem powodu cała postać wypadków się zmieniła. Według kombinacyi z generałem Suwarowem, dowódcą przybyłych do Krakowa wojsk rosyjskich, synem owego starego i pamiętnego z czasów upadku Polski Suwarowa, Moskale zajęli kwaterami Stradom, Kazimierz, Podgórze i cały prawy brzeg Wisły; Polacy stanęli na kwaterach w mieście pod Grodzką bramą, tudzież na wszystkich przedmieściach i wsiach okolicznych na lewym brzegu Wisły. Ks. Poniatowski założył główną kwaterę swoją w pałacu pod Krzysztoforami, a gen. Suwarow stanął kwaterą w pałacu Spiskim obok niego. W Rynku ustawiono baraki czyli budy drewniane (były to kramy jarmarczne), w których mieścili się żołnierze polscy, a w osobnych znowu Moskale. Główny odwach polski był przed pałacem pod Krzysztoforami, a rosyjski przed gen. Suwarowem. Armaty polskie stały przy kościółku św. Wojciecha, naprzeciwko ulicy Grodzkiej, a rosyjskie przed kościołem Panny Maryi; liczne zaś pikiety jazdy, tak polskiej, jak rosyjskiej, obozowały w kilku stano-

wiskach wpośród Rynku, tak się stykając z sobą, że trudno było przejść pomiędzy niemi; stąd też na Rynku tak było nieczysto, że ten wydawał się jak wielka obora, i musiano spędzać fury wiejskie, żeby te barłogi i nawóz zabierały i wywoziły.

Tak stały rzeczy na jednym stopniu przez przeciąg czterech miesięcy, to jest przez cały ten czas, w którym toczyły się układy o pokój w Presburgu. Stan ten dopiero się wtedy zmienił, kiedy już stanął traktat pokoju pomiędzy Austryą i Francyą. Po ogłoszeniu traktatu pokoju Moskale ze wszystkiem odciągli do swych granic, a wojsko polskie udało się do Warszawy, do kraju Księstwa Warszawskiego, i tylko na ciągły garnizon zostały w Krakowie pułk 12-ty i 15-ty piechoty, tamten pod komendą pułkownika (a potem w r. 1830—31, w wojnie rewolucyjnej generała) Jana Weissenhofa, ten pod dowództwem pułkownika Miaskowskiego, tudzież pułk 3-ci ułanów pod pułkownikiem Radzimińskim i 12-ta kompania artyleryi, którą dowodził kapitan Wincenty Reklewski. (W tej jego kompanii służył za sierżanta sławny Kazimierz Brodziński, ulubiony poeta, który wówczas ze mną w jednej stancyi w domu Gröblowej przez 6 miesięcy mieszkał, stojąc tam kwaterą).

Nie należy tu zamilczeć, że w dniu 15 sierpnia, jako w dniu imienin cesarza Napoleona, odbyła się wielka parada wojenna, czyli przegląd na błoniu krakowskiem, rozciągającem się między miastem a górą św. Bronisławy. Cała armia polska ściągnęła na tę uroczystość z okolic do miasta: piechota, jazda, artylerya, a nawet i ruchawka wystąpiły na tę ogromną równinę i tam, ustawiwszy

się w szyku, całą tę przestrzeń okryła. Był to widok wznoszący serce każdego Polaka, patrzeć na wojsko pięknej postawy; a co szczególniejsza i w dziejach wojny nie praktykowana, że armia ta była daleko liczniejszą po wojnie, niż w początku wojny. Z uniesieniem witaliśmy białe orły polskie, wznoszące się w powietrzu na miejscu rozdartego czarnego. Muzyki pułkowe grzmiały i zapełniały powietrze. Książę Poniatowski przejechał kilka razy pomiędzy szeregi, witany głośno wiwatami żołnierzy i ludu przypatrującego się. Po odprawionym przeglądzie cała armia przeciągała około niego, otoczonego swoim głównym sztabem, dowódcami pułków, a nawet znaczną liczbą generałów i wyższych oficerów rosyjskich, którzy tu w tym celu zgromadzili się, przybywszy nawet z Galicyi, którą wtedy całą zajmował korpus rosyjski.

Cały prawie ten dzień 15 sierpnia zeszedł na tym przeglądzie wojska narodowego, które potem rozchodziło się na swoje kwatery lub na okoliczne wsie i swoje stanowiska. Wieczorem tego dnia na uczczenie imienin cesarza Napoleona było całe miasto wspaniale iluminowane: w wielu domach jaśniały przeźrocza z cyfrą Napoleona, portretem jego i różnymi symbolami. Miasto zaś na przywitanie wojska kosztem swoim wyprawiło nader świetny i okazały bal w Sukiennicach, na którym mnóstwo dam i osób dystyngowanych i prawie wszyscy oficerowie wojska polskiego byli obecnymi. Ogromna sala Sukiennic pysznie była oświeconą, oraz wspaniale przybraną w lustra, posążki, zwierciadła, w całej dłużyznie zastawiona kanapami i krze-

słami, których mieszczanie i mieszkańcy dostarczyli. Wspaniałość widoku tego podnosiły jeszcze toalety dam, a nadewszystko świetne mundury wojska narodowego. Damy częstowane były cukrami, chłodnikami, mężczyźni, a szczególniej oficerowie, pieczystem, ciastem, różnymi napojami, a mianowicie dobrem i starem winem, do czego też dwa razy prosić się nie dali, jedząc, a jeszcze bardziej spijając potężnie. Zgoła ten bal ogromny koszt za sobą poniósł, bo liczba gości ogromna, a ci nie żałowali sobie tego, co ich nie kosztowało. Tym sposobem miasto wypłaciło się bardzo kosztownie wymaganiu oficerów, którzy ciągle utyskiwali, że ich miasto źle przyjęło, bynajmniej nie względni, że położenie Krakowian w epoce tej nie było takie, aby przesadzonym ich spodziewaniom się zadosyć uczynić było można.

Czas ten kilkomiesięczny zawieszenia broni, a nawet i następny, był chwilą ogromnych wysileń. Najprzód żywienie wojska na kwaterach przez właścicieli domów, a nawet i mieszkańców, wielkie przynosiło wydatki, gdy jeszcze przytem żołnierze dopominali się wygód, jedzenia i t. p. w bardzo przykry sposób. Nieustanne jedne po drugich następowały rozkłady pieniężne, to na kupno koni dla jazdy, to na umundurowanie wojska, na obuwie dla tegoż, na magazyny i t. p., bo właśnie wtedy formowano kilka nowych pułków wojska, które z jakichś ówczesnych politycznych względów miały nazwę pułków galicyjsko-francuskich i znaki francuskie. Takie same ciężary ponosili i właściciele wiejscy, którzy wtedy w znaczne długi zabrnęli, słowem wszystkiego dostarczyć musieli

mieszkańcy kraju, na wszystko składać podatki, bo skarb krajowy w nędznym był stanie i żadnych nie miał zapasów. Lecz wszystko ponosili chętnie, ciągnęli się do ostatka, bo widzieli, że to na rzecz odradzającej się ojczyzny.

Stało wojsko polskie garnizonem w Krakowie przez rok 1810 i część roku 1811. Z wiosną tego roku, dopełniając woli rządu, wyszły te trzy pułki d. 5 maja ku Warszawie, bo zanosiło się już na ową krwawą wojnę, która w r. 1812 rozpoczęła się. Po wyjściu wojska regularnego straż nad bezpieczeństwem miasta objęła gwardya narodowa, złożona z mieszczan, która się w r. 1810 uformowała, Uzbrojoną i umundurowaną będąc jak wojsko regularne, czyniła ciągle jego służbę. Było tej gwardyi kompanii sześć, t. j. jedna grenadyerów, jedna woltyżerów czyli strzelców, a cztery fuzylierów. Po wejściu do Krakowa Moskali w r. 1813 została broń tej gwardyi odebrana i takowa się rozwiązała.

Takie jest wierne wystawienie ówczesnych zdarzeń, których tu byłem świadkiem w Krakowie. Piszę poprostu, tak jakbym to komu potocznie opowiadał: nie wchodzę w przyczyny zdarzeń, ani w przewidywania skutków, jakie te za sobą pociągnąć miały. To jeszcze tu dodam, że gdy owa potężna armia austryacka, o której wyżej wspomniałem, na tę wojnę przez Kraków przeciągała, patrząc na liczne zastępy, na ich uzbrojenie, na wielkie zapasy potrzeb wojskowych, byliśmy niemal pewni, że rozbije, rozproszy i prawie zgniecie na miazgę słabe wojsko polskie, niedawno zebrane i z wojną nie oswojone, a tymczasem inaczej się stało i wypadki inny wzięły kierunek. Nie mogliś-

my wyjść z zadziwienia po skończonej wojnie, jak wielką liczbę jeńców zagarnęli Polacy, gdy ci zaczęli przechodzić przez Kraków z powrotem do Austryi, i powzięliśmy to przekonanie, że nie liczna piechota, dobrze wyekwipowana jazda i potężna artylerya stanowią o losie wojen, ale siła moralna wpływ na jej wypadki wywiera; a taką jest pewność i to przekonanie, że się dobrej broni sprawy, że się bije za własną ziemię — i te to wojenne podstawy najpewniej do osiągnięcia zwycięstwa prowadzą. *(XXVIII).*

Oblężenie Zamościa.

Dni pięknych, dni chwały narodu, pamięć ginąć nie powinna. Zdobycie Zamościa przez wojsko polskie w r. 1809 przypomina jeden z tych czynów waleczności, którymi karty dziejów t. j. nieszczęść i chwały narodu są okryte.

Twierdzę tę osadzoną trzymał liczny garnizon austryacki pod komendą generała czy pułkownika Gulskiego (był to Czech lub Morawiec). Wojska nasze zbliżyły się pod nią przyspieszonym pochodem, a podejść pod nią, szturm przypuścić i opanować, było dziełem jednej chwili.

Kilkotysięczny garnizon Zamościa składali po części nowozaciężni, a pomiędzy tymi wielu było Polaków, którzy naturalnie niewielki stawili opór. Następującą anegdotę opowiadał mi p. Aleksander Huisson, przyjaciel mój, kapitan w pułku 2-gim Księstwa Warszawskiego, który kompanię swoją osobiście pod wały Zamościa prowadził. Przed świtem jeszcze zbliżył się pod bastyon w miejscu, gdzie miał rozkaz, na czele oddziału żołnierzy nio-

sących drabiny; mimo największej cichości, jaką zachowywał, słyszy z wierzchu bastionu placówkę (był to rekrut Polak), wołającą *wer da!* Nie tracąc przytomności odpowiada on przytłumionym głosem:

Cicho! cicho! — nie rób hałasu!...

Żołnierz austryacki: A któż wy jesteście?

Huisson: Jesteśmy Polacy.

Żołnierz: A możebyście wy chcieli tu wleść?

Huisson: A juści, tylko bądź cicho.

Żołnierz: O tędy trudno, bo tu wysoko — ale idźcie trochę w bok, tam niższy wał, i tam lepiej będzie.

Jakoż kapitan Huisson usłuchał rady poczciwego rekruta i bez trudności, ani jednego nie zrobiwszy wystrzału, dopełnił zlecenia i wszedł na wały Zamościa. (*LX*).

Zaciąg rekrutów do wojska r. 1810—12

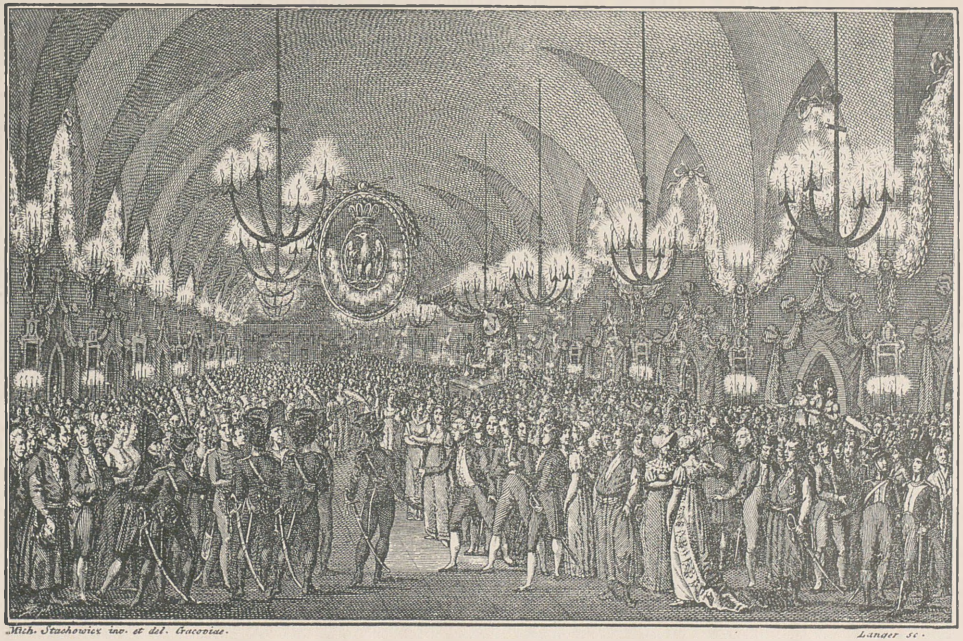
Zaledwo wojska polskie zajęły po Austryakach województwa Lubelskie, Sandomierskie i Krakowskie, zaraz ustanowione władze zaczęły formować kilka nowych pułków, którym, jak wyżej wspomniałem, dano nazwisko: wojsko galicyjsko-francuskie. Miłą zapewne dla następców naszych będzie rzeczą dochowanie im pamiątki ubiorów tego wojska polskiego z czasów Księstwa Warszawskiego. Pomysł tych rycin należy się Józefowi Mateckiemu, który je Michałowi Stachowiczowi rysować, a Sebastyanowi Langerowi w Wiedniu sztychować kazał. Były one tamże kolorowane. Obecne rycinki tu są w Krakowie iluminowane, ale wiedeńskie są daleko dokładniejsze, bo pomię-

dzy mundurem zielonym i granatowym bardzo małą iluminator zachował różnicę.

Piękne też to było wojsko: chłopcy na wybór dorodni, ozdobnie a nawet za kosztownie na ubogi stan kraju ubrani, w robieniu bronią zręczni i dobrego ducha pełni; stąd żadnej nie było biedy z rekrutowaniem, które ułatwiało się na sposób francuski przez konskrypcye i losowanie. W części znacznej szeregi wojska uzupełniały się przez dobrowolny zaciąg ochotnikami, a jeśli potrzeba było liczby większej, natedy w powiatach wzywano wszystką młodzież do służby wojskowej zdolną. Skoro ta zgromadziła się do miasteczka powiatowego, w miejscu urzędowem każdy wyciągał los, i gdy taki na niego padł, szedł ochoczo do miasta departamentowego, gdzie odbierał przeznaczenie, do którego pułku i gdzie ma się udać. Kiedy sprowadzono do Krakowa popisowych już po losowaniu, tedy ci przychodzili tu bez żadnej straży i tylko szedł przed nimi dobosz wiejski, najczęściej z bębnem z kościoła parafialnego lub magistratu miasteczka pożyczonym, tudzież dwóch lub trzech wójtów lub sołtysów wiejskich z laskami urzędowemi, z wielką mosiężną gałką, którzy prowadzili po kilkadziesiąt młodzieży, a ci maszerowali za nimi w parach, śpiewając zwykłe wiejskie piosnki.

Nauka musztry i robienia bronią szła im z taką łatwością, iż w dni kilka, częstokroć jeszcze przed rozdaniem im mundurów, nowi żołnierze w kitlach wiejskich już się równali w zręczności dawniejszym.

Niemcy, urzędnicy austryaccy, których tu została znaczna liczba, czekając nim się ich los roz-



»WEWNĘTRZNE OŚWIECENIE SUKIENNIC NA PRZYIĘCIE WOYSK POLSKICH«.

WEDLE MIEDZIORYTU LANGERA Z RYSUNKU STACHOWICZA (OBACZ »KATALOG« ŚWIEYKOWSKIEGO NR. 383).

strzygnie, gdyż byli w nadziei, że im jeszcze Kraków będzie zwrócony, słupieli z zadziwienia na widok tej ochoty, z jaką każdy udawał się do wojska, tudzież nad pojętnością polskiego włościanina — podczas kiedy do wojska austryackiego w największym sekrecie w nocy łowić rekrutów i powiązanych zwozić musiano do miejsca, gdzie ich odbierać miano, a nadto, gdy przyszło uczyć ich musztry, była ciągła potrzeba kija, którym kapral niechętnych rekrutów okładał. Ale różnicy tej łatwo wynaleść przyczynę: tam Polak musiał się bić za Niemców, a tu szedł walczyć *pro aris et focis*. (*XXVIII*).

Bytność w Krakowie króla Fryderyka Augusta 1810 r.

W miesiącu maju r. 1810 przybył do Krakowa król saski i książę warszawski Fryderyk August z żoną i jedynaczką córką Nepomuceną, ową infantką saską, którą sejm konstytucyjny na tron Polski zaprosić zamierzał. Na przyjęcie jego zjechał z Warszawy do Krakowa ks. Józef Poniatowski, minister wojny Księstwa Warszawskiego. Dwa pułki piechoty polskiej, artylerya i pułk jazdy, garnizonem tu stojące, wystąpiły jak najświetniej, a nadewszystko pułk 3-ci ułanów, który właśnie w ten czas nowe otrzymał mundury.

Krakowianie przyjęli tego znakomitego gościa jak najserdeczniej. Tłumy ludu wyszły przed niego i prowadzony był z okrzykami radości do mieszkania pod Baranami na rogu ulicy św. Anny, gdzie mieszkał przez dni kilka. Odwiedził on akademię i był na posiedzeniu naukowem, gdzie wobec niego

czytał uczoną rozprawę profesor Sołtykiewicz (jest ona drukowana); był w katedrze i w innych kościołach, w zamku, w Wieliczce. Miasto było iluminowane, a w Sukiennicach, przybranych stosownie w zwierciadła, kanapy, krzesła, i oświeconych jak najokazalej, dany był wielki bal na kilka tysięcy osób kosztem miasta, na którym i on z królową i księżniczką był obecnym; w środku Sukiennic mieli wzniesione siedzenie nakształ tronu. Przechodząc się w podłuż Sukiennic rozmawiał z damami i znakomitszymi obywatelami i urzędnikami, przyczem używał jeszcze cokolwiek i polskiego języka, którego jako królewicz polski uczył się w młodości. Zabawiwszy godzin kilka i przypatrzywszy się tańcom, pożegnał uprzejmie zgromadzonych około siebie, udał się na spoczynek i podobno zaraz w dniu następnym (gdyż już tego szczegółu zapomniałem) z Krakowa się oddalił.

(XXVIII).

Kraków w r. 1812—3.

W ciągu zimy r. 1812-13 ściągały się do Krakowa małymi oddziałami wojska różnej broni i różnych narodów sprzymierzonych z Francyą, jako to Sasy, Bawarczykowie i t. d., tudzież Francuzi w gromadzie po kilku, a nawet i pojedyńczo. Byli to tak żołnierze prości, jako i oficerowie niższych stopni, których zebrano w jeden batalion. Oddane miał sobie ich dowództwo zacny przyjaciel mój Samuel Różycki (w r. 1831 generał) i ten ich ćwiczył w robieniu obrotów wojennych. W batalionie tym, gdy oficerów było za wielu, niektórzy czynić musieli służbę podoficerów, a nawet i pro-

stych żołnierzy. Na wiosnę r. 1813 batalion ten w połączeniu z korpusem wojsk polskich wyszedł z Krakowa, dokąd zbliżał się korpus wojsk rosyjskich, i w Saksonii połączył się z armią francuską.

Co do korpusu wojska polskiego, ten pod dowództwem ks. Józefa Poniatowskiego zgromadził się w Krakowie, prowadząc z sobą znaczną ilość armat, które uratował, podczas gdy inne wojska sprzymierzone prawie wszystko utraciły. Przez te trzy miesiące r. 1813 wojsko to znakomicie się wzmocniło ochotnikami i nowozaciężnymi, których dostarczyło Krakowskie i inne pobliższe części kraju, nie zajęte jeszcze od nieprzyjaciela. W tym to czasie uformowała się tu w Krakowie owa lekka jazda na małych wiejskich koniach, żołnierze w swoich zwyczajnych ubiorach: sukmanie białej i czerwonej czapce krakowskiej – zwana Krakusy. Uzbrojeniem takiego jeźdźca była pika z proporcem, szabla i para pistoletów. Gdy w Saksonii oddział tych Krakusów wystąpił na rewię przed cesarza Napoleona — z początku rozśmieszyła go taka jazda, lecz gdy mu któryś z obecnych generałów francuskich zalety Krakusów opowiedział, a mianowicie, że się mężnie biją i są bardzo użyteczni, rzekł do jednego z marszałków: *faites-moi comme-ça, nous avons aussi en France de ces petits chevaux. (Konia-a* mówiły Francuzy na nasze małe hetki). (*XXVIII*).

Wejście wojsk rosyjskich do Krakowa r. 1813.

Po owej nieszczęśliwej wyprawie do Moskwy krociowych wojsk francuskich pod cesarzem Napoleonem, w której nie oręż, ale okrutna zima całą

tę armię zniszczyła, wojska rosyjskie weszły do Polski, trop w trop idąc za szczętami zniszczonej armii, i cały ten kraj zalały. Dnia 13 maja r. 1813, gdy wojska polskie, które się tu przez te trzy miesiące cokolwiek zorganizowały, pod wodzą ks. Józefa Poniatowskiego udały się przez Austryę do Saksonii, weszły pierwsze oddziały wojsk rosyjskich do Krakowa, złożone z różnej nieregularnej zbieraniny jako to: kozaków, kałmuków i baszkirów, także z różnej holoty pospolitego ruszenia, zwanego „opołczenie“, a byli to poprostu chłopi, czasem w późnym wieku, bo mołojców zabrano do regularnych pułków, w których kampania ta wielkie szczerby poczyniła. Ubrane było to opołczenie w szare gunie koloru habitów bernardyńskich, w czapkach wysokich baranich, a za całe uzbrojenie mieli dzidy. Zaś jazda baszkirska i kałmucka, w ubiorach jakie kto posiadał, uzbrojoną była w przerozmaity oręż, a niektórzy w łuki i strzały, lecz tych nie było wiele. Znakomitsi pomiędzy baszkirami nosili na wierzchu ubiorów pancerze: były to krótkie tuniki albo koszule z cienkiego drutu, w małe ogniwka zahaczane jedno za drugie, z krótkiemi po łokcie rękawami, aby wolne poruszanie rąk przeszkody nie miało.

Szczególny to był widok, gdy wojska te na Rynku krakowskim stanęły. Wszyscy otoczyliśmy je rozdziawiając gęby, przypatrując się ciekawie ludom i koniom, ubiorom i orężom zastępów, które nam przypominały owe smutne czasy, kiedy ćmy Tatarów, pod wodzą Batego, Pety, Nogaja nakształt szarańczy zalewały Polskę, pustoszyły ogniem i mieczem żyzne niwy, uprowadzając ludzi i bydło

w jasyr, uwożąc łupy i co się uwieść dało — i zostawiając na długo po sobie pamięć bytności, zanim się ślady zniszczenia i pożogi zatrzeć zdołały.

Pika, dzida, lanca, darda — owa najpotężniejsza broń starożytnych — w wojnie tej r. 1812—1813 wróciła do dawnego swego znaczenia, a jakby na nowo przyznano jej dawny tytuł królowej broni *regina armorum*. W czasie tym uzbrojona nią była prawie wszystka jazda rosyjska; na własne oczy widziałem na Kleparzu oddział dragonów, którzy przy innej broni mieli jeszcze i piki.

Co do strzelby, którą posiadali nieregularni jeźdźcy baszkirscy, kałmucy i t. p., ta była wielce ciekawą: pistolety, janczarki z fabryk nieeuropejskich lecz z Azyi i innych stron... tak, że można było z niej uformować bardzo ważny i ciekawy gabinet broni. (*XXVIII*).

Jeszcze o kozakach w Krakowie.

Ubiór kozaków był niegdyś prawdziwie malowniczy, teraz jednostajność kroju i koloru widoku takiego już nie przedstawia. Pierwszy raz oglądałem pułki wojska dońskiego (kozackie) za panowania imperatora Pawła I[1]), gdy w 1798 i 1799 r. korpus wojska rosyjskiego ciągnął przez Kraków na wojnę przeciw Francuzom. Widziałem je także tu w Krakowie w r. 1800 z powrotem, w r. 1805, 1809, 1813 w czasie wojen, a zatem pamiętam, jak wówczas wojska dońskie wyglądały. Także r. 1831, 36.

[1]) Moskale na tę wojnę szli pod dowództwem osławionego generała Suwarowa; poznałem tego człekozwierza na Rynku krakowskim r. 1799.

W czasach 1798 r. każdy kozak ubrany był podług własnej fantazyi w suknię koloru i kroju, jaki mu się podobał. Największa część kozaków (prawie wszyscy) nosiła brody i nie było trudno widzieć pomiędzy nimi starców poważnych, lecz rzeźkich, którym śnieżna i gęsta broda całe zakrywała piersi. Czapka wysoka z czarnego baranka osłaniała siwą głowę, a burka z koziej sierci lub kożuch barani chroniła go od słoty i była mu niejako namiotem.

Teraźniejsze (1836) wojsko kozackie składają sami młojcy i nie widać między nimi brodatych ani starców. Wszyscy teraz ubrani są podług jednego wzoru w mundury granatowego koloru, i znikła już ta rozmaitość ubioru, która oryginalnością swoją tyle była zajmującą.

W czasie tych przechodów armii rosyjskiej przez Kraków (zdaje mi się że w r. 1805) prowadził wojska dońskie ataman książę Platow. Był to starzec sędziwy, wspaniałej a prawie patryarchalnej postaci, znacznie otyły, ale krzepki. Podczas przeglądu wojsk kozackich na Rynku krakowskim ubrany był w białe atłasowe szarawary i takiż spencerek czyli kurtkę, którą w połowie figury ściągał pas, albo raczej szarfa. Piersi jego, jak gdyby firmament, okrywały brylantowe gwiazdy i orderowe kresty, które niekiedy z pod śnieżnej gęstej brody jakby z pod chmury błyskały. Okryciem głowy miał piękny kołpak sobolowy, a kosztowny pałasz turecki u boku dopełniał tego pięknego ubrania.

Kozacy, lud z natury dowcipny i przemyślny, stojąc w Krakowie w czasie konfederacyi zosta-

wili niejedną pamiątkę przebiegłości swej. Pewnego razu, wchodząc w tłum żydów szachrajów, snujących się około kościoła św. Wojciecha, w podniesionej ręce kozak trzymał rubla i pyta się: „kotory jud z was pożyczył mi rubla?“ Wysuwa się chciwy żydek, przyznając, że to on uczynił mu tę przysługę. Jeszcze go się kozak pyta, czyli to on sam jest pewnie? a żydek mocno przy swojem twierdzeniu obstaje. Natedy kozak chwytając za rękę żyda mówi: „wozmij tweho rubla“ i żyd bierze — „a teraz oddaj meho czerwieńca“. żyd zgłupiał i chciał się cofnąć, ale mu nie pozwolono, i rad nie rad, biorąc rubla, czerwieńca oddać musiał. (*XXVII*).

Przygody Polaka, oficera w Hiszpanii.

Już ja to nie pomnę, gdzie zapisałem, ale to nie szkodzi, że się tu powtórzę: „Gdybyś w jedno miejsce zebrał krew, którą Polacy wylali w obcej sprawie, a nadewszystko w sprawie Niemców, Moskali i t. d., z tej krwi mógłbyś wielkie utworzyć jezioro lub wielką rzekę. Gdybyś zebrał kości Polaków, rozsiane na polach bitew w Niemczech, Włoszech, Francyi, Egipcie, St. Domingo, Kaukazie — mógłbyś z nich wielką usypać górę“.

Każdy cokolwiek oswojony z ostatnimi wypadkami czasów po rozbiorze naszej ojczyzny wie o tem dobrze, iż wojska polskie miały czynny udział w krwawych bitwach, które się toczyły na Pirenejskim półwyspie w Hiszpanii — podczas kiedy ówczesny władca Francyi, cesarz Napoleon, chciał w miejsce dawnych Burbonów obsadzać trony Europy swoją rodziną i w rzeczy

samej już niektóre trony tym sposobem, dawną usunąwszy dynastyę, braćmi swymi obsadził. Teraz przystąpię do prostego opowiadania, jakie sam z ust czynnego świadka słyszałem, a tym był Jan Lewicki, oficer wojska polskiego, który walczył w Hiszpanii. Opowiadanie to słyszałem w kwaterze Wincentego Reklewskiego, kapitana kompanii 12-tej artyleryi Księstwa Warszawskiego, tu w Krakowie, który to Reklewski jest autorem poezyi sielskich, wyszłych w Krakowie roku 1811 pod tytułem: *Pienia wiejskie* etc., a był moim przyjacielem. Ja dla krótszego dania tej relacyi wprowadzę samego Lewickiego opowiadającego tę przygodę:

Roku 1809 pułk piechoty polskiej, w którym służyłem, był użyty do oblężenia i szturmowania fortecy Saragossy, której Hiszpanie z wielką zaciętością bronili. W czasie jednego takiego szturmu, odebrałem z murów Saragossy ciężki postrzał w nogę, który mię uczynił niezdolnym do dalszej służby wojskowej. Dowódca korpusu oblężniczego uwolnił mię od pełnienia służby i dał mi rozkaz do powrotu do Francyi, celem wyleczenia się z tej rany. Jadąc do tego kraju posłałem w jakiemś miasteczku hiszpańskiem do komendanta placu Francuza, aby mi zaawizował moją marszrutę — a ten polecił mi, abym objął w dowództwo kolumnę około lub przeszło dwóchset jeńców hiszpańskich, idącą w niewolę do Francyi, do czego jako eskortę przyłączonych było czterech huzarów francuskich. Zaledwo wyruszyliśmy z miasteczka, a już przybiegł za nami ordynans, odwołujący owych czterech huzarów, aby spieszyli na rozpędzenie

bandy powstańców, czyli chłopstwa hiszpańskiego, którzy się w bliskiem miejscu kupili. Odeszło zatem owych czterech jeźdźców i przy tej hordzie tylko ja sam z moim Jakóbem pozostałem [1]).

Kolumna ta szła drogą ku granicom Francyi; ja jechałem na dwukonnym wózku, a mój Jakób jechał na mule z wielką rusznicą dla postrachu jeńców. W małem oddaleniu spostrzegłem, że za kolumną pozostał się w tyle jeden żołnierz hiszpański obdarty i z opaloną od słońca fizyognomią. Zebrawszy tedy cały mój zapas słów hiszpańskich, mówiłem mu, aby za kolumną pospieszał, na co on mi odpowiedział językiem polskim: „Niech się pan kapitan nie boi o mnie, bo ja nie ucieknę!“... To usłyszawszy osłupiałem z zadziwienia, bo ta postać z kolorem twarzy spalonej w spiekocie słońca podobniejsza była do czarta, niż do człowieka. Z ciekawością tedy zapytuję tej tajemniczej figury, kto on jest?... A on mi na to taką dał odpowiedź: „Jestem rodem z okolic Krakowa. Przed laty 10 wzięty byłem do wojska austryackiego, a w wojnie z Francuzami dostałem się tymże do niewoli przed sześcioma laty. Siedzieliśmy, jeńcy austryaccy, w jednej fortecy francuskiej w południowej Francyi i mocno się nam przykrzyło życie bezczynne, a nadewszystko że nas gryzło robactwo, bo ubiory nasze z nas pospadały. Pewnego razu przybyli do tego miejsca werbownicy hiszpańscy, którzy dla króla hiszpańskiego wojsko zbierali, i my z pozwoleniem gene-

[1]) Służący Lewickiego, który był jeszcze w służbie u niego w Krakowie.

rała francuskiego, kto chciał, przyjmowaliśmy tę służbę; z oddziału tego przystało kilkunastu ludzi, a między tymi byłem i ja — a byli to Polacy, Niemcy, Węgrzyni, Cyganie i innego narodu ludzie. Gdyśmy przyszli do Hiszpanii, zastaliśmy tam już z innych miejsc przybyłych jeńców austryackich, którzy również służbę hiszpańską przyjęli. Zatem wcielono nas do pułku wallonów i tak przesłużyliśmy lat kilka. Gdy wybuchła wojna Hiszpanów z Francuzami, pułk nasz prawie cały zagarnęli Francuzi w niewolę i właśnie jest to część tego regimentu, która oto idzie przed nami". Gdym go zapytał, czy jest w tym oddziale więcej Polaków? zapewnił mnie, że ich jest znaczna liczba, co posłyszawszy duch we mnie wstąpił i pozbyłem się obawy, którą miałem przed taką zbieraniną i hołotą w całem tego słowa znaczeniu.

Dojechawszy na moim dwukonnym ekwipażu tego oddziału, kazałem stanąć na drodze całej kolumnie i przemówiłem po polsku, aby wszyscy Polacy, którzy tu są, stanęli w oddzielnym szeregu. Jakoż zaraz oddzieliło się ludzi może 50, a byli to Węgrzyni i inni słowianie, którzy się za Polaków utrzymywali. Tedy przemówiwszy do nich jako do ziomków, uformowałem z nich jakby jakiś rodzaj eskorty, która mi do zaprowadzenia jeńców Hiszpanów, Włochów i t. p. służyć miała. Już odtąd szły mi rzeczy spokojnie i cały ten oddział szczęśliwie doprowadziłem na ziemię francuską. Gdym zaś w mieście nadgranicznem francuskiem meldował się u generała, oświadczyłem mu, co zaszło, i powiedziałem, że ziomkom moim zapewniłem służbę wojskową, porobiwszy sierżantów

i podoficerów z ludzi, którzy mi w trudnem położeniu mojem wielką byli pomocą, a zarazem dodałem, że młodemu i wykształconemu człowiekowi, rodem Niemcowi, zapewniłem wstawienie się za nim, aby był zamianowany oficerem, gdyż mi wielce do utrzymania porządku dopomógł. Na to odpowiedział ów generał francuski, że temu zobowiązaniu mojemu z łatwością stać się może zadosyć, bo właśnie teraz formuje się we Francyi kilka pułków na rzecz nowego króla hiszpańskiego (Józefa Bonapartego) i każdy z tych ludzi stosowny stopień w tem wojsku otrzyma. Co dalej zaszło, w co i jak obróciła się ta gromada ludzi, którą ja z Hiszpanii wyprowadziłem, nic z tego wszystkiego nie wiem, gdyż oni wszyscy zostali się w miejscu, a ja wyruszyłem w dalszą podróż ku ziemi ojczystej. — (Ten Lewicki był potem w urzędowaniu cywilnem tu w Krakowskiem i otrzymał nominacyę na podprefekta w Miechowie).

(*XLIII*).

Epizod z czasów pochodu wojska polskiego do Hiszpanii.

Opowiadał mi to Aleksander Kuszański, przyjaciel mój od czasów młodości mojej, który jako chirurg szwadronowy służył w r. 1807—8—9 w pułku konnym dowództwa generała Wincentego Krasińskiego — w czasie pochodu oddziału wojska polskiego do Hiszpanii — co tu własnemi jego słowy piśmiennie powtórzę:

„Kiedyśmy odbywali pochód przez Francyę, przechodząc przez departament *des Landes*, kraj ubogi z ziemią nieurodzajną, stanęliśmy w jednej

wiosce, gdzieśmy dni parę wypoczywali. Znajdowałem się właśnie w kwaterze dowódcy szwadronu z kilku oficerami, kiedy melduje się wiarus jeden z tego oddziału i dobywając jakąś szmatkę odwija i mówi: „Proszę pana kapitana obaczyć, co te szelmy chłopy na obiad mi dały: oto szczur przypiekany!“... Oficer posłał po mera wiejskiego, a gdy ten przyszedł, rozkazał mu, aby sprowadził do niego chłopa, u którego ów żołnierz stał kwaterą... Przyprowadził go tenże, do którego rzekł oficer: „jak ty śmiesz takie paskudztwo dawać żołnierzowi za potrawę?“... Ten odrzekł: „mamy polecone, abyśmy żołnierzom dawali takie pożywienie, jakiego sami używamy. Jest to wprawdzie szczur, ale ja szczury jadam, i gdy pan kapitan każe, to ja zaraz zjem“... Nie było co na to odpowiedzieć i rzekł oficer do żołnierza: „Daj mu bracie pokój, bo cóż począć z takiemi łajdakami, którzy się podobnem plugastwem żywią?“

Kuszański wrócił do Krakowa po upadku Napoleona; żyje dotąd, starzec jak i ja, i niekiedy mię jeszcze odwiedza.

Pisałem to w r. 1859. Umarł r. 1861.

(XXXV).

IV.

Rok 1831.

Klęski, które nieszczęśliwą Polskę w r. 1831 gnębiły, a było ich u nas tyle prawie, jak w Egipcie:

Nieurodzaj. Za pierwsze ogniwo łańcucha klęsk, których nieszczęśliwa Polska w r. 1831 doznała, zaznaczyć trzeba chybiony urodzaj wszelkich płodów rolnych w r. 1830. Chociaż to słynna z żyzności ziemia nasza, przecież w roku tym tak skąpe dała zbiory, iż się ledwo zasiewy wróciły. Nie można z pewnością wskazać przyczyny tego nieurodzaju, gdyż w r. 1830 nie było ani zbytniej posuchy, ani długotrwałych deszczów, i najpodobniej, że uporczywa zima r. 1829—30 szkodziła jesiennym zasiewom. Chybiły wszelkie zboża, mały był zbiór siana, nie udały się jarzyny, nie zrodziły się ziemniaki (owa roślina, której uprawa tak się rozszerzyła i z powodu której chłopek nasz, tym surogatem chleba żyjący, właściwie *solano-phagiem* nazwanym być może) tak, że ledwo w czwartej części zwykłego doszły plonu.

Drożyzna. Skutkiem powyższej przyczyny, mieliśmy nader wielką drożyznę: w r. 1831 funt mięsa od gr. 5 doszedł do gr. 12 — cena chleba prawie potroiła się; kaszki drobnej tatarczanej kwarta podniosła się od gr. 12 do zł. pol. 1; śmietany kwarta także doszła od gr. 12 do zł. pol. 1; masła garniec od zł. 4 do zł. 10; kurczęta od gr. 5 do zł. pol. 1 i gr. 12. Stąd też przez cały ten rok nie jadłem drobiu, który też jak i wszelki nabiał podrożał z tego powodu, że z Warszawy najechało się do Krakowa mnóstwo osób, a szczególniej kobiet, które, odsuwając się od teatru wojny, całe lato tu przemieszkiwały.

Ziemniaki do sadzenia płacone były na wiosnę r. 1831 korzec po zł. pol. 12.

Stagnacya. Gdy wielka sprawa narodu, chcącego byt swój wywalczyć i rozszarpaną ojczyznę w jedno złączyć ciało, wszystkich zajęła uwagę, przeto nastąpiła wielka stagnacya w zarobkowaniu, która się najdotkliwiej uczuć dała trudniącym się handlem i wyrobem rzeczy, nie wchodzących do liczby koniecznych potrzeb życia. W gronie tych znalazłem się i ja z moją księgarnią. Nikt prawie przez cały ten rok nie zapytał się o książkę; wyludniły się szkoły, bo prawie wszystka młodzież doroślejsza poszła do wojska — i cały ten czas tylko czytano gazety. Jedynie rzemiosła niektóre, jak np. szewcy, krawcy, siodlarze, rymarze i t. p., którzy robili ubiory i potrzeby wojenne dla wojska narodowego, na brak zarobku uskarżać się nie mogli. Również i spekulanci dobre mieli żniwo, bo dostarczali broni (tajemnie sprowadzanej z Austryi), skór, płótna, sukna, koni i t. d.

Brak gotowizny. Jak zwykle w czasie wojny wszelkie papiery kursowe upadają w kredycie, (niewątpliwie wszyscy jeszcze pamiętają ogromne straty poniesione na bankocetlach austryackich [1]), tak i teraz upadły w kredycie papiery bankowe Królestwa Polskiego. Brzęczące pieniądze srebrne tak znikły, że nie dopatrzył się nikt dukata, talara ani dwuzłotówki, i tylko krążył po ręku lichy bilon i bilety bankowe, które chcąc przemienić na gotowiznę, stracić było trzeba 20—

[1]) Bankocetli tych ogromne kwoty zostały w r. 1809 po panowaniu austryackiem w Krakowie. Później po wejściu Polaków tak upadły, że reński jeden znaczył tylko na monetę groszy polskich dziesięć, a zatem zeszły do $^1/_{12}$ części wartości.

25 od sta. Z tego powodu zdrożało wszystko, a lud wiejski wcale tych papierów nawet przyjmować nie chciał.

Cholera morbus. Straszna ta choroba wyszła z Azyi; najprzód zjawiła się w Rosyi, a w czasie tej wojny po starciu korpusu rosyjskiego gen. Pahlena pokazała się i w wojsku naszem. Przeciągła ona przez całą Europę, doszła i do Ameryki i miliony ludzi sprzątnęła. Szczególniej lud ubogi, nędznie żyjący, ludzie oddani nałogowi pijaństwa i nieporządnie żyjący ofiarą jej padali. Pierwszym jej objawem były womity i laksowanie gwałtowne — a chory dotknięty nią w kilka godzin życie kończył. Na zamku krakowskim (w pałacu królów!) urządzony był szpital choleryczny, dokąd co chwila znoszono chorych, w łóżkach umyślnie na to przeznaczonych, zieloną ceratą krytych — a w wieczór zwykle wywożono pełne wozy nieboszczyków. Wszędzie po wsiach urządzone były osobne cmentarze dla zmarłych na cholerę, które jako pomniki tej strasznej klęski długo o niej świadczyć będą.

Gwałtowność tej choroby wykaże najlepiej definicya jej przez jednego doktora angielskiego: „Jest to choroba, która się od tego zaczyna, na czem się inne kończą, t. j. od śmierci“.

Zamknięcie granic. Pod pozorem cholery otoczone były granice austryackie od Królestwa Polskiego i Rzpltej krakowskiej ścisłymi kordonami wojskowymi. W odległości kilkudziesięciu kroków jeden od drugiego stał żołdak na straży i nielitościwie strzelał do chcących przejść przez granicę, a nawet pod zamkiem krakowskim wśród

Wisły młody człowiek został zabity, a kobieta postrzeloną. A tymczasem cholera grasowała nadzwyczaj srogo (i daleko gwałtowniej niż u nas) po za kordonami. Takież było zamknienie i od strony Prus, i tak byliśmy tu w Krakowie ściśnieni, jak gdyby w jakiej twierdzy oblężonej. Znikąd nie mieliśmy dowozu żywności, związki między jednym a drugim brzegiem Wisły były przecięte, a to wszystko z przyczyny, aby nieszczęśliwym Polakom znikąd pomocy nie dawano.

Resztę klęsk już tylko ogółem wspomnę, a te były: wojna z okropnymi skutkami, rabunek wszelkiej własności, zabieranie i wywożenie ludzi, prześladowanie za patryotyzm, więzienie najgodniejszych osób — zgoła wszelkie złe, jakie tylko rodzaj ludzki uciśnąć może, i nie pozostawało tylko oczy wznieść ku niebu i mówić:

Któżby o Boże, wytrwał na tej ziemi,
Któżby nieszczęściom potrafił wydolać?
Gdyby się z klęski, łzy i rany swemi
Nie mógł do ciebie odwołać!

(*XXVIII*).

Wejście Rosyan do Krakowa r. 1831.

Kiedy przemocny słabemu urąga,
Sam na siebie śmieszność ściąga.

W pamiętnym wielolicznemi klęskami i obfitym w krwawe zdarzenia r. 1831, kiedy po nieszczęśliwym upadku rewolucyi polskiej słaby i nieliczny oddział wojska polskiego, należący do korpusu zacnego generała Samuela Różyckiego, złożony z samych prawie powstańców i nowoza-

ciężnych, uchodząc przed następującemi i przemocnemi siłami wojska rosyjskiego, wszedł na ziemię krainy, zowiącej się: wolna, niepodległa i ściśle neutralna Rzplta krakowska, aby przez jej terytoryum udał się do Galicyi austryackiej, tam broń złożył i rozszedł się — wkroczyły tuż za nim wojska rosyjskie. I pomimo, że korpus Różyckiego nie szedł przez Kraków i tylko tu pojedyncze indywidua przybyły tak z pomiędzy oficerów, jak i niższych stopni, aby nabyć dla siebie ubiorów i sukien cywilnych — a oddział cały szedł na Chrzanów ku Wiśle, pomimo tego jednak korpus jenerała Rüdigera wszedł do Krakowa i tu powstańców śledził i w głąb kraju wysyłał. Najprzód dnia 20 września wieczorem wszedł oddział kozaków z dwoma działami artyleryi konnej z zapalonemi lontami i amunicyą i galopem pocwałował ku Wiśle do mostu na Podgórze, który natychmiast osadzono i nikogo na Podgórze nie puszczano. Następnego dnia rano weszła piechota i jazda regularna (dragonia) i zajęły całe miasto oraz przedmieścia, wszędzie na wyjściu z ulic do przedmieść rozstawiwszy straż konną, t. j. dragonów z pułku moskiewskiego.

Gdy to wojsko cały rynek krakowski zapełniło, czekając aż mu wskazane zostaną kwatery — wysypały się z domów tłumy ludzi, którzy stali naokoło i przyglądali się. Muzyka pułkowa rosyjska liczna i huczna (choć wcale niemuzykalna) z wyższego zapewne polecenia, urągając się Polakom-Krakowianom, wygrywała z wielkiem swojem zadowoleniem mazurki Dąbrowskiego, Chłopickiego i Trzeciego maja, tudzież piosnki krakusów i t. p.,

co było niemałym nonsensem i nierozsądkiem, bo Rzplta krak. z protektorem swoim Najj. cesarzem rosyjskim nie była wcale w wojnie i milicyi swej przeciw niemu nie wysyłała. My zatem, słuchając tych ówczesnych kompozycyi muzycznych, chodziliśmy około grających, przychwalając, że *haraszo* grają, a spoglądając po sobie z uśmiechem ruszaliśmy ramionami z politowania nad tą brawadą i śmiejąc się z tej małej farsy, która tylko sprawcę jej generała czy innego dowódcę śmiesznością okrywała.

Ta krótka wizyta wojska rosyjskiego kosztowała skarb ubogiej Rzpltej krakowskiej podobno 80 tysięcy za różne dostawy i żywność, których cesarz Mikołaj zwrócić nie chciał. *(XI).*

V.

Notatki z czasów Rzeczpospolitej krakowskiej.

Obawa o byt polityczny tej krainy.

Jan Kochanowski w *Apophtegmatach* pisze o jednym kanclerzu koronnym: „z każdym się zgodzę, tylko z łakomym nie,... bo on chce i ja też chcę“. Z tej to zasady łakomstwa wyprowadzić się da egzystencya Rzeczypospolitej krakowskiej. Wylęgła się ona z chciwości Franciszka I, cesarza Austryi, i Aleksandra I, imperatora wszech Rosyi, którzy na kongresie wiedeńskim r. 1815, czając się pod tarczą okrzyczanego dziś „świętego przymierza“, dzielili się Europą, frymarczyli losami ludów w sposób dumie ich najdogodniejszy i raz jeszcze

nieszczęśliwą rozrywali Polskę. A gdy jeden i drugi upierali się przy odzierżeniu miasta Krakowa, wylądował z wyspy Elby na ziemię francuską ów pogromca cesarzów, cesarz Napoleon, i przyspieszył decyzyę kongresu, który o losie Krakowa w ten sposób zadecydował, że owe pograniczne jemu potencye, zazdroszcząc go jedna drugiej, wreszcie zgodziły się na ogłoszenie tego miasta z stosownym okręgiem wolną, niepodległą i ściśle neutralną Rzeczpospolitą.

W r. 1816 zesłały dwory Polskę otaczające pełnomocnych komisarzy swych do Krakowa, którzy się przez lat kilka organizacyą tej krainy czyli ustanowieniem władz, urządzaniem administracyi, mianowaniem urzędników i t. p. trudnili, przyczem okazali wiele mimowolnych błędów, niekiedy naprzód wyrachowanych widoków, zgoła niezaprzeczenie dowiedli, że choć są zastępcami królów, są tak samo ludźmi ułomnymi, jak drudzy [1]).

Lat przeszło 15 istnieje Rzplta krakowska (piszę to d. 28 maja 1831 r.), a z następujących po sobie wypadków da się wyprowadzić ten wnio-

[1]) Tak np. baron Reibnitz, komisarz rządu pruskiego, człowiek biegły w przewrotności, korzystając ze swej wyższości w obrotach interesów nad kolegami swymi, t. j. komisarzem austryackim hr. Swens-Spork i Miączyńskim, komisarzem ze strony cesarza Aleksandra I, prowadził korzystne dla siebie interesa, bowiem przy mianowaniu profesorów i innych urzędników od kandydatów na urzędy pobierał za kreski swoje umówione z terminami wypłaty wynagrodzenia pieniężne, które go początkowo porządnie dochodziły, ale następnie po oddaleniu się jego z Krakowa debenci płacić mu zaprzestali, nie odpisując mu nawet na jego upominanie się.

sek, że już niedługo istnieć przestanie. Jeżeli sprawie polskiej Bóg pobłogosławi, to Kraków z swym okręgiem wpłynie niezawodnie do ciała Królestwa Polskiego, bo to historyczne miasto wiąże się nierozerwalnym węzłem przez swoje pomniki z ogółem kraju i tak jest dla ojczyzny ważne, tak świetności jej potrzebne, tak pięknie istnienie jej uzupełniające, jak owa odwieczna pieczęć, która się przy starożytnym przywileju znajduje. Jeżeli zaś Opatrzność ludowi polskiemu wsparcia swojego odmówi... jeżeli nieszczęśliwy naród polski i teraz jeszcze w olbrzymim usiłowaniu swojem upadnie!... i tak udzielność Krakowa niedługa... Pochłoną go sąsiedzi, którzy krainy wolnej w pośród ludów absolutnie rządzonych cierpieć nie będą chcieli — a każdy godnie myślący człowiek, widząc twardy los Polski, zapewne powtórzy: *Victrix causa diis placuit, sed victa Catoni.*

Przeciąg politycznego istnienia Rzeczpospolitej błogim był dla miasta Krakowa i krainy jego. Odetchnęły ludy jej miłą wszystkim swobodą: nie gniótł ich przez te lata twardy urzędnik, przemawiający w imieniu swego pana językiem niezrozumiałym; nie wydzierano z łona rodzin synów, zniewolonych krew przelewać w obronie, niestety, nie swojej ojczyzny; nie dzielił się ubogi chłopek plonem swego znoju pod tytułem *furaż* z swawolnym cudzoziemskim żołdakiem; nie mitrężył zaprzęgu swego pod tytułem *podwody* na przewożenie niewojskowych rupieci lub fryjerek obcego rodowi jego oficera; nie wydzierano pod różnemi nazwiskami podatków, krwawo zapracowanego grosza i t. p. Zgoła rząd oparty na konstytucyi (która

choć w redakcyi swej wiele wad miała, jako pisana w Wiedniu przez cudzoziemców, nie znających charakteru, zwyczaju i potrzeb ludu polskiego, przecież lepsza była, niż *sic volo, sic jubeo*) znośny był dla wszystkich, którzy, tak jak ja, nie należąc do żadnego stronnictwa, nie stanowiąc żadnej opozycyi, kontenci byli, że owoce swej pracy spokojnie pożywać mogli.

Ciężary publiczne były umiarkowane, wolności Krakowian nie ścieśniały żadne dowolne rządzących baszów przepisy, nie znamy dotąd żadnych ceł, komór, tamożni i t. p., każdy je lub spija produkta wszelkiego kraju, stosownie jak mu wskaże smak i pozwala kieszeń; każdy, byle w granicach rozsądku postępował, działa i mówi, co mu się podoba, a jeżeli jeszcze ma pieniądze i cudzej łaski nie potrzebuje, może otwarcie wyszydzać błędy lub wady tak wyższych urzędników, senatorów, (prawdziwych *sinecurów*), jako i najmniejsze sprawujących urzędy.

Jak w każdem zgromadzeniu ludzkiem, tak i w składzie rządu krakowskiego (senatu) pojawiły się nieodłączne od natury człowieczej słabości. Dwie klasy szlachty i nieszlachty, z których składał się senat, ciągle ścierały się z sobą, bez względu, że na tem rozdwojeniu dobro publiczne cierpiało. (Tu dopiero dowiódł rozumu przyjaciel mój, który miał za złe Adamowi, że się na sejmie polskim o nobilitacyę starać zaniedbał). Szlachta, pamiętna dawnych swych przywilejów, a niepomna, że te Polskę w przepaść zguby wtrąciły, ogarnąć chciała wszelkie środki, zapewniające jej wpływ do rządu, aby rej wodzić; mieszczanie krakowscy,

również do składu senatu należący lub należeć chcący, opierali się tej inwazyi i sami znowu całą władzę opanować usiłowali, nie oglądając się na to, że przez naganny system nepotyzmu z przyzwoitej drogi zbaczali. Tej to walki owocem było niejedno nadużycie, które każdego, spokojność lubiącego, zasmuciło, jak np. fakt, iż po jednym z sejmów Jan Mieroszewski, poseł na sejm, właściciel dóbr Chrzanowa, (który obok niecnej pamięci Sicińskiego, posła upickiego, stanął), zerwał obrady z powodu, że wybór prezesa senatu odbył się nie podług życzenia szlachty; a to jego postąpienie spowodowało dwory ościenne protektorskie, iż zapomocą i na fundamencie zasady *stat pro ratione voluntas*, w zardzewiałym klejnocie szlachectwa podporę swą upatrując, trzem senatorom nieszlachcie, jakoby nielegalnie w gronie rządu zasiadającym z senatu kazały ustąpić. Drugiem nadużyciem było, gdy po wybuchłej rewolucyi w Warszawie d. 29 listopada r. 1830 też same rządy opiekuńcze tych samych senatorów bezklejnotowych napowrót do senatu wezwały, ci też nie próżnując zapomocą sobie przychylnych, używszy za narzędzie szkolnej młodzieży, prawa odwetu użyli, bo prezesa senatu, Stanisława hr. Wodzickiego, nie wiedzieć z jakiego tytułu, przez przydanie mu w własnym jego domu straży z studentów i obywateli złożonej w miesiącu styczniu r. 1831 niby to aresztowali, puściwszy pogłoskę, że do Wiednia jechać zamyśla — a przestraszonego tym sposobem do dobrowolnego zrzeczenia się prezesostwa zniewolili; on też w moment tej abdykacyi Kraków i krainę Rzpltej opuścił. Lecz o tych

wszystkich działaniach... *ohe! iam satis.* Jako wyjaśniające te zdarzenia posłużyć mogą następne ówczasowe bezimiennie i nie wiedzieć gdzie wyszłe pisemka, przez oba stronnictwa wydane:

I. *Rzut oka na stan polityczny miasta Krakowa* etc. (z partyi szlacheckiej). Druk w Krakowie u Gieszkowskiego.

II. *Uwagi nad pismem pod tyt. Rzut oka, czyli rzut oka prosty na rzut oka krzywy r. 1828.* (Przez partye mieszczan wydane; autora oraz drukarza zaczęto poszukiwać, lecz dla różnych powodów śledztwa zaniedbano). Drukowane pozornie w Lipsku 1828 r. (aktualnie w Wrocławiu u Grassa i Bertha).

III. *Mieszkaniec Krakowa do mieszkańca Warszawy.* W Krakowie r. 1829 (autorem jest Fr. Wężyk).

IV. *Krakau unter der Präsidentschaft des Grafen Wodzicki.* (Po niemiecku wyszło najpodobniej że w Warszawie, w początku r. 1831. — Wyszło z partyi miejskiej). (*XLVII*).

Franciszek Gut.

Rok 1836 zapisał się u nas nowem okrucieństwem, spełnionem na emigrantach, którzy zamieszkali w Krakowie po zgnieceniu powstania: wydalono ich stąd siłą i wywieziono do Afryki i Ameryki! W całem tem zdarzeniu nieludzkość, nienawiść ku Polakom, podstęp i fałszywe wystawienie rzeczy, przesadzona gorliwość w urzędowaniu i chęć zyskania za to nagród, orderów i t. p. wzięły się za ręce i wsparte siłą dokazały, co chciały.

Generał Kaufman, przeznaczony do spełnienia tego wydalenia emigrantów polskich z Krakowa, wkroczył do tego miasta na czele wojska austryackiego i mieszkał tu przez lat dwa. Gdy umarł, a familia jego nie chciała, aby leżał w ziemi, którą ucisnął, przeto wywieziono ciało jego na Podgórze i tam pochowano; atoli zjawił się mściciel jakiś niewiadomy, który, złakomiony jego ubiorem generalskim, wykopał zwłoki jego, z sukien i galonów obdarł i tak ogołoconego zostawił. Ręka zatem niecnoty wydzieliła bezdusznemu ciału karę i zbezcześciła je, a sprawiedliwość Boża ukarze ducha jego, — jeśli ten przy zdawaniu rachuby z czynów swoich dłużnym się być okaże.

Drugiem narzędziem gwałtu przeciw nędznym wychodźcom był urzędnik austryacki, niecny Franciszek Gut, przysłany tu z Galicyi na urząd dyrektora policyi. Człowiek ten chytry i złośliwy, na którego twarzy szyderczy uśmiech własności i przymioty duszy jego malował, naczelnik kohorty szpiegów, którego nazwisko jakby na przekorę tak sprzecznem jest z jego charakterem — także odebrał karę za niecne postępki swoje. Wrócił on potem do urzędu swego w Przemyślu i powracając wieczór do mieszkania ręką niewiadomą pchnięty był sztyletem. Ale dziura nie musiała być dostateczną, kiedy nią rogata dusza jego wyleciec nie mogła i jeszcze do tego obciążona brzemieniem krzywd ludzkich. Żyje on dotąd (r. 1840), ale zawsze ze znakiem na ciele i otoczony pogardą ludzi poczciwych. Mimo wszelkich zabiegów i starań sprawca otworu w brzuchu Guta wyśledzonym nie został. Na tym bezecnym człowieku zemściła

się opinia, i nie mogąc inaczej okazać mu swej niechęci, przelała je w pisma wierszem, jako to: *Pożegnanie Guta*, *Elegia na śmierć Guta* i t. p., które w mnogich odpisach krążyły. (*LV*).

O tym niecnej pamięci Gucie muszę tu przekazać kilka szczegółów — jeśli bowiem jest powinnością podać pamięci potomnych cnoty dobrego człowieka, aby były przedmiotem uwielbienia, czemuż nie ma przejść do następców imię złego, aby było w obrzydzeniu.

Po upływie lat, gdy wygasną współcześni świadkowie, a nawet i ofiary czynów niecnego, trudno będzie uwierzyć potomkom, że w czasach oświeconych, sprawiedliwością się popisujących, mógł urzędować w Krakowie człowiek-tyran i trzymać w ręku losy i spokojność całej ludności krainy krakowskiej; człowiek bez serca, któremu wolno było deptać wszystkich, prześladować, więzić, krzywdzić, kogo zechciał, bo wystarczało do tego samo podejrzenie.

Gut, rodem z Czech z Lutomyśla, był na Podgórzu komisarzem policyi cesarsko-austryackiej granicznej; stamtąd przeniesiony został do Krakowa, aby urządził tutejszą policyę na stopę inkwizycyi... i aby był prześladowcą nieszczęśliwych Polaków. Czego też dopełnił w sposób odpowiadający poleceniu, a nawet ponad wydaną mu instrukcyę; w czem tak przesadzał, że nakoniec rząd austryacki przymuszony był go odwołać i przeniósł go do Przemyśla na urzędowanie. Ale co złego nabroił w Krakowie, to zostało i długo zapomnianem nie będzie.

Człowiekowi temu własne sumienie zapewne zarzucało sprzeczność nazwiska z charakterem i duszą jego; przeto wstydził się swego miana i podpisywał się tak, iż nikt tego przeczytać nie mógł.

Zarzuty, które ciężą i długo ciężyć będą na Gucie:

1) Łowił, chwytał i wywoził z nieporównaną zaciętością tak zwanych niesprawiedliwie emigrantów, którzy przed biedą i niewolą tu się schronili.

2) Podkopał i obalił moralność ludu miejscowego przez to, że ujętych pieniędzmi ludzi niebacznych przerobił na szpiegów, którzy mu donosili, gdzie się ukrywa jaki nieszczęśliwy, który z Galicyi lub z Polski tu zbiegł przed rekrutem i tu osiadł, ożenił się i był ojcem licznej rodziny. Ludzi osiadłych tu od lat 15 i więcej imano, więżono i pod strażą do Austryi lub Polski prowadzono.

3) Organizując na nowy tryb policyę krakowską, pozbawił urzędu i chleba wielu urzędników, o których miał wątpliwość, że mu ślepo posłusznymi nie będą; a na to miejsce naprowadził innych z Galicyi, dających rękojmię podległości i podłości.

4) Więzienia policyjne, cele klasztorów przerobione na areszta, zaludnił młodzieżą szkolną, mając wszystkich w podejrzeniu, że są konspiratorami, że składają towarzystwa sekretne, patryotyczne, w interesie przywrócenia bytu Polski. Dotąd siedzi uwięzionych kilkadziesiąt ofiar, młodzieńców — od lat dwóch lub więcej — a niektórych wypuszczono teraz r. 1840 z więzienia i dano im zaświadczenie, że wysiedziawszy miesięcy 20 w areszcie, gdy się nic na nich nie pokazało, ani

wykryło, przeto jako niewinnych uwalnia się z więzienia.

Nie dziw przeto, że starano się na nim pomścić licznymi wierszowanymi paszkwilami, o których wyżej wspomniałem, a z których jeden tu przytaczam. Wprawdzie bowiem nie lubię satyr ani paszkwilów i tych nikomu nie udzielam, ale pisma w tym rodzaju dlatego u siebie zachowuję, a jedno z nich tu podaję, iż są malowaniem obecnych czasów, i uważam je jako materyał do dziejów ucisku naszego.

Oto jest mianowicie ta „Oda pożegnalna dla Fr. Guta, dyrektora policyi miasta Krakowa“, która mu w dniu zakończenia urzędowania, 4 lipca 1839 r., tajemnie doręczona została:

W senacie któż dziś siedzi? ot sami bankruci,
Co na bok odłożywszy honor i sumienie,
Własnem głupstwem spętani, w potrzebę okuci,
Sprzedają nasze szczęście, nasz los, nasze mienie.

*

Chociaż dziś kto w swe łóżko kładzie się spokojnie,
Któż zapewni, że zbójcy nie najdą co skrycie?
Lub w jasny dzień nie będzie napadniony zbrojnie,
Któż nawet dziś zaręczy za drugiego życie?

*

A synowie gdzie nasi? Co zrobiłeś z niemi?
Powiedz, bo to pytanie przekleństwem cię darzy.
Zaludniłeś klasztory dziećmi nieletniemi,
I wprost w nich politycznych znalazłeś zbrodniarzy.

*

Niejednego z młodzieży w szlachetnym zawodzie
Cofnąłeś raz na zawsze; zrobiłeś więźniami,

W słabych dzieciach się mściłeś na całym narodzie,
Najzacniejsze rodziny przekarmiłeś łzami.

*

Niemcamiś poobsadzał krajowe urzędy,
Z cyrkułów austryackich pozbierałeś śmieci.
Niemcamiś kraj zaludnił, byle tylko wszędy
Dobroduszności naszej pozastawiać sieci.

*

Wszędzie nadstawia uszu podłych szpiegów zgraja,
Kryć się musim przed sobą, przed domownikami,
Na każdy gest swobody zdrada się przyczaja,
Wszędzie poplóch i wszystko grozi nam więzami.

*

Strachem zdjęci uczciwi, jakby kraj był w wojnie.
Łotr się tylko raduje i jest dzisiaj panem,
Bo on tylko rozbijać, kraść może spokojnie,
By tylko politycznym był policyanem [1]).

(*XLV*).

Visum et repertum zmarłej Rzeczpospolitej krakowskiej.

W tym czasie, co powyżej zamieszczony wiersz, kursowało po Krakowie w odpisach i wywoływało ogromne wrażenie wśród publiczności, pisemko p. t.: *Visum et repertum zmarłej Rzpltej krakowskiej*. Była to wesoła lekkiego pióra igraszka, która wyszła z pod ręki bardzo dowcipnego człowieka i zręcznego wierszopisa. Autor ukrył się w bez-

[1]) Książkę, w której pomieściłem ten wiersz, a także i inne pisma satyryczne, z obawy przed szpiegostwem tutejszej policyi, urządzonej przez rezydentów obcokrajowych i czynnościami jej kierujących, do Wrocławia celem oprawy jej posłałem.

imienności, mimo wszelkiego śledztwa; bo najprzód nie w ciemię go bito, a powtóre wie dobrze, coby go za ten niewinny żart spotkało. Ubrane i odlane w formie satyry, smaga jej biczem tego, kto na to zasłużył, a jest razem najwierniejszym obrazem stanu politycznego tak zwanej Rzpltej krakowskiej — albo co jest pocieszniej: wolnego, niepodległego i ściśle neutralnego miasta Krakowa z okręgiem (*sic*) — która to nazwa jest najoczywistszą ironią, najśmieszniejszą parodyą — bo nie masz w Europie krainy, którąby mniej była wolną i niepodległą, jak nasza krakowska Rzeczpospolita. Nawet mieszkańcy paszaliku Erzerumskiego w Azyi nie doznają większego od nas ścieśnienia — ale na cóż więcej o tem pisać?...

Ciekawi — i słusznie — będą nasi następcy dziejów czasów obecnych w Krakowie, ale któż ich z temi oswoić ośmieli się?... Napisać i drukiem ogłosić takowe, któżby się mógł podjąć?... Tylko ich próbkę będą mogli powziąść, jeśli się uda, że to i temu podobne pisemka do ich dopłyną czasów — a jeszcze i te niejeden będzie o fałsz i zmyślenie, o przesadę pomawiał. Ja te pisemka dla mojej własnej przechowuję pamięci i zabawy, nie mając zamiaru zasmucać niemi idących po nas pokoleń! Nie pozwalam rozmnażać kopii z mojego egzemplarza, bo tego wreszcie nie widzę potrzeby, zwłaszcza że prawie wszyscy pisma te posiadają, i niema takiego, ktoby ich nie znał.

Wszystkie te płody wesołej myśli winienem komuś mnie niewiadomemu, który mi je zapieczętowane udzielał, pozwalając przepisać je — a potem w parę dni ten sam człowiek w wiejskiej

odzieży po nie przychodził i napowrót je odemnie również zapieczętowane odbierał.

Według kursującej wieści *Visum et Repertum* napisane było prozą, którą na wiersz przerobił znany z talentu poetycznego młodzieniec, niedawno zmarły Edmund Wasilewski.

Pogłoska ta nie jest bez zasady; i był o to za życia swego podejrzany, a nawet podlegał śledztwu policyi. Zaczyna się ten poemat jak następuje:

Wypłacając się z długu naturze doczesnej,
Po chorobie dość krótkiej, lecz nader bolesnej,
W kwiecie lat, bo jej ledwo dwudziestkę liczono,
Obca światu i żadną chwałą nie okryta,
Przeniosła się niedawno na wieczności łono
Najjaśniejsza Krakowska Rzecz-nie-pospolita.

Po tym wstępie podaje autor niesłychanie dowcipny a w zjadliwym tonie utrzymany opis „choroby“, wyśmiewając i ludzi i stosunki; a na dowód tego przytaczam kilkadziesiąt wierszy, opisujących sekcyę dokonaną po śmierci nieboszczki:

...Najprzód co do głowy
Uważano: Pod względem systemu Galena
Zadziwiający widok stawiała i nowy,
Tak rzadkie się znalazły na niej fenomena;
Czoło zupełnie płaskie, rzeczą więc jest jasną,
Że nieboszczka musiała mieć głowę dość ciasną.
Organu ..... nie było ni śladu;
By też kto z nią obcował, nie mamy przykładu.
Próżno zmysłu muzyki szukaliśmy chciwie;
Tak też, jak jej kto zagrał, skakała cierpliwie.

Brakowało wymowy między organami,
Dlatego też trzymała język za zębami.
Organ kalkulatury ostatniej był próby,
Plinta też był wciąż szefem w jej biurze rachuby.
Organu żądzy sławy nie było ni znaku,
Zawsze ją też wodzono na cudzym temblaku.
Organu męstwa? tego nie było iskierki,
Bezkarnie też znosiła ciężkie poniewierki.
Że zmysł gospodarności znikł całkiem z jej czoła
Świadczy, że choć namiętna zawsze była goła.
O zmysł władzy myślenia logicznie i zdrowo,
Nie chcieliśmy nawet pytać,
Bo w dowód, jak grzeszyła i myślą i mową,
Dość jest jej pisma odczytać.
Organu przedajności pełną miała głowę,
Dowodem brane w sądach, w senacie łapowe.
Organ wreszcie podłości był większym nad inne,
Nie dbała też, by względy miano dla niej winne.
Lecz owszem, jeśli ktobądź znieważył jej sługi,
Z zimną krwią po zniewagę słała je raz drugi.
....Język starty zupełnie do samego krtania,
Skutek pewnie skłonności zmarłej do lizania.
Zresztą wszystkie arterye i celniejsze żyły,
Trądem tak zwanym szwabskim wskroś okryte były.
Widok niezwykły klatka stawiała piersiowa:
Pluca strędowaciałe tak samo jak głowa,
Zresztą wyschła jak szczypa — widać, że nieboszce
Powietrza do tchu tylko puszczano po troszce.
Chrzęścia żeber skostniałe, skąd wniosek wypływa,
Że nie miała żadnego ruchu, nieszczęśliwa!...
Serce, szlachetny organ zwierzęcej natury,
Znaleźliśmy stoczone od narośli raka,
Który w niem z trzech stron wielkie powyjadał dziury
Tak, że działalność jego ustała wszelaka.
Wszystkie jego organa, komórki, muszkuły,
Za pośrednictwem których w związku z głową bywa,
W miarę, ile z nich który mniej więcej był czuły
Na wpływ gangreny, zżarła jej ropa zjadliwa.
Żołądek, który idąc za powszechnym głosem

Zmarła miała dość strawny, jak mnóstwo przykładów,
Napełniony był z trunku wiedeńskiego sosem;
A innego pokarmu nie było w nim śladów.
Zresztą, co do wnętrzności, jelitów i flaków,
Zjedzone były całkiem od mnóstwa robaków.
Które, gdzie tylko ścierwo zoczą lub poczują,
Tuczyć się niem wygodnie rojem się zlatują.

Już te wyjątki dają dostateczną miarę o zjadliwości satyry, która tyle wzburzenia obudziła, a dla przyszłego historyka tej krainy będzie z pewnością jednym z cennych materyałów.

(XLV).

Złe i dobre strony Wolnego Miasta.

Pytany Arab, które jest najlepsze miejsce na ziemi, odpowiedział, że jest niem siodło na rączym koniu. I nas, gdyby się kto zapytał, który jest kącik najswobodniejszy na ziemi polskiej, moglibyśmy śmiało odpowiedzieć: „Kraków i jego okrąg“. Żeby dla potomnych została pamiątka, na czem się zasadzały te nasze swobody, zachowam tu piśmiennie ich poczet.

Najprzód składaliśmy do kasy krajowej bardzo małe podatki, i tylko mieliśmy dwa ich rodzaje, t. j. podatek z nieruchomości, zwany dymowe, a ten był bardzo umiarkowany, oparty na wyrachowaniu z r. 1789, i podatek przemysłowy, od sposobu zarobkowania, zwany osobiste albo pogłówne, a kto nie miał nieruchomej własności, ten tylko ten jeden opłacał podatek, na którego wyrzekać nikt nie miał przyczyny [1]).

[1]) Ja np. jako księgarz opłacałem po 12 złotych pol. na rok i do żadnej więcej daniny pociągany nie byłem.

Urzędnicy nasi byli krajowcy, Polacy. W każdą chwilę mieliśmy wolny przystęp do osoby na czele rządu stojącej, do prezesa senatu; wchodził do jego kancelaryi każdy, kto chciał, bądź z oddaniem mu prośby lub przełożeniem mu interesu. Bieg interesów był szybki i można go było z łatwością i bez podarków przyspieszyć. Tożsamo i urzędnicy niższych stopni, nawet i senatorowie, byli przystępni i szacunkiem obywateli nawzajem dla siebie szacunek jednający.

Bieg sprawiedliwości był prędki i sprawy były kolejno, jak na stół przychodziły, załatwiane. Przekupstwa sędziom nikt zarzucić nie mógł, bo osoby te były z rzędu najmoralniejszych ludzi na urzędy sędziowskie wzywane i moralność w tym względzie mocno przestrzegana.

Nie znaliśmy żadnych ceł i komor i każdy sprowadzał sobie, skąd chciał, wszelkiego rodzaju towary bez żadnej opłaty. Z tego też powodu przedmioty niegdyś zbytkowe, a dziś do niezbędnych należące, t. j. towary kolonialne, jako to: cukier, kawa i t. p., bardzo były tanie, np. funt cukru w głowie kosztował groszy 22, funt kawy groszy 40, a lepszej cokolwiek drożej, i w tym stosunku była cena innych produktów zamorskich.

Wyroby wszelkie różnych krajów: tkaniny jedwabne, wełniane, bawełniane, lniane i t. p., pochodzące z fabryk francuskich, angielskich, całych Niemiec, miały do nas wolny wstęp i bez żadnych opłat. Najpiękniejsze towary paryskie, londyńskie i wszelkie inne znajdowały się w sklepach do nabycia.

Z obywateli osiadłych i z osób spokojnie się zachowujących mógł każdy i z wielką łatwością i małym bardzo kosztem wyjechać z kraju, dokąd chciał, czy to do Niemiec, Włoch, Francyi, Anglii i gdzie mu się podobało. Dosyć było mu rano udać się do dyrekcyi policyi miasta Krakowa, żądając paszportu, a w południe już mógł w drogę wyruszyć, bo w parę godzin paszport był uzyskany; a kosztował kwotę bardzo małą, bo dawniej do krajów mocarstw protektorskich groszy 20, a później kwotę tę podniesiono do zł. pol. 2, zaś do krajów dalszych, jak Włoch, Francyi i t. p., trochę więcej.

Ludność krajowa nie była obowiązaną pełnić służby wojskowej, chyba z ochoty, bo do milicyi krakowskiej dostarczały nam ludzi pułki wojska austryackiego, a mianowicie galicyanów takich, którzy w tym wojsku już lat kilka wysłużonych mieli.

Nie ponosiliśmy kwaterunku, bo żołnierze milicyi stali na zamku w koszarach, a oficerowie najmowali sobie mieszkanie u prywatnych i takowe płacili.

Język rządowy był polski, w tym też odbywały się sądy, nim rząd przemawiał do mieszkańców, w szkołach przedmioty naukowe w polskiej mowie wykładano, nawet mustra milicyi, pomimo, że większa część oficerów byli to Niemcy z wojska austryackiego, była w języku polskim.

Opłaty papieru stemplowego były niskie i nikt też na nie wyrzekać nie mógł.

A teraz rzecz wielkiej przyjemności. Wolno nam było czytywać gazety całej Europy, gdyż te

nie ulegały żadnej cenzurze ani opłacie stemplowej. Odbieraliśmy gazety paryskie i z całych Niemiec wprost z poczty pruskiej, a to bez żadnego utrudzenia i tylko za opłatą ceny prenumeraty i dodaniem kosztów portoryi. Wolne były i gazety angielskie.

Dla miłośników tytoniu i cygar były to święte czasy: każdy włościanin zasiewał sobie i uprawiał tytoń w ogródku, krajał sobie i przyrządzał jak mógł. Z Prus sprowadzano ogromne masy rozmaitego tytoniu, w gatunkach, jak kto chciał i na różne ceny. Cygar wyrabiano tu na Kazimierzu, jako też w Chrzanowie i Trzebini ogromne ilości, które oprócz wewnętrznej potrzeby służyły do tajemnego handlu przez wysyłanie ich do Królestwa Polskiego i Galicyi na drodze przemycania. Tu w Krakowie można było dostać za grosz 3 cygara, zapewne że z byle chwastu ukręcone, ale zawsze tanie.

Karty do gry nie ulegały ani stemplom, ani żadnej opłacie. Karty najlepsze wistowe kosztowały talia groszy 27, pośledniejsze były tańsze.

Handel wewnętrzny nie podlegał żadnej kontroli i używał nieograniczonej wolności, przeto każdy handlował, czem chciał i czem mógł. Lecz był to handel niewielki, bo kraina mała, a mieszkańcy nie bogaci. Za to możniejsi kupcy stali na handlu przemytniczym, i szły ogromne ilości towarów wszelkiego rodzaju do państw ościennych, do Polski i Galicyi, a mianowicie: cukier, kawa, arak, cygara i t. p. Można było wieczorem, wyszedłszy za miasto, spotykać karawany wiejskich ludzi, wynoszących z miasta pomienione przedmioty cē-

lem przemycenia takowych, a to pod wpływem największej obawy, bo złapany kontrabandyer idzie w sołdaty a towar podlega konfiskacie i opłacie kary pieniężnej.

Nie mogę jednak zataić także i lewej strony medalu.

Rzplta wolnego miasta Krakowa w najpierwszych początkach ufundowania swego przez trzy opiekuńcze dwory, działające przez swych pełnomocników zwanych „komisarze organizatorowie“, była, mówiąc właściwie, wielkim domem schronienia czyli przytułku nie starców i kalek, lecz po największej części szlachty, którzy, nie pracując, chcieli mieć i mieli zaopatrzenie dochodami (pensyą) na prowadzenie wygodnego życia. Wspomnieni panowie komisarze, natworzywszy urzędów w niepotrzebnej liczbie, np. 12-tu senatorów, obsadzili takowe szlachtą, żadnego usposobienia do prac urzędowych nie mającą... I tak w liczbie senatorów pomieścili Wojciecha Linowskiego, szlachcica nader ograniczonej głowy; — Józefa Michałowskiego, który na tym urzędzie kilka lat nic nie pracując przesiedział, bo do pracy nie był nigdy nawykłym; Feliksa Grodzickiego, zdatnej, ale przewrotnej głowy, w ciągłem szachrajstwie z żydami będącego, którym w różnych przedsiębiorstwach dzielnie (a zapewne nie *gratis)* dopomagał, i niecnem postępowaniem do tego nakoniec przyszedł, że delegowany będąc do rewizyi kas, stosowną przysposobiwszy do tego porę, pieniądze kradł, i złapany na uczynku, pod sąd oddany i jako prosty złodziej osądzony, po darowaniu mu kary haniebnie z urzędu oddalonym został. Pomijając in-

nych, przejdę do gałęzi sądownictwa. Sędzią trybunału był Dydyński, szlachcic dobrze głupi, popierany na tę godność przez Marcina Badeniego, ministra Królestwa Polskiego. Był to poprostu zbankrutowany ziemianin, czyli gospodarz wiejski, któremu się ani o prawie nie śniło, bo go nigdy nie słuchał i stosownej nauki nie posiadał. Ten, będąc lat kilka sędzią, nawet do sądów nie chodził, będąc istotnie, czy też udając chorego, i za darmo płacę pobierał — aż wreszcie śmierć wzięła to *inutile pondus terrae* i uwolniła skarb Rzpltej od płacenia tego suchego piwa.

Drugim podobnymże sędzią był Józef Gołuchowski, człowiek z innych względów poczciwy — ale to nie jest jedynym warunkiem do sędziowskiego krzesła. Był on, jak i powyższy, gospodarzem wiejskim, ale, nie wychodząc dobrze na roli, chwycił się Temidy, nigdy także nie ucząc się prawa... A jednak urzędował lat wiele, pobierając płacę sędziego apelacyjnego i dopiero jako emeryt zmarł r. 1851.

Nie lepiej też szło i w innych gałęziach rządu, np. w administracyi — ale to już w czasach późniejszych po organizacyi. Senat, w przeważnej większości złożony ze szlachty, mianował na administratora dóbr i lasów narodowych Adama Paprockiego, właściciela wioski w Krakowskiem, na której się rządzić nie umiał i w długach po uszy tonął. Ten, nie umiejąc rządzić małą własnością, miał zadanie rządzić całą nieruchomą własnością kraju!... I źle też rządził, bo skarb ponosił znaczny uszczerbek: w przychodach z dóbr krajowych znaczny odkrył się defekt, nie pokryty niczem, bo

Paprocki tu w Rzpltej nic nie posiadał, a wierzyciele jego hipoteczni w Królestwie Polskiem, po sprzedaniu jego wioski, nie wszyscy zostali zaspokojeni i z szacunku spadli. A był to także szlachcic.

Dziwnem też było zamianowanie na urząd dyrektora kopalni Jana Mieroszewskiego, szlachcica, właściciela wioski Odonów w Polsce... Jeszcze za bytu Rzpltej polskiej, za panowania Stanisława Augusta, wyprawiony on był zagranicę na naukę górnictwa i za powrotem wydał małą broszurkę: *Wywód o użyteczności i sposobach zaprowadzenia porządnego górnictwa w krajach Rzpltej*, wyszłą około r. 1790. Czy w tę głowę weszło co z nauk górniczych, czy po latach 30 nietrudnienia się tym przedmiotem cokolwiek z wiadomości tych zostało? jest to problematyczną rzeczą. Na dowód, jak pojmowano u nas powołanie urzędnika, posłuży to co następuje: Kiedy już Mieroszewski otrzymał nominacyę senatu na ten urząd, stawił się do wykonania rządowi przysięgi. Po złożeniu takowej, zapytuje w jednej z izb senackich Feliksa Grodzickiego temi słowy: „Proszę pana senatora wskazać mi, gdzie jest biuro mego urzędu?“... Ten, prowadząc go do kąta tejże izby, odpowiada na to, wskazując mu miejsce: „Tu oto postawią panu dyrektorowi stolik, a tu krzesełko, na niem usiądziesz sobie, a na stoliku podpisywać będziesz co miesiąc kwit na pensyę“.

Nie jestże to trafna instrukcya dla rozpoczynającego zawód urzędowania wydana?... Takich urzędników-szlachty można było napotkać i w niższych stopniach, co, nie pełniąc czynności, jednak regularnie kwity do kasy na pensyę pisali.

Pominę dalszy wywód o szlachcie — ale nie zatajęę, że nie lepiej szło w obsadzeniu urzędów ludźmi stanu miejskiego. Tych mianował zwykle sejm, czyli reprezentanci, a sejm bywał w grudniu każdego roku. Bywali senatorami ze stanu miejskiego nieukowie — bywali sędziami prawdziwe osły, którzy zaledwie pisać i czytać umieli, nie mówiąc o znajomości prawa. Takim był Szymon Białecki, którego pamiętam w r. 1797 perukarczykiem, bom go często sprowadzał do upudrowania głowy Antoniego Gröbla, który, nie mogąc się go doczekać, wysyłał mnie do niego z rozkazem: „Idźże i weź tego błazna za łeb i sprowadź mi go“... Później ożenił się z krewną jednego z kupców krakowskich, a ten mu dopomógł, że go przyjęto do kongregacyi kupców. Z początku miał niewielki handel towarów norymberskich, który później jako niepopłatny zarzucił, a chwycił się handlu winem... Ten to człowiek, zarozumiałek śmiały, za protekcyą Walentego Litwińskiego, prof. prawa i urzędnika sądowego, wybrany sędzią na sejmie, chociaż tyle miał znajomości prawa, co wiejski Bartek astronomii — był przecież sędzią, pomimo, że był osłem *in supremo gradu*.

Był także sędzią Jakób Mączeński, kupiec winny, mąż zapewne poczciwy, ale nie lepszy znawca prawa, jak Dydyński, Goluchowski i Białecki.

Oświadczam się tu z zapewnieniem, że to, co wyżej napisałem, nie było podyktowane przez jakąś zawiść i niechęć dla szlachty — ani też przez jaką urazę do osób, bo od żadnego z nich nie doświadczyłem żadnej przykrości. A co się tyczy sędziów, ci w niczem nie byli mi przykrymi, bom

żadnych procesów nie miewał, i żaden wyrok przeciwko mnie nie zapadł. Ale była mi do tego powodem myśl ta, że wypisawszy wyżej piękniejszą stronę Rzpltej krakowskiej, dla okazania bezstronności nie mogę zataić i jej słabszej strony.

(XLIX).

VI.

Wiadomości o rewolucyi 1846 r.

Wybuch rewolucyi.

Malarz jeden, któremu kazano wymalować osobę obarczoną ciężkim żalem, nie czując w sobie dosyć talentu, aby mógł oddać niewymowną boleść na jej obliczu — wymalował osobę, która twarz zakryła dłońmi: podobnież i mnie, chcącemu opisać niespodziewane zdarzenia i wypadki, których spokojni mieszkańcy Krakowa nagle musieliśmy stać się świadkami, najlepiej przypadłoby zostawić białą kartę, gdyż nie mam zapasu tych zdolności, abym mógł opisać w należyty sposób to nadzwyczajne wstrząśnienie polityczne, jakie się w tych kilku dniach przed oczyma naszemi przesunęło. Jednak aby jakąkolwiek wiadomość o niem przechować, skreślę w najprostszy sposób, wspierając pamięć i opuszczając wszelkie ozdoby stylu, to, co w tych pamiętnych dniach zaszło — jako też i to, co po ich upływie nastąpiło.

Już przeszło od roku obijała się o mury i bruk krakowski wieść, jak się zdawało płonna, iż na całej ziemi polskiej i pod wszystkimi rządami,

które się narodem polskim, jakby trzodą bydła podzieliły, wybuchnie rewolucya, mająca na celu przywrócenie bytu Polski. O wieści tej wiedzieli wszyscy, tak rządzący, jak rządzeni, i nikomu nie była ona tajemnicą, nawet powstaniu temu naznaczone były termina, jak np. tu w Krakowie mówiono, że w Wielki Piątek r. 1845, a potem, że dn. 11 września i t. p., które to dni bez najmniejszego zamięszania i w spokojności przemijały. Do tej straszącej pogłoski przywykliśmy nareszcie wszyscy tak, że ją sobie w żart obróconą z śmiechem powtarzaliśmy, i nikt jej nie wierzył; — miano ją tylko za próżny postrach i nigdy do skutku dojść nie mogącą pogłoskę, pomimo, iż utrzymywano, że włościanie okolic i okręgu m. w. Krakowa otwarcie o tem po karczmach rozmawiają. Nie było to wreszcie tajną rzeczą rządowi, a raczej naczelnikowi policyi m. Krakowa (tym był sam prezes senatu) i dyrektorowi tej gałęzi władzy, jako też i rezydentom trzech opiekuńczych dworów, którzy stosowne ostrożności polecali kroki, a w końcu roku przeszłego i na początku roku teraźniejszego, policya jawna i sekretna, tudzież milicya krakowska w ciągłem była czuwaniu[1]).

Gdy się ta zatrważająca wieść coraz więcej rozszerzała, i gdy się zbliżał coraz więcej termin powstaniu temu naznaczony, t. j. dzień 21 lutego, rezydenci trzech dworów w dniu 16 lutego w urzę-

[1]) Że policya krakowska czyli urzędnicy jej byli dla kraju ciężarem bezużytecznym i ogromne kwoty na nią napróżno kraina krakowska ponosiła — dowód na to w wybuchu lutowych zamięszań, bo policya winna była temu przeszkodzić i wybuch uprzedzić, jak zrobiono w Poznaniu.

dowej nocie zapytali się prezesa senatu, ażali ręczy za bezpieczeństwo tak ich osób, jako też i samego Krakowa... i czy nie widzi potrzeby, aby wojska którego z mocarstw protegujących zajęły Kraków?... Kwestyę tę prezes niebawem wniósł na posiedzenie całego senatu, i na nią stanęła zgodna odpowiedź: „iż senat pewny jest tego, że ani mieszkańcy samego m. Krakowa, ani mieszkańcy okręgu jego o żadnem zaburzeniu nie myślą, najspokojniej zachowywać się będą, i żadnej z ich strony obawy mieć nie należy: atoli ręczyć nie może za wypadki, jakieby nastąpić mogły za wtargnięciem niespokojnych z zewnątrz kraju (t. j. emigracyi), gdyż granice okręgu krakowskiego nie są obsadzone żadną strażą, a rząd do odparcia lub poskromienia niespokojnych tego rodzaju niema dostatecznej siły. — A zatem pozostawia wysokiemu i światłemu zdaniu trzech rezydentów, aby w kategoryi zajęcia Krakowa przez obce wojska postąpili sobie tak, jak tego sami uznają potrzebę“. Wskutek takiej odpowiedzi konferencya rezydentów postanowiła, aby Kraków przez zbrojną siłę austryacką był zajęty i obsadzony. Zaraz też d. 18 lutego rano wkroczyło wojsko austryackie z Podgórza, a w tymże samym dniu zastępca prezesa senatu, senator Jacenty Księżarski, wydał odezwę do mieszkańców m. Krakowa, donosząc im o celu tego wkroczenia wojska i zalecając im spokojne zachowanie się.

Wojsko, które wkroczyło pod komendą generała Colina, składało się z jednego batalionu piechoty regimentu Hohenek, oddziału lekkiej jazdy (*chevaux-legers*), tudzież trzech armat. Natychmiast obsadziło ono główny odwach i inne ważniejsze

punkta w mieście — a część tej konnicy w niewielkich oddziałach wyprawioną została w okrąg, t. j. do Chrzanowa i Krzeszowic.

Dn. 19 lutego z woli gen. Collina zostało ogłoszone, aby kamienice były zamknięte, w nocy zaś, aby okna wszystkie były oświecone, tudzież aby ludzie nie kupili się na ulicach, gdyż do nich strzelanem będzie. Na wchodzie z rynku do wszystkich ulic stanęły mocne straże, które nikogo do rynku nie wpuszczały, a rynek przybrał postać obozu, wśród którego koczowała konnica, obozowała piechota, armaty stały nabite, lonty tlejące; kamienice w rynku, t. j. pokoje frontowe, przeznaczono dla żołnierzy; zgoła rynek był obrócony na fortecę, która (jak mówiono) zabezpieczać miała tył wojska w czasie jakiego zaburzenia. Zgoła dzień ten i następny 20 lutego okropnym był dla mieszkańców miasta: Kraków stał się podobny do fortecy, do której murów nieprzyjaciel szturmuje. Te dwa dni w największym przeżyliśmy przestrachu. — Zostawiając w tym stanie oblężenia rzeczy miejskie, przenieśmy się do okręgu m. Krakowa.

Pogłoski o wybuchnąć mającem powstaniu co do okolic Krakowa nie były płonne. Na wsiach około Chrzanowa, Jaworza, Sierszy, czyniono tajemne przygotowania do zaburzeń pomiędzy ludźmi młodymi, zatem głowami nierozsądnemi. Zamieszkiwali tam dwaj ex-wojskowi polscy: Patelski i Aleksander Ekielski [1]), którzy zmawiali równie

---

[1]) Patelski był w szkole podchorążych w Warszawie w czasie wybuchu rewolucyi w r. 1830. Wyrokiem sądu był on zaocznie skazany na śmierć, jako jeden z tych, którzy napadli na

jak sami płytko myślących, ludzi nic do stracenia nie mających, t. j. ekonomów, pisarzów dworskich, leśniczych i innych, lokai, parobków i t. p. Tych niejaką liczbę na koniach, z dworów pozabieranych, jak kto mógł uzbrojonych, zebrawszy — uderzyli dn. 20 lutego na niewielki oddział konnicy cesarskiej, około Chrzanowa czy też w samym Chrzanowie stojący, oficera dowodzącego i kilku ludzi zabili, a reszta konnych, salwując się ucieczką wejść miała do Prus. Toż samo stało się i w Krzeszowicach, skąd oficer od jazdy cesarskiej ranny do Krakowa przybył.

Noc z dn. 20 na 21 lutego, t. j. z piątku na sobotę, tu w Krakowie była okropna. Słyszeć się dawały wystrzały w mieście, tak w rynku, jak na ulicach, które ku rankowi coraz się zwiększały. Oddział jakiś niewielki powstańców, z okręgu przybyły, wpadł ulicą Sławkowską w rynek i zaalarmował główny odwach. W tęż samą chwilę kilku nierozsądnych mieszkańców Krakowa, którzy jak się pokazuje do zmowy z powstańcami należeli (podobno tylko 6-ciu, gdyż więcej nie stawiło się), zgromadzili się w domu p. Tomasza Jarzyńskiego, na początku ulicy Grodzkiej leżącym, gdzie mieszkał i utrzymywał traktyernię na I-szem piętrze traktyernik nazwiskiem Focht, również do zmowy należący. Szaleńcy ci z ganku tego domu kilka razy do żołnierzy austryackich i milicyi, około głównego odwachu stojących, wystrzelili. Powstańcy, którzy z przedmieść wpadli, stoczywszy na

---

Belweder. Ekielski służył w artyleryi polskiej przed rewolucyą i w rewolucyi r. 1830—1.

ulicy Sławkowskiej i Mikołajskiej niekorzystne dla siebie utarczki, bo w nich polegli dowódcy ich, Belli[1]) i Boczkowski — spiesznie się cofnęli — a tymczasem Austryacy z milicyą krakowską formalny szturm do domu Jarzyńskiego przypuścili, dawszy wprzód do okien domu tego kilka razy ognia, czego znaki pozostały na suficie; drzwi kamieniczne wyłamali, cały dom od strychu do piwnic, szukając spiskowych, przetrzęśli, Fochta rannego i kogo tylko z ludności męskiej w tym domu znaleźli, jako też młodych dwóch kupców krak. Korneckiego i Koscha, których tam zastali, uwięzili i wśród bicia kolbami do kościółka św. Wojciecha, jako tymczasowego aresztu, zaprowadzili.

Rano dn. 21 lutego około godz. 6-tej, słysząc ruch niezwykły, zszedłem i ja na ulicę, gdzie ludzie małemi grupkami z niespokojnością na twarzach uwijali się, i na wiadomość, że powstańcy stoją na Kleparzu, postąpiłem przecznicą do ulicy Sławkowskiej, wiodącą około gmachu klasztoru XX. Pijarów. Zaledwo postąpiłem nie dochodząc do narożnika tego gmachu, spostrzegłem pędzących galopem w ulicę Sławkowską trzech jeźdźców *(chevaux-legerów)* austryackich, a za nimi goniących z Kleparza sześciu lub siedmiu powstańców konnych, również w największym galopie, i prócz tego cwałem za nimi biegnące dwa konie luźne, osiodłane, mniemam, że do powstańców należące.

[1]) Ten Belli, który zginął, i służący jego przy nim, był dzierżawcą małej wioski Zastawa w okręgu krakowskim około wsi Mogiła leżącej. Boczkowski zaś był dawniej urzędnikiem na komorze Królestwa Polskiego, a zabity został na ulicy Mikołajskiej przy Małym Rynku.

Gdy jeszcze nie był dzień należycie rozwidniony, a konnica austryacka była w białych płaszczach, zaledwo mogłem od niej odróżnić po tem powstańców, również w białych sukmanach wiejskich będących, że mieli chorągiewki przy lancach. Ledwo kilka minut upłynęło, a wnet powstańcy, znalazłszy w ulicy Sławkowskiej mocny posterunek piechoty, który ich ogniem ręcznej broni przywitał — zaczęli cwałem odwrót ku Kleparzowi i tam uciekli, a za nimi dostrzegłem tych samych 3-ch jeźdźców austryackich w pogoni; których odpędziwszy stanęli na wejściu do ulicy Sławkowskiej około domu zajezdnego p. Okońskiego „pod Sobieskim“, od strony Kleparza, i tam chwilę jakąś pikietę trzymali, mierząc z karabinków do każdego, kto się z ulicy św. Jana wyjrzeć na nich odważył; który honor i mnie samego spotkał, że mi *chevaux-leger* karabinka nadstawił. Gonitwa ta ludzi, na życie sobie godzących, była to pierwsza demonstracya wojenna, która mi się z bliska widzieć dała.

Czy to w tym nocnym ataku, czy też w tę poranną gonitwę zginął Belli w ulicy Sławkowskiej z swym służącym? dotąd nie dowiedziałem się, ale to pewna, że rano, kiedym się tej gonitwie przypatrywał, padły wystrzały, od których poległ człowiek stary, bezbronny, niosący od piekarza bułki do kawy, kucharz p. Józefa Kremera, przyjaciela mego, właściciela kamienicy narożnej obok kościoła św. Marka, do którego *chevaux-legery* wystrzelili, a potem niewinną ofiarę, dopadłszy w przecznicy, pałaszami rozsiekali. Było to żołdactwo zapewne pijane, bo niepodobna wierzyć, aby trze-

żwy człowiek barbarzyństwo do tego stopnia mógł posunąć.

Gdy około 8-ej wyszedłem z domu, chcąc się udać na Piasek, do dzieci moich tam mieszkających, idąc przecznicą ku ulicy Sławkowskiej widziałem tam w ulicy Sławkowskiej, obok domu starościny Wolbromskiej, zabitego konia od wystrzału; mniemam, że to był koń z pod jeźdźca austryackiego, gdyż był wielkiej wiary. Gromada wielka ludzi, niemal całą ulicę zapchawszy, skupiła się około dwóch zabitych powstańców — lecz ja nie byłem ciekawy tak smutnego widoku i oddaliłem się w inną stronę.

Nawiasowo wspomnę tu o wieści, jaka się w tymże dniu 21 lutego po mieście rozeszła, za której wszakże nieomylność nie ręczę, i którą później albo potwierdzę, albo ją odwołam, gdy lepiej zawiadomionym będę. Miało zaś być takie zdarzenie: Po owym ataku około godziny 4-ej przez powstańców i odpędzeniu ich gen. Collin rozesłać miał do ulic i przedmieść Krakowa ruchome kolumny jazdy czyli patrole. Jeden taki niewielki oddział, dowodzony przez oficera, powracając do miasta od strony Kleparza, puścił się ku Rynkowi ulicą Sławkowską. Stojący tamże posterunek piechoty, w pomroku nocy mglistej (mimo oświeconych okien) mylnie biorąc ten oddział jazdy za powstańców znowu do miasta wedrzeć się chcących, dał ognia i i od tego wystrzału miał poledz oficer od *chevaux-legerów;* lecz gdy się pomyłka wyjaśniła, pospieszono natychmiast sprzątnąć zabitego oficera i wywieziono go na Podgórze, aby do zgorszenia nie było przyczyny — gdy tymcza-

sem ciała zabitych powstańców długo przez dzień leżały na ulicy, zapewne dla wrażenia przestrachu, nim takowe policya usunąć kazała.

Smutniejszy daleko otwarł się moim oczom widok, gdym szedł na plac Szczepański ulicą Żydowską. Na samym wejściu na plac wspomniany spostrzegłem wielkie kałuże krwi ludzkiej... krwi niewinnie wytoczonej, którą rozhukane żołdactwo w szale pijaństwa wylało. Była to krew dwóch wieśniaczek, jedna młoda dziewczyna, a druga już w latach włościanka, idących z mleczywem do miasta... na które może wołali żołnierze, aby się nie zbliżały, ale że to byli Niemcy, a one języka ich nie wiadome, nie zważając na zakaz szły dalej i poległy od wystrzałów... a krew ich woła do nieba o pomstę... a zabójca ich może już odebrał za męstwo swe pochwałę lub nagrodę... Lecz oddajmy sądowi Wszechmocnego wymiar kary za tę zbrodnię, który nigdy krwi niewinnie wylanej bez kary nie przepuścił, bo u wrogów niema dla nas sprawiedliwości. Lecz nie same tylko te dwie wieśniaczki padły ofiarą wściekłości pijanego żołnierza... zabitych było tym sposobem i więcej niewinnych i bezbronnych ludzi; nie mało było także pokaleczonych, o których wspomina *Gazeta Wrocławska*, zamilczając jednak o popełnionych szkaradnych zabójstwach.

Około godziny 10-ej rano dn. 21 lutego uspokoiło się trochę i ludzie po ulicach krążyć zaczęli, lecz znowu popołudniu odnowił się przestrach: był to czas okropny, bo znowu żołnierze do ludzi strzelali i kaleczyli bezbronnych, a nawet od ich strzałów padały ofiary zabójstwa; jak np. lampiarz,

idący zakładać do latarni ulicznej lampę, gdy nie odstąpił na wołanie żołnierza, ten, przystąpiwszy do niego, przyłożył mu broń do piersi i trupem go położył...

W tej pamiętnej nocy wybuchu rewolucyi utracił życie niejaki Józef Komar, którego powstańcy, wywoławszy z domu na ulicę, rozsiekali. Był to niegdyś urzędnik celno-graniczny Królestwa Polskiego (konduity, jak była o nim opinia, podejrzanej); ten, przewidując, że mu dymisya daną będzie, sam, uprzedzając to, za służbę podziękował i tu do Krakowa się sprowadził... Nie zwykłem nigdy dawać sądu o ludziach, których nie znam, ale był to głos powszechny o tym Komarze, że się trudnił szpiegostwem, a mianowicie wyszukiwał ludzi, którzy tu czasem, bez paszportu granicę tajemnie przebywszy celem załatwienia jakich sprawunków, z Królestwa Polskiego przybywali. Takich on wyśledzał (a znał wielu mieszkańców Królestwa z powodu swego dawniejszego urzędowania na granicy) – i albo im kosztownie okupywać się kazał, albo wzbraniających tego haraczu denuncyował. Figura to była okazała, a na twarzy jego mieszkał uśmiech szyderczy, i wielu na niej wyczytywało cechę przewrotności charakteru. Chciano do niego stosować to *dictum acerbum*: „albo ten człowiek jest łotr, albo pismo Boże na jego obliczu jest nieczytelne“. Nabył on tu nieruchomość jednę czy dwie, tu się już dawniej był ożenił i z familią swą osiadł. W czasie tej fatalnej, a ostatniej dla niego nocy, zamieszkiwał on na przedmieściu Wesoła. W nocy przyjechali powstańcy przed mieszkanie jego i wywołali go do siebie i tu życiu

jego położyli koniec. Czy śmierć jego była zasłużona, czy kara sprawiedliwa? — najlepiej wie o tem Wszechmocny, który nas wszystkich w ostatniej instancyi sądzić będzie — bo mówi przysłowie: „Nie sądź, a nie będziesz sądzony“.

Drugą ofiarą zemsty publicznej tejże nocy padł Antoni Weinberger [1]): był to rewizor policyi krakowskiej, którego również opinia publiczna skarżyła, że bardzo wielu ludzi z jego przyczyny różnych prześladowań i ucisków doznało. Sam jego urząd był już wielce przykrym i narażającym, a on miał jeszcze przegórowaną swą gorliwością w nim przesadzać. Jemu przypisywano, że wyśledzał zbiegów z Królestwa, którzy przed poborem do wojska uciekli i tu na ziemi wolnego miasta Krakowa się ukrywali; że w r. 1836 bardzo był czynnym w wyszukiwaniu i wydalaniu stąd tak niesłusznie nazywanych emigrantów..... I w obwinieniu tem musiało być coś prawdy, gdyż była pogłoska, że za swą gorliwość otrzymał w nagrodę order św. Stanisława najniższej klasy; ale gdy go przyjąć nie mógł (gdyż był co do wyznania żyd), order ten został wstrzymany, a jemu inna nagroda wydzielona. Potem przeszedł on na katolicyzm, lecz miał być zawsze jednym z tych, o których rzeczono: „Zyd chrzczony... wilk chowany“... etc. Tego tedy Weinbergera w tej pamiętnej nocy fiakrem jadącego spotkali powstańcy i poznali i ciężko porąbali, tak że w dniu następnym w klinice akademickiej ducha wyzionął... Czy to była karząca

[1]) Zabity na Stradomiu przed domem nr. 2, tuż przy kościele Bernardynów.

Nemezis?... wie najlepiej Ten, któremu wszystkie skrytości serc naszych są jawne.

Te są dwa jedyne zabójstwa, któremi się ta okropna noc naznaczyła — bo za ofiary nie można poczytywać tych, którzy, szukając guza, sami się na to poświęcili — i mając oczy, ślepymi byli, że się to szaleństwo dobrze skończyć nie może, bo trudno jest porwać się z motyką na słońce.

W dniu 21 lutego Senat rządzący wydał rozporządzenie, zapowiadające sąd doraźny *(Standrecht)* na każdego, ktoby w zamieszaniu tem uczestniczył, t. j. karę śmierci. Tegoż dnia wydał gen. Collin okropny dekret, jakby przeciwko najoczywistszym buntownikom, które to dwa pisma *ad perpetuam rei memoriam* zamieszczam w niniejszej księdze.

W takich to okropnych wzruszeniach, w stanie największej niepewności, co się dalej stanie, przeszedł nam dzień 21 i 22 lutego — i nie chciałbym drugich podobnych dni dożyć: a smutne wrażenie, jakie w umyśle moim sprawił widok strumieni krwi ludzkiej na placu Szczepańskim, krwi niewinnej poczciwych włościanek naszych ręką barbarzyńską rozlanej, nigdy z pamięci mojej zatarte nie będzie.

Do samego wieczora w niedzielę dn. 22 lutego, umysły nasze zawieszone były między bojaźnią a nadzieją. Rynek miasta zupełnie był mieszkańcom miasta niedostępny i my tu w końcu ulicy św. Jana mieszkający nic nie wiedzieliśmy, co się tam dzieje. Może to już była godzina 7 wieczorem, kiedy żona moja, otwarłszy okno, dostrzegła idącego od rynku ku domowi sąsiada naszego (a była

na ulicy grobowa cisza) i spytała się tegoż: „Panie Kolasiński, cóż tam w mieście słychać?“ Na co tenże odpowiedział: „Nic nie słychać, zupełnie cicho, bo Austryacy wymaszerowali“. Dosłyszawszy i ja tego, rozumiałem, że się temu człowiekowi pomięszało w głowie... lecz gdy drugi i trzeci człowiek z miasta idący, o toż samo zapytany, taką jak i Kolasiński dał odpowiedź, osłupiałem z zadumienia i sam sobie ze stanu umysłu mego zdać nie mogłem rachunku.

Drugiego dnia zaraz rano (w poniedziałek dn. 23 lutego) wyszedłem z domu na miasto, w rynek, gdzie prawie cała ludność Krakowa zgromadzona poruszała się i jeden drugiego badał z natężeniem o przyczynę tak nagłej ucieczki generała z wojskiem, który nas wszystkiemi siłami, w mocy jego będącemi, od zgrai burzliwych ludzi bronić przyrzekał... Tam dowiedziałem się, że przed południem dn. 22 lutego w niedzielę przybył kameduła z Bielan, Włoch i przyniósł gen. Collin wieść (fałszywą) o tłumach powstańców, gromadzących się w lesie bielańskim, i o pół-milowej *(halbe Stunde lang)* kolumnie chłopstwa, ciągnącego pod Kraków — a szczegół ten o kamedule *(ein Karthäuser-Mönch von Bielany)* potwierdziły gazety niemieckie (augsburska [1]). Z drugiej strony doniesiono mu (także fałszywie), że Patelski i Ekielski (o których wyżej) ze znacznym oddziałem powstańców przeprawili się pod Czernichowem

[1]) Rozsiewaczka największych kłamstw i potwarzy na Polaków. Wszystkie wiadomości o Krakowie dostarczane jej były wprost z kancelaryi księcia arcykanclerza Metternicha.

przez Wisłę do Galicyi, w celu odcięcia wojsku austryackiemu odwrotu. Z innej jeszcze strony dowiedział się (a widać, że już wszystko sprzysięgło się przeciw temu wojownikowi i zabiło go fałszywemi wieściami), że cała Galicya powstała w masie i chłopi z ogromnemi siłami ciągną ku Krakowu dla wzięcia wojsku jego boków. Te to fałszywe pogłoski rzuciły paniczny postrach w umysł gen. Collina, wskutek których zwołał na radę wojenną wyższych oficerów w niedzielę w południe, przedstawił im otrzymane doniesienia, i tam uchwalonem było, aby Kraków opuścić i na Podgórze się cofnąć...

Wypadek tej narady doniósł generał ks. Janowi Schindlerowi, prezesowi Senatu... ten zaś, lub kto inny, zawiadomił o tem zastępcę prezesa Senatu, senatora Jacka Księżarskiego. Dobiegła wieść ta i do dyrektora policyi oraz i urzędników jego biura, którzy wszyscy, jako nam najłaskawiej przez byłego dyrektora policyi, niecnego Franciszka Guta, narzuceni, nie wiedząc, jakiem okiem na nich tu patrzanoby, z pośpiechem się pakować i za Wisłę drapać zaczęli; lecz najdziwniejsza i najśmieszniejsza, że w tej liczbie uciekających znalazł się i ks. Ludwik Łętowski, kanonik kat. krak., biskup Joppeński, administrator biskupstwa krakowskiego, czemu wydziwić się nie mogliśmy, i takie było dilemma: „kto się bije w piersi, ten się musi do grzechu poczuwać“. Około godziny 5-ej zaczęły wojska austryackie wyciągać z Krakowa, piechota, jazda, artylerya, a tylną straż ich formowała milicya krakowska, którą generał ze sobą zabrał. Wyjechał prezes senatu, jego zastępca, wy-

ruszyli stąd rezydenci wszystkich trzech opiekuńczych dworów ze swymi sekretarzami, wyniósł się dyrektor policyi, jego biuraliści, zgoła opuściło nas wszystko, wojsko, rząd, i to, co porządek utrzymywać miało — nawet w pośpiechu konferencya i prezes nikogo o tem z pozostających tu członków senatu nie zawiadomili, ani nawet cienia jakiego rządu nie postanowili. I tak zostaliśmy porzuceni na łaskę Boga — ale razem i na igrzysko namiętności ludzi niespokojnych, jeśliby się tu jacy znaleźli byli [1]).

---

[1]) Tu zapiszę następującą charakterystyczną opowieść, jaką słyszałem o jenerale Józefie Chłopickim. Mąż ten, zamieszkujący od rewolucyi polskiej r. 1830—31 ciągle w Krakowie, unikając jakiej nieprzyjemności, któraby go spotkać mogła (gdyż widać, że się do winy poczuwał), spostrzegłszy z okien mieszkania swego w domu na początku ulicy Grodzkiej naprzeciw głównego odwachu, że się w wojsku austryackiem rozpoczynają ruchy, które odwrót jego wskazują, uprzedzając wszystko, jeszcze przed wieczorem dn. 22 lutego udał się na Podgórze. Tam, nająwszy sobie mieszkanie w gościnni *pod Jeleniem*, z cygarem w ustach siedział sobie spokojnie przed domem, czekając na wypadki; aż wreszcie spostrzegł korpus austryackiego wojska, przybywający wstecznym pochodem na Podgórze. Zapadł wreszcie wieczór, kiedy uliczniki krakowscy w obawie, aby Austryacy do Krakowa nie wrócili, naniósłszy na tę część mostu na Wiśle, która przy brzegu krakowskim została, słomy i innych palnych rzeczy, usiłowali takowy zapalić. Gdy już wojsko wszystko na Podgórzu stanęło, zbliżył się do starca zsiwiałego w obozach generał Collin, zasięgając rady jego, czyliby z poruszeń powstańców na lewym brzegu Wisły nie wykrywał się ich zamiar przeprawienia się na Podgórze, i coby teraz do czynienia pozostawało?... Na to odpowiedział stary wojownik: „Co do drugiego, uczyńcie panowie tak jak i ja, rozbierzcie się i pokładźcie się spać. Co do pierwszego — obawa jakaś byłaby



SCENA Z R. 1813.

»A NIEMCY NA TO Z WIELKIEM ZDZIWIENIEM PATRZALI,
JAK HAWRYŁO DO MADLI KOPERCZAKI PALI....«

AKWARELA MICHAŁA STACHOWICZA (OBACZ »KATALOG« ŚWIEYKOWSKIEGO NR. 65).

Zaraz po tej retiradzie, zakrawającej na ucieczkę w popłochu, niektórzy obywatele miasta, widząc niebezpieczeństwo, na jakie przez to niespodziewane zdarzenie miasto narażone zostało — zgromadzili się u hr. Józefa Wodzickiego, znakomitego właściciela dóbr i nieruchomości tu w Krakowie, tutaj ciągle zamieszkującego, i tam postanowiono złożyć z znakomitszych obywateli miasta jakiś gatunek rady, rządu tymczasowego — a także zwołać wszystkich obywateli miasta Krakowa, aby ci uformowali z siebie straż bezpieczeństwa: jakoż w niewielką chwilę zebrała się znaczna liczba tak mieszczan, jako i mieszkańców krakowskich, którzy jaknajspieszniej udali się do klasztoru przy kościele św. Michała, gdzie są więzienia kryminalne, i gdzie przeszło 300 złoczyńców osadzonych było. Już oni tam wiedzieli o tem, że Austryacy wyszli z Krakowa, i już w niektórych aresztach usiłowali wyłamać drzwi, ale przecież zdążyli na sam czas potrzeby obywatele, i gdy im pogrożono śmiercią, a oraz dla postrachu parę razy wystrzelono, uciszyli się złoczyńcy i w spokojności pozostali: uwolniono wtenczas kilku więźni politycznych, a między niemi Stankiewicza, który był obwiniony i na długie lata więzienia skazany za uczestnictwo w zabójstwie r. 1838, popełnionem na szpiegu Celaku. Następnie postawioną została straż obywatelska przy kasach rządowych. Noc ta przeszła bez żadnego ekscesu ze strony pospólstwa, pominąwszy tylko krzyki i wołania: do broni!...

---

płonną, co gdyby mieli zamiar przeprawienia się na tę stronę, toby pewnie mostu nie palili". *(Relata refero).*

śpiewania i strzały z fuzyi i pistoletów po ulicach na wiwat.

Tego samego wieczoru, zaraz po wyjściu Austryaków, lud uwolnił siedzących w kościółku św. Wojciecha więcej niż 40 aresztowanych, a między nimi Fochta i tych, których z nim razem uwięziono: Korneckiego, Koscha i wielu innych, których Austryacy przez te dwa dni poprzednio po ulicach nałapali, w największej części ludzi niewinnych, uwięzionych chyba za to, że ich późno wieczór na ulicach spotkano. Niektórzy siedzieli tam przez dwa dni bez żadnego posiłku.

Tymczasem, kiedy zdawało się, że burza klęskami grożąca uśmierzoną została, inne chmury, daleko groźniejsze zebrały się niespodziewanie nad głowami naszemi. W tej samej chwili, kiedy się zawiązywała rada obywatelska, mająca na celu utrzymanie porządku i bezpieczeństwa, wysunęło się z kryjówek kilku awanturników, ludzi zupełnie tu nieznanych, których przymiotem była bezczelność i śmiałość, a godłem: *audaces fortuna juvat* (bo rozsądek zdrowy i uczciwość nie dostały im się w podział). Ci to, oparci na pomocy równych sobie zapaleńców, jaką sobie wcześniej już zapewnili, otoczeni będąc jakąś liczbą powstańców z okręgu do miasta już przybyłych, osiadłszy miejsce w gmachu zwanym pod Krzysztofory, zaimprowizowali z siebie rząd narodowy. Rozpoczęli zaś od tego swoje urzędowanie, że wezwali radę obywatelską do siedliska tak nazwanego rządu narodowego, celem porozumienia się. Mówią, że rada obywatelska istotnie wezwaniu temu zadosyć uczyniła, rząd ów uznała i przysięgę mu na wier-

ność złożyła. Jeżeli rzeczywiście tak się stało (bo zupełnego o tem jeszcze nie mam przekonania), tedy ubolewać należy, że się w tem nadzwyczajnem zdarzeniu nikt tyle przytomnym nie znalazł, któryby na niewczesność i niemiejscowość tego kroku uwagę był zwrócił... Ale są chwile, w których ludzie najrozumniejsi wypadkom ulegnąć muszą, zwłaszcza gdy te są nieprzewidziane — i takowe nieraz nad ludźmi górę wezmą.

Dopisek późniejszy: Wspomniałem, że według pogłosek rada obywatelska uznała dobrowolnie ów rzekomy „rząd narodowy“. Jeden z jej członków, Wny L. Bochenek, zaprzeczył jednakże temu w rozmowie ze mną i przedstawiał ten epizod w sposób, jak następuje:

„Podczas kiedy obywatele u hr. Wodzickiego zgromadzeni — mówił on — zawiązali komitet bezpieczeństwa i stamtąd udali się na główny odwach w celu rozstawienia straży obywatelskiej przy kasach i więzieniu kryminalnem i t. p. (było to około godziny 10 wieczór dn. 22 lutego), przybiega ktoś na główny odwach i donosi temu komitetowi bezpieczeństwa, że przed Krzystoforami kupią się jacyś zbrojni ludzie — a w samym gmachu zgromadziło się wielu panów, którzy jakiś rząd ustanawiają. Sam hr. Wodzicki z hr. Moszyńskim udali się tamże, aby się przekonać, co się dzieje, i aby dwa komitety lub dwie rady w jednym celu nie organizowały się. Lecz oni tam co innego, nie to, czego się spodziewali, znaleźli.

W małą chwilkę potem przyszło na główny odwach, gdzie się zebrał komitet bezpieczeństwa,

czterech zupełnie nieznajomych, z szarfami biało-czerwonemi — pistolety za pasem, u boku pałasz, a w ręku dubeltówki — otoczeni czeredą również uzbrojonych i prócz tego kupa hałastry za niemi. Ci tedy stanąwszy wobec komitetu bezpieczeństwa zapowiedzieli mu, że są rządem narodowym — przeczytali pismo „Protokół“ i “Manifest“ wobec tłumu ludu przed głównym odwachem — i tym sposobem sami zainstalowali się.

Przysięgi na wierność temu rządowi żaden z członków komitetu bezpieczeństwa nie wykonał, jak to mylnie twierdzono, a nawet gazety niemieckie o tem donosiły.

Rada obywatelska nie była w możności sprzeciwić się tym intruzom, bo ci zaraz na wstępie zapowiedzieli, że ciągnie do Krakowa Patelski i Ekielski z korpusem powstańców — a temu łatwo wierzyć było można, skoro gen. Collin tak prędko się z Krakowa usunął. Nikt zaś tego przypuścić nie mógł, że mąż, w wojennej służbie podstarzały, a zatem doświadczony, nie widząc nieprzyjaciela, tak płocho pierzchnie“...

Zaraz z rana dn. 23 lutego zaczęto rozdawać w Rynku i ulicach Krakowa pismo pod tytułem: „Protokół“ i drugie „Manifest rządu Rzpltej polskiej“, który odczytany był dla pospólstwa na rogach ulic. Po tych dwóch pismach zaczęły się sypać rozporządzenia jedne po drugich, które znajdują się drukowane w *Gazecie Krakowskiej* nr. 44, w *Dzienniku rządowym*, który miejsce jej zajął — i wreszcie w osobnych drukach. Wszystko to było płodem wczesnym, do swej pory nie donoszonym;

nikt też temu dziecięciu tak dorywczo urodzonemu długiego życia wróżyć nie mógł.

Wskutek rozkazu dyktatora zaczęto przygotowywać broń dla powstania. Pozabierano z handlów kosy sieczne — a kowale, tudzież stelmachy i stolarze osadzali takowe na długich rękojeściach, robiono piki i t. d. Rekwirowano konie pod jazdę od tych, którzy trzymali ekwipaże, zakupywano płótno, sukno, obuwie dla ubrania przyszłego narodowego wojska — zapisywano ochotników do wojska, piechoty i jazdy, nie przynaglając jednak nikogo. Zaczęły się ściągać z okręgu małe oddziały powstańców i sam zadziwiłem się niezmiernie, gdym ujrzał hufiec, może 30 lub 40 jeźdźców, który dn. 25 lutego nadciągnął z okręgu. Byli to Krakusy, lud młody, dobrany, z miną dziarską, dobrze umontowany i uzbrojony, z lancami i chorągiewkami. Na widok ich można było przypuścić, że to dawni żołnierze, tylko różnorodne ich ubiory wskazywały, że oni nie dawno na koń wsiedli. A byli to ludzie z klasy lepiej się mających, ekonomy, pisarze dworscy i rozmaici oficyaliści. Konie zaś ze stajen dworskich właścicieli ziemi zostały zabrane, a potem w Prusach zmarnowane.

Nie na tym stopniu stały rzeczy z piechotą. Zgłaszało się wprawdzie dosyć ludzi z chęcią służenia w piechocie, lecz to był lud, który, jak widzieć było można, nie chęć służenia dobrej sprawie, ale konieczna potrzeba do szeregów wojskowych popychała. Po dwurocznym nieurodzaju czuć się dawała na wsiach wielka nędza – i dla ludzi klasy wyrobniczej, ubogiej, wielka była trudność wyżywić się na wsi. Szło więc wielu tylko w widoku

utrzymania swego bytu, znalezienia sposobności wyżywienia się. Licho też niezmiernie wyglądało to wojsko piesze, bose, a obdarte, z niezaprzeczonym na postawie swej napisem: bieda[1]). Garnęło się i tutejszych ludzi bez powołania nie mało, z tychże samych przyczyn spieszących pod chorągwie powstania — ale można to było przewidzieć, że takie wojsko za pierwszym wystrzałem poszłoby było rozsypkę. Cisnęło się także do szeregów wojska wielu wyrostków, których (sam to widziałem przy zapisywaniu się do wojska na zamku) odprawiano z niczem: „idź precz, boś mały“.

Dotąd na żadnej zasadzie nie udałoby się usprawiedliwić, dlaczego gen. Collin, nie widząc nieprzyjaciela, opuścił Kraków, mając po sobie tyle warunków trzymania się tu dłuższego. Ale daleko trudniej byłoby umotywować ucieczkę jego z Podgórza aż do Wadowic. Tego szybkiego marszu w tył nie można nazwać odwrotem, cofaniem się, lecz wprost ucieczką, która niema nic wspólnego z anabazis Xenofonta, ani z rejteradą gen. Moreau z nad Renu — ani nawet z cofaniem się naszego zacnego Kościuszki z pola przegranej bitwy pod Szczekocinami. Przez ten niezręczny manewr podał on w ręce powstańców zasoby i środki, na których im istotnie zbywało, gdyż odbieżał na

[1]) Po zajęciu Krakowa przez wojska mocarstw protegujących oficerowie skoncypowali anegdotę, że powstańcy mieli dwojaką piechotę, ciężką i lekką — t. j. ciężka w butach, a lekka — boso. Niektórzy z tych improwizowauych wojowników, z braku innego oręża, mieli opalone drążki, niby to żelazem na ksztalt dzidy okute, jeden z nich miał niewielki młotek osadzony na długim kiju.

Podgórzu zapasy prochu, skład broni i inne materyały wojenne. Skorzystali też z tego powstańcy i przewieźli to z Podgórza do Krakowa. Oddział ich jakiś, przeprawiwszy się po moście na prędce naprawionym przez Wisłę, zajął Podgórze, zdobył kasę salinarną w Wieliczce i posunął się aż pod Gdów, lecz tam, spotkawszy oddział jakiś wojska austryackiego w połączeniu z wielką kupą chłopów galicyjskich i poniósłszy niejaką klęskę, rozproszył się, ucieczką ratując się, gdzie kto mógł. Gazety wiedeńskie i inne niemieckie opisały w stylu pompatycznym, nadętym, to zwycięstwo, które odniósł pułkownik Benedek nad tą zbieraniną na prędce i odebrał za to w nagrodzie order św. Leopolda.

Powstańcy zaś przynieśli z tryumfem z Podgórza wielką tablicę z herbem ces. austryackiego, jaka była zawieszona na słupie przy komorze celnej w Podgórzu, którą ja sam na odwachu głównym, w czasie pełnienia straży bezpieczeństwa, własnemi oczami widziałem tu w Krakowie. Wyprawa ta powstańców za Wisłę była dn. 24 lutego, o czem obacz opis w *Dzienniku rządowym* nr. 2.

Smutny tu dla wielu osób i rodzin zdarzył się wypadek. Dyktator dowiedział się, że w Galicyi chłopstwo zabija szlachtę, mordując wszystko, co nie nosi chłopskiej kitli, i rabując dwory — zgoła, że lud ten (poruszony przez zachęty urzędników cesarskich, aby łapał, więził i dostawiał szlachtę do urzędów cyrkularnych, jako klasę podejrzaną o zamiar podniesienia rewolucyi), — obrócił się i przemienił w wściekłe bestye, rozlewające krew bez najmniejszego zastanowienia. Dyktator więc

umyślił wyprawić z Krakowa procesyę z znacznej liczby księży do Galicyi, którzyby to szaleństwo chłopskie zapomocą religii pohamować i uspokoić usiłowali. Ta procesya, z 30 przeszło księży złożona, wyszła na Podgórze, a za nią poszło wielu z Krakowa, częścią z nabożeństwa, częścią z ciekawości, i jakiś niewielki oddział powstańców. Ale tymczasem Austryacy, ochłonąwszy z przestrachu, spiesznym pochodem przybyli na Podgórze i procesyę tę odcięli — nawet dawali do tych ludzi ognia z armat kartaczami. To też wielu, tak świeckich ludzi, jak i księży, zabili; resztę zaś księży zabrawszy w niewolę, wysłali do Ołomuńca i tam ich poszło osób około 30; a ludzi świeckich trzymają dotąd uwięzionych na Podgórzu, tylko wypuścili kobiety. Siedzą oni tam do dziś dnia, kiedy to piszę, t. j. dn. 29 marca — rozumie się w chłodzie i w głodzie.

Wspomnę tu nawiasem, iż słyszałem od osoby dobrze informowanej, że w parę dni po wybuchu rewolucyi w Krakowie dyktator Tyssowski, nie odbierając wiadomości o tem, że w Polsce powstanie przyszło do skutku, i owszem, że tam cicho i spokojnie i że się zamiar spodziewany nie udał, poufnie komuś zwierzyć się miał, że teraz już tylko o tem myśleć potrzeba, jakby się z tej zawieruchy wycofać.... Bo zapewne się przekonał, że zamek na lodzie budować zaczął.

Przez cały czas trwania tych zamieszek, t. j. od dn. 22 lutego do dn. 3 marca, obywatele krakowscy strzegli swego bezpieczeństwa i trzymali straże tak na głównym odwachu, jako i na mniejszych odwachach, które były w każdej gminie. Każda gmina miała swoich dowódców, czyli setni-

ków, a my pod niższymi dowódcami, t. j. dziesiętnikami, uzbrojeni w to, co kto pod ręką miał, utrzymywaliśmy patrole nocne po ulicach, zapobiegając nieporządkowi, jaki przy napływie mnóstwa ludu ubogiego ze wsiów do miasta mógłby wyniknąć. Lecz Bogu dzięki przez cały ten czas nie wydarzył się żaden exces i było spokojnie. Tylko jednego dnia powstał przestrach wielki samym wieczorem, kiedy Austryacy, wpadłszy na Podgórze, stoczyli ten bój (o którym wyżej) z procesyą, a huk ich armat rozlegał się po całem mieście i kule nawet uderzały o ściany domów na Kazimierzu stojących, a nawet ludzi zabijały.

W takiem zamięszaniu, w takiej niepewności i obawie przeżyliśmy te kilka dni; a było się czego obawiać, bo Austryacy ostrzyli sobie zęby na miasto, mścić się zamierzając za hańbę, którą ich okryło niedołęstwo i brak serca ich własnego dowódcy. Lecz też i rzeczy zbliżały się do końca i dramat rewolucyi bliskim już był rozwiązania. Z dnia 2 na 3 marca, z poniedziałku na wtorek w nocy, rozpoczęły się umowy z gen. Collinem owego komitetu bezpieczeństwa, zawiązanego d. 22 lutego. Awanturnicy, którzy się nazwali rządem narodowym, dyktator i jego koledzy, widząc jaśnie, że nawarzyli głupstwa, wynieśli się z Krakowa cichaczem, a za nimi całe powstanie piesze i konne, udając się ku pruskiej granicy, dokąd, broń wprzód złożywszy, wkroczyli i władzom pruskim się poddali. I tu koniec rewolucyi, ale nie koniec naszej biedy.

Owi naczelnicy spisku, odegrawszy głupio swe role, brudno ze sceny zeszli — bo zabrali pieniądze z kasy krak., jakie tam zastali, i te sobie przyswoili, a było tychże około 70 tysięcy zł. pol. I prócz tego wzięli z pieniędzy z Wieliczki zabranych, reńskich 40 tysięcy w monecie srebrnej. Dn. 3 marca we wtorek weszła już, uprzedzając Austryaków, przednia straż wojska rosyjskiego do Krakowa, prawie w samo południe. Była to znaczna liczba konnicy z wojsk nieregularnych, przeważnie Czerkiesów czy Kurdów, których lud przywitał okrzykiem: „Niech żyje cesarz Mikołaj!“ Po południu nadciągnął i oddział piechoty z konną artyleryą. Czerkiesów część jakaś stanęła na odwachu głównym, a część udała się do mostu podgórskiego, na których widok głupią minę zrobił gen. Collin. Z wielkich pretensyi dania mu z miasta zakładników, którzyby głowami swemi odpowiedzieli za każdy wystrzał na nich w Krakowie uczyniony, natychmiast spuścił i most przez Wisłę czemprędzej urządzać kazał.

Dn. 4, 5, 6 marca. Ściągają do Krakowa wojska austryackie, rosyjskie i pruskie. Kwaterują takowe po klasztorach, po domach. Jazdy znaczna liczba stoi w Sukiennicach, obróconych na stajnię. Robią dla niej żłoby z forsztów, i gmach ten zagrożony jest wewnątrz wielką ruiną. I mnie dostał się kwaterunek 4 wojskowych pruskich od muzyki pułku 23 piechoty, którym nakazano dawać żywność. Ludzie to byli spokojni i nie doznałem od nich żadnej przykrości.

Nadeszła chwila różnych wymagań i dostaw. Kazano dostarczyć kilku tysięcy sienników, a je-

szcze spodziewana jest dostawa prześcieradeł i koców dla wojska austryackiego — bo rosyjskie i pruskie wojska wyszły z Krakowa do okręgu.

W ogóle zaraz, jak tylko wojska mocarstw opiekujących się Krakowem do tego miasta weszły, rozpoczęły się rekwizycye, jakby w mieście po długiej wojnie na nieprzyjacielu zdobytem. Uciążliwy kwaterunek z żywieniem żołnierzy, choć niezbyt długim był, ale się niejednemu naprzykrzył i dał we znaki.

Zamek krakowski staje się cytadelą. Już teraz wojska cesarza austryackiego pęcherzem z grochem wystraszyć nie będzie można; gen. Collin po przeszłej lekcyi daleko stał się ostrożniejszym.

Cienie Piastów i Jagiellonów!... wielkiego doznałybyście zdumienia na widok tego, co się teraz z siedzibą waszą dzieje. Zaraz po osadzeniu Krakowa, dowódca wojsk cesarskich zażądał od rady administracyjnej (dawniejszego senatu miasta Krakowa), aby mu dostarczonem było mnóstwo drzewa i znaczna liczba cieślów. Pod kierunkiem inżynierów austryackich zrobiono z tego drzewa palisady i takowemi obwarowano przystęp do zamku zaraz na wyjściu z ulicy Kanoniczej. Toż samo uczynione jest i z drugiej strony zamku, w części wschodnio-południowej [1]), nadto już na wierzchu Wawelu obwarowano palisadami bramę, prowadzącą do wielkiego pałacowego dziedzińca. Wszystkich ubo-

[1]) I w 3-cim miejscu, t. j. wnijście na górę zamkową od strony Wisły z nad Rybaków, palisadami zabudowane. A nawet przystęp do Smoczej jamy zamurowany.

gich, którzy tam byli w gmachu pałacowym, czyli Tow. Dobroczynności, tudzież dzieci wychowywane pod opieką tegoż Towarzystwa wydalono z zamku, i cały ten gmach obrócony jest na koszary wojska austryackiego. Pod wieżę, na której jest dzwon Zygmunt, zatoczone są 4 armaty wymierzone na miasto, zgoła liczne straże strzegące przystępu do zamku wskazują, że to dawne mieszkanie królów naszych stało się cytadelą, mającą zadanie utrzymywać mieszkańców Krakowa w spokojności, a na przypadek jakiej napaści (której nie ma żadnego podobieństwa) służyć wojsku za schronienie, za fortecę.

Pierwszą czynnością władzy wojennej w Krakowie ustanowionej było zaprowadzenie komisyi śledczej z trzech złożonej, pod przewodem pułkownika wojsk pruskich Hobe. Zaczęły się aresztowania osób skompromitowanych, jakoby do rewolucyi należących, tak np. osób na różne urzędy przez dyktatora mianowanych, a szczególniej tych, którzy czynnościami jakiemi przyjęcie to urzędu naznaczyli, jakoteż ludzi klas niższych, którzy się do wojska narodowego zaciągnęli i tu pozostali. Uwięziono mnóstwo ludzi winnych i niewinnych i dosyć było tej denuncyacyi: „należał do powstania“, aby wnet ujęto go i pod strażą osadzono. Zapełnione są wszystkie gmachy więzień takimi przestępcami, a gdy te nie były dostateczne do pomieszczenia tak wielkiej liczby delikwentów, zajęto w sekwestr gmachy klasztorne, gościnnię Knotza i inne miejsca, w których osadzono kilkaset osób; a do tego znaczną liczbę uwięzionych we wsiach okręgowych sprowadzono także do Kra-

kowa. Siedzą w tych aresztach ludzie wszelkiego stanu, ludzie majętni i ubodzy wyrobnicy, a nawet i wielu księży, obwinionych o rozszerzanie zasad demagogicznych i ducha rewolucyi. Badania winnych odbywają się, i wielu już z pod zarzutów uwolniono i wypuszczono. Tych z pomiędzy uwięzionych, którzy nie należą do ludności krak., odsyłają do Polski lub Galicyi i tam oni będą sądzeni.

Insurgentów, którzy do Prus wkroczyli i tam złożyli broń, po oddzieleniu tych, którzy nie są pochodzenia tutejszego i oddaniu ich tam, gdzie należą, przyprowadzają do Krakowa. Dn. 31 marca przyszło ich pod strażą około stu: są to po największej części biedacy, wyrobnicy i luźni ludzie wiejscy, których niedostatek w szeregi powstania wegnał. Później dostarczą zapewne więźniów z klasy trochę wyższej, ekonomów, wiejskich oficyalistów i t. d. Lecz to najgorsza, że (jak piszą w gazetach niemieckich) naczelnicy powstania, dyktator i jego kohorta, przemknęli się przez Niemcy i już są na gościnnej ziemi, udzielającej przytułku, którego wcale za swój nierozum nie są godni. I tu w tym wypadku sprawdziło się powszechne przysłowie: „małych złodziei wieszają, a wielkich puszczają“, albo: „bąk się przebije, a mucha uwięźnie“.

Najkomiczniejszą częścią ruchawki r. 1846 było to, że już twórcy i popieracze jej obrali — rozumie się, że z pośród siebie — gubernatorów i rządców różnych krajów, jako Litwy, Wołynia, Podola etc.; a byli to zaiste ludzie tak sumienni i z charakterem poczciwym, jak się pokazali być rozumnymi i konsekwentnymi. Nie wątpić o tem, że

już każdy z nich nie zapomniał ułożyć dla siebie budżetu dochodów.

Co się tyczy naczelnego „wodza“ tego powstania, Skarżyńskiego, to mogę podać następującą jego charakterystykę: Warchoł niepospolity, szachraj zawołany, hulacz lekkomyślny, zły płatnik długów, zawadyaka etc., etc. Syn przekupnego i skasowanego urzędnika sądowego, a brat zabójcy niewinnego człowieka, który był kryminalnie karany i lat kilka więziony... I miałoż się udać przedsięwzięcie (szalone), gdy ster jego w takich lub podobnych spoczywał ręku?... Tento naczelnik, pochwyciwszy w nocy kasę rządową, ujechał z nią do Prus... Wprawdzie rząd położył sekwestr na jego własności — ale *contabit vacuus ante latronem.*

Obraz to nie przesadzony i prawdę jego poświadczą współcześni.

Kraków w stanie blokady.

Od chwili zajęcia przez wojsko austryackie, t. j. od dn. 3-go marca aż do samej Wielkanocy Kraków zostawał w stanie najściślejszego zamknięcia. Nikomu z miasta wyjść nie było wolno, tylko za poprzednio uzyskaną kartą. Na wszystkich wyjazdach z miasta, t. j. na rogatkach, stały liczne straże pod dowództwem oficerów, z początku wojska rosyjskiego na przemian z austryackiem, potem już samego austryackiego, które nikogo za obręb rogatek nie wypuszczały. Około dawnych okopów miasta stali co kilkaset kroków rozstawieni jeźdźcy austryaccy *(chevaux-legers)*, pilnując,

aby się kto przez okopy miasta nie przemknął (t. j. jaki powstaniec). Tylko wpuszczano tam i napowrót włościan, niosących do miasta różne potrzeby, np. żywność i t. p., a zatem straże były i są niepotrzebne, bo chcący wysunąć się z miasta mógł przechodzić wśród białego dnia około straży, wziąwszy na siebie ubiór włościański.

Dopiero ten stan oblężenia zwolniał cokolwiek od dn. 12 kwietnia, kiedy już straże przechodzących przez rogatkę wolno przepuszczają, nie pytając się o *Passier-zettel.*

Dn. 3-go marca, jak było wyżej, przybyły dla zajęcia Krakowa, opuszczonego przez powstańców, wojska rosyjskie, których przednią straż stanowiła konnica lekka, złożona z ludów azyatyckich, Kurdów i t. p. góralów Kaukazu, w służbie tego mocarstwa będących. Nie można sobie wyobrazić nic malowniejszego nad wojsko to: co do rysów twarzy, te były właściwe ludom wschodu, brody wystające, cera ogorzała nakształt cyganów, ale lud piękny, zwinny i dorodny. Ubiory ich były przerozmaite: niektórzy mieli rodzaj czamarek z kieszonkami na piersiach na ładunki, inni jakiś gatunek sukni zwierzchniej, podobnej do polskiego kontusza, z rękawami rozprutymi, kolory ich sukien były *ad libitum* każdego: zielone, brunatne, żółte, słowem jaki kto chciał. Oddział muzułmanów ubrany był czerwono w zawojach. Okryciem głowy była wielka czapa niska z okrągłą główką, otoczona czarnym baranem lub też jakiemś futrem z wielkiem włosiem żółtawego koloru. Ale co było u tych jeźdźców rzeczą podziwienia godną,

to ich uzbrojenie. Przez plecy przewieszona janczarka, u boku krzywy pałasz, za pasem pistolety, a na piersiach nóż ogromny. Wszystka ta broń była prześliczna, osady strzelby wykładane kością lub perłową macicą, toż samo i rękojeście pałaszów i noży. Zręczność w jeżdżeniu i trafność strzału nadzwyczajne. Konie ich nie były szczególne, ale do trudów wojennych właściwe. Wszyscy też z upodobaniem przypatrywali się tej gwardyi przybocznej ks. Paszkiewicza, namiestnika Królestwa Polskiego, o której można powiedzieć, że to było wojsko *mille colorum totidemque armorum.*

Lud krakowski przypomniał sobie dawne pomiędzy nim żyjące podanie, że dotąd w Polsce nie będzie dobrze, dopóki Turcy około kościoła Panny Maryi z końmi swemi koczować nie będą. Teraz już to nastąpiło, bo na rynku krak. przed tymże kościołem można było widzieć muzułmanów — a dajże Boże, aby się i reszta przepowiedni sprawdziła. *(XLIX).*

Oprócz wojsk austryackich i rosyjskich przyciągnął do Krakowa oddział pruski, złożony z piechoty i ułanów. Byłem przy tem, gdy trzech ułanów, rodem Polaków, weszło do grobu podziemnego, w którym spoczywają ciała trzech bohaterów polskich; obejrzawszy ich sarkofagi stanęli w kącie i przez chwilę cicho pomiędzy sobą rozmawiali, następnie stanąwszy przy grobowcu Kościuszki dobyli pałaszów i takowe o kamienną podstawę tego wielkiego męża ostrzyli i w końcu z wielkiem wzruszeniem na twarzy miejsce to opuścili.

Nie. trudno domyślić się, przeciwko komu wyostrzonej broni o ten relikwiarz z chęciąby użyli.

Wojska te zajmowały Kraków przez dni kilka, a granice Rzpltej krakowskiej, obsadzone dookoła wojskiem, ściśle były strzeżone, aby żaden buntownik z rąk rządów opiekuńczych się nie wymknął, gdyż chciały wszystkich *aufwieglerów* i *miatieżników* przyswoicie ukarać i wiele też nierozsądnych ludzi stąd wywieziono. Przez ten czas most na rzecze Przemszy, rozgraniczającej Rzpltą od kraju pruskiego, strzeżony był przez wojsko pruskie i nikomu przejścia nie dozwalano. Stał tam na straży żołnierz pruski, rodem Polak, a do niego przyszedł chłopek krakowski z węzełkiem soli na plecach, kłaniając się i usilnie prosząc, aby mu przejść pozwolił, gdyż pragnie tę trochę okrasy wiejskiego jadła przenieść krewnemu swemu w poblizkiej wiosce mieszkającemu. A trzeba wiedzieć, że sól, ta jedyna omasta pożywienia ubogiego ludu, należy do monopolu trzech ościennych ojcowskich rządów i bez opłaty wysokiej wprowadzoną być nie może. Gdy chłopek natrętnie się przejścia domagał, obruszony żołnierz rzekł mu: „Wiedz o tem, że mam rozkaz nie przepuszczać przez most nikogo, a ty, kiedy chcesz koniecznie przejść, to tam wyżej jeszcze jest miejscami rzeka zamarzła, to sobie przejdź po lodzie, kiedy ci tak pilno“. Tym sposobem lud nasz omijał zakazy i zdzierstwa rządowe. *(LVI).*

Szymon Włodarski.

W miesiącu wrześniu 1847 r., uciekło z więzień politycznych dwóch księży i jeden świecki młody człowiek, którzy otworami w dwóch izbach w sklepieniu zrobionemi (w chwili już po północy) szczęśliwie się wyratowali. Gdy dnia następnego dozorca więzienia ucieczkę ich spostrzegł i do właściwej doniósł zwierzchności, czyli komisyi sądowo-śledczej, przybiegli do klasztoru OO. Dominikanów urzędnicy policyjni i prezes sądu na przestępców politycznych z Austryi zesłany, Ignacy Zajączkowski, wyrodny Polak i piętnem ogólnej wzgardy naznaczony, śledząc troskliwie, z usilnością inkwizytora, okoliczności, które ucieczce ich towarzyszyły lub w tem były ich pomocą. Zrewidowawszy cały gmach dominikański i szukając zbiegłych, ażali się tam jeszcze nie ukrywają, niecny Zajączkowski przywołał ks. przeora zgromadzenia i ciężkiemi obłożył go wyrzutami, że OO. Dominikanie ucieczkę tę ułatwiali, bo łamanie sklepień nastąpiło z zewnątrz, jak tego były ślady. Przyczem odgrażał się, że czyn takowy zaszkodzi całemu zgromadzeniu i nie zostanie bez kary, a nawet pociągnąć może za sobą kasacyę zgromadzenia i zamknięcie klasztoru... Ks. przeor protestował przeciw tym zarzutom, twierdząc, że zgromadzenie na tę ucieczkę bynajmniej nie wpływało, ani też nie jest mu wiadomo, ktoby temu pomocniczą podał rękę. Z takiemi to odgrażaniami oddalił się Zajączkowski... Zaś następnego zaraz dnia wcześnie z poranku zgłosił się do jego mieszkania zakonnik św. Dominika, frater Szymon Włodarski, którego

tenże do siebie wpuścić polecił: ten zaś w te do niego przemówił słowa: „Wczoraj Pan Prezes unosiłeś się w pogróżkach przeciwko całemu zgromadzeniu OO. Dominikanów, a to w sposób najniesłuszniejszy: tknięty będąc natchnieniem sumienia i nie mogąc tego na sobie przenieść, aby niewinni za przestępcę cierpieli, przyszedłem oświadczyć, iż wina pomocy więźniom zbiegłym danej wyłącznie na mnie samego spada i ja tylko sam tej ucieczki jestem pomocnikiem i ja sklepienia przełamałem". Zajączkowski osłupiał z podziwienia, lecz wkrótce, przybierając ton groźny, gromił twardemi słowy brata Szymona, utrzymując, że w tem był on tylko narzędziem, a działał zaś na rozkaz przełożonego, i nastawał nań, aby mu powiedział, kto mu ten rozkaz wydał?... Na to brat Szymon odrzekł: „Dobrze!... więc chcesz pan wiedzieć, kto mi ten rozkaz wydał, więc stanie się woli jego zadosyć"... A tu wyjmując z pod sukni zakonnej wyobrażenie ukrzyżowanego Pana Jezusa i pokazując mu toż, rzekł: „Oto jest ten, na którego rozkaz działałem. Chrystus Pan objawiał mi się przez kilka nocy, mówiąc: bracie Szymonie! zanieś pomoc uciśnionym i ratuj ich, co ja też wiernie spełniłem". — Unosił się Zajączkowski gniewem, zarzucając bratu Szymonowi, że jest waryatem i inne nań miotając obelgi; wreszcie uwięził go i spisywał z nim długi protokół... lecz brat Szymon swego twierdzenia nie zmienił i przy pierwszem zeznaniu wytrwale pozostał, na wielką przekorę wyrodnego Polaka, któremu zarzut odszczepieństwa na wieki sumienie obciążać będzie. Dotąd brat Szymon siedzi uwięziony, który czynem swoim dowiódł, że jeszcze

i dzisiaj cnoty chrześciańskie mają swych zwolenników. Jest on też przedmiotem powszechnego uwielbienia i na zawsze otaczać go będzie cześć ludzi uczciwych, którą sobie poświęceniem się osobistem wypracował. Jaki dalszy los jego będzie?... czas to przyszły okaże. *(XLIX).*

VII.

Notatki z roku 1848/9.

Powstanie Izraela na Kazimierzu.

Długo bardzo bojaźliwość żydów była prawie przysłowiem, i w naszych dopiero czasach objawiło się, że i oni posiadają śmiałość, której okazać dotąd nie mieli sposobności... Teraz dopiero, kiedy wstrząśnienie ogólne nastąpiło, kiedy po wybuchnieniu rewolucyi w Paryżu w dniach lutego r. 1848, a wkrótce potem w Wiedniu, Berlinie i wielu miastach niemieckich, obalono dawny systemat rządów absolutnych... kiedy Ludwik Filip, król francuski, z tronu uciekać musiał... kiedy w ręku cesarza austryackiego, Ferdynanda, i Wilhelma, króla pruskiego, berła się zachwiały... kiedy w systematach rządów, w polityce gabinetów, a nawet i w głowach najniższej klasy ludności okropne zamięszanie nastąpiło, tak, że trudno teraz dojść rozwiązania tej kwestyi: czego kto chce?... i żydzi kazimierscy podnieśli głowy i zadarli brody do góry... i zaimprowizowali u siebie kilka rewolucyi, to przeciw rzeźnikom, to przeciwko piekarzom i innym... a nawet przeciwko (jak się słowy filozofa

Trentowskiego wyrażę) miłośnicom publicznym, które przecież nigdy i z nikim zaczepnej nie rozpoczynały wojny.

Wstępem do tej przeciwko czcicielkom Wenery krucyaty było oburzenie się motłochu żydowskiego przeciwko jednemu z majętnych żydów, nazwiskiem Torbe, który trzymał dzierżawą od rządu podatek koszerny, czyli od mięsa. Było to bowiem wielką niesprawiedliwością Metternichowskiego systemu rządu obkładać ciężarem podatków przedmioty do utrzymania życia niezbędne, jaką jest wszelka żywność, tembardziej, że podatek takowy cięży najmocniej na klasie najuboższej; dlatego też przyczyna ta wywołała nieodzowny skutek, w następności którego podatek ten zniesiony, czy też zawieszony został. Najgorzej przytem wyszedł pomieniony Torbe: motłoch zgromadził się przed jego mieszkaniem, wybił mu okna, zaświecił wśród białego dnia latarkę i zawiesił przed jego domem, co tylko następuje wtedy, kiedy jaki Izraelita umrze, śpiewał lub raczej wykrzykiwał treny żałobne jakby nad umarłym, wreszcie zdjął z drzwi sklepu jego znaki handlowe, czyli tak zwane szyldy, włożył takowe na mary i obwoził je w pośród wielkiego zbiegowiska gawiedzi żydowskiej po ulicach żydowskiego miasta; w końcu zaniesiono je na cmentarz żydowski i połowę szyldów złożono w grobie, a drugą część tychże ustawiono nad mogiłą, jakby jakiś nagrobek, *epitaphium*. Na tem się zakończyła ta ruchawka żydziaków, której nikt nie przeszkadzał, bo też nie była niebezpieczną, ani szkodliwą, wyjąwszy paru szyb rozbitych. Ta mała próbka rewolucyi pokazała

się wśród lata r. 1848, po której czas jakiś było cicho.

Również w mieście żydowskiem odbyło się parę bitek pomiędzy pijanymi żołnierzami austryackimi a pomiędzy szynkarzami gorzałki, żydami, którym żołnierze wypiwszy wódkę zapłaty odmawiali. Te zaś *szarmitzle* kończyły się na tem, że przychodził patrol i kłotników pijanych zabierał – a z których to utarczek zapewne szynkarze wódki ze stratą wychodzili.

Ważniejszą od poprzednich rewolucyą był wybuch niespokojności przeciwko dziewicom wesołego życia... Przez długi bardzo czas i prawie do obecnej chwili, jeśli która żydóweczka poświęciła się czci boginy Cyprydy, nie ważyła się czynić tego z rzemiosła, lecz to było raczej z dyletantyzmu, osłonione tajemnicą i tylko małej liczbie zwolenników wiadome. Lecz ta tajemniczość zanikała coraz bardziej, obyczaje coraz się rozwalniały, i w końcu do tego przyszło, że już nawet istnieć zaczęły publiczne instytuta nierządu, lupanaria — nad czem ubolewali starowiercy izraelscy i bardzo się tem gorszyli, a zaś młodzież żydowska, jako ludzie postępu, wielce temu przyklaskiwali. Gdy wreszcie to złe przebierało już miarę, żydzi starzy, ściśli przestrzegacze dawnej surowości praw mojżeszowych, podburzyli motłoch, który, zebrawszy się w wielkiej masie, udał się do domów, w których te westalki zamieszkiwały, i tam wdarłszy się bił i znieważał grzeszne dziewczęta, które tylko w ucieczce ocalenie znaleźć mogły. Potem wywarli zemstę swą na sprzętach i meblach mieszkań, potłukli okna, zwierciadła, naczynia, pogru-

chotali stoły i stolki, nawet nie przebaczyli bilardowi, który się tam w przyległej izbie znajdował — i ten porąbali. A dopełniwszy tym sposobem wandalizmu, skoro nikt w tem dziele zniszczenia im nie przeszkadzał, miejce boju opuścili, gdy już do zniszczenia nic nie pozostawało. To się działo w jeden dzień niedzielny zaraz po południu w październiku 1848 r.

Wyżej winienem był wspomnieć o pewnym wynalazku nowszych naszych czasów, którego kolebką jest Paryż, ale który w Niemczech znakomicie wydoskonalono i z wielkiem zadowoleniem uliczników większych miast w wielkie wprowadzono użycie. Mówię o kociej muzyce. I tu na Kazimierzu znalazła ona aplikacyę, gdyż bachory żydowskie muzykę takową piekarzom, rzeźnikom, handlarzom żywności i innym nielubionym żydom wyprawiały. Pokazało się, że motłoch wszelkich wyznań, bez różnicy na religię, wszędzie sobie jest podobnym i jest zawsze tym samym motłochem.

(XXXVII).

Dziennikarstwo r. 1848. Monumenta z czasów szału.

Piękną byłoby zdobyczą na czasach Metternichowskich, którą zyskał rok 1848, mianowicie rozkucie z więzów pióra i wolność druku — lecz w tym tylko razie, gdyby granicami jej była uczciwość i rozum... Ale kiedy za pióra pochwyciły zarozumienie, przewrotność i złośliwość, wolność ta zamieniła się w swawolę i największą tyranię uliczników — i bieda była najcnotliwszym ludziom, skoro ci złym umysłom nie podobali się.

Jak gdzieindziej, tak stało się i w Krakowie. Młodzież o głowach niedowarzonych, ludzie bez zasad, umysły przewrotne, synowie centralizacyi emigracyjnej Wersalskiej, opanowali wydawnictwo pism czasowych, nibyto dla kierowania opinią — wiodąc takową najfałszywszą drogą. I pisma te istotnie stały się prawdziwemi kloakami, w których złośliwcy kalali najszanowniejsze imiona, czego dowodem *Gazeta krakowska*, redakcyi Iżyckiego — *Jutrzenka*, redakcyi Aleksandra Szukiewicza, oraz Jana Ulricha i *Dziennik demokratyczny*, zapaleńca Zienkiewicza – a najbliższym przykładem *Świstki* i inne pisma ulotne po rynku przez uliczników na sprzedaż roznoszone. Dostatecznem było ściągnąć na siebie urazę jakiego pismaka — być w jakiemkolwiek znaczeniu — posiadać to, czego zazdrośnicy nie mieli — a już imię twoje mało lub wcale nieosławione, figurowało w tych paszkwilach... na które nikt nie odpowiadał, bo się nikt wobec ludzi uczciwych poniżać nie chciał, a przy szkalownikach pozostała ohyda.

U pismaków tych złym był każdy, kto tylko rządził się umiarkowaniem i nie podzielał ich szału.

Jeżeli co, to niezawodnie ta okoliczność niejednego zadziwi, jak mogła drukarnia zakładu imienia Ossolińskiego prasy swoje kalać takiemi niecnościami, jak jest pismo *Kuryer Lwowski?*... Instytut ten fundator jego zapewne nie w tym utworzył celu, aby był rynsztokiem, do któregoby nieczystości wszelkie się zlewały. Inny on, szlachetny zaiste miał zamiar, rozkrzewienia nauk — a nie szarpania tak godnych sławy ludzi, jak np. Gwalbert Pawlikowski, Alfred Potocki i inni.

Rozpusta i swywola pismaków do tego zeszła stopnia w tej wyuzdanej wolności prasy, że w pismach lwowskich natrząsali się z wad natury, np. że ktoś był łysy.

W Krakowie do liczby głównych szkalowników należał redaktor *Świstka*, a niewątpliwie i to zasługuje na zdziwienie, iż drukarnia naukowej instytucyi, jaką jest Akademia krakowska, poroniła mnóstwo tych bękarcich płodów, *Świstków* i *Dodatków* — z powodu, że jej zawiadowcą był demokrata Szczurkowski. A chroń Boże chcieć było tej rozpuście przeszkodzić — bo zaraz byłoby to nową materyą do paszkwilów. (*XLVII*).

Kiedy się już druki tego rodzaju zużyły i spowszedniały, zaczęto obrazkowym sposobem budzić ostygłą ciekawość i pokazały się na ulicach litograficzne rycinki, z których wiele zachowałem w moich zbiorach na pamiątkę. Przedstawiają one bądź to karykatury ludzi podówczas znanych, bądź też pewne sceny z życia politycznego. Kilka z nich dla przykładu poniżej opiszę.

Jeden z takich rysunków przedstawiał np. Langera, który był oberżystą w Bochni, a w pamiętnej rzezi galicyjskiej szlachty przywodził ruchowi zbójeckiemu. Była w r. 1848 pogłoska, że został aresztowany, ale się to nie sprawdziło, bo on tylko był narzędziem, a głównym kierownikiem był rzeczywiście ktoś na wyższej zostający posadzie, który go tarczą swoją zasłaniał.

Był inny rysunek, wyobrażający urzędnika austryackiego, wyrzekającego na wolność druku,

szczególniej na *Jutrzenkę*, odsłaniającą wszelkie zdrożności niemieckich Beamterów.

Mam też obrazek wymierzony przeciwko stronnictwu, życzącemu sobie, aby urząd gubernialny w Krakowie miał siedlisko — kiedy demokracya przeciwnego była zdania, upatrując w tem podział Galicyi na dwie prowincye, polską i ruską...

Był też rysunek, przedstawiający jak szewc, nieumiejący czytać, kupił konstytucyę przez cesarza Ferdynanda po zaburzeniach wiedeńskich nadaną, którą lud odrzucił. Dowód, że nie umie czytać — jest na rysunku w tem, że ją trzyma przewróconą wierzchem na dół.

Takich rysunków satyrycznych kursowało bardzu wiele — a nie wszystkie będą już następnym pokoleniom zrozumiałe. (*LXI*).

Wejście do Krakowa wojsk rosyjskich w r. 1849.

Już nie pomnę, ile razy byłem naocznym świadkiem przechodu lub pobytu wojsk rosyjskich tu w Krakowie. Pierwszy raz widziałem te wojska jeszcze za panowania imperatora Pawła I, kiedy przez miasto nasze przechodziły, ciągnąc na wojnę przeciwko Francuzom pod generałem Rosenbergiem. Przechody ich powtarzały się i później razy kilka. Byli oni tu i w r. 1813—14, r. 1831, r. 1846. Są i teraz w r. 1849, ciągnący w posiłku cesarzowi Franciszkowi austryackiemu przeciwko Węgrom, którzy się z pod panowania jego wyswobodzić usiłują.

Dn. 5 maja r. 1849 w sobotę o godz. 5-ej po południu, przyciągła do Krakowa traktem lubelskim przez rogatkę mogilską pierwsza kolumna

wojska rosyjskiego, złożona z około 4000 ludzi. Najprzód wszedł pułk kozaków pięknie ubranych: katanki granatowe, na głowie czapki czerwone okrągłe nakształt melona z czarnym wązkim barankiem, uzbrojeni w dzidy, janczarki i pałasze. Lud młody i dorodny. Potem ciągnął pułk ułański, kurtki granatowe, wyłogi żółte. Uzbrojenie: lance z chorągiewkami, karabinki, pałasze. Konie piękne. Za tymi pułk pieszy jegrów, kremienczucki... armat dwanaście i stosowna ilość wozów prochowych. Mnóstwo bagażów podwodami wiejskiemi. U mnie stanęło na kwaterze ludzi 4-ch od piechoty, z których trzej Polacy, dwóch dawnych wojskowych polskich, trzeci od lat dopiero dwóch służący, chłopak młody, Polak — a czwarty z Podola...

Bodajbym się omylił w mojej przepowiedni...
Bodaj się na Krakowie nie sprawdziły te dni,

że te wojska, kiedy teraz weszły, już nas więcej nie opuszczą... a my prześladającym nas losem parci, przejdziem — — —! (Później okazała się obawa moja mylną).

Adieu!... Bądź zdrowa zachodnia i południowa Europo!... Już my odcięci od ciebie, ani cię widzieć, ani słyszeć o tobie nie będziem. (Rzecz odwleczona do dalszego czasu).

Dn. 6 maja 1849 r. wieczorem o godz. 6-ej w niedzielę przybył znaczny korpus wojsk rosyjskich do Krakowa, złożony z piechoty, regularnej jazdy i kozaków, także znacznej ilości (mówią 36) armat — a liczba przybyłych wynosić miała 14.000. Deszcz ulewny przeszkodził, że nie można było

stać się widzem ich wchodu. Kwaterunek w mieście i przedmieściach liczny. Mieszkańcy nie użalają się na to, aby żołnierze byli naprzykrzeni. Wprawdzie musieliśmy im dać żywność, lecz o tę oni raczej prosili, a sama ludzkość nakazywała, aby im pożywienia tego nie odmawiać [1]).

Wczoraj przybyli, dziś rano zaraz w dalszy pochód udali się przez Podgórze ku teatrowi przyszłej wojny z Węgrami... Przejmuje mnie smutna myśl i obawa, że Węgrzy, uczyniwszy takie wysilenia, i prawie po dokonaniu cudu (gdyż potrafili odeprzeć armię austryacką ku samym granicom Austryi i upokorzyli zarozumiałość księcia Windisch-Grätz, który posuwistym krokiem zajął już połowę Węgier), że, mówię, po tak nadzwyczajnem wytężeniu sił narodu — Węgrzyni uledz będą musieli... i że srogie *vae victis*... całym ogromem na kraj ich spadnie

Dzisiejsze tu weszłe wojsko składało się z 10 batalionów piechoty, 6-ciu szwadronów ułanów, jednego pułku kozaków. Piechota po największej części wyszła dn. 7 rano w dalszy pochód do Austryi. Armat było 36.

Dn. 7 maja. Już w sam wieczór przeciągnęła mocna kolumna wojska rosyjskiego, którą na samym wstępie w ulice miasta deszcz walny powi-

[1]) Pierwsi, co nadeszli, i następni po nich byli jako tako znośni, ale 3-ci kwaterunek (a stali u mnie dni kilka przyszedłszy na kwaterę dn. 8 maja wieczorem) dali się spiżarni mojej dobrze uczuć, i kosztowali mnie codziennie około 12 złotych, licząc chleb, wódkę, mięso, kaszę, kapustę i inne wydatki — bo trzy razy dnia gotowaną strawę dawać musieliśmy. A co było hałasu!...

tał. Kwaterunek uciążliwy, bo żołnierze żywności dopominają się i tę im dawać trzeba. Dziś dn. 8 maja nocuje u mnie 14-tu sołdatów, których żołądki obszerne jak miechy nie byle czem zapełnić się dadzą... Próżno do nich przemawiam wymownym głosem, próżno czynię im hygieniczne uwagi, że to nie zdrowo bardzo się objadać — a na to wszystko oni ten jeden wyraz tylko mają w odpowiedzi: kuszać, kuszać.

Dziś dn. 11 maja po rannem śniadaniu i po zwyczajnych swarach, że to nie dobre, że to dla świń taka potrawa, nie dla sołdatów ruskich — a była to tak zwana spółka, czyli groch, kasza i kapusta dobrze okraszona masłem, przytem spory kęs chleba prądnickiego i wódka — opuściło przecież domek mój ośmiu tych wcale niepożądanych gości. Byli oni od piechoty, a pojechali koleją żelazną przez Prusy popierać i prostować skrzywione na bakier interesy naszego miłościwego cesarza, z pod którego opieki nieposłuszni synowie Węgrzyni koniecznie chcą się wyłamać.

Mam jeszcze dziś w zapasie 6-ciu sołdatów z kompanii rzemieślniczej artyleryi, a między tymi dobrze wykształcony Polak, rodem z Lubelskiego, Wincenty Cicharzewski — odprawujący czyściec na ziemi... Zapewne już on to miejsce po śmierci ominie.

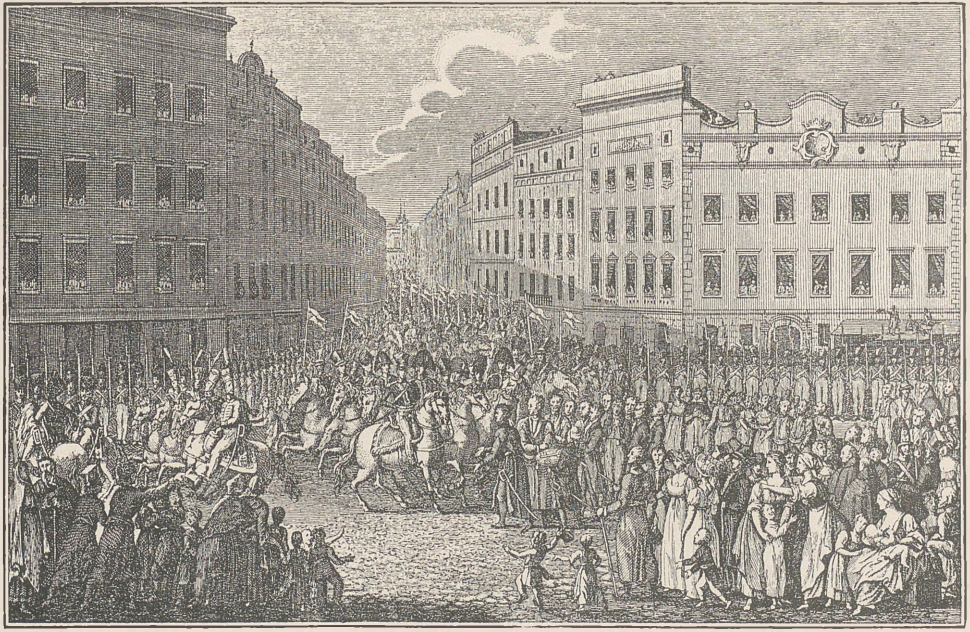
Dziś znowu weszło nowe wojsko ruskie z Polski do Krakowa, złożone z piechoty i jazdy huzarów, i prawie codzień widzimy tu nowo przybyłych sołdatów, a że to już się stało chlebem powszednim, przeto nie obudza już ciekawości, i wchodzą i wychodzą mało zważani.

Jeszcze wielu zachodami nadchodziły do Krakowa ruskie zastępy, idące mordować Węgrów, lud, który z ich krajem w największej zostawał zgodzie i wody nie zamącił... Za tem wszystkiem ciągną niezliczone potrzeby wojenne, ogromne zapasy sucharów i mąki, które w klasztorach OO. Dominikanów, Karmelitów i t. d. na magazyn składają. Słyszę w mieszkaniu bębny i trąby, tak piechoty jak i jazdy, oddziałów przechodzących przez Kraków, lecz mi się już ten bolesny widok uprzykrzył i nie wychodzę trudzić oczu i ubolewać nad nieszczęśliwym losem i tych, co zwyciężać, i tych, co zwyciężonymi będą... Usłużny król pruski dozwolił, że te północne ludy koleją żelazną przez kraj jego przebywać i mordy oraz pożogę do ziemi Madziarów nieść mogą.

Dn. 21 maja pociągiem kolei żelaznej przybył korpuśny generał rosyjski Rüdiger... i nie pierwsza to zbrojna wizyta, którą on miastu Krakowowi dzisiaj oddaje... Utrzymuje pogłoska, że jedzie przywodzić tem posiłkowem wojskiem, które cesarz Mikołaj młodemu cesarzowi na pomoc wysyła.

Dn. 30 maja. Ciągle jeszcze przechodzą przez Kraków liczne oddziały wojska rosyjskiego i udają się do Galicyi. Niemal codziennie słyszę bębny i trąby konnicy, jak ulicą Floryańską maszerują w rynek, ale kiedy każda nowość, gdy jej widok się powtarza, spowszednieje, tak i ten ruch i przemarsz sołdatów nie nęci mię i z domu nie wywodzi.

O!... nie polscy to husarze,
Nie pancerni to są nasi,
Nie biały orzeł na ich sztandarze...



WEJŚCIE WOJSK POLSKICH DO KRAKOWA W R. 1809 (OB. STR. 84).

WEDLE MIEDZIORYTU LANGERA Z OBRAZU STACHOWICZA (OBACZ »KATALOG« ŚWIEYKOWSKIEGO NR. 381).

Zważając na te ogromne transporty potrzeb wojennych, które idą za kolumnami wojska i tu w Krakowie są składane... na te zapasy amunicyi, którymi zapełniają gmach pałacu na Łobzowie, mimowoli tłoczy się do umysłu ta uwaga, że ten ogromny ruch wojenny nie na samych Węgrów jest wymierzony i na daleko obszerniejszy sięga on zakres... Kossuth z bitnymi Madziarami pod przemocą ulegnąć lub się poddać musi, co wkrótce nastąpić powinno — a potem dopiero rozwiną się plany tego ogromnego uzbrojenia i tego zadania polityki rządów absolutnych, co jeszcze dzisiaj dla nas taką są nierozwiązalną zagadką.

Upał niezmierny w godzinę 2-gą po południu, a sołdaty ruskie idą w ciężkich płaszczach, obładowani niemało ważnemi manatkami i bronią: idą odebrać życie tym, których ani widzieli, lub też położyć swoje, które im wydrzeć może los wojny. *(XXXVII).*

Z ŻYCIA BIEŻĄCEGO
WSPOMNIENIA I ANEGDOTY.

Trzęsienie ziemi r. 1786.

Najdawniejszem zdarzeniem, jakie się w pamięci mojej dochowało, jest to ważne zjawisko natury, które miało miejsce w miasteczku mojem rodzinnem Kętach, ale które się na wielką przestrzeń Małej Polski rozciągnęło, bo w Krakowie zostały po niem ślady spustoszenia, a mianowicie, iż sklepienie wspaniałej świątyni OO. Augustyanów na Kazimierzu doznało pęknięcia, jak o tem piszę w dziele mojem: *Kraków i jego okolice* (wyd. 5-te, str. 188).

Było to dnia 3 grudnia 1786 r. około godz. 6-ej wieczór, kiedy przyszedł z odwiedzinami do ojca cyrulik miejscowy nazwiskiem Gaszyński, a po krótkiej rozmowie z ojcem, zasiedli przy stole i rozpoczęli grę w karty, t. j. w maryasza. Ja, mały chłopczyna czteroletni, siedziałem na stole przy ojcu, odziany futerkiem, należącem do którejś siostry. Zadrgnęła silnie ziemia, a ś. p. matka zawołała: Jadą! (Bo zdawało jej się, że parobcy, którzy pojechali do lasów należących do wsi Porąbka po kłodę drzewa, jakie z lasu przywozili na

podwórze, wjeżdżają)... W tejże samej chwili powstał huk gwałtowny, jakby się ściana zawaliła, a wtedy ciotka moja, a siostra ojca, zawołała: „Trzęsienie ziemi!“... W tejże chwili starsze odemnie siostry poklękły i z płaczem zaczęły modlitwę, której początek był: „Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko“ etc. W tem służąca przybiegłszy doniosła, że się kuchnia zapadła, bo tak w rzeczy samej było... Zwaliło się ceglane ognisko, nie podparte sklepieniem ani murem, tylko wystawione na dylach, których końce były w mur puszczone, a one, zapewne już nadpsute, ciężaru utrzymać nie mogły, i ognisko zapadło się do piwnicy i zasypało ziemniaki. Rzadkie to zjawisko trzęsienia ziemi tak silnie się w pamięci mojej wyryło, że jeszcze dziś tak je mam w pamięci świeże i tak uwydatnione, jakby to przed kilku dopiero dniami się stało. *(VII).*

Otwarcie lekcyi anatomii w Krakowie.

Jak każde nowe ulepszenie, tak i ta nowość w Krakowie przeciwników znalazła, a jak słyszałem w danym czasie (r. 1797), najbardziej się na to krajanie ciał ludzkich mieli oburzać rzeźnicy krak. i odgrażali się Rafałowi Czerwiakowskiemu, profesorowi wówczas, krzywdę wyrządzić.

A że i sami tak nazwani chirurgowie byli temu przeciwni, przekonywa list, który pisał do magistratu krak. podkanclerzy, Jacek Małachowski, dn. 8 X-bris 1780, a który znajduje się w moich zbiorach.

(XII).

Przypominek z dawnych czasów. — Zdarzenie prawdziwe.

W sny ja nie wierzę, ale to jest rzeczą niewątpliwą, że się zdarzają niekiedy zjawiska, o których nikomu przez myśl nie przeszło... Wprawdzie to, co powiem, jest rzeczą błahą, może nawet uwagi niegodną; wszakże to nikomu nie szkodzi, że ja się chwilkę zabawię, wpisując to na tę kartkę, kiedy widzę, że ludzie sto razy pośledniejsze rzeczy napisali, a i tak jeszcze byli czytani.

W samym końcu przeszłego stulecia żył w Galicyi pod Kalwaryą w wiosce Jaszczurowo stary bardzo człowiek, którego wszyscy znali pod nazwiskiem szambelana Wilkońskiego, i ja go jeszcze pamiętam. Po nieszczęściach krajowych osiadł on zupełnie w tej swojej wiosce i mało się z niej oddalał, z wyjątkiem tylko, kiedy mu przypadła potrzeba odwiedzić pobliski Kraków. Dla swojej i sąsiadów swych zabawy urządzał on z dworzan swoich i oficyalistów małe towarzystwo aktorów, którzy mu w stosownie przygotowanem miejscu przedstawiali jakieś małe dramata, a może tylko na sposób dawniejszych dyalogów widowiska. Pewnego razu przedstawiali jakąś komedyę, do której jako aktor wchodził także d y a b e ł, a rola ta dostała się lokajowi Łukaszowi... Nazajutrz po tem widowisku przychodzi on do szambelana pełnić służbę około ubrania się tegoż, a że wyglądał bardzo zmitrężony i jakby sponiewierany nocną hulatyką, przeto tenże czynił mu wyrzuty, że noc w karczmie na nieporządnem życiu przepędził. Ten uniewinniał się, że ani krokiem za dwór nie

wystąpił, co łatwo sprawdzić można było. A gdy się go szambelan zapytał, z jakiejby przyczyny tak mizernie wyglądał, odpowiedział tenże, że go bardzo strudził okropny sen tej nocy, i że musi udać się na Kalwaryą i tam przez odbycie spowiedzi szukać jakiegoś na duszy uspokojenia; zaś sen swój następnym sposobem opowiedział: „Po wczorajszej komedyi udawszy się do spoczynku, śniło mi się, że mię dyabli porwali i do piekła wciągnęli, utrzymując, że wieczór będąc dyabłem, już się do ich cechu wpisałem i na świat więcej wypuszczonym nie będę. W kompanii tedy czartów oprowadzany byłem po piekle i pokazywano mi różnych potępieńców, ale najmocniej przeraziło mnie to, kiedy przyprowadzili mnie przed jakąś głęboką studnię i w głąb jej zajrzałem... Tam zaś w okropnym ogniu spostrzegłem siedzącą jakąś królową czy też cesarzową, w koronie na głowie, której powiedzieli mi czarci imię, a to jest Katarzyna. Noc ta była dla mnie okropna, i nigdy tak strasznego snu nie miałem, który mię nadzwyczajnie ponękał, tak, że obudziwszy się, zaledwie mogłem przyjść do siebie z wielkiego przestrachu“.

W niedługi czas po tem zdarzeniu, gazety doniosły wiadomość o śmierci potężnej monarchini, a czas ten zejścia jej zupełnie się zgadzał z wypadkiem tego snu Łukasza... I zaraz wieść ta rozbiegła się po okolicy, i ludzie długo sobie o niej opowiadali i rozmaite sobie stąd robili wnioski.

(XXXVII).

Zoologia moskiewska.

Za mojej pamięci — jak już raz opisywałem — wojska moskiewskie kilka razy Kraków nawiedziły. Najprzód w r. 1799 za panowania imperatora Pawła I i z tych czasów opowiadano o nich tę fraszkę:

Istniała w Krakowie w ulicy Grodzkiej na rogu ulicy Poselskiej apteka Wojciecha Kucieńskiego pod znakiem *Złotego słonia*, którego wyobrażenie gipsaturą wyzłacaną było na murze kamienicy nad wchodem do apteki. Jednego razu ciągnący mały oddział kozaków ulicą Grodzką zastanowił się przed tąż apteką, a zwierzchnik kozacki, pokazując komendzie tego słonia, rzekł: *smotryj wot świna, czto kołbasu niesie.* Był to nielada zoolog. (*XLIII*).

Mikołaj Urbański i żyd Abraham.

Na początku wieku naszego, w czasie kiedy Austrya po rozbiorze Polski Kraków zajmowała, był prezesem sądu szlacheckiego (*forum nobilium*) w Krakowie M. Urbański. W dawnym porządku rzeczy szlachcic nie mógł być zapozwany przed inną sądową władzę, tylko przed t. zw. *forum nobilium*, od których apelacya była w Krakowie. Zdarzyło się, że szlachcic jeden, zadłużywszy się żydowi, był pozwany przez tegoż do *forum nobilium* w Lublinie i wyrok zapadł na stronę żyda... Szlachcic wniósł apelacyę do sądu krakowskiego, w którym sprawa ta zbyt długo zalegała i żyd końca jej doczekać się nie mógł. Sprzykrzyło mu się wreszcie długie czekanie, przeto dla przyspie-

szenia wybrał się pieszo do Krakowa. Tu przybywszy, gdy się dowiedział, że to zawisło od Urbańskiego, nie chcąc w miejscu sądu widzieć się z nim, poszedł po godzinie sądowej do jego mieszkania. Ale go nie zastał, bo tenże zaproszony był na obiad. Przedsięwziął żyd czekać na niego i, usiadłszy na schodach, zasnął. Przychodzi Urbański do domu i znajduje śpiącego, przebudza go więc pytając, czego chce? Żyd przekłada swą sprawę i przykrzy się o jej koniec. Urbański, czy zniecierpliwiony, czy z żartu, mówi mu: „Oto dopominasz się sprawiedliwości, a twoi przodkowie największej dopuścili się niesprawiedliwości, bo niewinnego Chrystusa na śmierć wskazali waszej wiary sędziowie“... „Ny! — odpowie żyd — Chrystus sam temu winien, bo gdyby był od tego wyroku zaapelował do Krakowa, byłby żył jeszcze do dzisiejszego dnia“.

(*XXXVI*).

Detronizacya Najśw. Panny.

W czasie zajmowania Krakowa przez rząd austryacki, t. j. od r. 1796 aż do r. 1808, wyszło rozporządzenie władzy rządowej ówczesnej do wszystkich właścicieli drukarń i księgarzy w Krakowie, że odtąd nie wolno jest w książkach do nabożeństwa, tu w Krakowie drukować się mających, w pieśniach i litanii nazywać Maryę „Królową korony polskiej“, jak się to miało dotąd — ale natomiast, aby drukować „królowa galicyjska“.

Gdy zaś takie książki nabożne dla użytku pospolitego ludu najwięcej drukowały się w Częstochowie i stamtąd do Krakowa i całej tej części Polski sprowadzały się, przeto właściwy urzędnik

austryacki, t. j. cenzor, czyli jak go zwano *Bücher-Revizor*, kiedy takie książki z urzędu celnego do urzędu jego przywieziono, rozciągał ten zakaz i na nie. To też we wszystkich książkach tu z Częstochowy nadeszłych, t. j. *Ołtarzach Złotych*, *Officium pobożne*, *Skarb duszy*, *Dziennik nabożeństwa* i t. p., gdzie tylko się znajdowała litania o Najśw. Pannie, kazał wycinać tę kartę, gdzie było to wezwanie: „Królowo korony polskiej przyczyń się za nami“. I tak dopiero te książki *wyepurowawszy*, puszczano je z urzędu zwanego *Bücher-Revisions-Amt*, poczem szły do rąk pobożnych. Ale cała ta ostrożność nic nie pomagała, bo lud nasz nie przestał modlić się po dawnemu — i nieraz w kościołach wiejskich słyszałem, jak śpiewano „Królowo korony polskiej“ — pomimo zakazu wysokiego gubernium. Aż nareszcie przyszedł czas w r. 1809, gdzie Marya powróciła do czci, którą jej ojcowie nasi przyznali i ciągle oddawali.

Taką operacyę wyrzynania litanii o Najśw. Pannie ja sam w urzędzie cenzury, czyli w *Bücher-Revisions-Amcie* krakowskim, własną ręką wykonywałem. *(XXVIII).*

Z tej to okazyi ksiądz Michał Hier. Juszyński, autor *Dykcyonarza poetów polskich*, w małej satyrycznej broszurce, wydanej tu w Krakowie pod tyt.: *Zajazd, powieść*, co tu wyszła w r. 1810 — mówi:

Bo i o to się Pan gniewał,
I że organista śpiewał
Pieśń w której były wspomnienia
Dawnych dziedziców imienia i t. d.

Ciekawa ta broszurka była powodem dyplomatycznej korespondencyi i reklamacyi dworu wiedeńskiego do rządu Księstwa Warszawskiego, czyli do Drezna, a była ta igraszka poetycka przez policyę krakowską ówczesną gorliwie poszukiwaną.

(IV).

Zdarzenie prawdziwe. Pieniądze polskie zakopane roku 1796.

W pamiętnym r. 1796, kiedy otaczające nas mocarstwa nieprawą zniosły się zmową na rozbiór Ojczyzny naszej, a Europa cała częścią wojną zajęta, częścią zaburzeniami wstrząśniona z obojętnością na ten niesłychany gwałt patrzyła[1]) — w owym czasie, kiedy Kraków pod panowanie cesarza austryackiego się dostał, rząd ten wywołał zupełnie z kursu miedziane pieniądze polskie, i tych do kas rządowych nie przyjmował -- a pieniądzom srebrnym znacznie zniżony kurs naznaczył. To też one prawie doszczętnie wyniosły się do tej części kraju, która przeszła pod panowanie Rosyi i Prus. Wtedy to stary włościanin, nazwiskiem Włosek, ze wsi Łobzów, zebrawszy trojaki i grosze polskie, które miał, wsypał takowe w garnek i do ziemi schował; czując się zaś bliskim zgonu, przywołał syna swego i tak mu mówił: „Mikołaju!... ja czuję, że moja godzina śmierci nadchodzi... ale ty może dożyjesz czasu, że się Ojczyzna polska wróci. A więc pamiętaj, że w kącie stodoły

[1]) Jeden z znakomitych dyplomatów europejskich o rozbiorze Polski tak się wyraził: „Czyn takowy więcej jest jak zbrodnią, bo jest błędem politycznym“.

zakopałem garnek z pieniędzmi polskimi, które Niemcy skasowali, i gdy się ta nadzieja moja spełni, to je wydobądź, i użyj tej krwawej pracy ojca twego z błogosławieństwem Boskiem".

Upłynęło lat niewiele, kiedy poczciwy starzec życie zakończył – a w niedługim czasie pokazały się w Krakowie orły białe polskie (r. 1809). Pamiętny słów ojca Mikołaj wydobył z ziemi polskie trojaki, które w obieg publiczny im przywrócony poszły. W tej to nader dotkliwej epoce (r. 1807—1809) cała ta część Polski zalana była wyłącznie monetą najlichszą, przez rząd austryacki bitą, z miedzi najpodlejszej, a mianowicie pieniędzmi po 3 grajcary, 6 grajcarów, 15 i 30 grajcarów, którym w roku 1810 rząd austryacki zupełnie kursu zaprzeczył, bo 6-cio grajcarówki zupełnie z obiegu wywołał, a innym tak niski kurs oznaczył i do takiej je ceny zredukował, że te względem srebra prawie żadnej nie miały wartości, na czem klasa ludu najuboższa największe poniosła straty. Gdy tedy owych 6-cio grajcarowych tak wielkie pomiędzy ludem pozostały kwoty, że niektórzy lepiej się mający włościanie posiadali takowych po dwie i więcej miarek, a równocześnie kurs ich zupełnie ustał (sprzedawano je tylko kotlarzom po bagatelnej cenie, bo były z najlichszej miedzi), wtedy to Mikołaj, posiadając ich sporą ilość i nie mogąc ich spieniężyć, wsypał je do garnka i w to samo miejsce zakopał, mówiąc: „może znowu przyjdzie taki czas, że coś warte będziecie, a wtedy was znowu dzieci moje wygrzebią".

(XL).

Poseł perski w Krakowie r. 1807, mirza Mahomet Riza.

U dawnych królów polskich, w Krakowie jeszcze rezydencyę mających, często bywały poselstwa od sułtanów tureckich, jak to widzimy w kronikach polskich, a szczególniej za Zygmunta I. Są nawet ślady, gdzie te poselstwa stały, a mianowicie w domu narożnym w ulicy Grodzkiej, tuż wprost kościoła św. Jędrzeja; sam jeszcze widziałem w pokoju jednym wmurowaną w ścianę marmurową tablicę z napisem tej treści, że w tych pokojach zamieszkiwał poseł turecki. Nigdy zaś nie zdarzyło mi się czytać w dziejach, aby poseł perski przybył kiedyś do króla polskiego, a przynajmniej nie pamiętam, abym o tem wzmiankę jaką w dziejach naszych napotkał.

Było to za panowania Napoleona, kiedy ten cesarz Francuzów, chcąc sobie zapewnić przyjaźń szacha perskiego (zapewne w celu zyskania w nim sprzymierzeńca w czasie, gdyby z Rosyą się poboruchał), wyprawił do Persyi posłem generała Gardanne. Szach perski wysłał nawzajem do niego jakiegoś znakomitego murzę w poselstwie. Gdy ten ku Europie zbliżył się, zaszła go wiadomość, że cesarza Napoleona w Paryżu niema, gdyż to było właśnie w tym czasie w jesieni w r. 1806, kiedy król pruski sądził, że w źle obrachowanej potędze swej armii ma dosyć siły do wyzwania sam jeden na bój zacięty armii francuskiej. Napoleon pospieszył na plac boju, gdzie już zastał stojących w groźnej postawie Prusaków, zarozumiałych w swej sile — atoli ukarał Pan Bóg niewczesną pychę,

bo w pierwszej zaraz bitwie Napoleon rozbił całą potęgę pruską i wielką jej część z bronią i bagażami, artyleryą i t. p., w niewolę zabrał.

Wskutku tego, gdy się rozbitki pruskie rozbiegły na wszystkie strony, zalali Francuzi cały kraj pruski, odebrali fortece, osadzili stolicę Berlin i już było po monarchii pruskiej, która dość prędko lisimi sposobami do obszerności i znaczenia przyszła. Gdy wojska francuskie weszły do prowincyi dawnej Polski t. j. do Poznania, powstali i Polacy, zaczęli zbierać i formować wojsko — i wnet Napoleon wypędził Prusaków z Warszawy, którym wtedy i Rosyanie w nierychłą pomoc pospieszyli. Po kilku bitwach i oni cofnęli się do swojego kraju i całą tę część Polski, którą po rozbiorze kraju posiedli Prusacy, z pod ich panowania uwolnił — co potem Księstwem Warszawskiem nazywało się.

Podczas tej to wojny, kiedy Napoleon znajdował się w Polsce, pomieniony poseł perski jechał do Warszawy celem widzenia się z Napoleonem. Jadąc od strony Austryi przybył do Krakowa i tu przez parę dni wypoczywał. Było to może w styczniu lub lutym r. 1807. Stanął on w gościnni (*oberży*, a czasem *obedrzy*) Szydłowskiego, w ulicy Floryańskiej na rogu przecznicy do ul. św. Jana, który to dom przytyka tyłami do kościółka św. Jana. Miał on przy sobie kilku Persów w orszaku. Tłumy ludzi zapełniały ganki i dziedziniec tej gościnni, chcące i ciekawe oglądać tych Azyatów. Byłem i ja z tej liczby i widzieliśmy Persów przechadzających się. Twarze ich były jakby ogorzałe, mieli na sobie suknie wierzchnie zielone sukienne,

z rękawami rozciętemi, jakby u polskich kontuszów, na głowach czapki nie wielkie, z czarnym barankiem, tak że wejrzenie na nich okazywało, jakby to były ubiory dawne polskie – kontusze bez kołnierzów.

Sam poseł, siedząc w pokojach, pozwalał wchodzić do siebie damom i dawał im na pamiątkę drobne pieniążki perskie; zaś cisnący się tłum odpędzali jego sługusy — jeden nawet nakształt ulicznika krak., zgniewany natręctwem ciekawców, język na nich wywieszał — z czego się psotliwi chłopcy mocno śmiali i podobnież mu się odpłacali.

Spocząwszy trochę po trudach dalekiej drogi, ruszył z Krakowa dalej, aby wynaleźć cesarza i celu posłannictwa swego dopełnić. (*XIV*).

Masonia w Krakowie.

Stowarzyszenie to znane było w Polsce, a nawet i w Krakowie za czasów dawnego bytu Polski. W Austryi i innych krajach monarchicznych było wielce zakazanem i tylko utrzymywało się w Prusach.

Po przyjściu wojsk polskich do Krakowa r. 1809 masonia weszła i do Krakowa i znakomicie się rozkrzewiła. Został zakupiony od aptekarza Lika na przedmieściu Wesoła, dom w ogrodzie leżącym przy kościele św. Mikołaja od strony miasta, i tam była Loża, gdzie się schadzki ich odbywały, na co duchowieństwo wielce krzywo patrzyło, a nadewszystko że tam należał i ksiądz Teodor Sołtyk, kanonik katedralny krakowski.

Do zgromadzenia masonów w Krakowie nacisnęło się mnóstwo różnych osób bez wyboru, jak

cukiernicy, zegarmistrze i t. p., których garniono i wabiono, aby tylko liczne zbierać składki i opłaty, a byli to ludzie prostacy, nie wiedzieć po co przypuszczeni, i ten szary koniec bardzo był liczny.

Jednym z pomiędzy takich ułowionych był dobry mój znajomy Antoni Jelonek, właściciel warsztatu kapeluszy męskich... Ten, zapadłszy w chorobę, gdy pomiarkował, że z niej nie wyjdzie, posłał po mnie prosząc, abym go odwiedził... Uczyniłem zadosyć życzeniu jego, a wtedy wyniósł do mnie prośbę, abym po jego skonie przyjął opiekę nad małoletniemi córkami, co mu przyrzekłem i dotrzymałem. W pomówieniu z nim wyznał on, że w przeciągu lat ostatnich znacznie mienia swego nadwyrężył, a mianowicie pomiędzy innemi przyczynami wskazał mi i to, że się dał niebacznie wciągnąć do frank-masonii, co go na znaczne narażało wydatki — a całą stąd odnosił korzyść, że go znakomici panowie nazywali bratem i że u jednego z nimi stołu zjadał niekiedy smaczne składkowe obiady, które go znacznie kosztowały, a które znacznie taniej byłyby mu przyszły w domu lub traktyerni. Definicya masonii, jaką mi dał, acz jest pocieszna i humorystyczna, dla swej oryginalności tu zamieszczona być nie może.

Istotnie towarzystwo masonów w Krakowie było liczne, bo żadnego nie robiono wyboru, a dobrym był każdy do wnoszenia składek obowiązujący się... Bywały często obiady składkowe, na których niejeden ojciec uboższej rodziny sam przejadł w dniu jednym tyle, za co mógł żyć z rodziną dni trzy lub cztery. Wprawdzie niekiedy towarzystwo udzielało wsparcia ubogim, którzy się tam

z prośbą udali, lecz o ile takowe było skuteczne, wiadomości o tem nie ma. Że tam na zgromadzeniu braci miano mowy, że muzyka przyśpiewywała przy obchodzie uczty, a nadewszystko w dniu św. Jana - to o tem wiedziano powszechnie. Była także drukowana u Jana Maja lista członków dosyć licznych (było ich 184) mistrzów, towarzyszy i uczniów, i posiadam takową [1]).

Mimo namów (zwłaszcza ze strony profesora Akademii Pawła Czajkowskiego, mówcy Loży), któremi mię zaciągnąć chciano do tego cechu murarskiego, mimo poddawania mi łatwości przyjęcia bez opłaty taksy, która kilka dukatów wynosiła, nie nakłoniłem się do przyjęcia tego braterstwa, które ludziom starej daty było solą w oczach, a ludzie nabożni z przestrachem o przyjęciu nowego członka słuchali... A nie miałem innej do tego przyczyny nad tę, że nie życzyłem sobie, aby księża zakonnicy krzywem na mnie spoglądali okiem i księgarnię moją, jakby powietrzem zarażoną, omijali. I dobrze się stało, bo w niewiele lat potem (około r. 1816) rządy ościenne zakazały schadzek wolno-murarskich i zapadła bulla papieska przeciw masonom; zaś naczelnicy masonii w Krakowie osądzili za rzecz potrzebną Lożę zamknąć, towarzystwo rozwiązać – a dworek, leżący w ogrodzie, darowali Akademii; jest tam teraz umieszczona klinika akademicka w gmachu znacznie rozszerzonym i urządzonym.

---

[1]) Znajduje się ten spis masonów w tomie 4-tym notat moich o Krakowie.

Wtedy też zaczęto powstawać z ambon na masonów, na Woltera i Russa, którzy, jak niejeden wiejski klecha twierdził, byli twórcami masonii, na ich bezbożne pisma przeciwko papieżowi, księżom i wierze katolickiej. Częstokroć lud wiejski ciemny słuchał tej dyatryby, nie rozumiejąc lub sobie to rozmaicie tłómacząc. Opowiadano mi, że w wiosce Smardzowicach wikaryusz tamtejszy mocno na ambonie gromił wolno-murarzy; pomiędzy audytorami kazania byli też i włościanie, trudniący się rzemiosłem murarskim po wsiach; — gdy lud wyszedł z kościoła, sąsiedzi zaczęli im dogadywać: „A toćże mój Łukaszu ks. wikary wam porządnie dziś namaścił“... Na co tenże: „Ej, nie bajalibyście Błażeju próżnych rzeczy! a czy nie słyszeliście, że to było o murarzach z Wolnicy... boć też to są prawi niegodziasze“. (Wolnicą nazywał lud pograniczny obwód wolnego miasta Krakowa, a wioska Smardzowice położona jest w Królestwie Polskiem, w pobliżu Ojcowa, zawsze blisko granicy niegdyś krakowskiej Rzpltej).

(*XIV* i *XXXVI*).

Żołnierz filolog.

Jakób, ordynans kapitana Winc. Reklewskiego, żołnierz stary, który służył w legii nadwiślańskiej w Hiszpanii (1810), utrzymywał, że język hiszpański dużo podobny jest do polskiego. „Ja (mówił), kiedym potrzebował chleba, wziąłem kawałek w rękę i pokazując Hiszpanowi, powiedziałem *chlebos*, a on ci wnet mi przyniósł. Toż samo, kiedym się chciał napić wina, dałem dzbanek Hi-

szpanowi i powiedziałem: *winos*, a on to wnet zrozumiał i przyniósł". (*LIV*).

Most na Wiśle.

W czasie rozbioru ojczyzny most na Wiśle między Krakowem i Podgórzem był taki, jak teraz widzimy, t. j. pływający, z pali drzewa czyli z belek zbudowany. Ten most zastąpili Austryacy innym, drewnianym także, ale postawionym na dwóch rzędach palów dębowych, bitych w korycie Wisły. Prawie, że ukończono budowę jego r. 1802.

Był on z samego drzewa dębowego z ogromnych dębów, jakich już teraz nigdzie w okolicach nie widać, bo to już może były ostatnie z dawnego pokolenia tych olbrzymów, których ród już nielitościwa *securis* wytępiła, i ani jednego takiego patryarchy około Krakowa nie widać. Nazwano ten most *Karls-Brücke* na cześć arcyksięcia Karola, brata cesarskiego, który pierwszy po ukończeniu budowy przez ten most przejechał i tym sposobem go ochrzcił.

Szczególniejsze też mostu tego było przeznaczenie. Był on już wskazany na to, aby się stał pastwą płomieni, a zginął przez inny żywioł, t. j. przez wodę, gdyż go zerwała nadzwyczajna powódź r. 1813.

Gdy w zimie r. 1812—13 po kampanii moskiewskiej zbierał się korpus wojska polskiego w Krakowie i zgromadziły się rozbitki wojsk francuskich, i gdy na wiosnę r. 1813 zbliżało się wojsko moskiewskie pod Kraków, Polacy i Francuzi, mający się udać przez Austryą do Saksonii na wypadek, gdyby ich Moskale w Krakowie z siłą prze-

wyższającą atakować chcieli, zamierzali przejść do rejonu podgórskiego i most mieli zapalić, a przejścia przez Wisłę bronić. Jakoż cały most już był nasmarowany smołą i inne palne materyały były przysposobione, ale do tego nie przyszło, a w kilka miesięcy Wisła — jak niżej opisuję — do tego stopnia wezbrała, iż cały most popłynął i tylko pojedyńcze z niego drzewa na brzegach pozostawały, ani też do odbudowania go nie przyszło. Tylko potem pływaka urządzono. *(XII).*

Nadzwyczajne wezbranie Wisły r. 1813.

Okropna ta, lecz szczęściem nie tak często przypadająca katastrofa, przypadła za mojej pamięci d. 23 sierpnia r. 1813, i trwała przez 3 dni, po których woda opadać zaczęła.

Już i w dawniejszych czasach bywały równie nadzwyczajne wylewy Wisły, jakich dwa wymieniają tablice marmurowe na murze klasztoru zwierzynieckiego z oznaczeniem wysokości, do jakiej woda dochodziła.

Kto takiego wypadku własnoocznym nie był świadkiem, ten sobie nie potrafi wyobrazić, jaki to był widok przerażający.

W pomienionym r. 1813 miesiąc sierpień — a podobnie i całe lato lato — był dżdżysty, a kilka dni przed wezbraniem padał ciągle i nieprzestannie drobny deszcz, który ani na chwilkę nie ustawał. W górach deszcze były ulewne, a nakoniec i przerwanie chmur, skąd na ziemię spadła taka masa wód, że jej najobszerniejsze koryta objąć nie mogły. Gdy trudno dać wyobrażenie o szerokości wylewu, tedy wspomnę tylko, że cała ta rozległa prze-

strzeń od gór Krzemionek, cała szerokość pastwisk, nazwanych Błonie, aż do wzgórzów jak leżą Bronowice, własność kościoła Panny Maryi, zalane były. Wisła zaś z nadzwyczajnym pędem, czyli całą nawałnością wody płynęła tem położeniem, jak jest wieś Ludwinów, Zakrzówek i Kapelanka, a obszar ten, o którym mówię, zdawał się, że to jest morze, którego końca nie można było dostrzedz.

Widok ten okropny w całym ogromie okazywał się z góry Wawel, przeto też cała ludność Krakowa okrywała to wzniesienie. Domy przedmieścia Zwierzyniec wszystkie aż powyżej okien zalane były, i okna były pod wodą, a tylko same szczyty dachów z wody widać było. W domu dość wysokim, murowanym na prawym czyli galicyjskim brzegu Wisły, który stoi naprzeciw Zwierzyńca, woda dochodziła do okien pierwszego piętra. Tam schronili się żołnierze austryaccy, piechota węgierska, i ciągle z okien dawali znaki, wzywające o ratunek, jako to strzelając z karabinów, podnosząc chustki na bagnetach nakształt chorągiewek i t. p., aż nareszcie Maciej Krotz, rodem Węgrzyn, tu w Krakowie osiadły, właściciel oberży w ulicy św. Jana, zachęcił kilku ludzi nadwiślańców przyrzeczeniem nagrody. Ci, puściwszy się łodzią, brali po dwóch *pajtaszów* (tak lud nasz zwał piechotę węgierską), i przewozili na tę stronę do Krakowa, bo indziej pęd wody nie dozwalał, a zresztą całe Podgórze do Krzemionek było zalane, a ludzie wynieśli się na góry. Ludzie ci przybijali z łodziami aż pod samym pałacem biskupów krak., i prawie z łodzi do ulicy Franciszkańskiej wysiadali. Potem tych żołnierzy (a było

ich 18 lub 20) zabrał Krotz do siebie i podejmował ich aż do opadnięcia wód. Za co go też najjaśniejszy cesarz Franciszek hojnie wynagrodził, obdarzając medalem złotym zasługi, który najmniej 10 dukatów miał wartości, i który poczciwy Krotz w czasie uroczystości nosił. Okropna to rzecz widzieć było, jak pęd wody, do nadzwyczajnej wysokości wzniesiony, niósł drzewa, pomniejsze budynki np. chlewy, całe chaty, tysiące snopów zboża, kopy, stogi siana i t. p., co wszystko zabrała woda z pól i wiosek, niekiedy dosyć daleko od brzegów Wisły leżących. Ludzie śmielsi z rybaków i innych puszczali się w lekkich łodziach i chwytali na Wiśle całe parkany z desek, drzwi i wrota, drzewa i t. p. sprowadzali do lądu.

W tej to pamiętnej powodzi Wisła płynąca przez Stradom (czyli odnoga jej zwana niewłaściwie Starą Wisłą, bo, jak twierdzą dziejopisowie, koryto takowe dopiero król Kazimierz Wielki przekopać kazał, a zatem właściwiej jest nazywać je Nową Wisłą) — woda, mówię, ta zniosła czyli zerwała całą kamienicę, oznaczoną nr. 1-ym, przytykiem prawie do samego mostu Stradomskiego, z miasta idąc, po prawej ręce stojącą; dziś w tem miejscu jest plac pusty.

Największą atoli szkodą był piękny most drewniany na palach, na wielkiem korycie Wisły między Krakowem i Podgórzem stojący i dosyć wysoko podniesiony, — jak to jeszcze i dziś widzieć można (r. 1842) na obu jej brzegach z kamienia ciosowego murowane głowy mostowe, który w tym czasie w nocy zerwała woda, dochodząca prawie wysokością do samego mostu. Do tego nagroma-

dziło się wiele drzewa, domów i budowli, które się na tymże moście opierały, — to też most nie mogąc wytrzymać takiego parcia, tembardziej. że go woda w górę wznosiła — poszedł z wodą na dół, i tylko pojedyńcze drzewa na brzegach znajdywano. (*XII*).

Gwardya narodowa krakowska (1810 - 13).

Ktokolwiek idąc przez rynek, czyli, jak mówimy, plac Szczepański, spojrzy i zobaczy tamże tablicę marmurową w murze kamienicy narożnej z napisem Plac gwardyi narodowej, trudno mu będzie pojąć znaczenie tego napisu; więc mu go objaśnię.

W r. 1810, — po oderwaniu z pod panowania austryackiego Krakowa — przybył do Krakowa Józef Krasiński, i stosownie do ustaw dla Księstwa Warszawskiego danych, czyli do zwyczajów cesarstwa francuskiego tamże w Księstwie obowiązujących, uorganizował gwardę narodową, złożoną z samych mieszczan osiadłych, t. j. kupców i rzemieślników, której było 6 kompanii, t. j. grenadyerska, woltyżerów czyli strzelców i 4 kompanie fuzylierów. Tym dano broń ręczną czyli karabiny skarbowe, a resztę uzbrojenia i całe umundurowanie każdy za swoje sprawił. Że zaś na tym placu ta gwardya czyniąc służbę schodziła się czyli zgromadzała się, więc to miejsce tak nazwano.

Gwardya ta pełniła służbę czynną od r. 1811, gdy wojska polskie, t. j. pułk 12-ty i 15-ty piechoty i pułk 3-ci ułanów już wyszły w głąb kraju z Krakowa, t. j. ku granicy rosyjskiej. Nastąpiła wojna r. 1812; oddział tej gwardyi z ochotników

złożony pociągnął do Zamościa, a gdy w r. 1813 Rosyanie do Krakowa weszli, gwardyę tę rozwiązali i broń jej odebrali.

Z tego oddziału umarł w Zamościu godny człowiek, mosiężnik, Jan Stattler, stryj teraźniejszego malarza Wojc. Korn. Stattlera, który był oficerem w tymże oddziale, i kilku innych obywateli. (*XI*).

Przypominek z czasów kongresu wiedeńskiego r. 1815.

Z czasów tego kongresu został w mej pamięci mały ucinek, kursujący po Krakowie, który tu powtarzam, bo zapewne po czterdziestu latach mało kto go już pamięta:

Kongresu wiedeńskiego masz opis maleńki:
Za wszystkich Aleksander całuje wiedeńki.
Za wszystkich pije ten, co berłem pruskim włada.
Za wszystkich panujących Wirtemberski zjada.
Za wszystkich śpi król duński. Gdy się mówić godzi,
Za wszystkich król bawarski w pewne miejsce chodzi.
Za wszystkich... Nie masz więcej. A cesarz Germanów?
Za wszystkich koszta płaci najjaśniejszych panów.
A Napoleon co też o tych głowach trzyma?
Bawią się karły (mówi), nie widząc olbrzyma.
(*XXXVII*).

Siostra Rzpltej Babińskiej.

Tą bywała czasem Rzplta krakowska. Wiadomo, że z mocy konstytucyi, którą jej nadali monarchowie (*risum teneatis amici*, gdyż oni właśnie byli najwięksi przeciwnicy i nieprzyjaciele tego *papieru*), odbywały się w Krakowie corocznie sejmy czyli zgromadzenia prawodawcze, do których

obywatele na sejmikach wybierali, kogo się im podobało. Razu pewnego, około r. 1825, wybrano z gmin miasta Krakowa Karola Pacaka, ślusarza z profesyi, i Parzygowskiego, kupca winnego ze Stradomia, ludzi dobrych, ale nie wykształconych. Ktoś z dowcipnych napisał bezimiennie małą satyrkę, w której każdemu z reprezentantów w 4 wierszach jakąś przylepił łatkę, cieńszą lub grubszą podług zasługi. Do Pacaka napisane było:

Synu Wulkana dostojny,
Wnieś prośbę do Boga wojny,
Niech rzuci gromy Jowisza,
Intryga niech się ucisza.

Gdy te wiersze czytano poczciwemu Parzygowskiemu, rzekł on na to: „Widać, że pisarz tego nic a nic nie wie, a porywa się do wierszów. Ja to dobrze wiem, bo mi to tyle razy mówił p. Pacak, że ojcu jego było na imię Bartłomiej, a nie *Wulkan*“. *(LIV).*

Pamiątka z niedawnych dobrych czasów.

Na sejmie Rzpltej wolnego miasta Krakowa, około r. 1825, zasiadali jako reprezentanci dwaj antagoniści, t. j. Walenty Litwiński, rektor Uniw. krak., i ks. Feliks Jaroński, profesor Akademii, autor dzieła *O filozofii* w 3 częściach. W czasie jednej sesyi sejmowej zdarzyła się taka scena. Nie wiedzieć komu przyszła niezręczna wcale myśl, że w kolegium Nowodworskiem, gdzie się posiedzenia sejmowe odbywały, tam gdzie na murach zawieszone są wielkie portrety króla Władysława Jagiełły, Jadwigi i innych znakomitości, zawieszono

także portret Wal. Litwińskiego we fraku granatowym z czerwonym kołnierzem. Na jednej sesyi powstaje z miejsca ks. Jaroński i prosi marszałka sejmu o głos, który mu udzielono, a wtedy zaczyna: „J. W. marszałku! wiemy o tem wszyscy, że na murach tej świątyni obrad są wizerunki naszych królów, założycieli naszej Akademii, także innych dobroczyńców tej szkoły, oraz wizerunki monarchów, protektorów naszej krainy; ale cóż tu przy nich robi ten jakiś nikomu nieznany portret człowieka w granatowym fraku?... Cóż to jest za figura?... I dlaczego wdziera się on w ten przybytek nauk i obrad naszych? i t. p.“ Marszałek i wszyscy sejmujący, jedni z zadziwieniem, drudzy z uśmiechem spojrzeli po sobie — i portret Litwińskiego po sesyi ze ściany zniknął. *(XXXIII).*

Łapka na głupich czyli loterya klasyczna w Krakowie.

Po utworzeniu w r. 1815 Rzeczypospolitej Krakowskiej i po wyprowadzeniu się stąd władz Królestwa Polskiego, zostały tu jednak kantory loteryi liczbowej i klasycznej warszawskiej, do których przybyła jeszcze i loterya berlińska, które porządny grosz z kieszeni prywatnych, bogatymi naraz zostać chcących, wyławiały. Senat, t. j. rząd krakowski, spostrzegając stąd wyraźny wychód pieniędzy za granicę, postanowił sam korzystać z tej słabości głupich i zająć się wydobywaniem złota, srebra i miedzi z tej kopalni, t. j. z kieszeni mieszkańców Krakowa, i bardzo sprawiedliwie. Ogłosił zatem publiczną licytacyę na wypuszczenie w dzierżawę entrepryzy loteryi liczbowej, a to przez

złożenie zapieczętowanych deklaracyi, kto ile zaofiaruje?, i razem zażądał wystawienia kaucyi na pewność dotrzymania kontraktu. Najwięcej ofiarujący miał zapewnione sobie, że z nim umowa zawartą będzie. W samym początku było to kupować kota w worze, bo nikt nie mógł przewidzieć, jak daleko szał loteryjny opanuje umysły; przeto tylko niewielkie rządowi zaofiarowano kwoty, a pomiędzy temi najwięcej za ten przywilej grzebania w cudzym mieszku zaofiarował w-ny Floryan Straszewski i uzyskał przywilej na czas sześcioletni. Przedsiębiorstwo to poszło mu szczęśliwie: stawki wpływały mu ogromne co tydzień, ludzie ubodzy rujnowali się, namiętność gry w loteryę wzrastała coraz bardziej; wszyscy tracili, a on zyskiwał krocie, w czem go wcale winować nie można, bo jeśli nie on, tedy kto inny byłby tę krowę doił i korzystał z tego przysłowia: „bierz Michale, kiedy kto daje“.

Upłynęły wreszcie te lat 6, złotych dla przedsiębiorcy czasów, w ciągu których otwarły się oczy innym spekulantom, i gdy do odnowienia kontraktu na czas następny przyszło, już na przedsięwziętej w tym celu licytacyi podniesioną została opłata dzierżawy tego dochodu do stu tysięcy rocznie. Nareszcie kiedy już wielu głupich choć późno się spostrzegło i oczy otwarło, kiedy mnóstwo ludzi klas niższych, jakoto: rzemieślników, wyrobników, a nadewszystko ludzi służebnych znaczne poniosło straty, i jak to mówią, styrało się, stawki zaczęły być mniejsze, a ponieważ opłata do skarbu była tak znaczna, przeto w-ny Straszewski, wymiarkowawszy, że w kieszeniach hołoty już się poka-

zały pustki, umyślił siatkę zastawić na klasy zamożniejsze, i zaprzestawszy loteryi liczbowej, zaprowadzić w Krakowie z pozwoleniem rządu loteryę zwaną klasyczną, z 5 klas złożoną, do której stawka zł. pol. sto za los całkowity wynosić miała. Puszczono w obieg prospekta i plan tej loteryi dla ułowienia łatwowiernych; zaczęli kolektorowie rozsyłać losy w kopertach do przyjaciół i znajomych swoich, zgoła użyto wszystkiego, aby jak największą liczbę losów sprzedać, a przez to kwotę stawkową do jak największej ilości podnieść. Ja nie przypisuję sobie żadnej przenikliwości finansowej, a jednak prostym naturalnym instynktem wiedziony zaraz z początku pewny byłem, że się ta loterya nie uda, i do drugiej nie przyjdzie. I tak się też w rzeczy samej stało. W-ny Straszewski z kompanią swoją pomylili się grubo na rachubie; a gdy do tego zjawiły się przeszkody, a szczególniej zakaz w krajach ościennych grania w loteryę krakowską, przeto po odciągnięciu 5-ciu klas tej pierwszej loteryi pokazało się, że losów niesprzedanych zostało wiele, i że przedsiębiorcy (jak to z ust samego w-nego Straszewskiego słyszeć miałem sposobność) stracili na tej pierwszej loteryi (*si fabula vera*) około stu tysięcy zł. pol., poczem dalszego kontynuowania jej zaprzestali.

A że z mocy kontraktu obowiązani byli wnosić z tytułu dzierżawy corocznie do skarbu Rzpltej ogromną sumę pieniędzy, które w budżet jej przychodów wchodziły, przeto chcąc warunku tego dotrzymać, podali senatowi prośbę, wyjaśniającą ich położenie, oraz żądali w tejże, aby im rząd do loteryi liczbowej wrócić pozwolił, albowiem kura,

co złote jajka znosić miała, nie zjawiła się. A tak rząd przychylił się do ich prośby i znowu co środę odbywa się ciągnienie loteryi liczbowej w kamienicy hetmańskiej (teraz W. Dzwonkowskiego), gdzie jest jej kantor główny; a lud głupi, chociaż już nie z tą jak dawniej skwapliwością, jeszcze znosi daninę kilku lub kilkunastu groszy na ołtarz Fortuny, tego nowego Baala, któremu chciwość ludzka pali kadzidło. Lecz przynajmniej od tej słabości ja wolny jestem, i jak w żadną, tak i w krakowską loteryę nigdy nie grałem, przekładając pewne posiadanie kilku złotych nad tę ulotną nadzieję, że się może trafi numer i stawka o kilkanaście lub kilkadziesiąt razy zwiększona będzie wygraną.

Do ciągnienia 2-ej loteryi, na którą już wydane zostały programata, wcale nie przyszło.

(*XLVII*).

Obchód sześćsetnej rocznicy założenia kościoła Panny Maryi w Krakowie r. 1826.

Uroczystość ta nader rzadko przypadająca, której zaledwo każde trzecie pokolenie uczestnikiem być może, nastąpiła d. 15 sierpnia 1826 r. za prałactwa ks. Józefa Winc. Łańcuckiego i odbyła się z największą okazałością — jako w dniu Wniebowzięcia Najśw. Panny, t. j. odpustu kościoła tego, bowiem pod tem wezwaniem świątynia ta jest założona.

Już to kilku tygodniami naprzód po kościołach parafii okolicznych w dyecezyi krakowskiej, tak bliższych, jako i dalszych, zapowiedzieli księża i plebanowie z ambon o nastąpić mającej tej uro-

czystości, zachęcając wiernych, aby, kto może, uczestnikiem był tego obrzędu.

Tu w mieście pomieniony prałat kościoła Panny Maryi podał do senatu Rzpltej krak. prośbę, aby mu wolno było zebrać po domach dobrowolną składkę na fundusz potrzebny do okazałego obchodu tej uroczystości; i senat przychylił się do tego żądania, delegując w każdej gminie właściwego jej wójta i przydając mu do tego jednego obywatela. A wtedy i mnie senat przeznaczył, abym łącznie z Szymonem Białeckim, wójtem gminy pierwszej, zebraniem tej składki zajął się, co i uskuteczniliśmy.

Już na parę dni przed tą uroczystością zeszły się tłumy ludu wiejskiego tak z okręgu wolnego m. Krakowa, jako i z Galicyi i Królestwa Polskiego, przechodząc nocą ukradkowo granice, jeszcze wtedy nie tak hermetycznie zamknięte i ściśle opasane. Takie zaś zgromadziły się rzesze ludzi, że ich austerye i domy zajezdne na przedmieściach objąć nie mogły, i nocował, gdzie kto mógł. A że to było w porze lata, przeto pełno było w sieniach, pod kramami, a nawet i pod gołem niebem na bruku wśród Rynku krak. takich, co tam noc przepędzili.

Kraków ma i tak wielką liczbę duchowieństwa, a jeszcze ją pomnożyli księża wiejscy, którzy tu bądź z nabożeństwa, bądź z ciekawości przybyli. Niemal przez całe pół dnia od rana do południa odprawiały się przed wszystkimi ołtarzami kościoła Panny Maryi msze święte — a kto wie liczbę ołtarzy kościoła tego, ten sobie i liczbę mszy świętych wyobrazić potrafi.

Cały tedy dzień ten, przy najpiękniejszej latowej pogodzie, niezmierna ilość ludu oblegała tę świątynię uczestnicząc tak znakomitej uroczystości. Msze, wotywy, suma, nieszpory przy licznej muzyce, przy kazaniach, zajęły cały czas. Wieczór zaś, gdy się zmroczyło, obie wieże tego kościoła, rzęsisto kagańcami i lampami oświecone, imponujący wystawiały widok na dalekie okolice i ludziom w domach pozostałym wskazywały ten świetny i uroczysty obchód.

Choć przy tak wielkim zbiorze ludzi, przecież panowała największa cichość i spokojność, i żadnej nie trzeba było straży. Lud nabożny koczując i tę noc wpośród Rynku, śpiewał hymny i pieśni pobożne, i dopiero w dniach następnych do domów się rozchodził. *(XIII).*

Łapigrosz w Polsce.

Niemiec zagra, Włoch zanuci,
Francuz nogami podrzuci,
Przemysł, kto go ma, bogaci;
Polak zaś głupi
Figle te kupi
I dobrze zapłaci.
Mości panie Paganini!...
Wszak cię o to nikt nie wini,
Żeś brał, gdy głupcy dawali,
Jeszczeć się o to kłaniali.
Trzeba wiedzieć panie skrzypku,
Żeś się rodził w czypku.

Paganini, rodem Włoch, i panna Sonntag, Niemka, śpiewaczka teatru w Berlinie, pierwszy celujący grą na skrzypcach i za najcelniejszego wirtuoza uznany, druga ulubiona śpiewaczka po

sławnej Catalani [1])... spyta niejeden, z jakiego powodu zyskali miejsce w księdze poświęconej pamiątkom narodowym?

Oto zjawienie się szarańczy, pożary, gradobicia, wylewy rzek i t. p. klęski łąkom i polom spustoszenie niosące, gdy w kronikach naszych zapisane widzimy, czemuż nie wspomnieć o Włochu i Niemkini (pomijając innych tylu), których pobyt chwilowy na ziemi naszej pamiętną kieszeniom polskim zadał ciężę.

Odwiedzili oni Warszawę około r. 1827—8, każde z osobna. Wstyd mi wspominać, że gazeciarze warszawscy nie mogliby z większem zachwyceniem, uniesieniem, z większym okazem i okrzykami radości donieść o przybyciu do stolicy zbawcy i dobroczyńcy całego narodu polskiego, jak pisali o przyjeździe tego Włocha i Niemkini... Pochwały przesadzone, kadzidła, wynoszenie pod obłoki ich talentów, a to i prozą i wierszem, zapełniały kolumny gazet. — A za cóż to? — Oto, że zachwycając uszy warszawian przez kilka godzin, zdarli ich drogą opłatą za bilety. A cóż dopiero, gdy wyjeżdżali, jakie żale! O czasy!... o obyczaje!...

---

[1]) Pani Catalani odwiedziła także Warszawę, a w r. 1818 była i w Krakowie. Do niej sławny facecyonista Żółkowski napisał:

Mościa pani Catalani!
Mogłabyś też śpiewać taniej,
Za twe włoskie trarara
Dosyć byłoby talara.

W Krakowie bilet na jej koncert kosztował zł. 18.

mówiłem w cichości. Polacy, lud ubogi[1]) — bieda dokucza, a nędza ciśnie naród cały z małymi wyjątkami... a Włoch przewłoka ostatni nam grosz zabiera... I jeszcze mu na odjezdnem ofiarowali kosztowną tabakierkę na pamiątkę i sutą wyprawili ucztę... a nawet w przystępie zawrotu głów w tryumfie wyprowadzili go z pożegnaniem aż daleko za rogatki warszawskie.

A więc czyliż to nie jest godne, aby pamiątka takiego szału, nierozsądku i przesady została zanotowaną?

Nie dziwię się ani skrzypkowi, ani śpiewaczce, i wcale im za złe nie biorę, że z talentu swego szukali pożytku i korzyści, ale dziwię się głupstwu panów polskich, udających miłośników sztuk pięknych, a w rzeczy samej wiedzionych próżnością, aby o amatorstwie ich, o hojności, wspaniałości i dostatkach z pochwałą za granicą mówiono — a tam dobrze wiedzą, żeśmy ubodzy. Kiedy w latach 1806 i 1812 wojska francuskie w czasie wojen z Rosyą przeciągały przez ubogą ziemię naszą, oficerowie francuscy mówili o Polsce: *Un peu de de boue, un peu de sable, voilà ce qu'ils appellent leur patrie.*

Kto jeszcze wiadomy tego, jak razu jednego Karol Lipiński (sławny już wówczas z celującej umiejętności grania na skrzypcach i wszędzie za granicą podziwiany, a nawet przez Włochów i Niemców nam zazdroszczony), występując w Warszawie,

---

[1]) Bolesnem jest wspomnienie, że kilkotygodniową krwawą pracę biednego chłopka zabiera za godzinę przyjemności bajaderka.

zimnego doznał przyjęcia — temu zapewne przesadzone Paganiniego uwielbienie śmiesznością wydawać się będzie.

Pannę Henriettę Sonntag zaślubił sobie włoski hrabia Rossi. *(XXVIII).*

Turcy w Krakowie, amatorowie rzepy.

Pomiędzy pospólstwem krakowskiem krąży dawna przepowiednia tej treści: „nie będzie wprzód dobrze w Polsce, dopóki Turcy do Krakowa nie przybędą i koni pod kościołem Panny Maryi nie postawią“ i t. p.

Część pierwsza tej przepowiedni już się w r. 1831 sprawdziła, a jednak jeszcze nie błysnął promyk nadziei, aby się dola Polski polepszyć miała.

Było w Krakowie kilku żołnierzy Turków. A na ziemi polskiej ciągle brzemię ucisku ciąży... a lud polski znękany cierpi... i Bóg wie, kiedy się cierpienia jego zakończą.

W pamiętnym r. 1831, w czasie wojny o niepodległość, wojska polskie wzięły w niewolę oddział jakiś Moskali, w którym znalazło się kilku Turków, którzy podczas wojny Rosyi z Turcyą mieli nieszczęście zostać jeńcami wojennymi i zapewne nie z ochoty, ale z srogiego przymusu wtłoczeni byli w szeregi rosyjskie. Tych tedy Turków jeńców uwolnili Polacy i pozwolili im powrócić do kraju swego. Zatem gdy inną drogą nie było można, bo wszędzie Moskale zalewali kraj, mieli zamiar przez Kraków i Galicyę, potem przez Węgry udać się do swej ojczyzny.

Było to może na początku czerwca r. 1831, kiedy ich kilku (może 6 lub 7-miu) przybyło do

Krakowa, w ubiorze sołdackim mocno podartym. Byli oni bez najmniejszego opatrzenia, ani mieli czem się pożywić i tylko żyli z publicznej litości. W tę porę wszelka komunikacya z Austryą była przecięta i nikogo z Podgórza do Krakowa nie przepuszczano. Miało to być skutkiem kordonu przeciwko cholerze, ale to było wyraźnie z powodu polityki, aby walczących z olbrzymem północy Polaków odciąć od reszty braci pod innem panowaniem będących, bo mimo ściśle strzeżonych granic i gęstego obsadzenia brzegów Wisły cholera w Galicyi i całej Austryi okropnie wsie i miasta wyludniała.

Tym więc sposobem wspomniani Turcy nie mogli się dostać za Wisłę i przesiadywali w Krakowie; z których gdy dawny ubiór sołdacki spadł, sprawiono im ze składek rodzaj szlafroków z drelichu, w drobne ciemne pasy, tudzież okrycie głowy w kształcie zawojów czy turbanów tureckich i w tym ubiorze przeciągali oni pojedyńczo lub we dwóch po ulicach krakowskich i otrzymywali z rąk litośnych małe dary. Wziął ich do siebie właściciel gościnni w ulicy Floryańskiej Hilary Meciszewski, odstępując im na dole izdebkę na mieszkanie, a ze składek obmyślono im fundusz na życie, wypłacając codzień każdemu po kilkanaście groszy. Ale Turcy nie kupowali innej żywności tylko samą rzepę i tak, surową jedząc, innego pożywienia nie znali. Później cofniono im ten zasiłek pieniężny, dając im żywność gotowaną, chleba kawałek i tylko już kilka groszy do ręki na ulubioną rzepę.

Gdy wdziali te płócienkowe płaszcze i turbany i zapuścili brody, wtedy dopiero odbił się na ich

fizyonomiach prawdziwy typ oryentalny i łatwo było poznać wschodowców; to też długo byli podziwianą rzadkością. Aż nareszcie wszystkich oczy przyzwyczaiły się do nich, i już mniej uliczniki krakowskie zajmowali się nimi.

Kiedy już we wrześniu, po upadku sprawy Polski, zbliżali się Moskale ku Krakowowi, może na dwa dni przed ich tu wkroczeniem, przemówiła nareszcie ludzkość za Turkami do władz granicznych austryackich, że ich przecież wpuszczono do Podgórza; tym sposobem uniknęli, że na powrót nie dostali się do srogiej faraońskiej niewoli i zapewne unieśli wolność i życie do swojej ziemi, a na łonie rodzin zapomnieli o nędzy wszelkiego rodzaju, której doznali. *(XIV).*

Cholera morbus w Krakowie r. 1831.

Nie pierwszy to raz ta okropna klęska wyludniła kraje, a przytem i Polskę; tylko przedtem inne jej dawali nazwiska. U nas znaną była ta klęska pod ogólnem imieniem powietrze morowe. Powstała w Indyach, przeszła Azyę, Europę, a doszła nawet do Ameryki i miliony ludzi z świata sprzątnęła.

Zjawiła się ona w Polsce zaraz na początku wiosny w obozie polskim, dokąd się dostała od wojska rosyjskiego — w czasie, gdy trwała zacięta walka rewolucyjna r. 1830—31 — a idąc przez Polskę zawitała do Krakowa w maju. Pisałem już o niej w innem miejscu. Szerzyła się gwałtownie i ludzi sprzątała, co nie miara. Zarażony nią nie biedził się długo, gdyż objawiała się nagłymi womitami, rozwolnieniem żołądka i w dniu jednym

lub dwóch zabierała do grobu. To szczególniejsza, że najwięcej chwytała się ludzi nieporządne życie wiodących, nałogowych pijaków (i to było dobrą jej stroną); także podlegali jej owi, którzy się jej najwięcej obawiali, wystrzegali się zarazy i różne przeciw niej ochronne zachowywali przepisy.

Rząd krakowski założył szpital na zamku w pałacu niegdyś królów; były tam urządzone łóżka, z wierzchu pokryte ceratą zieloną na obręczach. Ludzie do tego najęci stali w pogotowiu w gmachu policyi m. Krakowa, i gdy kto zachorował, spieszyli do niego z tym ekwipażem prawie śmiertelnym, w którym przenoszono go do lazaretu cholerycznego. Zdarzyło się, że wyszedłszy na przedmieścia spotykałem się dwa lub trzy razy z takiemi przenosinami.

Prawie w każdej wsi obrane było osobne miejsce i założony cmentarz choleryczny – i mnóstwo takich cmentarzów dotąd widzieć się daje i pozostanie na długo pomnikami strasznej plagi, którą Wszechmocny na świat przypuścił.

(XIV).

Przypominek z r. 1830—31.

W chwili, kiedy powstanie kaliskie spiesząc na miejsce boju do Warszawy przyciągało, wyszła naprzeciw niemu ludność Warszawy, starcy i dzieci, witając to rycerstwo okrzykami: Niech żyją kaliszanie! Wtedy młodzieniec jeden z jazdy Kaliskiej wystąpiwszy przed szereg zawołał: Warszawianie! źle się wyrażacie, wołajcie tak jak należy: „Śmierć Kaliszanom! a ojczyzna niech żyje!“...

(XXXIII).

Pan Bóg, jedyny sprzymierzeniec Polaków w wojnie r. 1831.

Żołnierze polscy w czasie wojny roku 1831 w obozie taką sobie opowiadali powiastkę:

Kiedy wybuchła rewolucya lipcowa w Paryżu r. 1830, św. Michał, piastujący urząd sprawozdawcy z wypadków i zdarzeń naszego świata w niebie, stanąwszy przed tronem Pana Boga, zdawał mu o tem sprawę. Gdy opowiadanie skończył, rzekł mu Pan Bóg na to: „Naród Francuzów jest bardzo liczny, są mocni, bitni i sami sobie dadzą radę. Zostawić ich zatem samym sobie“. Kiedy zaś w tymże roku wybuchła rewolucya w Brukseli, czyli Belgium, chcącej się oderwać od Holandyi, czyli tak nazwanego królestwa Niderlandów, znowu św. Michał, pełniąc ów obowiązek raportera, zawiadamiał o tem Pana Boga, który mu oświadczył: „Belgowie mają dosyć przyjaciół i mocnych, a przychylnych sąsiadów, którzy im niezawodnie dopomogą“. A gdy dn. 29 listopada r. 1830 nastąpiło powstanie w Warszawie i św. Michał według zwyczaju o tem donosił, rzekł mu Pan Bóg: „Biedni Polacy!... otoczeni nieprzyjaciółmi, czyhającymi na ich upadek, nie mają, ktoby im rękę podał... przeto ja sam im dopomogę“...

Atoli wszystkich nas omyliła nadzieja. Upadliśmy Panie!... boś nam odmówił pomocy. Zostawieni samym sobie, znikąd nie odbierając wsparcia i owszem otoczeni rządami, które nam wszelkie w wojnie tej stawiały przeszkody, a nieprzyjaciela wspierały... w walce z przemocą, bezbronni i słabi, wojownicy nasi nadstawiali nagie piersi i cios

śmiertelny nas ugodził... Przytem pół wieku pokuty jeszcze nas nie poprawiło ze wszystkiem... Jeszcze nie pozbyliśmy się wad ojców i dziadów naszych i jeszcześmy nowe do nich dodali błędy. Wszyscy chcieli rządzić, a mało kto słuchać, wszyscy rej wodzić, a nikt nie chciał podlegać. Zazdrość, wzajemna nieufność, niesforność podwładnych powiększyły już i tak ogromną liczbę wrogów naszych — przeto koniecznie upaść musieliśmy. *(XXXIV).*

Napis na pomniku.

Cesarz Mikołaj kazał w Warszawie wznieść pomnik dla tych, którzy w czasie powstania d. 29 listopada 1830 r. polegli, a Najjaśniejszy Pan ich za wiernych sobie uważał. Stoi ten pomnik na jednym z placów warszawskich. Po odsłonieniu takowego ktoś nie wiadomy (bo byłby to Syberyą przypłacił) taki na nim napis położył:

Zaświadczy pomnik światu, czego Polak życzył.
Car zliczył swoich wiernych — i siedmiu naliczył.
(II).

Anegdota o Horacym Vernecie.

Sławny malarz Vernet wezwany był przez cesarza Mikołaja do Petersburga dla odmalowania kilku bitew, wygranych przez wojska moskiewskie. Cesarz życzył sobie mieć wizerunek bitwy i zdobycia Warszawy, a wiedząc o usposobieniu malarza powiedział: „Ale może Vernet republikanin nie będzie chciał malować zwycięstwa, odniesionego przez monarchę samowładnego?“ Na to artysta:

„Najjaśniejszy Panie! alboż ja to raz malowałem ukrzyżowanego Chrystusa Pana?“... (*XXXV*).

Zapis numizmatyczny.

Jeśli przypadkiem medal, o którym tu wspomnę, doszedłby do potomnych, tedy o początku jego prawie żadnej nie mieliby wiadomości. W interesie zatem historyi wspomnę tu nieco o nim. W kilka tygodni po zajęciu Krakowa przez wojska mocarstw ościennych w r. 1836 ktoś, dotąd niewiadomy, chcąc zapewne zdarzenie to przekazać pamięci następców, w wielkiej tajemnicy rozrzucił stosowny medal po mieście i na przechadzkach około miasta. Odlany był ten medal z ołowiu, wielkości dwuzłotówki, z odpowiednimi napisami po obu stronach. Na stronie odwrotnej był w środku batog. Policya krakowska, zostająca pod wpływem mocarstw ościennych, czynnie i długo śledziła, kto jest autorem tego medalu i gdzie był odlany; ale mimo całej jej usilności i mnóstwa tajnych agentów sprawca się ukrył. Zdaje się, że ten medal odlany został za granicą, i stamtąd do Krakowa przesłany, albo też autor jego mówi: „Nie w ciemię mię bito“. (*II*).

Mylność przysłowia.

Zwykle mówią: „Suknia nie czyni człowieka“ — a tu się przeciwnie pokazuje. Milicya krakowska, po rozpuszczeniu jej w r. 1836 na nowo zbierająca się, nosiła dotąd mundury krótkie, czyli kurtki granatowe z niebieskiemi wyłogami i kołnierzem. Teraz, aby jej odjąć wszelkie podobieństwo, że to są żołnierze (a do tego Polacy), z ja-

kiejś woli wyższej postanowiono i nakazano, aby milicyę tę ubrać we fraki niemieckim krojem, z długiemi połami, i tak już jest ubrana. A zatem widać, że są niektórzy, co wierzą w to, że nie serce, ale kusy ubiór stanowi żołnierza. Mogą już spać spokojnie ci, którzy się bali kusej kurtki, po tej jej reformie. (*II*).

Qualis vita, finis ita.

Kto czem wojuje, od tego ginie. Zdrada zdradą się płaci. Tu będzie można wpisać historyę o szanownym Celaku, świeżo zabitym. Kto on był i czem się trudnił? pokażą to wyjątki z gazety pruskiej berlińskiej *Staats-Zeitung* r. 1838 Nr. 284: *Er war ein russischer Agent, der vorzugsweise dazu verwendet wurde, die in Krakau sich aufhaltenden Deserteure und Flüchtlinge zur Anzeige zu bringen.* A święty Hieronim dodaje do tego: *Pessima est merces malorum operum.*

Zwyczajem było Celaka udawać się na Kleparz do domów zajezdnych lub szynków, gdzie zwykle wiejscy ludzie przebywają: tam zapuszczał się z nimi w gawędę, traktował i ujmował gorzałką, ciągnąc chłopka za język, ażali u nich we wsi nie znajdzie się jaki, któryby z Galicyi lub Królestwa uciekł z wojska lub od popisu. Chłopek, nie tyle zły, ile nierozsądny, do tego ukaptowany poczęstną, często nie wiedząc, że z tego zły użytek nastąpi, wygadał się, wskazał imię parobczaka, gdzie i u kogo tenże służy. Szanowny Celak, nie tracąc czasu, wyrabiał sobie pomoc policyjną, udawał się do wsi, w nocy otoczył chatę wskazaną, nędzną ofiarę łowił i dostawiał, gdzie wypadło — a za to

odbierał nagrody zł. pol. sto, stosownie do ogłoszenia. Mnóstwo ludzi uczynił on nieszczęśliwymi, za co spotkała go w końcu owa nagroda, o której, jak wyżej, mówi św. Hieronim. *(II).*

Testament ubogiego gwardzisty narodowego krakowskiego.

W r. 1839 zmarł tu w Krakowie stary człowiek, dawny stolarz, który jako mieszczanin krakowski należał do składu gwardyi narodowej krakowskiej w r. 1810–1813. Będąc podeszłych lat i podupadłym na siłach, już tylko reszty dni swych spokojnie dożywał przy swoim synu, tu również w Krakowie zamieszkałym i rzemiosło prowadzącym. Przyciśniony chorobą, gdy już uczuł, że nadchodzi chwila skończenia życia, objawił synowi życzenie, iż radby niejakie zostawić dyspozycye względem pogrzebu swego. Syn przeto wezwał majstrów, znajomych i sąsiadów, którzy gdy przy łożu starca zgromadzili się, zebrał ostatnie siły, podniósł się i mówił z tą spokojnością duszy, która cnotliwych w ostatniej chwili życia nie odbiega: „Żegnam się z wami, zacni sąsiedzi!... I z tobą kochany synu mój!... błogosławię tobie i twoim dzieciom. Czuję już śmierć przybywającą do mnie, i oddaję się na wolę Wszechmocnego Stwórcy. Gdy nie zostawiam po sobie żadnego majątku, przeto i nie żądam żadnej okazałości przy pogrzebie: oto mnie złóżcie w ziemię przy skromnym obrządku chrześciańskim... ale was o to tylko proszę, abyście w trumnę pod moją głowę podłożyli kurtkę moją gwardzisty narodowego, a w nogach trumny pomieścili czapkę gwardyjską (kaszkiet), jako

dawne pamiątki, którem przechował i które mi były miłe. Zresztą Panu Bogu was polecam i proszę, abyście westchnęli za moją duszę". Tu poczciwy starzec głowę złożył na poduszce, i w niedługą chwilę wiecznym snem zasnął. Syn, pełniąc z religijnem posłuszeństwem wolę jego, ubiór gwardzisty narodowego wraz z ciałem rodzica do łona ziemi złożył. *(XI).*

Historya pieniędzy kursujących za mojej pamięci w Krakowie.

Pieniądze wtedy są wszystkiem,
Kiedy ludzie są niczem.

Już nie pamiętam, gdziem tę powyższą sentencyę przeczytał. Zbijać jej nie widzę potrzeby, lecz ile pamiętam, zawsze pieniądze były wszystkiem, a przynajmniej czemś znaczącem — a ludzie bywali zerem, albo rzeczą bardzo podrzędną. Wspomnę tylko, jakie rodzaje pieniędzy krążyły w obiegu w Krakowie od czasu przybycia tu mego aż do teraźniejszego czasu, t. j. r. 1839.

Kiedym do Krakowa przybył, a było to w r. 1797, czyli w roku drugim panowania austryackiego w tem mieście, zastałem już wywołaną z kursu wszelką monetę rozszarpanego Królestwa Polskiego. Już ani było widzieć polskiej dwuzłotówki lub złotówki srebrnej, gdyż te z powodu ogłoszonego rozporządzenia cesarza austryackiego, że tylko w kursie zniżonym, t. j. wartości srebra, do kas rządowych przyjmowane będą, prawie ogólnie wyniosły się do tej części Polski, którą król pruski zachapał — a tu w Krakowie uwijały się

jeszcze trzygroszówki i grosze miedziane z cyfrą Stanisława Augusta, których już nikt nie brał, a powoli i te znikały i szły za Pilicę za dwuzłotówkami i t. p.

Wtedy to (r. 1797 — mówię) zaczęły pokazywać się w obiegu ewancygiery austryackie, orlanki, siódmaki, czeskie, moneta srebrna — tudzież grajcarki i półtoraki, oraz piętaki bite z miedzi; tych piętaków szło 5 za srebrny grosz, lecz te niedługo z kursu cofniono. Krążyły także dukaty holenderskie, które miały kurs po zł. pol. 17 gr. 26 na miedź, a trudno było i za tę cenę zmienić takowe. Zaczęły się już także pokazywać w kursie pieniądze papierowe, czyli bankocetle po 5, 10, 25 ryńskich, które jeszcze bez mozołu można było wymienić w zupełności na monetę srebrną lub miedzianą w nominalnej cenie. Atoli gdy wojna rewolucyjna francuska coraz bardziej wrzała, którą Austrya z wielkiem wysileniem popierała, niknęła z kursu wszelka moneta srebrna, a natomiast coraz bardziej zagęszczały się papiery. Nastała potem moneta srebrna, bilon, z lichego bardzo aliażu bita, sztuka po grajcarów 12, w której bardzo mało było srebra, tylko prawie sama miedź; niedługo też starła się z nich biała koszulka, i zaczęły się owe cwelwery wstydzić, że są tak lichą monetą, to znaczy wystąpił na nie rumieniec, z którym biegały po ręku, nakształt owego bezwstydnika, który już nie dba, czy ludzie dobrze, czy źle o nim mówią.

Stempel na tych cwelwerach był ten: po jednej stronie orzeł cesarski — po drugiej wartość ich, czyli: *12 Kreuzer*. Zaraz też lud krakowski mówił: „Muszą to być złe pieniądze, bo cesarz wsty-

dził się położyć na nich twarz swoją". Następnie mnożyły się coraz bardziej papiery i trudno było o monetę brzęczącą, a chociaż owe cwelwery były tak lichymi pieniędzmi, przecież trudno było wymienić bankocetel na nie. To też w kasie wymiany bankocetli (która była w Spiskim pałacu na dole), ludzie tłoczyli się tak o wymianę papierów na te cwelwery, że po kilku żołnierzy stawiano w sieni na straży, którzy ten tłum uśmierzali, bili, wypychali i t. p., i z wielką trudnością natłokowi ludzi radę dać mogli; — o czem dobrze pamiętam, bo wyprawiony z bankocetlem 5cio-ryńskowym celem zmiany do tej kasy nieraz stamtąd tyle szturchańców, ile i cwelwerów przyniosłem.

Obok tych cwelwerów, jedynej quasi srebrnej monety w Krakowie, była już tylko w obiegu miedź, czyli moneta zdawkowa z najlichszego kruszcu miedzianego, który się na nic przerobić nie dał — a było to podobno żelazo, któremu cesarz Imć nadawał kolor miedzi za pomocą jakiegoś płynu, czy wody, czy innego jakiegoś środka. A dosyć to już musiało być źle, kiedy nawet kruszec miedzi fałszerstwu podlegał.

Znikły ze wszystkiem z kursu wszelkie srebrne lepsze pieniądze. Ani talara, ani cwancygiera, ani dukata, jak rok długi aniś ujrzał, a przynajmniej kto go posiadał, temu się zdawało, że ma jakiś numizmat nadzwyczajnej rzadkości, jakiegoś feniksa i t. p. A ktoby chciał posiadać taką osobliwość, t. j. pieniądze dobrego gatunku, ten się musiał udać do żydka, do wekslarza i tam go kupić za znacznie wyższą cenę, bo brał od żydka

dobre srebro lub złoto, a dawał mu w zamian papier, billon lub miedź.

Przy bankocetlach[1]) rozmnożyły się i miedziaki, sztuka po grajcarów 3 i 6, potem sztuka po grajcarów 30, także 15, wielkie jak talary, a wszystko z tej lichej miedzi. Wreszcie zaczął rząd przebijać owe cwelwery, i z każdego za odmianą stempla wybito sztukę znaczącą grajcarów 7; a nieraz można było widzieć w obiegu, że po jednej stronie było wybite: *12 Kreuzer*, a po drugiej: *7 Kreuzer;* co się z jakiejś omyłki menniczej działo, w której sztuki te żywcem przebijano.

Wszelka ta moneta, o której wyżej, miała kurs w Krakowie aż do r. 1809, czyli do czasu, kiedy Kraków opanowało wojsko polskie pod wodzą ks. Józefa Poniatowskiego.

W r. 1809 w grudniu, po przyłączeniu Krakowa do Księstwa Warszawskiego, nastąpiło wywołanie z kursu bankocetli austryackich, ogłoszono też tablicę redukcyjną, podług której te papiery mogły jeszcze mieć kurs czasowy w tej całej przyłączonej prowincyi do Księstwa Warszawskiego.

W r. 1809 zaczęły się już zjawiać półósmaki i dytki pruskie, które miały kurs w części Polski z pod Prusaka odebranej. Potem pojawiały się dwuzłotówki dawne polskie i moneta srebrna Księstwa Warszawskiego, także bilon przebijany z dytków i srebrnych groszy pruskich lichego aliażu. Nastały bilety kasowe Księstwa Warszawskiego po talarze jednym i dwa talary i 5 talarów, które krążyły do r. 1812; wtedy to, t. j. roku 1812—13,

[1]) Nastały już były bankocetle po ryńskim 1 i po ryń. 2.

gdy się zeszły władze Księstwa Warszawskiego w Krakowie, uchodząc przed Moskalami z Warszawy, cofnione zostały te bilety bankowe z kursu i tu w Krakowie spalone; bardzo mało pozostało ich po ręku, ale przynajmniej strata nie była wielka.

Zapomniałem dodać, że owe austryackie bankocetle tak w kursie spadły, że ledwo szedł ryński jeden, czyli zł. pol. 4 za gr. 10 — i ja sprawiłem sobie za te papiery spodnie kazimirkowe, które mię kosztowały około 400 zł.

O zredukowaniu tych bankocetli i tej miedzianej monety w samej Austryi do $\frac{1}{5}$ części — (czyli za ryński 1 grajcarów 12 i to nie srebrem, lecz innemi nowymi papierami) — nic tu mówić nie będę, prócz tej wzmianki, że kto posiadał papier na ryńskich 5, temu go odebrano, a dano mu inny papier na ryński jeden.

Był to przedziwny sposób, wymyślony przez rząd ojcowski na zapłacenie swych długów.

Po utworzeniu Rzpltej krakowskiej na kongresie wiedeńskim, krążyły u nas wszystkie srebrne pieniądze i papierowe krajów ościennych, a najwięcej monety polskiej. Wszystkie te pieniądze kursują dotąd, r. 1839, a prócz tego jest trochę pieniędzy srebrnych i bilonu Rzpltej krak., które senat Rzpltej krakowskiej kazał ze swego srebra wybić w Wiedniu. Są to złotówki z dobrego srebra, 10-cio i 5-cio groszówki bilonowe.

Dodam jeszcze tutaj parę słów wyjaśnienia o kilku dawnych nazwach i monetach, jakie pamiętam.

Halerz. — Była to w dawnych czasach drobna moneta w Polsce. Czy były bite halerze, nie wiem. Może to było spolszczone imię niemieckiego szeląga Heller, o czem ode mnie uczeńszy niech niewiadomych oświeci.

Dzieckiem będąc, przypominam sobie, żeśmy z towarzyszami swawoli bawili się jakąś grą, coś nakształt dzisiejszej gry w gotowalnię, w której mówiło się między innemi: „...W Sandomierzu, jest tam piwo po halerzu“. A zatem gra ta musiała być dawną, bo wyrazu halerz już Bóg wie od jak dawnego czasu w miejscu mojego urodzenia nikt nie rozumiał.

Babka złamana. — Nie mogłem dotąd wybadać, co to była za moneta, którą tem imieniem zwano. Dotąd jeszcze słyszeć można od ludzi naszych przysłowie: „Nie warto i złamanej babki — nikt by nie dał za to ani złamanej babki“. W dziełach numizmatycznych ani szukaj wyjaśnienia, bo wyrażenia tego używają tylko ludzie, którzy nic nie piszą, a nawet i pisać nie umieją.

Złote górskie. — Podczas kiedy w Polsce rachowano monetę na złote polskie — w Kentach i okolicach tego miasteczka zwykle liczono na złote górskie, każdy po gr. pol. 36. — Rachuba ta była ciągle w zwyczaju za mojego tamże pobytu do r. 1797, i gdym w roku tym do Krakowa przybył szukać za młodu chleba na późniejsze lata, dziwno mi było, że tu złoty miał w sobie tylko czeskich pięć, a w Kentach sześć.

Teraz już podobno i tam nie liczą na złote górskie, tylko na ryńskie i na grajcary, tj. monetę austryacką.

Wówczas jeszcze można było słyszeć góralów do Kent z żywieckich stron przybyłych, którzy tam na targi przywozili drzewo, jak oni jeszcze rachowali na urty, n. p. za furę drzewa dwa urty. (Były to dawne polskie pieniądze, orty, odpowiadające wartości teraźniejszych złotych dwa).

(*XII*).

Źródła siarczane na Podgórzu przy Krakowie.

W ciągu miesiąca sierpnia r. 1842 panowały nader wielkie upały nietylko u nas, ale i w innych krajach, jako to: Czechach, Morawie, Szląsku i Saksonii, tudzież w całych Niemczech. Wskutek tych wody w rzekach nadzwykło opadły, a niektóre nawet wyschnęły. Wisła była tak nadzwyczajnie mała, jak tego od dawna nie pamiętano. Przez to nadzwykłe zwężenie się jej koryta odkryły się pale w łożu jej, nie wiadomo z jakich czasów i w jakim celu bite.

Na brzegu Wisły prawym, t. j. na Podgórzu, powyżej teraźniejszego mostu pływającego, pośród wikliny, gdy się koryto Wisły zwężyło, znaleziono źródło siarczane, które zwykle w Wiśle odpływ swój miało, t. j. w korycie jej, a teraz z powodu małej wody źródło to wynikło na brzegu, niedaleko od biegu Wisły, które wielu oglądało.

Już przed laty kilku, w czasie kopania studni na Podgórzu, znaleziono tamże wodę, mającą w sobie części siarkowe i urządzono łazienki, dokąd udawano się z Krakowa i pobierano tam kąpiel. Musiała to być woda bardzo słaba, a te źródła jej, tak w korycie Wisły, jak i w tej studni,

mają zapewne związek z pokładem siarki w Swoszowicach. *(XIV).*

Nadzwyczajna taniość produktów zamorskich w Krakowie r. 1843.

Z powodu, że granic Rzpltej krakowskiej nie otaczają żadne komory celne, ani w Krakowie nie opłaca się żadne cło od towarów zagranicznych, skądkolwiek takowe przychodzą, mamy przeto wielki napływ towarów z fabryk niemieckich, francuskich i t. p., a nadewszystko wyrobów bawełnianych do ubiorów kobiecych, tak dalece, że to przechodzi pojęcie, jak można sprzedać w Krakowie łokieć kolorowych perkalików po groszy piętnaście, rachując, że oprócz korzyści fabrykanta jeszcze i kupiec krakowski zarobić musiał. Prawda, że pieniędze małe, ale też i towar nie w przednim gatunku, a zatem „wart Pac pałaca, a pałac Paca“. Jakkolwiek jest, to zawsze nadzwyczajna taniość, n. p. tiulu szerokiego łokieć kupowano po upadłym w handlu żydzie, bankrucie, po groszy polskich 12.

Taż sama nadzwyczajna taniość istnieje tu w Krakowie i co do towarów kolonialnych. (Pisałem to na początku r. 1844). Cukier dzisiaj stał się już prawie jak nieuchronnym i każde nawet miernego mienia gospodarstwo konsumuje tegoż znaczną ilość. Wprawdzie najwięcej tu mamy cukru burakowego, ale ten zastępuje bardzo dobrze cukier z trzciny indyjski, lub amerykański, i będąc w wielu miejscach Europy fabrykowanym w wielkich ilościach, zszedł też do niskiej ceny. Tu w Krakowie dostać można teraz funt podlej-

szego gatunku za gr. 20, a w lepszym gatunku funt za groszy 22. Kawy funt w ordynarnym gatunku dostanie za groszy 28, a najlepsze gatunki dochodzą do groszy 48.

W sklepach korzennych można teraz kupić kawy palonej za grosz jeden i cukru za grosz. Taniość, jakiej nigdy tu nie było. (*XIV*).

Smutne zdarzenie.

D. 26 września r. 1843 smutny zdarzył się wypadek na zamku krak. — Miejsce to znacznie wzniesione, zbyt mało ma wody, gdyż na całym Wawelu są tylko trzy studnie, a z tych dwie zaniedbane i nieużyteczne, bo reparacyi potrzebujące. Masa zaś wody tamże potrzebowanej jest wielka, bo w pałacu królów, urządzonym na koszary, stoi około 400 ludzi milicyi krakowskiej, a liczba ubogich, pod opieką Towarzystwa Dobroczynności zostających, także w jednej części pałacu mieszcząca się, przenosi osób 300.

Jedna z powyżej wspomnianych trzech studzien, w samym pałacu znajdująca się, niezmiernie głęboka, bo do powierzchni wody ma łokci 70, a wody w niej jest łokci 16, a może i daleko głębiej, od niepamiętnych czasów nie była czyszczoną i dawała bardzo zmienioną wodę. Rząd polecił wyczyszczenie jej, a gdy po rozpoczęciu robót, po wstawionych tamże drabinach ludzie schodzili, jeden z nich, mimo zachowanej ostrożności i dwóch idących za nim, odurzeni gazem węglowym — wpadli, których, gdy inni ratować chcieli, takiegoż doznali losu. Trzech z nich wydobyto i otrzeźwiono, ale trzech utraciło życie, t. j. Czerwiński,

studniarz, Książek i jeden żołnierz milicyi krak., który padł ofiarą miłości bliźniego, innych ratować chcący.

Poczciwiec ten, który się tak szlachetnie poświęcił, zwał się Jan Stańczyk. Zanim do studni się spuścił, pobiegł do oficera swego i jemu się opowiedział. Ten mu rzekł; „idź i ty, jeśli chcesz, abyś stamtąd więcej nie wyszedł“. Zstąpił do studni, a raczej do śmiercią ziejącej otchłani... i już więcej świała dziennego nie ujrzał... Dnia 28 września przeniesiono zwłoki jego na cmentarz z paradą wojskową, dokąd je mnóstwo ludzi różnego stanu odprowadziło.

Cześć twym popiołom, zacny Stańczyku!...

Nagrobek Janowi Stańczykowi:

Tu spoczywa mąż prawy, przy nim jego cnota,
On drugich chcąc ratować, postradał żywota.
Duch jego w niebie — bo kto swych bliźnich miłuje,
Pan mu za to wieczystą nagrodę zgotuje.
Nie miał herbu... ród jego wcale nie był świetny,
Lecz on zgonem swym dowiódł, że był mąż szlachetny.

Stańczyk był synem chama (chłopa), co dowodzi powołanie jego, prostego żołnierza, bo w wojsku austryackiem, z którego on do milicyi krak. przeszedł, szlachta od prostej żołnierki wolna, i tylko bywa oficerami, a cały ciężar obrony kraju spada na mieszczanina i chłopka (bodajto przecież rodzić się szlachcicem), atoli szlachetnością duszy góruje on nad tysiącami herbowych... Zagrzany miłością bliźnich, nie zachęcony widokiem nagrody, bo nieszczęśliwi, których ratować chciał,

byli biedni ludzie, pracownicy; poniósł on dla nich w ofierze, co miał najdroższego... własne życie!... (*II*).

Napis na katedrze ruskiej w Warszawie.

Po upadku rewolucyi polskiej z r. 1830—31 rząd rosyjski silniej przycisnął Polskę i rozpoczął kroki rusyfikacyi w Polsce. — Księża Pijarowie obudzili znaczną ku sobie niechęć w rządzie, który też niebawem dotkliwie się ich uchwycił, bo im odebrał kościół i takowy obrócił na ruskiego obrządku katedrę, — nawet kształt budowli zmienił, nadając jej formę wschodnią. — Opinia publiczna mocno tem dotknięta została. Przed niedawnym czasem (1851) napisał ktoś na tym kościele tę przepowiednię:

A gdy przyjdą nasze pułki,
Zrzucą one te kopułki;
Bo dla naszej wiary
Potrzebne Pijary. (*XXXIII*).

Najj. cesarz nasz Franciszek Józef odwiedził Kraków.

Od kilku dni naprzód wiadomem było w mieście naszem, iż Najj. Pan odwiedzi Kraków, a następnie i Galicyę, jakoż wkrótce urzeczywistniła się ta pogłoska, i dn. 13 czerwca 1851 r. około godz. 9-tej rano, pociągiem kolei żelaznej, monarcha wjechał w mury naszego miasta. Naprzód już było zapowiedziane, aby nie robiono żadnego przygotowania do głośnego przyjęcia, przeto bez strzałów i brzęku dzwonów odbył się wjazd przez bramę Floryańską, u której czekały go władze

miejskie, zgromadzone obywatelstwo i cechy z chorągwiami, oraz tłumy ludu w ulicy Floryańskiej i rynku, tudzież wojsko. — Najj. Pan zajechał do pałacu Spiskiego, tam bowiem przygotowane miał pokoje na czas swego krótkiego tu pobytu.

Zaraz tegoż dnia, po bardzo krótkim wypoczynku po podróży, zwiedził Najj. Pan szpital św. Łazarza, Obserwatoryum astronomiczne, Kollegium Jagiellońskie i nowo budujący się gmach dla rozszerzenia szkół gimnazyum św. Anny. Był także w gmachu więzień u św. Michała.

Dn. 14 czerwca Najj. Cesarz zwiedzał wznoszące się twierdze na Krzemionkach i inne, tudzież instytut wojskowy kadetów na Łobzowie. Dawał przez oba dni audyencye różnym osobom. Procesyi w oktawę Bożego Ciała przyglądał się z okna pałacu Spiskiego. Zwiedził ogród Strzelecki i wpisał wysokie imię swe do księgi, gdzie się zapisują członkowie Towarzystwa kurkowego, a powróciwszy stamtąd, przypatrywał się owemu obrzędowi Konika zwierzynieckiego, który za uzyskanem pozwoleniem przeciągał w otoczeniu tłumów, hałastry, pauprów, a nawet i godniejszych ciekawych osób, w rynku krak. i zatrzymał się przed Spiskim Pałacem a, jak głoszą, znakomicie przez N. Pana, oraz od osób wysokiego znaczenia, w orszaku jego znajdujących się, generałów i t. p., obdarzony został.

W dn. 14 Czerwca odbyła się pod okiem J. C. M. wielka musztra z ogniem, na płaszczyznach około wsi Dąbia, na którą zgromadziła się znaczna liczba wojska, tak z miasta, jak i okolic. Ponieśliśmy krótki, ale uciążliwy kwaterunek,

a mały mój domek, mający ciągłą załogę ludzi ośmiu, jeszcze i drugich ośmiu przyjąć musiał.

W czasie wjazdu Najj. Pana nie było okrzyków *vivat*. Dopiero wieczór tegoż dnia odbył się świeżo do nas wkradający się pochód z pochodniami, *Fackelzug*, praktykowany w Niemczech na cześć jakiej znakomitej osoby. Magistrat i różni urzędnicy, obywatele miejscy i zresztą kto chciał i mógł ponieść wydatek na pochodnię, zgromadzili się na placu Franciszkańskim, a za nadejściem mroku ruszyli z zapalonem światłem, przy odgłosie muzyki, i stanęli przed rezydencyą Cesarską. Tam młodzież szkolna odśpiewała hymn „Boże zachowaj Cesarza“ na głosy z piękną harmonią, a po każdej strofie wzniosły się huczne okrzyki *vivat!* i tak się ten dzień przybycia Monarchy zakończył. Dn. 16 Czerwca o godz. 6-tej rano już N. Pan opuścił Kraków, udając się przez Podgórze do Galicyi.

Gdy był Najj. Pan w ogrodzie Strzeleckim, rozmawiał z uprzejmością z teraźniejszym królem kurkowym, p. Karolem Modesem, jubilerem, i pytał się o sposób obierania króla, a widząc godło strzeleckie, „srebrnego kurka“, rzekł: *Dieses haben sie wohl mittels Beiträge angeschafft?* Na co mu tenże odpowiedział: *Nein, Eure Majestät! das haben noch die alten Polen angeschafft; für uns wäre es eine Unmöglichkeit, weil wir kein Geld haben.* Zrobił Najj. Pan trzy wystrzały do tarczy, z których jeden padł w biały obwód, okrążający centrum tarczy. *(III).*

Mums, moms.

Jak gdyby nie było dosyć wszelkiego rodzaju chorób, dręczących rodzaj człowieczy, znowu doktorowie nasi wynaleźli jakąś nową chorobę, na początku nazwaną, o której pierwszy raz zasłyszałem w Marcu r. 1854. Jakie są cierpienia tej nowo zjawionej dolegliwości? jeszcze nie wiem, bo ona dopiero pomiędzy panami, a szczególniej paniami pojawia się i dotąd do warstw niższych jeszcze się nie przeniosła. Jak wiele innych, jest to choroba modna... i niech sobie pozostanie w tej górnej strefie — bo my *le bas peuple* potrafimy umierać na dawne choroby i obejdziemy się bez tego nowego przybytku. (*III*).

Pepita Oliva.

Z takiem mianem tancerka hiszpańska, która wszystkie wielkie miasta kolejno objeżdża, przybyła w miesiącu grudniu 1854 do Krakowa i w skokach solo występowała po dwa razy na teatrze tutejszym. — Mimo drożyzny i biedy, która panuje i wszyscy się na nią uskarżają, mimo ceny potrójnej biletów wejścia, znalazło się przecież mnóstwo głupich czy też ciekawych, którzy teatr aż do zapchania napełnili, lecz w tych rzędzie moje ja nie znajdowało się... Trudno jest wierzyć w biedę, w złe czasy, skoro ludzie mają na zbytek, płacąc za lożę zamiast zwykłej ceny reńskich czterech aż reńskich dwanaście, — a w tym stosunku i inne miejsca co do ceny były podniesione.

Że i nogami jałmużnę dać i dobry uczynek spełnić można, dała tu w Krakowie dowód ta sko-

czka Pepita... Właśnie ogłosił swój benefiis aktor Królikowski, ojciec 6 dzieci, a prawdziwy biedak, jak zwykle u nas artyści dramatyczni. Ten poskoczył do głowy po rozum i uprosił Pepitę, aby w międzyaktach trzech małych sztuk polskich zatańczyła. Skłoniła się do jego prośby — a gdy afisze o tem doniosły, że spektakl będzie za cenę zwykłą jak zawsze, tłumy publiczności zebrały się. Benefisant miał piękną korzyść, a tancerka spełniła piękny czyn. — Stąd pojechała po ruble do Warszawy. *(III).*

Drożyzna żywności.

Poprzednich lat kilka nie były nader urodzajnemi i wielce też trudny tegoroczny (1854) mamy przednowek, do czego przyłożył się nieurodzaj ziemniaków, tych zastępców chleba, które już od lat kilku podlegają pewnej zarazie czy chorobie i wcale się nieudają, — tak, że doszła ich cena do bajecznej wysokości, i w tym roku do sadzenia na wiosnę płacono korzec ziemniaków banknotami austr. po reńskich pięć, co na monetę srebrną czyniło przeszło zł. pol. 16.

W tym stosunku poszło w cenę i wszelkie chlebowne ziarno. Przy teraźniejszem gromadzeniu wojska do Galicyi, które stanowić ma demonstracyę przeciwko Rosyi, rząd potrzebował do magazynów żywienia wojska ogromnych zapasów zboża i poczynił umowy z liferantami o dostawę żyta i owsa. Tutejszy izraelita-spekulant podjął się dostawy 10.000 korcy żyta po cenie reńskich 18 i krajc. 20, co według obecnego kursu papierowych pieniędzy czyni na srebro zł. pol. 62 przeszło. —

Chleb też mamy niesłychanie drogi, i stąd wielka nędza ubogich.

Z Królestwa Polskiego nie puszczają do nas zboża, bo i tam posiadacze ziemi uciśnieni są wielkiemi dostawami ziarna do magazynów wojskowych.

Do nas tu przywożą koleją żelazną żyto, owies, mąkę z Węgier, które tam żydkowie zakupują na dostawę do magazynów, i codziennie każdym pociągiem parowym artykuły te przywożą. Wojska codziennie do Galicyi przybywa i ciągłe tu w Krakowie ponosimy kwaterunki — i sam tylko Pan Bóg wie, na czem się ta wikłanina polityczna skończy. (*III*).

Logika moskiewska w wojnie krymskiej.

Słyszałem to od duszą i ciałem stronnika rządu moskiewskiego (znanego i tu mieszkającego Sołowiewicza). Jest to wprawdzie anegdota, ale takie drobiazgi służą do wydania charakterystyki ludu. W czasie teraźniejszych poborów do wojska rosyjskiego (które nawiasem mówiąc podobne są do tego przysłowia: „resztą goni“), syn jednego prawosławnego, wzięty w sołdaty, wyprosił sobie rzadko udzielane pozwolenie *(infernis nulla redemptio)* odwiedzenia domu i pożegnania się z matuszką. Chłopak zalewał się łzami, żegnając się z rodziną, którego matuszka temi uspakajała słowy: *Ne płaczy Hawryłko! to nie dłuho bude trwały. Pojdesz, zastrelisz, zakolesz kilku Turków, i pryjdziesz do chaty.* Na co rzekł Hawryś: *A kak oni mię zabiją, szczo budzie?...* Na co matka odpowie: *A za szczo mają tebe zabijać?... aboś im ty co zwaro-*

wał?... alboś im ty co złego zdiełał? I tym sposobem utuliła synka, że ze swoim dziadem (rodzaj instruktora każdego rekruta) spokojnie w pochód wyruszył.

Dziadzia nazywa się stary sołdat, któremu w opiekę oddają rekruta, aby go uczył służby i razem był odpowiedzialnym za jego uchybienia służbie — który też co z góry odbierze, to na plecach rekruta odwałuje.

Sołowiewicz był tu nauczycielem języka rosyjskiego przy gimnazyum, ale się go rząd austryacki pozbył, gdyż był obserwatorem *vel* szpiegiem. *(III).*

Św. Piotr, odźwierny niebieski, zdziwaczał.

Tak święci, jak i ludzie, na starość dziwaczeją. Następująca powiastka musi być prawdziwą, bo ją ogłosiły pisma czasowe, a te zasługują na wiarę, bo wreszcie któryś nasz wierszopis — zdaje mi się, że Trembecki — napisał:

I któżby w drukowane nie wierzył gazety?...
Te pisały z Ameryki etc. etc.

Nad Dunajem rozpoczęła się zawzięta Moskwy z Turcyą wojna i takowa krwawemi odbywa się bitwami. Zaraz z początkiem tegorocznej kampanii zaszła bitwa pod Cetali, w której, jak piszą gazety, poledz miało od krzywej tureckiej szabli 2000 Moskali, do czego przecież raporty rosyjskie przyznać się nie chcą i zaledwo dziesiątą część tej straty przyznają. Z tego to powodu jedno z pism humorystycznych niemieckich taką o tem podało relacyę:

Po bitwie pod Cetali nad Dunajem ogromny zastęp dusz sołdatów ruskich przymaszerował przed bramę do nieba. A że to były dusze chrześcian, więc domagały się wstępu do nieba. Gdy zadzwoniono, aby im otwarto, wychodzi stary klucznik niebieski św. Piotr i pyta: „Co wy za jedni?“ — „My jesteśmy ruskie sołdaty, którzy polegliśmy za wiarę prawosławną pod Cetali... Zadziwiła świętego taka ogromna gromada: kazał im stanąć w szeregu, przeliczył i znalazł ich 2000. Poszedł potem do swego biura, wyniósł gazetę petersburgską *Ruski Inwalid*, w której jest raport o tej bitwie urzędowy, i cały w gniewie zbeształ ich: *Wy łotry! łgarze! breszycie kak sabaki: wot rapport waszego genierał-sztabu, nie poległo was tylko 200, a was tu taka hromada... Won suki-syny!... pajdy precz duraki!* i tylko 200 puścił do nieba — a reszta poszła błąkać się po przestrzeni wszechświata.

Bitwa pod Cetali była zaraz w początku r. 1854. *(III).*

Sławne nieuctwo moje w znawstwie sztuk pięknych.

Chciałbym, aby mnie uważano za człowieka ogromnych, wszechstronnych wiadomości, za studnię nauk, za piramidę wszelkiego rodzaju umiejętności, ale jak na nieszczęście nie mogłem dotąd żadnego zdobyć chwalcy, a to z powodu, że mu żadnej do panegiryku nie mogę dostarczyć podstawy, na której on ze swą budową osiąśćby potrafił.

Jak w każdej innej gałęzi nauk, tak i w sztukach pięknych ignorancya przylepiła się do mojej

figury. Są tak szczęśliwi, co w naukowości mnie równi, a przecież udaje im się uchodzić za sawantów, za znawców, bo w sztukach pięknych umieją oni dawać sąd o rzeczy, o malarstwie, rzeźbie i t. p., chwalą, ganią, radzą poprawy tego i owego; a ja nic z tego wszystkiego nie umiem i stoję, słucham z rozwartą gębą i podziwiam ich naukę.

Chcąc i ja też podnieść się w znaczeniu, zajaśnieć na horyzoncie uczoności, tem bardziej, że jestem członkiem dyrekcyi Towarzystwa Sztuk Pięknych krakowskiego i zasiadam na sesyach razem z książętami, hrabiami oraz znawcami sztuk pięknych, idąc za przykładem innych umyśliłem przyswoić sobie szereg jakich frazesów, wyrazów technicznych, którymi przy sądzie o utworach sztuki mógłbym dowolnie szermować, batożyć ni w pięć, ni w dziewięć, jak to czynią inni, i w tym celu następny przysposobiłem sobie słownik, lecz mimo tego niewielką robi mi on przysługę, bo istotnie nie wiem, gdzie i jakiego wypada użyć frazesu i mam stąd prawdziwe *ambarras de richesse*. Oto jest ten nowy podręczny dykcyonarzyk:

„Kompozycya szeroka. — Koloryt ciepły. — Pomysł śmiały. — Rysunek skończony. — Bogactwo utworu. — Z tego obrazu wieje jakieś zimno. — Głębokie studyum. — Światłocień. — Pełność ruchu. — Cienie zlewają się. — Kształty zaokrąglone. — Wymanierowane. — Wylizane. — Wymuskane. — Konwencyonalne. — Siła życia. — Postawy naturalne. — Postacie niewymuszone. — Poczucie wierne. — Układ mistrzowski. — Wykonanie klasyczne. — Pendzel wyborny. — Styl wytworny. — Praca artystyczna. — Nacechowane

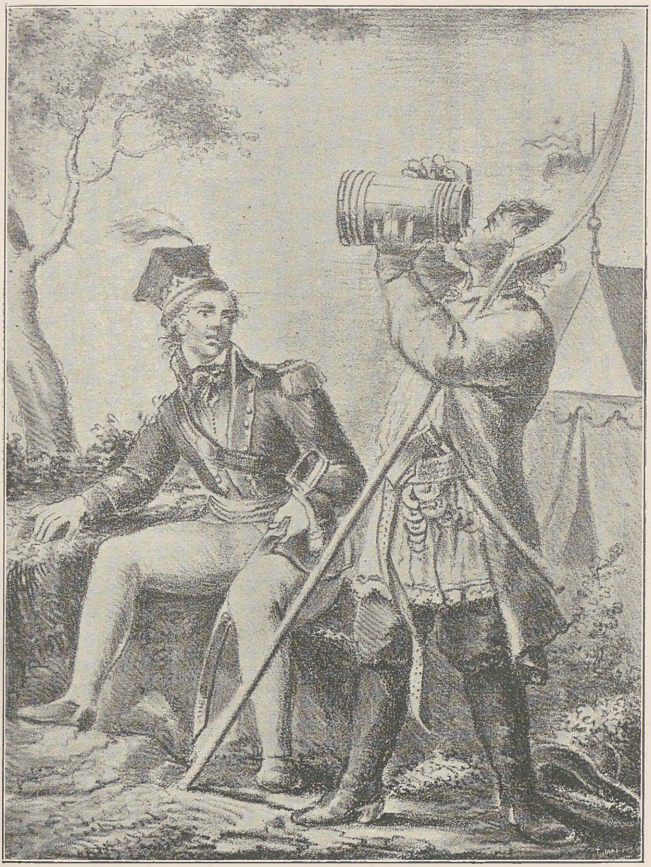
siłą. — Ogrom uczucia. — Wdzięk form. — Ugrupowanie szczęśliwe. — Konsekwentność w działaniu i układzie. — Ton ciepły w kolorycie. — Szerokość konturów. — Poprawność rysunku. — Śmiało i szeroko narysowane".

Takiemi i podobnemi frazesami potrzeba uposażyć swoją pamięć, ale to najgorsza, aby wiedzieć, kiedy i jakiego użyć: *hic rodus, hic salta.*

A że mi przymioty takie nie przysłużają (wyraz nowomodny), przeto na sesyach cicho siedzę i głosu nie zabieram, ani zdania udzielam, i z tego to względu na ostatniem posiedzeniu podałem się do dymisyi, prosząc o uwolnienie mnie z urzędu, bo poczuwam się, że na nim tylko niemą jestem figurą, podczas kiedy inni gwarzą ni to, ni owo. Dn. 13 marca 1856. *(XXI).*

Rzeczy nigdy nie bywałe.

Dary Pomony, raczej jesieni, bywały u nas zwykle w cenach bardzo dostępnych, gdyż się obficie rodziły. Nie było nic dziwnego śliwek węgierek 10—12 dostać za grosz u przekupek i to na wybór pięknych, kiedy w podlejszym gatunku dostał ich za grosz 20 lub więcej. W tym stosunku była też i cena jabłek i gruszek umiarkowana, bo rynek krakowski pełny był wszelkich owoców. W roku bieżącym (1856) zdarzył się wielki nieurodzaj wszelkich owoców, tak pestkowych, jak jądrowych, ale jak uważam, tylko w ogrodach Krakowa i okolic, a podobno i w reszcie Polski. We Wrocławiu, w Berlinie, widziałem masę wiśni, trześni, w ogromnych koszach na rynkach i ulicach tych dwu miast i to po miernej cenie. U nas wi-



»WOYSKO POLSKIE W OBOZIE W R. 1794«.
(POR. STR. 64).
LITOGRAFIA M. STACHOWICZA (OBACZ »KATALOG« ŚWIEYKOWSKIEGO NR. 361).

śnie i trześnie sprowadzano koleją żelazną i sprzedawano je w sklepach korzennych. Wiedeń i Węgry dostarczały nam takowych i funt płacił się grajcarów ośm.

Śliwek węgierek także sprowadzanych sprzedawano w tym roku po cztery za grajcar piękniejszych — a po sześć pośledniejszych; lecz w końcu, kiedy ich brakować zaczęło, doszły do ceny jedna za grosz. Jabłka sprzedają się sztuka po groszy trzy do czterech piękniejszych — a pośledniejszych małych po 4 za 3 grosze.

Atoli opowiadają niesłychane rzeczy o cenie po jakiej mają się sprzedawać owoce w Warszawie, co jest rzeczą do uwierzenia trudną, że śliwka jedna kosztowała groszy 3, a cena jednego piękniejszego jabłka że jest groszy 20. Powyższe notuję tu jako osobliwość, której żyjąc w Krakowie już rok 59-ty nigdy nie doświadczyłem. Jaka była przyczyna tego braku owoców, nie można odgadnąć, gdyż sady pięknie okwitły, a jak mówią, że zaszkodziły drzewom przymrozki wiośniane w czasie kwitnienia i stąd owoce przepadły. Zima r. 1855—56 bardzo także szkodziła drzewom i krzewom. Po ciepłych dniach jesieni nastąpiły nagle przykre mrozy i wiele drzew przemroziły, które w lecie ze wszystkiem poschły i zniszczały.

Ale natomiast, czego kilka lat nie było, zrodziły się ziemniaki, ten niezbędny surrogat chleba tak dalece, że co do sadzenia żądano za korzec po 5 i 6 reńskich, to w tym roku po wykopaniu sprzedają korzec po zł. pol. 5 do 6-ciu, a w czasie ich drożyzny to — rzecz niesłychana — sprzedawano je na

kwarty. Oby tylko nie ulegały zepsuciu się, na co wyrzekać zaczynają. (*LIII*).

Se non e vero, e ben trovato.

Idzie pomiędzy ludźmi w obiegu anegdota, za której pewność ręczą, a jest tej treści. W czasie przybycia ces. Aleksandra II do Warszawy w apartamentach dworu znajdował się Henryk hr. Rzewuski, w piśmiennictwie znany pod pseudonimem Beyła. Przez nieuwagę zapomniał wziąć do kieszeni chustkę od nosa, a gdy mu przyszła jej potrzeba, wziął kawałek papieru i nos oczyścił. To gdy spostrzegł książę Gorczakow, rzekł mu: „Teraz, hrabio, utarłeś nos prawdziwie po polsku“. Na to odrzekł: „Prawda, iż rzeczywiście po polsku, bo gdybym to chciał uczynić po moskiewsku, to byłbym niezawodnie komu najbliższemu potrzebną chustkę ukradł“. (*LIII*).

Uganiaczki wieczorne za ulicznikami.

Zwyczajem dawnym pobożna klasa niższa wieczorami odbywała dotąd (piszę to 14 maja 1862) śpiewy nabożne przed figurami lub obrazami świętych na miejscach publicznych. Zwykle co rok od 16 maja przez całą oktawę zgromadzali się pobożni przed figurą św. Jana Nepomucena, stojącą przy moście na Rudawie w pobliżu mojego domu, przy oświeceniu posągu funduszem ze składek pobożnych, i śpiewali nabożne pieśni, dodając do nich: *Boże coś Polskę*. Urząd policyjny zabronił śpiewania tej pieśni, idąc za przykładem moskiewskim w Polsce; mimo to jednak paupry uliczne nie słuchali zakazu i pieśń tę religijno-narodową śpiewali,

co sprawiło, iż co wieczór, gdy się śpiewanie rozpocznie, nadciąga siła wojskowa, przed którą uliczniki, jak skoro ich spostrzegą, przy odgłosie „hura“ rozbiegają się na cztery wiatry. Jestto istotnie śmieszny widok, któremu się z okien przypatrujemy.

Lepiej byłoby zaniechać tego polowania na pauprów, a możeby się prędzej uspokoiło... Te śpiewy narodowo-religijnych pieśni są dowodem i wskazówką obudzenia się ducha narodowego po długiem uśpieniu, który powiał po całym obszarze ziemi polskiej, a który jest wynikiem konieczności i dziełem Opatrzności. *(V).*

Przywrócenie języka polskiego w szkołach (r. 1862).

Dziwna to rzecz, że blisko stuletnie usiłowanie rządu austryackiego, aby ludność galicyjską przeniemczyć, przecież wszystkie te kroki i sztuczki germanizacyjne płonnemi i daremnemi się okazały.

W najniższych szkołach naukę religii dawano nam z książki niemieckiej, i uczyliśmy się na pamięć mechanicznie, wcale tego nie rozumiejąc. Nauka rachunków była w języku niemieckim, w kościele śpiewaliśmy po niemiecku nie rozumiejąc; karano tych, co rozmawiali z sobą po polsku, dlatego też utworzyliśmy sobie mowę zupełnie odrębną, taką n. p.: *Antek, hast nicht gewidział Bartka?... Nicht gewidziałem.* W wyższych zakładach szkolnych, w gimnazyach, w akademii lwowskiej, język wykładowy był ogólnie niemiecki, a język polski był zupełnie ze szkół wygnany, stąd też wszyscy Polacy, którzy przez te szkoły przeszli, bardzo źle mówią i piszą językiem ojczystym,

a rząd przekonał się, że *tempus et oleum perdidit*, bo duch polski, choć tak długo tłumiony, nie wygasł i w sercach narodu jasnym odżył płomieniem, którego już żadne usiłowania nie przygaszą.

Szczęśliwszy był pod tym względem Kraków od Lwowa, bo kiedy tu przez lat 14 tylko w najniższych klasach używano języka polskiego, a od 4-ej klasy zacząwszy już zaprowadzano niemiecki wykład, toż samo i w akademii; teraz (r. 1861) w szkołach i akademii krakowskiej język polski został do praw swoich przywrócony i przedmioty naukowe wykładają profesorowie Polacy — czego Lwów nie dostąpił mimo starań, i niemczyzna tam wszechwładnie w szkołach panuje... Tu w Krakowie w sądach i władzach administracyjnych język polski i niemiecki stoją obok siebie, i podania do władz mogą być po polsku lub po niemiecku, a odpowiedzi na takowe są stosownie do podań po polsku lub niemiecku. *(V)*.

Pożar w Krakowie r. 1866.

Od roku 1850 nie mieliśmy w mieście naszem, Bogu dzięki, większego pożaru, nie tykając małych wyjątków po przedmieściach. Dopiero pożar tegoroczny zagrażał większą klęską, lecz tej śpieszny ratunek zapobiegł, bo nie spuszczając się na pomoc patrona od ognia, staruszka św. Floryana, straż ogniowa została lepiej uorganizowaną, jak w r. 1850. Ten nasz patron, widać, że albo zleniwiał, albo nie miał siły jąć się pracy gaszenia ognia i urząd swój pełnić zaniechał. Szczęściem jest wielkiem, że przy niedołęstwie i lenistwie naszego ludu pożar w stajniach na Kleparzu nie

powstaje peryodycznie kilka razy do roku, bo i niedbalstwo samych właścicieli domów nie jest zbyt wzorowe, i mieszczanie kleparscy zbytkiem ostrożności nie grzeszą, którzy mają się za coś wyższego od chłopów, chociaż są wspólnikami ich nałogu. Śmieszny też wypadek zdarzył się z tej okazyi. Kiedy w r. 1850, już po ogniu wewnątrz miasta Krakowa, zgorzały na Kleparzu 4 domy, mieszczanie z dobrowolnych składek postanowili na cześć św. Floryana odprawić dziękczynne nabożeństwo za ocalenie od większej szkody. Aby uroczystość była wspanialszą, delegacya mieszczan kleparskich udała się do księdza Łętowskiego (wówczas jeszcze kanonika), zapraszając go na ambonę kościoła św. Floryana, aby stosowne powiedział kazanie. Przyjął zaproszenie ksiądz Łętowski i po stosownym wstępie do kazania powiedział słuchaczom, że „pożar ten był karą Boską za rozpustę i pijaństwo mieszkańców, bo idąc przez Kleparz, któż robi hałasy pijackie w szynkowniach? któż z kim za łeb się wodzi? kto pijany w rynsztoku leży? Oto przezacni obywatele miasta Kleparza“. — Nagadawszy im więcej podobnych komplementów, zszedł z kazalnicy i opuścił kościół... Mniemać należy, że Kleparzanie nie wysłali drugiej deputacyi z podziękowaniem za te pochwały.

(VI).

DAWNE OBYCZAJE KRAKOWSKIE.

I.

Coroczne zwyczaje.

Każdy kraj, każda prowincya, okolica, każde miasto, a nawet wieś ma swoje osobne miejscowe zwyczaje. Wielką, ogromną utworzyćby można księgę, w której dla etnografii, dla etnologii nieobliczone znalazłyby się skarby, gdyby takie zwyczaje w jeden punkt, w jedno ognisko zebrać się mogły.

Oto kilka małych rysów o zwyczajach, zabawach i t. d. pospólstwa (ludu) miasta Krakowa, z których już wiele zmieniło się, zaginęło – a niedługo może i ta reszta w niepamięci się pogrąży.

Nowy Rok.

Za mojej już pamięci nastał w Krakowie zwyczaj przesyłania biletów z powinszowaniem Nowego Roku. Początek jego datuje od czasu zajęcia Krakowa przez austryacki rząd po r. 1796. Zwyczaj ten tak potem się upowszechnił, że d. 31 grudnia i d. 1 stycznia krążyły po domach masy kartek rysowanych, drukowanych lub pisanych

biletów z nazwiskiem i dodatkiem: Z powinszowaniem Nowego Roku. W r. 1851 już tak zwyczaj ten zaginął, że ani jednego takiego biletu nie odebraliśmy, a nawet i ustne powinszowania są już rzadkie. (*XXXIII*).

Obchodzenie z gwiazdą w dzień Trzech Królów.

W bursach krakowskich, tak teraz jak i dawniej, znajduje przytułek bardzo liczna młodzież, uczęszczająca do szkół. Są to po większej części synowie ubogich rodzin z okolic Krakowa, którzy na drodze jakiej takiej nauki i wykształcenia się pragną przyszłe mieć utrzymanie. W dawnych czasach, kiedy klasztory lepiej uposażone były, wielu takich młodzieńców żywiło się idąc do furty klasztornej z garnuszkiem, gdzie im frater wydzielał żywność, chodziło do domów, szukając dobrodziejów, a zwano ich *pauper*, od czego utworzyło się potem nazwisko paper, dziś jeszcze na ulicach krakowskich słyszane. Nie było w dawnym czasie wzgardą nazwanie „pauper“, tak jak jest dzisiaj, kiedy niem uliczników mianują.

Ubodzy ci studenci zwykli byli w niedzielę obchodzić po domach, czytając ewangelię, roznosili wodę święconą do kropielnic w domach, na Trzy Króle obchodzili z gwiazdą oświeconą z papieru olejnego, śpiewając pieśń, której był początek *Largum vesper* (dobry wieczór, szczodry wieczór), zbierając przytem małe dary, którymi ich mieszkańcy Krakowa opatrywali, — i z tego utrzymywali się jak mogli, po skończeniu szkół udając się najczęściej do zakonów i seminaryum.

Znajdujące się przy tej zapisce drukowane wezwanie, odnoszące się do tego zwyczaju, pochodzi zapewne z czasów reformy akademii i szkół, kiedy może usunąć chciano zwyczaj żebrania ubogiej młodzi, a miano w zamiarze utrzymać ich we względach Krakowian, wyjednywając im wsparcie przez polecenie ich pamięci łaskawych. (*XII*).

Szopka.

Tak nazywa się teatrzyk przenośny, uklejony z kolorowego papieru, który chłopcy obnosili i obnoszą jeszcze po domach dla zabawy dzieci, w wieczór codziennie zacząwszy od Bożego Narodzenia do święta Najśw. Panny Gromnicznej, t. j. przez cały styczeń. Aktorami w szopce są lalki, które jeden z chłopców za szopką klęczący porusza i stosowny dyalog prowadzi, także śpiewa przeróżne koncepta. Główne role są: król Herod, a przy nim żyd, krakowiak ze swą narzeczoną, góral i góralka, kozak [1]), chłopi i ekonom, żyd i żydówka, którzy wszyscy wychodzą parami przed szopkę, śpiewają i tańczą. Kończy się na tem, że przychodzi śmierć z kosą, ucina łeb królowi Herodowi, występuje dyabeł z widłami i wtrąca go do piekła,

---

[1]) Wychodzi także i żołnierz lub policyant, który chłopów tańczących rozpędza i inne czasem odmienne lalki. W zimie r. 1830—31 chłopcy uliczni tu w Krakowie, chodząc po domach z szopką betleemską, pomiędzy innemi figurkami jako to: krakowiaków, górali, żydów, króla Heroda, śmierci, nareszcie czarta i t. p. pokazywali figurki, przedstawiające . . . . . Złego wszędzie dosięgnie zasłużona kara. — [*P. Wyd.:* Nazwiska wykropkowane w powyższem zdaniu zostały w rękopisie starannie wykreślone]. (*XLVII*).

nareszcie wychodzi dziadek z woreczkiem i dzwonkiem, który przyjmuje do worka małe dary po parę lub więcej groszy od spektatorów, to jest dzieci — a kończy wszystko pieśń, czyli kolenda, poczem cała kompania pokazująca szopkę idzie dalej.

Zwyczaj ten wychodzi potrochu z używania, gdyż policya go zabrania i szopki zabiera, dlatego chłopcy z wielką ostrożnością obnoszą teraz szopkę z obawy, aby się nie dostać do kozy.

O tym czasie są w wielkim użyciu pieśni o Bożem Narodzeniu, które przy warsztatach zwykle wieczór śpiewają się — rozumie się w największej dysharmonii, bo uszy śpiewaków nie są wprawne, ani tak drażliwe, aby je to obrażało.

(*XII*).

Zapusty, ostatki, święta Bachusowe.

W domach wrzawa, śpiewy, tany,
Hulaj dusza!... Każdy wola.
Otrząśnijmy trosk kajdany,
Hop mazura!... hop!... do kola!...
Tyg. Pozn. 1842.

Powoli, pomału, ale im więcej w czas, tem bardziej zacierają się dawne zwyczaje ludu naszego. — Comber, tłusty czwartek, ostatni wtorek, bachusy, były u nas dawniej dniami hulanki, pijatyki, hałasów ulicznych i t. p., i ja pamiętam jeszcze mnóstwo pijaków, szczególniej bab pijanych, śpiewających i pląsających na rynku, w ulicach; a teraz (r. 1843) tego niemiłego widoku, dzięki Bogu, coraz mniej się spotyka, lubo nie można mówić, że się konsumcya szkodliwej go-

rzałki teraz zmniejszyła, gdyż przeciwnie dziś cały przemysł właściciela ziemi polega na jaknajwiększej produkcyi gorzałki, — i każdy szlachcic zaprowadza u siebie różne kunsztowne i kosztowne aparaty gorzelniane, za pomocą których dopóty męczy biednego ziemniaka, dopóki z niego ostatniej kropelki ducha (*spiritus*) nie wygniecie. — Dla okazania, jak ogromną ilość okowity w Krakowie rocznie się spotrzebowuje, nadmieniam, gdyż to wiem z dobrego źródła, że do kasy urzędu konsumcyjnego wchodzi opłata od 120.000 [1]) garcy, wprowadzonych jawnie do miasta... a kto wie, jaka się tu ilość garcy tajemnie bez opłaty przemyca?...

Jeszcze przed 5-ciu, 6-ciu łaty uwijały się w tłusty czwartek i w ostatki po domach uliczniki, przebrane nibyto za górali, mających na głowie czapkę papierową, wąską a bardzo wysoką, u której wierzchu zaczepionych było i rozpuszczonych wiele wstążek długich z papieru kolorowego. Ubiór ich składał się powszechnie z koszuli i spodni płóciennych, w ręku nieśli drewniane góralskie kosturki, — a długie wiszące około twarzy włosy ze lnu lub konopi przyprawne, lub sadzami poczernione wąsy ubioru ich dopełniały. Czasem niósł taki góral zabitą wronę, uwiązaną na sznurku, i kij gruby w ręku, co znamionowało charakter jego, tj. sprzedającego kwiczoły, jemiołuchy, drożdże (drozdy) i t. p. Chodzili po domach, nadewszystko po szynkowniach i tam tańcowali, przy-

[1]) Mówię sto dwadzieścia tysięcy garcy — rocznie — spirytusu, okowity. (Z rachunków r. 1835).

krząc się o jaki podarek. Zwykle do tego grona należał dziad w łachmany okryty, u pasa miał różaniec z ziemniaków, na piersiach wielki krzyż z kawałków drzewa, a był zbrojny w wielki bat z powroza na długim kiju, z którym upędzał się za ulicznikami, gromadnie chodzącymi za nimi.

Teraz policya przeszkadza im i nie dozwala chodzić po mieście i tylko włóczą się po ustronnych miejscach przedmieść. W tłusty czwartek i ostatni poniedziałek dn. 23 i 27 lutego r. b. (1843) widziałem jeszcze dwie takie kompanie z kilku chłopaków tym sposobem ubranych złożone, tudzież dwóch skrzypaków i basistę, wszyscy wpół pijani, jak obchodzili po Kleparzu i Piasku.

Można było dawniej widzieć i małe dziewczęta, przebrane za wiejskie kobiety, t. j. odziane w prześcieradła (łoktuchy), z wstążkami na głowie, noszące w koszykach jaja i garczek masła (glinę) na sprzedaż; śpiewały one i tańczyły po domach, prosząc o jaki dar. (*II*).

Comber. Cąber.

Tak się nazywa dotąd Tłusty Czwartek, czyli ostatni czwartek karnawałowy. Jak wiem z dawniejszych opowiadań, w dniu tym przekupki krakowskie, upiwszy się, tańcowały w pośród rynku krakowskiego, łapiąc przechodniów i zapraszały ich z sobą do tańca. Nikt się nie wywinął tym bachantkom, choćby to był najgodniejszy; i trudno było inaczej tańca uniknąć, chyba się okupując małym datkiem. Utrzymywano, że ten dzień hulanki jest dniem ich radości, czyli pamiątką zgonu urzędnika w dawnych czasach, który nad niemi

miał dozór i surowem obchodzeniem się z swarliwemi babami wielce tym był uprzykrzony, a którego nazwisko miało być Comber. Lecz przeciwko temu podaniu (zapewne w nowszych czasach powstałemu) założyć mogę protestacyę, bo przejrzawszy ogromną ilość ksiąg i rękopisów dawnego archiwum miejskiego krakowskiego nie napadłem nigdzie takiej nazwy burmistrza, coby mnie niechybnie było uderzyło, ani też innego jakiego urzędnika miejskiego, ani nawet nazwiska tego w liczbie mieszczan w tychże księgach znajdującego się, a zatem prawdopodobieństwu pochodzenia mogę zaprzeczyć — zwłaszcza, że ani dawniej, ani później mieszkańca Krakowa Comber nie widać.

W każdym razie mniemam, że jeśli był taki urzędnik policyjny, to musiałby to być Hutman, którego w wieku XVI lub XVII zwano Hetmanem (o czem obszerniej obacz w tej księdze pod tem nazwiskiem), a który urząd jeszcze dotrwał do początków wieku naszego pod nazwą Hutmana, i ja go jeszcze pamiętam. Dawniej ten Hutman sądził sprawy pomniejsze, kłótnie, swary babskie, gorzałczane i zaraz karę wymierzał — i tego niezawodnie baby najwięcej się bały.

Ja już wprawdzie nie pamiętam tych pląsów rynkowych, gdyż je przepisy czasów nam bliższych poskromić musiały, ale pomnę jeszcze pijane baby, chodzące pojedyńczo w tym dniu i w czasie karnawałowych ostatków, które włóczyły się po ulicach niosąc w ręku gałąź choiny (jodłową), a na niej zawieszone powiązane skorupy jaj — miał to być bukiet — i zapraszały przechodzących na „ubogie wesele“.

(Zapiska z r. 1852): Przecież i dziś ostatki tego zwyczaju pokazały się jeszcze na ulicach. Baba ustrojona w kapelusz damski, może ze śmieci wydobyty, obwieszony wstążkami papierowemi, ubrany kwiatami brudnymi, chodziła po ulicach Krakowa, odgrywając rolę panny młodej, otoczona zgrają małych ulicników, i zapraszała na ślub, rozdając przechodniom bukiety weselne z gałązek świerczyny, przewiązane wstążeczkami z kolorowego papieru. *(II, III* i *XII)*.

Przypinanie klocków.

W Krakowie trwa od dawna zwyczaj i ciągle się utrzymuje, że w dniu Popielca chłopcy uliczni biegają i wieszają na szpilce z tyłu żydom, wieśniaczkom, służącym, kawałki drzewa, kości, skorupy jaj i t. p. Niekiedy z domów umyślnie wyprawiają po jaki sprawunek na miasto takiego, komu klocek przywieszono. Ten, nic nie wiedząc o zdradzie, idzie przez ulicę, a za nim wszyscy się śmieją. Lud prosty mówi, iż to wieszanie klocka jest za karę temu, kto się w mięsopust nie ożenił, lub tej, co za mąż nie poszła. *(XLVII)*.

Przed laty może 4-ma (około r. 1839) jeszcze spotkałem na Zwierzyńcu chmarę chłopców ulicników, otaczających babę ciągnącą kloc. Było to we wstępną środę: wyrostek spory, przebrany za babę, niósł na plecach kosz, a w nim siedział ze słomy zrobiony chłop w podartej masce, baba zaś ta miała do pasa przywiązany spory klocek drzewa, który wlokła za sobą na powrozie, a otaczała ją czereda chłopców próżniaków i z krzykami ją

prowadziła. Nie wiem, do czego zmierzał ten zwyczaj, i raz tylko jeden to widziałem. *(VIII).*

Wielki Czwartek, Wielki Piątek.

W czasie tym Wielkiego Tygodnia bractwo Męki Pańskiej, istniejące dotąd przy kościele OO. Franciszkanów w Krakowie, zwykle dawało Wieczerzę Pańską dla więźniów, siedzących w ratuszu krakowskim, w kabatach, w dłużnicy, tudzież w wieżach na zamku, jako to w Dorotce, w wieży szlacheckiej, złodziejskiej i t. d. W Wielki Piątek wszyscy więźniowie spowiadali się i Komunię św. przyjmowali — i od tego to czasu zostało w przysłowiach ludu krakowskiego, że w Wielki Piątek tylko złodzieje spowiedź odprawują. Potem bractwo Męki Pańskiej z procesyą, na której czele znajdował się prałat kościoła Panny Maryi i z jego duchowieństwem udawało się na ratusz, gdzie byli zgromadzeni radcy krakowscy (magistrat) i wypraszało więźniów skazanych już na ciężkie lub lekkie kary, na śmierć, chłostę lub t. p., i tak uwolnionych wyprowadzało w procesyi z więzienia. Winowajca taki, jeśli był wyproszony od kary śmierci, niósł wtedy w czasie tej procesyi w ręku trupią głowę — jeśli od chłosty, tedy niósł dyscyplinę i t. d.

Członkowie tego bractwa Męki Pańskiej w dawnych czasach w czasie nabożeństwa postnego (passyi) odbywali dyscyplinę — ale to tylko ludzie z większem nabożeństwem, którzy się chłostali po gołych plecach w czasie psalmu *Miserere* etc. — Wątpię zaś, aby ludzie drażliwej skóry akt ten pobożności wykonywali, co przecież jako zabytek

srogości dawnych czasów uchylonem zostało i ciężko byłoby teraz znaleźć tak pobożnego amatora dyscypliny, żeby sobie dobrowolnie plecy do krwi smagał.

Należy dodać, że bractwo za więźniów siedzących za długi niekiedy płaciło należną kwotę.

Z okazyi wielko-tygodniowego nabożeństwa, przytoczę tu jeszcze anegdotkę, którą wiele razy opowiadaną sobie miałem. Był niegdyś zwyczaj (ale już od bardzo dawnych lat zarzucony w Krakowie), że w Wielki Piątek lud miejscowy obchodził ukrzyżowanie Pańskie na górze Kalwaryi. Zwykle roli Chrystusa podejmował się nabożny jaki mieszczanin, brał krzyż na barki, a lud i uliczniki, udając żydów, prowadzili go na miejsce śmierci, szturchając, urągając i plwając na udanego Chrystusa; poczem, stanąwszy na miejscu, przywiązywano go do krzyża i tak go niby to krzyżowano. Ubogi, lecz bardzo nabożny szewc prawie corocznie pełnił ten akt nabożeństwa, lecz mu razu pewnego cyrulik, wielką popularność mający, wszedł w drogę i za kandydata na Chrystusa się podał. Gdy odniósł nad szewcem zwycięstwo i pierwszeństwo mu przyznano, zaszedł z krzyżem na miejsce śmierci i tam go ukrzyżowano. Natedy szewc zgniewany staje pod krzyżem, a pociągając palcem po dłoni i udając ostrzenie brzytwy na pasku, mówił do ukrzyżowanego: „smyk, smyk, golibroda!“... A Chrystus, widząc tę zniewagę, krzyknie ogromnym głosem: „Poczekaj ty gałganie! nauczę ja ciebie, tylko z krzyża zejdę“. Od tego czasu ta ceremonia ustać na zawsze miała. *(XII).*

Boże rany.

Dawny to także zwyczaj, że w Wielki Piątek rodzice dawali dzieciom *Boże rany.* Rano, kiedy dzieci jeszcze były w łóżkach, ojciec, matka lub starszy z rodzeństwa, przychodził z rózgą i wysmagał leżącego powtarzając: *Któryś cierpiał za nas rany, Jezus, zmiłuj się nad nami* i t. d. Ja pamiętam, że mnie podobne śniadanie pobożne spotykało z rąk szanownej ciotki Wiktoryi Serwanowej, której wspomnienie czczę w równym stopniu, jak rodziców.

Święcone wielkanocne.

Tak w mieście, jak i po wsiach naokoło Krakowa, a podobno i na całej ziemi polskiej, bogaty i ubogi obchodzi uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego lepszym posiłkiem i dłuższem jedzeniem. Kiedy stoły bogaczów uginają się pod stosami szynek, wybornych placków, mazurków i marcypanów, jajeczników i t. p., w których cukier i konfitury zagłuszały wszelki smak ciasta z najprzedniejszej mąki, wtedy ubogi wyrobnik krakowski lub wieśniak z okolicy miasta kupuje sobie wielki chleb prądnicki (promnicki, jak lud wymawia), kiełbasę, kawałek mięsa i trochę jaj, i takie święcenie zanosi do kruchty lub zakrystyi kościoła parafialnego, któremu ksiądz modlitwą pobłogosławi i wodą święconą pokropi. Integralną częścią święcenia są gałązki bukszpanu, któremi się święcenie przybiera.

W piśmie peryodycznem *Pszczółka krakowska* znajduje się bardzo pięknie napisany przez Kon-

stantyna Majeranowskiego artykuł p. t.: *Święcone wielkanocne.* Jest tu więcej trochę poezyi, niż prawdy, lecz zawsze są tu zbliżone rysy charakterów i zwyczajów dawnych mieszczan krakowskich. Artykuł ten powszechnie się wszystkim podobał.

(XII).

Emaus, uroczystość pospólstwa w mieście Krakowie

Zwyczaj ten dawny dotąd (r. 1841) utrzymuje się w Krakowie i zapewne nie zaginie. W poniedziałek wielkanocny, jeżeli do tego pogoda służy, niemal cała ludność Krakowa udaje się na Emaus; miejscem zaś tego zebrania się ludu jest wzgórze na przedmieściu Zwierzyniec, około kościoła św. Salwatora i kaplicy drzewianej św. Małgorzaty. W dniu tym popołudniu panowie jadą tam powozami, a lud udaje się tam pieszo. Przechadzka ta, nazywająca się Emaus, a jak pospólstwo mówi *Hameus*, odbywać się ma na pamiątkę udania się Chrystusa Pana do miasteczka Emaus po swojem Zmartwychwstaniu.

Nie wchodząc w rozpoznanie, czyli początek tego zwyczaju jest doprawdy tak pobożnym, zdawałoby mi się, że powstał on jeszcze z drugiego powodu, hygienicznego. Jaki taki, bogaty czy ubogi, po długim poście, który dawniej z wielką wstrzemięźliwością obchodzono (gdyż przodkowie nasi przepisy kościoła ściślej jak my wykonywali [1]),

[1]) Lud krakowski powtarza jeszcze to dawne przysłowie: „Grzech nie idzie do gęby, ale wychodzi z gęby“ — a zatem mniemaćby można, że niektórzy niekoniecznie w świętość postu wierzyli, lub że przysłowie to od lutrów poszło.

a zwyczaj Emausu od nich pochodzi), jaki taki, mówię, najadłszy się szynki, kiełbasy, jaj i placków, uczuł potrzebę ruchu, i aby pomódz trawieniu, poszedł na dalszą przechadzkę; przytem pora wiośniana, po długiem zimowem zamknięciu, wołała za obręb miasta, a dobrze jest zszedłszy się z poczciwym sąsiadem, bzdurząc, gwarząc, iść za tłumem drugich.

Cały ten obchód Emausu kończy się na tem: zejdzie się tłum ludzi, znajomi połączą się w małe gromadki pod kaplicą św. Małgorzaty, każdy stanie, przejdzie się po wzgórzu, otworzy gębę, przypatrzy się snującym się tłumom i tak jak przyszedł, nie wiedzieć po co, z niczem też powraca do domu.

Za czasów dawnej Polski Emaus więcej trochę był zgiełkliwy. Chłopcy rzemieślników, uliczniki, przypomniawszy sobie jakie urazy, zbrojni w pręty (palcaty) napadali na siebie i potężnie jeden drugiemu skórę nieraz otrzepali; ale Austryacy przytłumili ten zwyczaj przez rozstawienie straży policyjnej, która chwytała napastników. Zdarzało się, że taki niespokojny wyzywacz, upatrzywszy sobie najczęściej niewinnego adwersarza, przylepił mu na plecy parę razów, a potem, rzucając mu pod nogi już w zapasie noszony palcat, mówił: „bij się ze mną!“ *(XII).*

Drugi Emaus.

Teraz już zaniedbany, w dawnych czasach odbywał się w niedzielę przewodnią około kościółka św. Sebastyana, później, gdy ten upadł, przeniesiono go pod kościółek św. Gertrudy. Kapliczka ta mu-

rowana, tej blisko wielkości, jak kościółek św. Wojciecha w rynku krakowskim, stała za Nową bramą przy wyjściu z ulicy Siennej na przedmieście, po prawej stronie na tej przestrzeni, która jest około jatek rzeźniczych. Dopiero ją rozebrano, gdy zakładać mieli plantacye i gdy murowano teraźniejsze jatki rzeźnicze. Na jej cmentarzyku zwykle chowano ukaranych mieczem, których liczba niemałą bywała co rok, gdyż magistrat krakowski, sądząc prawem magdeburskiem, używał prawa miecza i karał śmiercią za powtórzoną kradzież a rzadki to był dzień targowy, aby nie było egzekucyi w rynku krakowskim. W dniu tym przywożono na rynek furę piasku pod ratusz i już stąd wiedziano, że będzie egzekucya; niedługo wyprowadzano winowajcę, przeczytano dekret i ni stąd, ni z owąd, ucinano mu głowę — a potem, ułożywszy trupa w trumnie i zbroczony piasek, dalejże z tem na cmentarzyk św. Gertrudy.

Emaus ten, odbywający się po południu w niedzielę pierwszą po Wielkanocy, już nie bywał tak liczny jak zwierzyniecki; trochę ludu zeszło się na wał przed Nową bramę, usiadło kilka przekupek z orzechami i t. p., uliczniki wydzieliły sobie po kilka kułaków, szturchańców i prętów — i na tem kończyło się. Za mojej pamięci tylko się już parę razy odbył r. 1798—1799 i poszedł, nie wiem z jakiej przyczyny, w zapomnienie.

Ten zaś wał za Nową bramą, o którym wspomniałem, było to wielkie i wysokie nasypisko ziemi, powiększone rumem, śmieciami i błotem, wywożonemi z miasta przez czas długi; gdy równano miejsca, zasypywano fosy dla uformowania prze-

chadzek i rozwożono to nasypisko, znaleziono w niem mnóstwo kości ludzkich. Byli to Moskale, pobici w czasie szturmu do Krakowa d. 17 sierpnia r. 1768 (o czem czytaj w moim rękopiśmie p. t.: *Konfederacya barska* w dyaryuszu Wojciecha Mączeńskiego).

Ten Emaus z Niedzieli Przewodniej, co potem przy kościółku św. Gertrudy obchodzono, w dawniejszych czasach odbywał się przy kościółku św. Sebastyana, który niegdyś stał na tej łące.

Jeszcze się to miejsce dotąd zwie łąką św. Sebastyana — a niegdyś był tu staw, zwany Leypinger (w XVI w.). *(XII).*

Rękawka.

Nazwanie to pochodzi od starego podania. Mogiła Krakusa miała być usypaną przez naród; każdy z obecnych na pogrzebie wodza przyniósł w ręku garść ziemi, a z tej powstało wzgórze, które nazywa się grobowcem Krakusa, czyli od ręki Rękawka.

Obchód Rękawki wiąże się z najdawniejszą epoką dziejów naszych i niknie w mgławej przeszłości. O początku jego nic nie wiemy. Trwa on dotąd, a że z nim łączy się przechadzka w piękną porę roku, przeto i ufać trzeba, że nie będzie zarzucony i na zawsze się utrzyma, jeśli tylko jaka nie zajdzie przeszkoda, której przewidzieć nie można.

Cała rękawka zawisła na tem: we wtorek wielkanocny, jeśli służy pogoda, ludność cała krakowska udaje się na prawy brzeg Wisły, na góry Krzemionki (Lasotnia, Lasotyn) pod kościółek św.

Benedykta, w pobliżu mogiły Krakusa leżący. Tam się zgromadzają mnogie tłumy ludu i cała góra przybiera postać olbrzymiego mrowiska. Zresztą cel zebrania się ludzi na Rękawce jest ten sam, jak na Emausie: przypatrzą się jedni drugim, obejrzą się po wielkiej przestrzeni, którą stąd widać, jaki taki kupi cacko, bawidełko dla dzieci, i powracają do miasta.

Tem jest Rękawka więcej ożywioną od Emausu, że całą spadzistą pochyłość góry okrywa chmara uliczników, którym publiczność rzuca bułki, orzechy, jaja, kiełbaski i t. p., a ci, łapiąc takowe, spychając się z góry i kozłując na dół, wzbudzają śmiech ogólny, i spadają jak barany, ale bez żadnej szkody. *(XII).*

Rękawka w r. 1841, z powodu niepogody we wtorek odłożona do następnej niedzieli, przy pięknym dniu wiośnianym była bardzo liczną. Liczne tłumy okryły wzgórze około kościółka św. Benedykta.

Niejeden z przybyłych na Krzemionki pyta sam siebie, po co tak wielka liczba mieszkańców Krakowa tu się zgromadza?... Wprawdzie widocznego celu niema, ale nikt przecież nie przyszedł tu bez powodu, i tak np.: bogate panie przyjechały pokazać swoje ekwipaże, świeże ubiory i modne mantylki. Starzy przywlekli się gawroniąc za drugimi. Młodzi przyjechali konno zaglądać w oczy ładnym dziewczętom — te zaś przyszły poświecić białymi zębami i różowymi policzkami, pokazać nowe mantille i kryspinki, porobione z przenicowanych starych spódniczek. Szewczyk i krawczyk, kupczyk i aptekarczyk, naśladując panów przyszli

tu z cygarami w zębach, aby pokazać, że są ludźmi *comme-il-faut* — zgoła każdy miał swój cel i nikt tu nie przybył bez powodu, a różnica tego wypływała z wieku, z próżności i z skłonności indywidualnych. *(II).*

Prima Aprilis.

Dzisiaj (r. 1840) zima sprawiła nam prawdziwe *prima aprilis* — bo gdy prawdziwą porę zimową, przymrozki, grudę, a często i śnieg mieliśmy aż do ostatniego marca — i kiedy nam jeszcze zima dłuższem trwaniem odgrażała — nagle dzisiaj dn. 1 kwietnia odmieniła się powietrznia, mamy dzień piękny, pogodny, słońce świeci i jest ciepło, i jeśli się jeszcze nie odmieni, tedy od dzisiaj wiosnę rachować zaczniemy. Ciepła dziś stopni ośm i pół. Chciałem się dostać na mogiłę Kościuszki — i byłem pod świętą Małgorzatą — ale dla błota dalej iść nie mogłem [1]).

Dawny zwyczaj zwodzenia się, *prima aprilis*, którego początek nie wiadomy, zaciera się i ginie pomału. Teraz już mało kto kogo zwodzi i tylko jeszcze pomiędzy ludem służebnym jest w użyciu. Za moich lat młodych przesadzano się w tem, kto kogo dowcipniej zwiedzie. Częstowano się wódką *(Goldwasser)*, a to była czysta woda z listkami złota; pisywano listy, zakopertowawszy z adresem kawałek bibuły; posyłano sobie paczki i pudełka z darniem, słomą, śmieciami i t. p. Kiedym był młodzieńcem, przyszedłem raz w tym dniu do domu

[1]) Dn. 2 kwietnia jeszcze cała góra Bronisławy śniegiem okryta. Dziś pierwszy raz okna mieszkania otwarliśmy.

pp. Wasserrabów, a tam wezwanemu do kolacyi dano pierogi z trocinami, leguminę ze śniegu wyciśnioną w formie i posypaną tartą cegłą, zamiast cynamonu, wino z piwa i wody. Teraz już nie słychać, aby się to gdzie zdarzało, i zapewne zwyczaj ten wkrótce w zapomnienie pójdzie. (*II*).

Niedziela kwietnia, palmowa.

Jak inne dawne zwyczaje, tak i niedziela palmowa już nie bywa obchodzona. W dniu tym dawniej za bytu Polski w drugiej połowie wieku XVIII jeszcze odprawiał się w Krakowie wjazd Chrystusa do Jeruzalem. Jaki pobożny człowiek z klasy rękodzielniczej, czasem jaki usługacz kościelny, przebrany za Chrystusa, dosiadłszy ubogiej chłopskiej szkapy, otoczony tłumem chłopców i wyrostków i t. p., niosących w ręku palmy (gałązki łoziny, wikliny etc.), a czasem robione z papieru pstrego coś nakształt kwiatka przytwierdzonego do pręta, jak jeszcze i teraz r. 1840 dzieci noszą w niedzielę kwietnią, odprawiał wjazd po rynku krakowskim, a tłum pospólstwa przeprowadzał tego improwizowanego Chrystusa przez Sukiennice, śpiewając: *Hosanna! synowi Dawidowemu* etc... (*Ewang. św. Mat. r. 21*). (*XII*).

Święcenie palm.

Nie szkodziłoby, gdyby się dało wyperswadować ludowi jeden starożytny zwyczaj, który szkodę przynosi, co z wielką tylko poszłoby trudnością. Dziś jest święcenie palm: uważałem mnóstwo chłopców i dorosłych ludzi, niosących każdy sporą wiązankę prętów grubości palca, długości na łokieć lub

więcej, w której było takich lasek 6, 8 lub 10. Takowe nieśli od święcenia z kościoła razem z palmami. Kiedym się pytał, na co te laski święcą, powiedziano mi, że z nich robią krzyże, które w Wielki Piątek wynoszą raniutko w pola i zatykają w ziemię po rogach każdej roli — a służą one do odpędzania chmur gradowych, burzy i t. p. („Wiara ciebie uzdrowiła“). Tylko na Zwierzyńcu, wiosce pod górą Bronisławy, widziałem ten zwyczaj, a gdzieindziej nie wiem czy jest. Laski te, zdaje mi się, że są leszczynowe, a biedny Sikornik cały do tego dostarcza materyał, przeto i zarośla te coraz się zmniejszają i znikają.

Dawniej w Kwietnią niedzielę obchodzono tu w Krakowie wjazd Chrystusa do Jeruzalem. Człowiek ubrany stosownie, siedząc na ośle lub lichym koniu, wjeżdżał w rynek, otoczony mnóstwem chłopów i innego ludu; przeprowadzono go przez Sukiennice podobno ze śpiewami. Już tu za mojego przybycia zwyczaj ten nie istniał, ale jeszcze żyli ludzie, którzy to pamiętali, a od nich ja to słyszałem. *(II).*

Modne nabożeństwo.

Już to od lat zbyt dawnych damy nasze *de la haute volée* prowadziły z Paryża kapelusze, rękawiczki, trzewiki, pachnidła i inne rozmaite rzeczy — i co tylko z tego nowego Babilonu przyszło, choćby to było niesmaczne, znajdywało przyjęcie i stawało się modne. Od lat dwóch (1850) gust ten rozwinął się daleko szerzej — i sprowadzono do nas majowe nabożeństwo, a że przyszło z Paryża, otóż przyjęło się doskonale w Krakowie

i odbywa się w kościele Panny Maryi i na Piasku u Karmelitów, przy wielkiem zgromadzeniu samych dam, bo w tej liczbie nie wiem, czyby się znalazł co dwudziesty mężczyzna.

Otóż to widać, co to znaczy nabożeństwo przybyłe z Paryża!... Gdyby było przyszło ze Słomnik lub Pacanowa, żadna z dam nie byłaby uwierzyła w jego świętość i nie byłaby nań poszła.

Nabożeństwo Majowe, wyłącznie ku czci Najśw. Panny, zaprowadził u nas X. Karol Antoniewicz, mąż wielkiej pobożności, który posiadał oraz dar wymowy kaznodziejskiej — są w druku jego kazania i inne pisemka pobożnej treści — a który umarł w Księstwie Poznańskiem na cholerę w miasteczku Obrze r. 1852. (Zapis o nim i wizerunek jego znajduje się w zbiorze moim pod napisem: *Iconotheca polska* oddział 5-ty). *(III).*

Pochód na Skałkę.

Lat będzie może około 20, jak cały młody świat płci żeńskiej na cztery tygodnie przed świętem św. Stanisława raniutko przed 5-tą godziną zbierał się w małe gromadki i udawał się do kościoła św. Stanisława, na Skałkę, dla wysłuchania Mszy świętej. Była to niekiedy umówiona schadzka, tak zwane *rendez-vous*, w której niby przypadkowo schodziły się młode serca i następowało uściśnienie rąk i zamiana niby obojętnych słówek w czasie powrotu do miasta — a oraz umówienie się o przyszłe zejście... Uleciały już dawno owe cukrowe chwile, a dzisiaj niejedna z dziewic, jeśli dożyła, przywołuje sobie w pamięć owe słodkie momenty, pochylona pod brzemieniem lat,

a niekiedy więcej jeszcze pod ciężarem trosk i kłopotów życia.

Niewinnym tym uciechom służył za płaszczyk św. Stanisław i nabożeństwo ku czci tego polskiego patrona. (*IX*).

Procesya Bożego Ciała.

Świetna procesya Bożego Ciała przy pięknej pogodzie odbyła się dzisiaj (29 maja 1834). Uroczystość ta szczególną cześć obudza we mnie. Z rozrzewnieniem patrzę na tajemnicę wiary naszej (*Sanctissimum*), niesioną między chaty i domy i błogosławiącą pobyt człowieka na ziemi. Z pociechą i wzruszeniem widzę tłumy ludu postępujące za tą świętością, i niosące Bogu cześć należną w modłach i śpiewie. Obrządek ten obchodzony bywa w Krakowie z nadzwyczajną wspaniałością, przy tak wielkiej liczbie duchowieństwa świeckiego i zakonnego, w ubiorach kościelnych najbogatszych, które, będąc darami przodków naszych do świątyń Bożych, przypominają nam staropolską pobożność. Lecz nic bez *ale*. Radbym, aby z obrzędu tego wyłączyć można bractwa duchowne przerozmaite, odziane w brudne i podarte kapy, tudzież hukliwe kotły, psujące harmonię tego obrządku, tak że spróchniałe feretrony, postrzępane chorągwie, niegodne tylko pieca, a przytem i obrazy (nie malowane, lecz bazgrane), poniżające świetność tego obchodu. A wtedy, gdyby się to odjęło, co nie procesyę, ale raczej maskaradę karnawałową przypomina, jakże obrządek ten byłby piękny swoją prostotą!... Lud uczestniczyłby temu nabożeństwu wolny od roztargnienia, które mu czynią kotły i t. p., a śpie-

wając pobożne pieśni i modląc się w całem zebraniu ducha, niósłby hołd uszanowania Bogu, niczem nie będąc odrywany od ważności przedmiotu. Są to moje *pia desideria*, lecz tuszę, że przecie kiedyś ziszczone zostaną, gdy w przyszłym czasie światły jaki mąż zasiędzie na stolicy biskupstwa krakowskiego, gdy czas zgryzie do reszty stare feretrony, podarte chorągwie kościelne i t. p. — i gdy ludzie pojmą, że nie huk kotłów, nie różnobarwne kapy i noszenie dziwacznych figurek (feretrony), oznaczających więcej bałwochwalstwo, niż czystą, prawdziwą i świętą religię Chrystusa, pobożność chrześcijańską stanowią. *(II).*

Konik Zwierzyniecki.

Nie takie to dawne czasy, jak zaistniał ten zwyczaj, powtarzający się teraz corocznie w oktawę Bożego Ciała, t. j. we czwartek wieczorem po skończonej procesyi z kościoła Panny Maryi po rynku krakowskim. Będzie temu najwięcej lat 40, gdy zapewne z mgławej jakiej tradycyi, zaniedbany może dawniejszy ten zwyczaj na nowo ożywiony został, co datuje od czasów Księstwa Warszawskiego tu w Krakowie.

Żyję tu lat 58, bo od r. 1797, a przybywszy do Krakowa sporym, bo lat 14½ mającym wyrostkiem, dobrze pamiętam, co się tu działo w czasach mojej młodości. Nigdy przecież nie pamiętam, aby kiedy mówione było o „Koniku zwierzynieckim“, co nieochybnie jako młodego i ciekawego byłoby mię spowodowało iść przypatrzeć mu się w żywe oczy. Nigdy też nie widziałem, aby, jak się to dzieje teraz, cała procesya z rynku kłusem

biegła ku przedmieściu Zwierzyniec oglądać tego niby-Tatara, upędzającego się na własnych nogach, z pałką sierścią wypchaną, za pauprami i ulicznikami, którzy mu umyślnie drogę zabiegają — i okładającego ich tą miękką maczugą, w pośród głośnego, homerycznego śmiechu zadowolonej publiczności.

Przytem przeglądałem księgi dawnego cechu włoczków, którzy w owych odległych wiekach głównymi mieli być aktorami tego zdarzenia, owego pobicia i odpędzenia Tatarów, a na dowód, żem je przeglądał, odwołam się do mego dzieła *Starożytnicze wiadomości* pag. 269. Wszelako w tych księgach cechu włoczków nic nie znalazłem, coby dawało ślad jaki tego zwyczaju w dawnych czasach. Rozgłos tego Konika zwierzynieckiego należy się Konstantemu Majeranowskiemu, który w piśmie przez siebie redagowanem p. t.: *Pszczółka krakowska* podniósł go do znaczenia historycznego i jeszcze rozświetlił go ryciną układu Michała Stachowicza, rytowaną przez Feliksa Radwańskiego. Teraz już wszyscy niezbicie wierzą, że to jest starożytny zwyczaj, wyjąwszy mnie, który mam o tem jakąś wątpliwość; tylko przypuszczam, że ten konik mógł istnieć kiedyś tak dawno, ale w czasach niedoli krajowych, w chwilach politycznych zaburzeń i zajmowania Krakowa to przez Szwedów i Siedmiogrodzian, to przez Moskali i Niemców, poszedł w zapomnienie, uległ przedawnieniu, i w naszych czasach na podstawie jakiego mglistego podania wznowiony został. *(III).*

Rok 1843: Procesya Maryacka, wśród pory czasu słotnej, bo nie masz dnia bez deszczu, od-



KONIK ZWIERZYNIECKI. WEDLE MIEDZIORYTU F. RADWAŃSKIEGO
Z OBRAZU STACHOWICZA, MALOWANEGO NA EKRANIE W PAŁACU BISKUPIM W KRAKOWIE (OBACZ »KATALOG« ŚWIEYKOWSKIEGO NR. 17 i 352).

była się w tym roku pięknie — a jakby wyraźnie dla tego obrzędu od południa wypogodziło się. Tłum wiernych był wielki. Ulubiony Konik zwierzyniecki znęcił prawie połowę większą ludności procesyjnej na Nowy-Świat. Udany Turek na koniu z ruchomą głową, przytwierdzonym jeźdźcowi do pasa, otoczony muzyką zwierzyniecką wyszedł jak zwykle przed powracającą z procesyi chorągiew Włoczków, którzy go czekali w końcu ulicy Wiślnej, i defilował przez Nowy-Świat ku Zwierzyńcowi. Lecz tą razą opuścił najważniejszą część spektaklu, a mianowicie, że dawniej konik upędzał się za ulicznikami, otaczającymi go tłumnie, i walił ich po łbach pałką (buławą) miękką, wypchaną z sierści, zatem razy jej nie bolesne były — co wzbudzało w widzach grzmotliwy śmiech, a tą razą, trzymając w ręku maczugę (buławę) drewnianą, nie gonił ani bił chłopaków, tylko spokojnie pieszą swą jazdę odbywał... Przyczyna tej zmiany niewiadoma i przypisują takową wdaniu się policyi. (*II*).

Puszczanie wianków na wodę w wigilię św. Jana.

Od lat może 3-ch (1850) przeniknął zwyczaj do nas przybyły z Warszawy, gdzie od lat dawniejszych istniał, że dziewczęta z klasy służących, pragnące pójścia za mąż, celem dowiedzenia się, która prędzej do ołtarza ślubnego poprowadzoną będzie, puszczały na płynącą przy górnych młynach Rudawę deszczułki, na których wianek i niekiedy zapalona tkwiła świeczka łojówka. Sam jeszcze w roku przeszłym podobnego puszczania wianków przechodząc po moście byłem świadkiem; lecz

w roku teraźniejszym zapewne zwyczaj ten nie powtórzył się, gdyż po kilkugodzinnej ulewie temi dniami Rudawa powyżej Łobzowa przedarła się przez brzegi na okoliczne pola i nie płynie korytem w pobliżu miasta; młyny zaś stoją, bo młyn górny wody niema, a dolny po ogniu r. 1850 dotąd nie wyporządzony stoi i tylko pozostały przepalone z niego mury (a ten długo pamiętny pożar właśnie w tym młynie wziął początek).

Za lat kilka lub kilkanaście mniemać będą, że ten obyczaj puszczania wianków na Rudawę pochodzi z dawnych, starożytnych czasów, kiedy tymczasem jest on tylko naśladowaniem i powtórzeniem zwyczaju, jaki panuje w Warszawie, i jest tylko świeżo wprowadzoną nowością. Nic pewniejszego, że wielu później przypisałoby temu pochodzenie starożytne, jak się to stało już za mojej pamięci z obrzędem, zwanym Konik zwierzyniecki.

(III).

Święty Mikołaj.

Dnia 6-go grudnia, w dzień tego świętego wieczór, kościelny posługacz, zakrystyan lub inny, ubierał się w aparat księży, infułę z złotego papieru, w takiż ornat lub kapę, przyprawiał sobie brodę ze lnu i obchodził domy, w których były dzieci. Tym kazał mówić pacierz i obdarzał je różnymi drobiazgami, złoconemi jabłkami, orzechami, piernikami, a czasem i rózgą pozłacaną, za co znowu na boku przyjmował małe honorarium — a zwykle nakazywał dzieciom, aby były grzeczne i t. p. W towarzystwie jego bywał anioł, który za nim dary w koszyku nosił, a nawet był i stary

dziad w łachmanach, który stał u drzwi, a był zbrojny w wielki bat z powrozu na kiju, którym niekiedy doprawdy obłożył piastunki i służące, jeśli na takowe skarga zaszła do św. Mikołaja.

W naszych już czasach, tak za panowania Austryi, jako i później, policya, poskramiając nadużycia, których się niekiedy św. Mikołaj i jego towarzysze dopuszczali, zabierała i jego i anioła z dziadem do kozy — a tak zwyczaj ten wyszedł z używania i tylko czasem w wielkiem *incognito* św. Mikołaj wmyka się do mieszkań niższej klasy mieszkańców Krakowa i tam jeszcze rolę swą odgrywa, jeżeli tego dzieci rozpustne i zaniedbane potrzebują. Lecz słabe to jest zatamowanie swawoli i poprawa złych, jeśli do tego inne środki użyte nie będą. (*XII*).

Wigilia Bożego Narodzenia.

Ten dzień pospólstwo krakowskie i dawniej i teraz obchodzi przy znacznej konsumcyi wódki. Dawniej prawie wszyscy spotykający się na ulicy życzyli sobie dosiego roku (roku Dosi, Doroty). Miała to być kobieta stuletnia, która zdrowo tego wieku dożyła i w wigilią umarła. Takie życzenie nie obeszło się bez poczęstnego i zwyczajnie też znajomi prowadzili się do szynkowni, a stąd nie było nowiną widzieć pijanych na ulicach. Teraz (r. 1840) może szkodliwy ten zwyczaj pomniejszył się, ale jeszcze i tak wychodzi ogromna masa spirytusu w Krakowie skonsumowana co miesiąc, bo jak to wiem z dobrego źródła, wypija Kraków spirytusu miesięcznie garncy 10 tysięcy.

W wigilią w każdej rodzinie dają lepszy jak zwyczajnie obiad, który dawniej dopiero zjadano wieczorem *o pierwszej gwiaździe*. Bogacze zajadają ogromne i kosztowne ryby, ubodzy skromniejsze potrawy, ale zawsze stół dnia tego lepszy jak zwyczajnie. Po domach rzemieślników, gdzie są dzieci, zawieszano im krzak jodłowy lub świerkowy, na którym przywiązywano jabłka i orzechy i t. p. łakocie — krzak zaś ten wiszący u pułapu zwał i zowie się sadem. W Niemczech, jak czytam w pismach, rozpowszechnia się ten zwyczaj pod nazwą *Christ-Baum*, *Weihnachtsbaum*, szczególniej w Wiedniu, na którym to drzewku zawieszają kosztowne niekiedy dary dla dzieci.

O północy lud klas niższych udaje się do kościoła Panny Maryi na mszę pasterską — lecz gdy wielu szczególnie młodych i lekkomyślnych udaje się tam po używaniu trunków przez cały czas aż do północy, przeto zamiast nabożeństwa więcej tam swawoli; i dobrze byłoby, aby ten zwyczaj odmieniono, tak jak podobne nadużycia spowodowały rządy katolickie w Niemczech do przeniesienia mszy pasterskiej na poranek dnia Bożego Narodzenia. (*XII*).

II.

Dawne tradycye, przysłowia i pieśni.

Ukrzyżowany Pan Jezus.

Jest w Krakowie tradycya, że Wisłą przypłynęło pod to miasto pięć krucyfiksów i zatrzy-

mały się u brzegu, z których jeden znajduje się u Panny Maryi, drugi w kościele św. Marka; trzeci zaś u św. Trójcy u Dominikanów, o którym ks. Bruno Osiecki w swoich *Prymicyach pracy kaznodziejskiej* (Częstochowa, 1735, pag. 363) pisze: „Masz tu u OO. Dominikanów krucyfiks przecudny, który jako cudownie pod Kraków przypłynąwszy, nikomu wziąć się nie dopuścił, tylko dominikańskiemu zakonowi, tak dotychczas codziennymi prawie słynie cudami“. Wreszcie zwarty podobno na zamku, a piąty w Mogile pod Krakowem.

To szczególna, że nigdzie nie napadam, kiedyby się to stało? Ani nawet, czy te krucyfiksy przyszły za wodą, czy pod wodę?... Lecz sam sobie tę kwestyę ciemną objaśniam, że zapewne nie z góry, bo górale takich robićby nie potrafili, ale może przypłynęły z dołu, na galarku holowanym przez ludzi — może z Gdańska lub zinąd, gdzie je Niemcy zrobić i do Krakowa posłać wodą mogli.

Ze wszystkich tych krucyfiksów tylko jeden w Mogile w największem jest uczczeniu, gdyż dwa odpusty na *Znalezienie* i *Podwyższenie Krzyża św.* zgromadzają tam wielu pobożnych tak z Krakowa, jak i z wiosek okolicznych — a o krakowskie mało się ludzie troskają, bo zawsze ten obraz cudowniejszy, co dalszy. (*XIII*).

Czart w Krzysztoforach.

W młodości mojej słyszałem bardzo często opowiadaną następującą historyę o kucharce krakowskiej, która ufundować miała kaplicę przy ko-

ściele Panny Maryi, leżącą obok wielkich drzwi pod wieżą po lewej ręce [1]).

Żyła pewnego czasu kucharka wielce nabożna, która służyła u jednej pani bardzo złej w Krakowie. Kucharka ta, wyprawiona do rynku na kupno wiktuałów, kupiła także parę kurcząt. Gdy je niosła około gmachu, zwanego Krzysztofory, uciekło jej jedno kurczę i wbiegło oknem do piwnic pod tym gmachem, które były puste i przystęp do nich trudny — a wreszcie nikt tam nie chodził, bo tam strachy miały siedlisko (złe duchy). Bojąc się taż uboga służąca swojej złej pani, a nie mając za co innego kurczaka odkupić, odważyła się nakoniec pójść do tych piwnic, a uzbroiwszy się znakiem krzyża świętego, zapuściła się w ten zaklęty i nieprzystępny labirynt. Przeszła przez kilka piwnic upatrując kurczęcia; nareszcie w jednej z nich w samym kącie spostrzegła czarta, siedzącego na kupach złota i pilnującego tychże. Ten syn ciemności zapytał jej o powód, dla jakiego przyszła zamieszać spokojność miejsca pobytu jego? Któremu ona wytłomaczyła się, że to uczyniła z bojaźni swej złej pani, którąby ją nieochybnie zbiła; na to Lucyper odpowiedział poważnie: „Uboga dziewczyno, weź sobie z kupy tyle złota, ile uniesiesz, kurczę odkup i resztę dla siebie zachowaj. Ale daję ci ten warunek, abyś stąd wychodząc nie obejrzała się wcale“. Posłuszna woli jego mości pana dyabła kucharka nabrała

---

[1]) Powiadano mi, że dawniej na murze wewnątrz tej kaplicy był wymalowany portret fundatorki w ubiorze kucharki i z warzęchą w ręku, a to na jej pamiątkę.

złota do fartucha, ile unieść zdołała, przeszła przez jednę, drugą i t. d. piwnicę, lecz, wychodząc z ostatniej, zapomniała o warunku i obejrzała się; a w tem powstał wicher okropny i szum podziemny, stare i ciężkie drzwi piwniczne zamknęły się z gwałtownym hukiem i ucięły jej piętę. Wyszła na rynek z tak skaleczoną nogą, podziękowała Panu Bogu za tak niespodziewaną poprawę losu, wyleczyła się, poszła dobrze za mąż i wywdzięczając się za tak wielką łaskę fundowała tę kaplicę. (Póty tradycya).

Obserwacya. Miły Boże, jak się teraz zmieniły czasy — dawniej i dyabeł wsparł ubogiego, a teraz i obywatele piekła zeskąpieli. Przedtem można było pożyczyć pieniędzy u Belzebuba: szlachcic na *verbum nobile*, a nieszlachcic na fant, t. j. na duszę swoją, zapisawszy mu takową i dając mu cyrograf krwią własną podpisany. Teraz kredyt zniszczony tak dalece, że już dyabeł i szlachcicowi nie uwierzy, a hypoteka na duszę tak spadła w wartości, żeby i grosza na nią nie dostał. Niewiadomo, co się stało z kupami złota, których był depozyt w piwnicach pod Krzysztofory, może ich pożyczył od lokatorów swych Adam Kazanowski (faworyt Władysława IV), którego był własnością ten pałac. Może też ulokowali je na banku londyńskim lub amsterdamskim, a pobieraną prowizyę obracają na przekupywanie ministrów, t. j. na *coup de main* dyplomacyi... lub na zepsucie obyczajów ludzi, na zniszczenie wszelkiego znaku cnoty i t. p. Może później odkryję, gdzie się te skarby podziały, co gdy mi się uda, to wpi-

szę to odkrycie do tej księgi dla wiadomości potomnych. (*XXIX*).

Zapomniane pieśni.

Kiedym w r. 1797 w chłopięcym wieku lat 14-tu do Krakowa przybył szukać chleba i stanu, często jeszcze słyszałem powtarzaną w Krakowie piosnkę, z której tylko już te kilka wierszy pamięć moja zatrzymała:

Miałem sen przeszłej niedzieli,
Że zdrajcę jakiegoś ścięli:
Głowę mu z karku strącono,
Patrzę, aż głowa z koroną.
Wnet ścięli i innych w mitrze,
Którzy zdradzali kraj chytrze.
Kilka też głów z pod infuły,
Z życia się swego wyzuły.

Treść tej pieśni odnosiła się do pamiętnych wypadków w Warszawie r. 1794, kiedy pospólstwo tego miasta rzuciło się na uwięzionych z wyższego stanu, mocno podejrzanych o zaprzedanie się carycy i interesom Moskwy, czego ślady znalazły się w rezydencyi ambasadora Igelströma, a mianowicie kwity na pobierane z tego źródła złoto — i wywlókłszy takowych z więzienia, dokonało na nich przez powieszenie lynchowego wyroku. Były to znakomite a podłe figury, których imiona ku ohydzie wieków służyć będą, a są te: Zabiełło, Ankwicz Józef, Kossakowski, Ożarowski, Massalski, biskup wileński. (Posiadam akwarelę, kopię z dawniejszej z r. 1794, gdzie wyobrażeni są na szubienicy).

W czasie około r. 1824, kiedym jeszcze prowadził handel książkowy, przysłano z Warszawy na moje ręce fascykuł rękopismowy, abym takowy przesłał do Lwowa arcybiskupowi Ankwiczowi. Były to odpisy wyroków sądowych na ów motłoch pospólstwa, który, nie czekając na wyroki sądowe, sam karę podłych przyspieszył. Byli to murarze i wszelkiego rodzaju wyrobnicy, kurnicy, posługacze, parobcy i inna hołota — których kara nie dosięgła, bo wcześniej wszyscy wynieśli się z Warszawy... Jednego jeszcze z tych egzekutów śmierci na zdrajcach, zubożałego złotnika krakowskiego, widywałem w domu zacnych przyjaciół moich, Jana Kantego i Anny Krzyżanowskich, który to złotnik nie taił się z tem, że pomiędzy tymi wykonawcami śmierci brał i on czynny udział.

Takiejże treści z owej epoki była jeszcze i druga pieśń, którą wątpię aby jeszcze kto pamiętał, a jeszcze ona pomimo lat 80 wieku przetrwała w mojej pamięci, ale już nie wiem, czy jest całością, czy tylko ułamkiem:

Ginie ojczyzna... naród w przepaść leci,
Żegna was matka, ukochane dzieci!
Znikła nadzieja i pochlebne myśli,
Na cóż my teraz, o Polacy, przyszli!

Znikło w momencie, co naród uradził,
Ojciec Polaków ojczyznę swą zdradził,
Królu! takież to były twoje rady!
Tyś nam zaprzysiągł, a pierwszyś do zdrady.

Ależ o zdrajco, pamiętaj to sobie,
Przyjdzie czas taki, że na twoim grobie
Odda-ć ojczyzna w zapłacie te słowa:
„Tu leży króla wiarołomna głowa“.

Jak to widzieć można, wieje w niej wiatr z zachodu i niesie ślady przykładu paryskiego na Ludwiku XVI.

Pamiętam jeszcze też i melodyę, czyli nutę do tej pieśni, a jest ona smutną w rodzaju dumki. (*XLIV*).

Ułamek jakiejś dawnej pieśni krakowskiej i wiążące się z nią moje wspomnienia.

Pamiętam jedną strofę jakiejś dawnej pieśni krakowskiej, odnoszącej się do wieszania na szubienicy, a brzmi ona, jak następuje:

A kiedy przyjdzie ostatnia godzina
Wezmą cię za łeb jak sk.... syna,
I poprowadzą w Sławkowską ulicę
Na szubienicę.

Wiedzieć trzeba, że szubienica była niegdyś na Kleparzu na północ za tem przedmieściem, zwanem Pędzichów. Tam ja sam pamiętam kilka egzekucyi za czasów austryackich. Dawniej jeszcze na Pędzichowie stała szubienica murowana, lecz gdy za mojej pamięci miano jakiego łotra obwiesić, tedy szubienicę za każdym razem improwizowano drewnianą, i było przysłowie, kiedy komu pogrozić chciano: „Poczekaj hultaju, póty będziesz broił, aż się dowojujesz trzech belek“.

Wieszanie na Pędzichowie pamiętam tylko raz — a korzystając ze sposobności, opowiem tutaj to wspomnienie, które wiąże się zarazem z jednym ustępem dzieła Czackiego: *O litewskich i polskich prawach* (tom I, p. 2, nota 62). Wspomina bowiem tam Czacki, że do Polski wszedł w dawnych cza-

sach zwyczaj wykupowania od śmierci, a mianowicie, kiedy bezżennego więźnia skazanego na śmierć tracić miano, a dziewka mu zarzuciła chustkę, natedy uwalniano go od kary śmierci. Zwyczaj ten musiał być i w Krakowie, kiedy ja jeszcze byłem świadkiem podobnego zdarzenia, które tu opowiem.

Może to było około r. 1800 lub trochę później, kiedy za występek rozboju skazano na szubienicę młodego człowieka. Z mnóstwem ciekawych poszedłem i ja na miejsce egzekucyi, która odbywała się właśnie na owej jurydycy, zwanej Pędzichów za Kleparzem. Gdy już skazany pod szubienicą stanął, wszczął się szmer pomiędzy ludźmi, którzy biegli w jedną stronę, i ja pobiegłem za drugimi, a wtedy zobaczyłem dziewuchę w ubiorze, jakiego używają służące w Krakowie, którą prowadzili żołnierze policyjni do miasta. Opowiadano wtedy, że taż mając w ręku kwiat piwonii, a w drugiej ręce chustkę białą, wbiegła pomiędzy oprawców pod szubienicę i więźniowi chustkę zarzuciła na głowę — a mówiono, że to uczyniła w celu uwolnienia go od śmierci, i że dawniej, kiedy się to zdarzyło, winien był uwolniony natychmiast zaślubić swoją wybawczynię. Z kwiatem piwonii ja ją jeszcze widzialem. Atoli ten jej krok nie odniósł pożądanego skutku: ona nie uzyskała męża, a więźnia bez ceremonii powieszono.

Mówili ludzie, którzy ją poznali, że co do obyczajów nie była to westalka. Musiała ona zasłyszeć z dawnego podania o tym zwyczaju i chciała go czynem odnowić, czego Austryacy nie przyjęli. (*XXIV* i *XLVII*).

Przysłowia krakowskie.

Wielki jak Delpacy. Rodzina Delpacych, pochodzenia włoskiego (Del Pace), osiadłą była w Krakowie w wieku XVII. Bardzo często imię jej napotyka się w aktach krakowskich z owego czasu. Połączona była związkami z domem Pinoccich, a jeden z tej familii, Hieronim Pinocci, był sekretarzem królewskim. Już tu w r. 1587 był kupiec winny Juliusz del'Pace i Lucas del'Pace.

Ostatni potomek familii Delpacych był Antoni Delpacy, oficer wojska polskiego w regimencie Wodzickiego, który tu w r. 1793 stał garnizonem w Krakowie. Po wybuchnieniu rewolucyi w r. 1794 pod Kościuszką regiment ten walczył w bitwie pod Racławicami i Szczekocinami, a Delpacy w randze porucznika był uczestnikiem tej bitwy i w niej ugodzony kulą życie swoje śmiercią walecznych, pięknej broniąc sprawy, zakończył [1]). Był wzrostu wielkiego i najwyższy wówczas w Krakowie, a stosownie do wysokości był sążnisto-barczysty i stąd urodziło się to przysłowie. A gdy był tak kolosalnej postaci i w szeregu stojąc znaczną zajmował przestrzeń, cóż więc dziwnego, że go kula trafiła? — Kiedym przybył do Krakowa r. 1797, jeszcze wszyscy porównania tego używali; teraz po latach 40 już go wcale nie słyszę i z tylu innemi, pamięci godnemi rzeczami

[1]) Mówią, że gdy po bitwie król pruski objeżdżał pole boju, zaprowadzono go do poległego Delpacego, którego herkulesowej postaci dosyć wydziwić się nie mógł.

wpisało się już ono do księgi zapomnienia zwykłą losu koleją.

Kamienica Delpacych była ta, która stoi na rogu cmentarza Panny Maryi w Rynku krak., a przy niej wpodle stoi druga kamienica, formująca róg ulicy Siennej.

Jechać do Wikla. Są przysłowia wielkiej dawności, które od pokolenia do pokolenia przechodzą; są przysłowia nowe, które powstaną z jakichś okoliczności, trwają niedługo, a wreszcie i w zapomnienie idą. Powyższe zjawiło się niedawno, krąży teraz w Krakowie (r. 1830—1840) i wkrótce może wyjść z używania.

Powstało zaś z tej okoliczności. Ktoś z mieszkańców Krakowa, który w lepszych czasach żył gościnnie i w domu przyjmował, a nadewszystko w dniu imienin, gdy się okoliczności zmieniły, odstąpił od zwyczaju i przyjmować gości zaprzestał. Nadszedł dzień imienin, a solenizant, unikając odwiedzin, przywarł się w ustronnym pokoiku, a domownikom kazał powiadać, że wyjechał na wieś. Wyszedł potem z domu na przechadzkę i ktoś spostrzegł go na dziedzińcu, jak się po zaroślach wiklinowych przechadzał. Stąd gdy tylko kto w dniu imienin nie jest w domu widzialnym i nie zastaną go z życzeniami, przybywający mówią o nim, że „wyjechał do Wikla“.

Śpiewa, jak słowik, co kobyły dusi. Dawniej często mi się zdarzało słyszeć to przysłowie, ale teraz mi się to mniej o uszy obija. Mniemam, że musiał używać nazwiska Słowik włościanin jaki, który lubił śpiewać, a miał głos nie po temu, a z profesyi trudnił się garbarstwem, t. j.

wyprawą skór końskich, albo raczej, że skupował stare i pracować nie mogące już konie, takowe dusił, skórę zdejmował i z grubsza wyprawiał.

Takim przemysłem trudnią się dotąd *en gros* prawie wszyscy włościanie wsi Skotniki pod Tyńcem i wsi Filipowice za Krzeszowicami. Tam oko twe obaczy na polach leżące szkielety końskie, z których psy i kruki mięso spożywały; było tego dawniej wszędzie pełno, lecz za wzrostem przemysłu już te kości są poukładane w owych wsiach w porządne stosiki, niby drzewka, czekające na kupca, przemyślnego żydka, który je za parę czeskich nabędzie, do rafineryi cukru dostarczy, a my potem treść, a przynajmniej cząstkę jakąś tych końskich gnatów zjemy w przysmakach kucharskich lub wypijemy z kawą lub herbatą.

Że za ludźmi idzie przemysł, dowód w następnym przykładzie. Niedawno temu, familia Lubowieckich z Kleparza była właścicielem Skotnik pod Tyńcem, a zięć Lubowieckiego, Augustyn Darowski, z żoną, a córką Lubowieckiego, wziął w dziedzictwo po jego śmierci wioskę Olszą przy cmentarzu krakowskim. Kilku parobczaków z Skotnik przeprowadziło się tu do Olszy, a z nimi przyszedł i przemysł duszenia koby. Już teraz (r. 1841) widać mnóstwo kościotrupów końskich około rzeczki pod Olszą, czego jeszcze w roku przeszłym nie spostrzegałem wcale. (*XII*).

Inne przysłowia krakowskie. Kiedy się zdarzy, że przyjdzie do domu kto z przyjaciół lub znajomych, który już dawno nie odwiedził, natedy gospodarz lub żona witając go woła: „a dajcież popiołu, aby posypać nogi tak rzadkiemu go-



DAWNY UBIÓR MIESZCZAN KRAKOWSKICH Z KLASY RĘKODZIELNICZEJ.
RYSUNEK J. K. WOJNAROWSKIEGO OKOŁO R. 1850.

ściowi“. Jeśli się jeden na drugiego ze znajomych sobie poboruchają, tedy zwykli mówić: „poślę mu czarnego koguta z żółtemi nogami na przeprosiny“, albo: „poślę doń OO. Reformatów, to go przeproszą“.

„Kupię ci na suknię materyjki w kijki, po sto dyabłów łokieć“. (*XII*).

III.

Życie codzienne w dawnym Krakowie.

Ubiór polski.

Kontusz, żupan, pas, czapka czworograniasta rogata i żółte lub czerwone buty, już od upadku Polski przestały być ubiorem naszych panów i tylko jeszcze używane są w Krakowie przez niższe stany. Jeszcze w święta uroczyste, np. Zielone Świątki, Boże Ciało i t. p. widzieć można dotąd (r. 1834) w naszem mieście kuśnierza, rzeźnika, rybaka, murarza i t. p. ubranego w dawny strój narodowy, w pasie i niekiedy z karabelą przy boku. A starożytny ubiór mieszczek krakowskich, czapka złotolita, płaszczyk krótki z rękawami, z materyi jedwabnej, spódnica tęga grodeturowa, fartuch muślinowy, gorset i kaftanik jeszcze tylko u starszych kobiet po przedmieściach są znane. Całe młodsze pokolenie płci żeńskiej chodzi teraz w czepkach, i trudno rozpoznać dziewicę od mężatki. Jakże mi było przyjemnie spotykać jeszcze w tym roku w dniach świątecznych poważny ubiór dziadów i ojców naszych, przed którym bezwzględnie czy

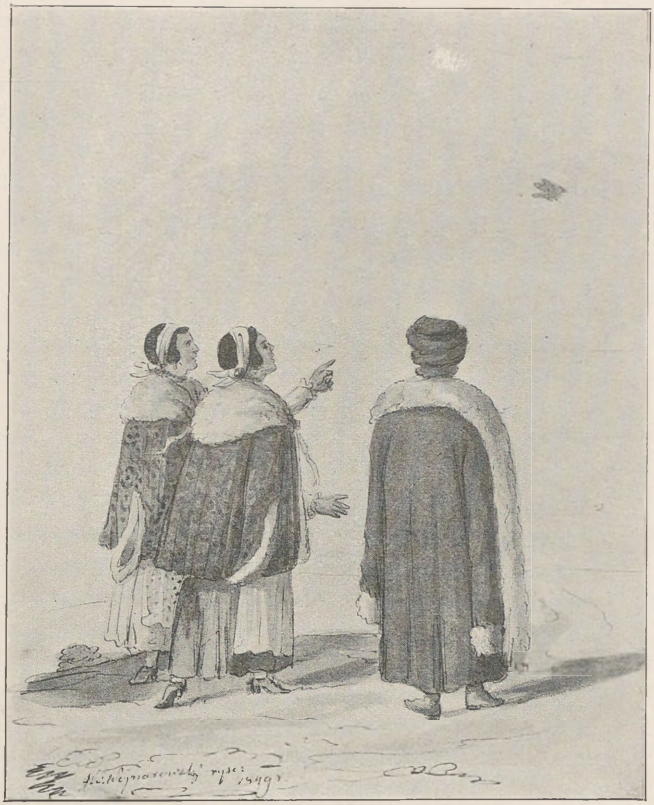
był na murarzu czy rybaku, z uszanowaniem głowę odkrywałem. Niestety! Zniknie on zapewne niedługo ze wszystkiem, i dzieci nasze tak o kontuszu, żupanie, kapocie i t. p. słuchać będą, jak my teraz o rzymskich chlamydach, togach i t. d. (*II*).

Jubka kobieca.

Było to okrycie kobiece z materyi jedwabnej tęgiej w kwiaty i bukiety dochodzące do pół figury z rękawami szerokimi wiszącymi, które się nigdy na ręce nie wdziewały. Na karku mała garnirowana peleryna. Jubki te były dwojakie: z maglownicą i bez niej. Pierwszą stanowił szeroki podwójny fałd na plecach, u drugiej fałdu tego nie było. Taką drugą nosiła ś. p. babka z materyi zapewne francuskiej w kwiaty, a była to odziewka kobieca, którą babka kładła tylko na uroczyste święta, gdyż na dni robocze do kościoła odziewała się w jubkę z najpośledniejszej materyi, jakiej klasy uboższe używały. (*LVI*).

Ostatnia złocista czapka.

Dnia 27 maja 1855 na Piasku naprzeciwko okien teraźniejszego mojego mieszkania umarła staruszka, matka garbarza, która już prawie ostatnia z dawnych mieszczek krakowskich nosiła do śmierci złocistą czapkę i odziewała się jubką z białym futrzanym kołnierzem, a takiego ubioru używały wszystkie rękodzielniczki. Teraźniejsze garbarki, krawcowe i t. d. tylko już noszą czepki, z bukietami sztucznych kwiatów około gęby — i są to prawdziwe ogrody chodzące. (*III*).



STRÓJ MIESZCZEK KRAKOWSKICH (UBRANYCH W JUBKI I CZEPCE)
Z POCZĄTKU XIX. W.
RYSUNEK J. K. WOJNAROWSKIEGO Z R. 1849.

O pantalonach.

I to należy do historyi wiedzieć, kiedy ludzie trafili na szczęśliwy pomysł i wymyślili część ubioru równie niezbędną, jak są nogi, które ten ubiór pokrywa.

W klimacie zimnym noszenie spodni jest tak dawne, jak epoka osiedlenia się tu rodzaju ludzkiego. Zatem przypuścić trzeba, że tu rachuba idzie na lat tysiące. Jakiego kroju były spodnie, których przodkowie nasi poganie używali, ani Dzierzwa, ani Baszko, ani archidyakon gnieźnieński, ani Mateusz Cholewa wiadomości nie podali, lecz przypuścić należy, że były szerokie, obwisłe, z skóry baraniej lub t. p. uszyte.

Za mojej pamięci, prawie aż do roku 1810, wszyscy chodzący w surdutach i frakach nosili spodnie wąskie obcisłe, w pasie niezmiernie ściągnione, gdyż nie znano jeszcze szelek; ale chłopi, szczególniej nadwiślańscy od Czernichowa, rozumniejszej formy nosili pantalony, t. j. szerokie i wygodne. Dopiero po upływie tylu wieków, mimo że mieliśmy tak bliskie wzory, krawcy paryscy (bo to są Likurgowie i Solonowie na całą Europę co do kroju sukien), wpadli na tę wielką i szczęśliwą myśl, która się może pomieścić obok wynalazku drukarni, prochu, siły parowej, dagerotypu i t. p., i wynaleźli szerokie spodnie wiszące, które się noszą na wierzchu butów. I ta też moda, jako niezmiernie wygodzie sprzyjająca, rozeszła się po całej Europie, upowszechniła się i tak ugruntowała, że już u nas panuje od r. 1810 lub 1811, gdyż i ja,

nie bardzo skory do naśladownictwa mody, w tym czasie pierwsze pantalony nosić zacząłem.

Każda nowość z początku jest rażącą, a potem przywykają do niej oczy. Pamiętam, kiedy pierwszy raz włożyłem pantalony nankinowe żółtawego koloru, ś. p. Gröblowa przyganiała mi, że to wcale nie piękne i patrzy na ubiór chłopski. Umarła ona r. 1812, i gdyby była trochę dłużej pożyła, byłaby widziała, jak spodnie obcisłe z użycia zniknęły.

W rzeczy samej, co tak długiem używaniem pokazało się praktycznie dobrem (bo już lat 30 pantalony bytują), to już zapewne nigdy z mody nie wyjdzie. Zmieniają się kroje surdutów, fraków, nastały paletoty, makintosze, a pantalony ciągle trwają i na zawsze trwać będą.

Używanie obcisłych spodni bardzo było niewygodne, zwłaszcza, że towarzyszyło mu przytem noszenie butów z cholewami do kolan z twardej skóry, jak to pokazują ówczesne ryciny mód męskich. (*XLIII*).

Co się tyczy szelek, tej części niezbędnej teraźniejszego ubioru mężczyzn, to ja jeszcze pamiętam, jak jej u nas nikt nie znał, a zatem nie używał.

Tu w Krakowie dopiero około r. 1802 zaczęto używać szelek. Przedtem noszono spodnie niezbyt wysokie, które tylko utrzymywano na biodrach za pomocą ściągnienia się w pasie. Do tego używano sprzączek i każdy mężczyzna chodził mniej więcej podobny do osy, t. j. w środku figury cienki, bo paskiem od spodni na sprzączkę spięty. Ja pamiętam, że kiedym pierwsze szelki nosić zaczął (spręż-

żynowe), tedy przez parę dni bardzo mię bolały ramiona, jakbym na nich niósł jakiś ciężar na drągu, a to dopókim się nie przyzwyczaił. Teraz bez szelek ani się ruszyćby nie można i noszą je wszyscy, wyjąwszy górali i chłopów naszych.

Starzy Polacy nie nosili szelek i pamiętam, że ciągle spodnie w górę podciągali. (*XXXIV*).

Nikt bez ale.

Miałem i mam dotąd słabości i wady i wiem, że do osłonienia ich potrzeba obszernego płaszcza miłości chrześciańskiej; ale przecież w liczbę ich nie wchodziło nigdy upędzanie się za nowością, ślepe hołdownictwo tej bogini niestałej, której imię Moda. Może być tego dowodem ulubiony mój surdut granatowy, staroświeckiego kroju, który sprawiłem w r. 1811, a który nieprzerabiany posiadałem i nosiłem przez lat 23. Ten — mówię — surdut, tego króla, tego ojca surdutów, gdyż trudno, aby w Krakowie znalazł się dawniejszy, miałem na sobie ostatni raz dn. 17 kwietnia r. 1834. Przetrwał on tyle odmian, przetrzymał tyle rewolucyi w kroju, wymyślonych przez krawców dla dogodzenia sowizdrzałom i głupcom. Przeżył surduty kuse, wlokące się po ziemi, szerokie, spięte, buchaste... Bóg wie jakie. On zawsze poważny, przestrony, wygodny, jednaki, zawsze ten sam, był jak pradziad między młodem pokoleniem, a choć wytarty, nie był zdziurawiony i dotrzymał granatowego koloru, gdyż był z dobrego sukna, mocnego, łokieć po złp. 30, trwalszego, jak wyroby dzisiejsze, wprawdzie tanie, ale też suknia z nich i roku nie wytrzyma, bo za tanie pieniądze psy mięso

jadają. Z początku wkładałem go co prawda przez długi czas tylko w dni, kiedy dzwonili w Zygmunta, t. j. rzadko; później niemal w każdy dzień niedzielny, a nakoniec obróciłem go na codzień. Z żalem przychodziło mi się rozstać z tym weteranem i tylko to uczyniłem z powodu, że mi wszyscy poczciwca tego obmawiali i dziwolągi nań wygadywali. (*II*).

Precz z brodami.

Błahą to wprawdzie jest rzeczą, czyli kto goli brodę lub ją zapuszcza, a jednak z tego czas zrobił ważną kwestyę. Od r. 1848, to jest od chwili pamiętnych ruchów, kiedy ogólnie (z małym wyjątkiem) w głowach zatliło się, że ludzie sami nie wiedzieli czego chcą, zaczęto zapuszczać brody, bo to było znamię człowieka demokraty, liberała, męża postępu i t. d., i brody tak się rozpostarły szeroko, iż prawie wszyscy ludzie młodzi zapuścili takowe, a nowość tę przyjęła i niewielka liczba starych głupców... Niektórzy mieli brody gęste, czarne, inni zaledwie kilkanaście włosów rudych, żółtawych — ale poszli za modą i figurowali jako demokraci. Aż tu jednym razem w r. 1852 zapadło rozporządzenie cesarskie, aby urzędnicy zatrzymawszy wąsy pogolili brody!... I padło mnóstwo bród i niejeden utracił zaszczyt i oznakę, że był znakomitym człowiekiem, postępowcem, mężem nowych wyobrażeń i t. d. (*II*).

Rzeczy w Krakowie zaginione.

Pod niektórym względem Kraków co do wygód pożywienia jest — mówić można — w upadku.

Wyroby piekarskie coraz są niższe, nic nie mówiąc o drożyźnie nadzwyczajnej tych artykułów z powodu kilku po sobie idących lat nieobfitych, a najbardziej z powodu nieurodzaju ziemniaków, podlegających nieznanej w dawnych czasach chorobie tej wielce użytecznej rośliny, i psuciu się jej owoców, które już czasem w ziemi gniją, zanim pora wydobycia ich z ziemi nadejdzie.

Kiedym przybył do Krakowa w r. 1797, przynosząc tu mały węzełek rzeczy do okrycia służących, a wielki pusty tłumok nadziei, który się w przyszłości miał zapełnić, sprzedawano tu chleb zwany gorzelany, z powodu, że takowy wypiekali trudniący się wypalaniem wódek, czyli gorzelnicy. Było to pieczywo smaczne, dobrze wyrobione, trochę podobne do chleba prądnickiego, lecz nie tak śniade, ani w tak wielkich bochenkach. Gdy gorzelnictwo objęte przepisami i obłożone podatkiem przez ówczesny rząd austryacki upadło, przemysłowcy ci zaprzestali wypiekać chleb, a ile pamiętam było ich kilku w tych domach, które się ciągną pasmem przez Zwierzyniec, począwszy od mostu na Rudawie.

Inny rodzaj pieczywa, który później upadł, bo może temu lat dopiero 10 lub 12, były kukiełki podługowatej formy, które nazywano kukiełki z pod Panny Maryi, z powodu, że je sprzedawano na cmentarzu tego kościoła... Były pszeniczne, białe i pulchne, wierzchnia skórka pociągniona żółtkiem jaj, posypana czarnuszką. Smak ich był przewyborny, szczególniej z masłem. I tych już nie wypiekają, niewiadomo z jakiej przyczyny.

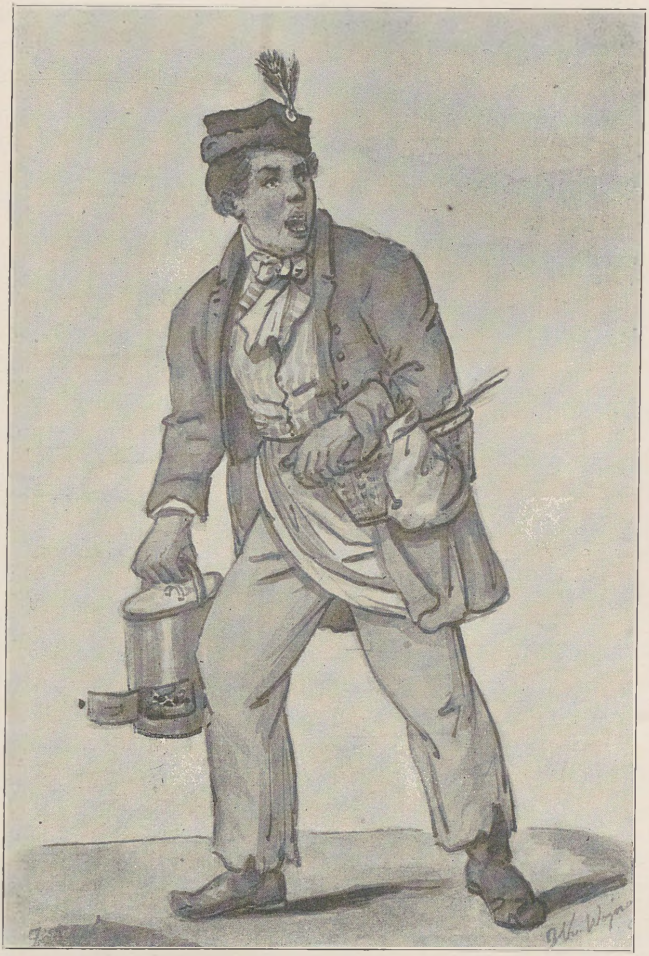
Tylko jeszcze przetrwały kukiełki lisieckie, które dotąd w dnie targowe sprzedają włościanie siedząc na ziemi w rząd w rynku przed kościołem Panny Maryi. Trwają jeszcze i placki przez włościan ze wsi na zachód Krakowa leżących wypiekane, zwane mosiężne, dlatego, że z wierzchu ich ser ożółcony ten im nadaje kolor. Kukiełki lisieckie bynajmniej nie są smaczne, używają do nich potażu, i choć są niby to wielkie, ale zato wewnątrz puste, rozdęte, i prawie niema w nich miąższu czyli ośródki — dały też powód do miejscowego przysłowia: „przeźroczysty, jak lisiecka kukiełka“. *(III).*

Reminiscencye dawnych czasów w Krakowie.

Nie mniemaj czytelniku, że pod tym szumnym napisem dowiesz się jakich zdarzeń ważnych, wypadków ciekawych, mogących zainteresować historyę... nie, bynajmniej!... Ja tu powiem tylko o psich kiełbaskach, szewskich plackach i świeczkach szelążnych. A najprzód o psich kiełbaskach.

Kiedym przybył do Krakowa r. 1797 – a jeszcze i w późniejszym czasie, kiedy podług Chamforta, należałem do tej licznej klasy ludzi, która ma mniej jadła, a więcej apetytu [1]) – przekupki krakowskie wystawiały na ulicach przed domami sprzęt drewniany, podobny do skrzynki lub szuflady na czterech nogach, która wewnątrz grubo

[1]) Chamfort utrzymywał, iż społeczność ludzka składa się z dwóch klas: jednej mającej więcej obiadów niż apetytu — i na odwrót.



KIEŁBAŚNIK KRAKOWSKI.

»DOBRE TO ZAISTE BYŁY OWE CZASY,
KIEDY ZA PÓŁTORAK BYŁY DWIE KIEŁBASY«.

RYSUNEK KOLOROWANY JANA WOJNAROWSKIEGO.

była wylepiona gliną. Była to kuchnia przenośna, improwizowana, która, wyjąwszy dni postu t. j. piątek i sobotę, posługę swą robiła. Na tej uliczna restauratorka zwykle rano rozżarzała węgle i stawiała wielki gliniany kociół czyli rynkę z pokrywą takąż, w której gotowały się tak zwane psie kiełbaski, wielkości i miąższości palca u ręki, których cena była grosz. Nie były one z psiego mięsa, ale z wieprzowego pośledniego, grubo krajanego, najczęściej z tłustych odrzynków, tak że się wydawały białe.

Nikt sobie nie wyobrazi, kto tego nie doświadczył, jaki to miły, przyjemny zapach rozlatywał się po ulicach, kiedy do stragana przyszedł jaki chudak przechodzień na śniadanie. Przekupka, odjąwszy pokrywę, podawała na glinianej miseczce ten groszowy specyał i nalewała rosołu — a cała atmosfera napełniała się miłą wonią; ale to tylko dla tych, co należeli do mojej klasy.

Kiedy sobie to teraz przypominam, jeszcze mi ślinka idzie i z ochotą kupiłbym sobie tego apetytu, jaki w owym czasie *gratis* mi przychodził.

Placki szewskie. Na straganach przekupek obok chleba i bułek spoczywał zwykle stosik placków owalnych z mąki żytnej, ceny grosza jednego. Oblane były po wierzchu roztopionem masłem, do którego przysypowano mąki, i stąd miały białą powierzchnię. Był to prawdziwy przysmak chłopców ulicznych i t. p. biedaków — a zwano go także maślany placek. Smakował on i mnie niepospolicie, kiedy się dochrapało grosza na sprawienie sobie tej biesiady. Nosiły te placki także dziewczęta na koszykach, chodząc po szynkowniach,

gdzie pospólstwo w czasie zimy wstępowało na szklankę gorącego piwa.

Świeczki szelążne. Prawie u każdej przekupki można było dostać drobnych świeczek, których było trzy za grosz. Te były koloru brudnokawowego, z nieczystego łoju, który się otrzymywał z wygotowania kości, a te odkładały na bok kucharki i sprzedawały takim kobietom, które je robiły.

Jak tyle dawnych zwyczajów przeszło i już ich niema, tak i psie kiełbaski, maślane placki i szelążne świeczki przeszły i na wieki zaginęły. Zamiast psich kiełbasek teraz noszą po ulicach *warme Würste*, maślanych placków już nikt nie zna, a o świeczki trzy za grosz ani pytaj.

Jaka była taniość rzeczy w Krakowie jeszcze w ostatnich latach bytu Polski, a raczej jaka mała ilość pieniędzy, najlepiej dowiedzie to, że można było za jeden grosz jeść, pić i izbę opalić, t. j. kupiwszy za szeląg chleba, za drugi szklaneczkę cienkiego piwa, a za trzeci małą świeczkę.

(*XII*).

Piwo dwuraźne.

W innym tomie notat moich o Krakowie mówiłem o plackach szewckich, o psich kiełbaskach, o chlebie gorzelanym, kukiełkach z pod Panny Maryi i t. p. przedmiotach żywności, które już są zapomniane, a istniały jeszcze na początku naszego wieku, gdym przybył do Krakowa; teraz należy mi wspomnieć o napitku już wyszłym ze zwyczaju jako to: piwo dwuraźne.

W owym to czasie we wszystkich szynkowniach wódki i piwa w piecach kaflowych widzieć można było szczelnie wmurowany wielki miedziany garnek z takąż pokrywą na zawiaskach, którego jeden bok wpuszczony był w piec i dotykał się ogniska. Garnek takowy w czasie zimy napełniano wodą, która nabywała własności gorąca; do takiej to wody gorącej wstawiano półgarncówkę blaszaną z piwem, które się zwało dubeltowe albo dwuraźne. Piwo to nabywało wielkiego stopnia gorącości; ludzie klasy wyrobniczej zamiast gorzałki częstowali się tym napojem. Szynkarka wydobywała dla nich półgarncówki z miedziaka — tak nazywano ten garnek — i nalewała szklankę półkwartową dobrego piwa, która kosztowała dwa grosze. Z tą szklanką piwa w ręku już zapłaconą gość udawał się do stołu, gdzie się znajdowało małe naczynie z solą czyli solniczka i szczyptę jej wsypywał do piwa. Tak ogrzane piwo lepszą czyniło przysługę mrozem przejętemu człowiekowi, niż płyn gorzałczany, gdyż człowieka mocniej zagrzewało i ja sam, poczęstowany od którego z czeladzi drukarskiej, chętnie zaprosiny na grzane piwo przyjmowałem. Zwyczaj takowy zaginął w pierwszych latach naszego wieku, a szkoda go, bo nie był tak szkodliwy jak wódka. (*IX*).

Chleb prądnicki.

W młodym wieku moim dobra wydarzyła się sposobność widzenia stolicy Austryi, Wiednia. Jechał tamże r. 1805 Antoni Grothus, plenipotent ks. Anny Sapieżynej, za jej interesami, a był to ojciec owego Grothusa, dowódzcy strzelców pod

jego imieniem, znanych w rewolucyi r. 1830 i 31. Ten Antoni Grothus, nie posiadając języka niemieckiego, wziął mnie dla ułatwienia mu i pomocy w interesach. Jechaliśmy własną bryczką; gdy ta zepsuła się w drodze i nie mogła być użytą, przeto od Nikolsburga resztę drogi odbywaliśmy na wózkach pocztowych, przekładając na każdej stacyi rzeczy nasze.

Miał tenże do posług swych człowieka młodego Stanisława, który zwykle będąc na strawnem, a obawiając się drożyzny żywności zaopatrzył się w Krakowie w ogromny bochen chleba prądnickiego. Gdy na każdej stacyi chleb ten przekładał na inny wózek, pocztyliony, obaczywszy takowy, zwoływali jedni drugich, a wszyscy wielce zdziwieni byli wielkością jego i powtarzali: *Das ist a Label Brodt!* (*XXXIV*).

Herbata i fajka.

Może niejeden z późnych potomków, widząc ogromnie rozpowszechnione użycie tej rośliny chińskiej w Polsce, będzie myślał, że Pan Bóg, stwarzając Adama, małżonkę jego Ewę zaopatrzył już w czajnik i samowar przy innych sprzętach kuchennych. Ale tak nie jest, i zwyczaj wypijania herbaty dopiero zaprowadzili Moskale w Polsce w epoce tej, kiedy zgromadzeni dyplomaci po upadku Napoleona, znani pod nazwą kongresu wiedeńskiego, upiekli Kongresówkę czyli Królestwo Polskie pod panowaniem rosyjskiem. Od tego to zajęcia Warszawy i części Polski rozgościła się u nas herbata, rugując z domów poczciwą staruszkę kawę i zabierając jej miejsce.

Dawniej, za mojej już pamięci, sprzedawano herbatę w aptekach, jako lekarską roślinę, teraz nią handlują wszyscy kupcy wszelkiego towaru, a nawet i żydzi. Już także i chłopi nasi, jako ludzie postępowi, pijają herbatę; w miasteczku Chrzanowie żydzi warzą im ten przysmak, rozumie się że z siana, zamiast rumu i araku zaprawiony okowitą.

Jam pozostał wierny kawie i nie piję tego kitajskiego napoju, bo mi sen odbiera.

Z Moskalami przyszła do nas herbata, a Niemcy przynieśli nam jeszcze głupszy nałóg: fajki, do początków tego stulecia jeszcze u nas mało znanej, a teraz już straszliwie rozpowszechnionej, gdyż prawie każdy chłop, każdy parobczak, wyrobnik i t. p. smrodzi fajką, i nie obaczysz człowieka klasy roboczej bez tego u nosa kominka. W mieście zaś dopiero może od lat 20 zjawiły się cygara; klasa możniejsza, a nawet złym przykładem zarażona miejska hołota, nie wyjdzie na ulicę bez zatlonego lonta w gębie... Głupi ten nałóg wylał już daleko za brzegi i trudno go cofnąć: już małe paupry, wszyscy studenci, kupczyki, rzemieślniczkowie, służebne fagasy i wszelka niższa halastra nie obejdzie się bez cygara, które sterczy z każdego lokaja gęby, pomimo, że ten na kupno chustki do nosa zdobyć się nie może, a posługę jej zastępuje mu poła sukni lub jej podszewka. Pożal się Boże tego miliona, który niebaczni ludzie puszczają z dymem, marnując nieraz krwawy zarobek, bo najczęściej taki palacz fajki lub cygara niema grosza na śniadanie i woli się obejść bez niego i z głodu przy-

mrzeć, niżeli sobie odmówić tej smrodliwej przyjemności. (*III*).

Jeszcze o paleniu tytoniu.

Lulki, fajki i cygara, niezmiernie upowszechniły się w pierwszem ćwierćroczu wieku XIX.

Kiedym przybył do Krakowa w r. 1797, jeszcze prawie mało co znane było palenie tytoniu, tabaki, a za to starzy ludzie więcej zażywali tabaczki w proszku. Dopiero od czasów zajęcia Krakowa pod panowanie austryackie r. 1795 Niemcy zaczęli upowszechniać ten brzydki zwyczaj kopcenia dymem tabaki. W moim młodym wieku, jeśli ujrzałeś fajkę w gębie u kogo, mogłeś być pewnym, wcale nie pytając się, że to jest Niemiec; Polak bardzo rzadko używał fajki. Nieznacznie zaczęła się ona w Krakowie upowszechniać, a jak każdy nowy zwyczaj znajduje zwolenników, tak i w tym względzie znalazły się małpy naśladujące, i tytoń w użycie wchodzić zaczął. Lecz jeszcze się utrzymywano w granicach skromnych, palono fajki tylko w domach, a nikt z porządniejszych ludzi nie poważyłby się wyjść z fajką na ulicę, i tylko można było widzieć ludzi z klasy wyrobników, furmanów, parobków i t. p., którzy na ulicach palili tytuń. Trwało to aż do r. 1836. Dopiero kiedy wojska austryackie zajęły Kraków, to z oficerów tegoż wojska, Niemców, nie pokazał się żaden bez fajki na ulicy, kiedy nie był w służbie. To też odtąd coraz gęściej naśladowano ich, a nadewszystko, kiedy zaczęto sprowadzać cygara. Już teraz nie nowina jest widzieć ludzi do wyższego towarzystwa należących, wcale nie młodzieńców,

lecz już w poważnym wieku, jak się włócząc po ulicach cygarami smrodzą.

To najgorsza, że ten obrzydliwy nałóg przeszedł już w używanie aż do małych chłopców [1]); nie trudno zobaczyć 13-letniego świniopasa, jak, stąpając poważnie z fajką w gębie, ma się za coś lepszego od swych rówieników — a że chęć naśladowania prędko się zatliwa, a więc też i reszta pauprów małych, nie mając na kawałek chleba, woli kupić sobie fajkę choćby glinianą, tabaki za parę groszy, aby tej mniemanej godności dostąpić i do cechu tabakowego się wpisać.

Żaden panicz, syn szlachecki, nie wyjdzie na ulicę bez cygara, i byłoby to w złym tonie, gdyby szedł nie owinięty w kłąb dymu. Nawet stary fanfaron, generał Chłopicki, znany z wojny r. 1830—31, i ten dymi cygarem po ulicy, jak mi mówiono, gdyż ja tylko widziałem go z okna wyglądającego z fajką w ustach.

Niedługo może, bo złe prędko się krzewi, przyjdzie zwyczaj, że i kobiety nasze przyjmą lulkę do sprzętów swej toalety i tak jak meksykanki cygara w teatrze i na przechadzkach palić będzie modą przez damy naśladowaną, od czego racz ich Panie Boże zachować.

Pożal się Panie Boże tych pieniędzy, które z ubogiego kraju naszego idą do Prus i Niemiec za cygara i tytonie przerozmaitych nazwisk i gatunków. (*XII*).

---

[1]) Studenci nawet chodzą po błoniach i ustronnych miejscach, aby ukradkiem fajkę palić lub cygaro.

Drzewo i węgiel.

Kiedym do Krakowa przybył młodym chłopcem w r. 1797, jeszcze drzewo opałowe dosyć było tanie i obficie go dowożono Wisłą. Dostarczały drzewa, tak budulcu, jak i opałowego, ogromne niegdyś lasy żywieckie, jako też góry Beskidy, z których rzeki Soła i Skawa spławiały drzewo do Wisły. Z obaleniem lasów, obróceniem ziemi na orne pola, drożał coraz w Krakowie opał drzewiany i widocznie wzrastała trudność w dostaniu drzewa. Zdarzył wypadek, że około r. 1800–1801 przybył na garnizon do Krakowa regiment ces. austryacki, złożony z samych Niderlandczyków, którzy z opałem węglowym w kraju swym obeznani byli. Stanął ten regiment kwaterą w koszarach na zamku krakowskim, a gdy drzewo było już przydroższe, a natomiast węgiel kamienny, którego tu prócz kowalów nikt nie używał, bardzo tanie, przeto zaczęli oni tegoż używać i postawili stosowne do tej potrzeby kuchnie i piece. A powoli ten nowo-zaprowadzony zwyczaj spuścił się z Wawelu do miasta, i kuchnie tak zwane angielskie, w uboższych zaś *cyganki*, coraz się bardziej upowszechniać zaczęły, tak, że w lat dwa lub trzy już wcale nie obaczyłeś w domach krakowskich innej kuchni nad angielską lub *cygana*, a odtąd węgle stały się wyłącznym materyałem opału, przy którym już tylko tyle drzewa potrzeba, ile do rozpalenia się węgla jest koniecznem.

Później przybyła jeszcze nowa potrzeba węgla, i to w znakomitej ilości, za otworzeniem kopalń galmanu, z którego zaczęto cynk wypalać.

To podniosło znakomicie cenę węgla, a gdy huty cynkowe w ciągłym są biegu, przeto cena ta wzrasta coraz bardziej i w r. 1839, kiedy to piszę, już mię opał drugi raz tyle kosztuje, jak przed kilku laty. Jeśli to tak wzrastać będzie, mniemam, że potrzeba, będąca matką przemysłu, przyprowadzi do tego potomków naszych, że będą przemyśliwać nad sposobem wynalezienia sztucznego opału, i może znajdą sposób zbierania gorąca słonecznego przez lato i przechowania tego w naczyniach na zimową potrzebę, tak jak teraz nasze gospodynie robią zapasy kapusty, ziemniaków i t. p., opatrując w to swoje spiżarnie. Kiedy potrafiono zaprzęgnąć do wozu parę, kiedy pochwycono lotny gaz i zmuszono go do oświetlenia ulic [1]), kiedy słońce poniewolnie zostać musiało rysownikiem *(daguerotyp, heliograf)*, który to wynalazek w tym roku się zjawił — nie masz więc nic niepodobnego, że i to moje marzenie zamienić się może w rzeczywistość. A nic tu jeszcze nie wspomniałem, że siłę magnetyczną i elektryczną chcą także ludzie we władzę swą ująć i takową uczynić sobie podległą, aby ciągnęła po morzu okręty, a kto wie, czyli jej jeszcze do wozu i pługa nasi następcy nie zaprzęgną.

Wynalazek kolei żelaznej także nam zagraża wielką ekspensą węgli. Zapowiadają oddawna, że taka kolej pójdzie z Wiednia do Bochni, a nawet dociągnęli już ją do Berna w Morawie. Dopieroż

---

[1]) Niema więcej jak rok, jak chemik Thilor zamienił powietrze w ciało stałe. Widocznie więc ścieśnia się okrąg rzeczy niemożebnych, a rozszerza się sfera rozumu ludzkiego.

to węgle zdrożeją, jak się z jednej strony kolej żelazna od Wiednia, z drugiej od Warszawy do Krakowa przybliży — wtedy to o węgiel wielki powstanie skweres (tak lud krakowski nazywa kłopot). (*XII*).

Kraty w oknach.

W czasach dawniejszych nie musiało bywać zupełnego bezpieczeństwa osób i własności w Krakowie, kiedy przed napaścią zabezpieczano się kratami w oknach, nietylko w mieszkaniach dolnych, ale także na pierwszych piętrach, a co większa nawet i na drugich.

Zapewne to zabezpieczenie się nie było przed zewnętrznym nieprzyjacielem, przed tatarami i t. d., ale przed hajdamakami krajowymi t. j. przed rozhukaną i z hamulca wyzutą szlachtą, przed psotliwymi studentami i t. p.

Nieraz zdarzyło mi się czytać w dawnych rękopismach rozpustę szlachty, przystawującej do okien drabiny, łapiącej, kaleczącej ubogiego rzemieślnika, mieszczanina, a to mszcząc się jakoby jakiejś obelgi. Nie wspominam więcej o tem, bo mię boleść bierze na takie bezprawia, a przytem dosyć mamy o tem w dziejach.

Co tu piszę o kratach na drugiem piętrze, nie jest bynajmniej przesadzonem i wielu je pamięta. Może nie będzie więcej nad dwadzieścia kilka lat (1820), jak jeszcze widziano kraty w oknach 2-go piętra w kamienicy Ignacego Gröbla, potem Filipa Włodyczyńskiego, dalej Józefa Leszczyńskiego, który odnawiając facyatę kamienicy dopiero je zdjął.

Teraz kamienica ta jest własnością Józefa Louis, który ją kupił, pięknie wyreparował i posiada ją dotąd (1842). Stoi ten dom na samem wejściu z rynku do ulicy Grodzkiej po stronie lewej. (*XII*).

Zbytki w przyjęciach.

Karnawał tegoroczny (1840) jest bardzo wesoły. Po wszystkich domach pańskich dawane są zbytkowe wieczory. Bale publiczne bardzo bywają ludne. Były trzy bale składkowe w sali Knotza, na których mnóstwo bywało, a szczególniej kobiety zbytkowały w toaletach i ubiorach. Bywają także u panów tak zwane tańcujące wieczory, na których panuje wszelki zbytek jedzenia i trunków, światła i t. d. Ryby są koniecznym artykułem, aby były na stole. Widziałem szczupaka w jednym domu: na obiad, składać się mający z osób dwudziestu kilku, kosztował tenże zł. pol. 60, a nie był wcale wielki. Hr. Józef Krasiński [1]) dawał także w tych czasach wielki obiad, na który zakupił szczupaka za zł. pol. 90. — Wino same tylko prawie spijają szampańskie, reńskie i inne droższe (bo węgierskie nie w modzie), a wychodzi go wiele. Zgoła, taki wieczór jeden, nie rachując rzeczy jakie są w domu, t. j. tylko zwierzyna, ryby, ciasta, cukry, wina, lody, światło, kosztuje zł. pol. 1.000, jak mi to z dobrego źródła wiadomo.

---

[1]) Autor dzieła *Guide du voyageur en Pologne* (które wyszło i w języku polskim z rycinami), właściciel drukarni w Warszawie i wydawca pisma technologicznego pod tyt.: *Piast*, tomików 24.

Wprawdzie nie żyję pomiędzy panami i rzadko mi się zdarza spotykać się z nimi, ale biorąc miarę z tego, co słyszę w jednym domu, gdzie tak zwani panowie goszczą, i nie będąc świadkiem innego dyskursu tylko: „wczoraj pan N. dawał obiad na 20 osób, — jutro pani N. daje wieczór na 60 osób, — wkrótce państwo N. N. dawać będą herbatę na 80 osób“ — widzę, że cała ta klasa istotnych próżniaków, niczem pożytecznem zająć się nie umiejąca, do żadnego zatrudnienia umysłowego nie usposobiona, o tem jedynie myśli, marzy i rozprawia, jak zjeść i napić się o cudzym koszcie i zabić kilka godzin czasu w zgiełku i roztargnieniu, który im w niedołęztwie ich wielkim musi być ciężarem. *O tempora! o mores!* *(II).*

Dla wiadomości przyszłych pokoleń i najpóźniejszych potomków dodać tu należy, iż, folgując obecnym zwyczajom i naśladownictwu mody, na uczcie weselnej, którą niedawno (1858) wyprawiłem w mieszkaniu mojem na przedmieściu Piasek, w domu którego ścianę zachodnią obmywa Rudawa, gdyż stoi na jej brzegu, po prawej ręce pasma domów, idąc ku kościołowi OO. Karmelitów, pod nr. 95 — figurował łosoś, który kosztował zł. pol. 48 mon. srebr. i para bażantów z Krzeszowic od hr. Adama Potockiego, które kosztowały zł. pol. 20 gr. 15.

A dowiodłem, że idąc za powszechnym przykładem, aby choć raz w życiu błysnąć i pokazać pańskość swoją, puściłem szmermela zbytku i zajaśniałem niezwykłym mi przepychem — o czem następnym wiekom wiadomość przekazuję. *(IV).*

Fabrykant wybornego wina.

Tym był pamiętny kometa roku 1811, który długo świecił na niebie. Były to dwie bardzo jasne i wyraźnie widzieć się dające gwiazdy, idące niedaleko od siebie, może tylko kilkanaście tysięcy mil lub trochę więcej. Posuwały się one od wschodu i zniknęły na zachodzie. Czy to ich sprawą, czy inną jaką przyczyną, rok ten 1811 był niezmiernie upalnym, zatem posusza była wielka. Zboża i jarzyny mało wydały plonu, łąki wypalone, mało karmy, była też wielka drożyzna chleba w roku 1812 — ale za to wina zrodziły się na Węgrzech i w innych krajach przewyborne, i wina z tego roku nosiły nazwę kometowych *(Kometen-Wein)*. I rzecz szczególna, iż zboża było mało a wina zbiór nader obfity. Ceny jego było małe, i za 3—4 dukatów dostał w Krakowie beczkę doskonałego wina.

Po tym roku 1811, chociaż zdarzały się dobre lata na wina, jednak najlepsze było dopiero r. 1822, a potem r. 1834. Amatorowie wina tę chronologię dobrze na pamięć wiedzą.

Ten rok 1811 sławny jest w dziejach winnych, ale produkt jego już jest bardzo rzadki, bo go ludzie skonsumowali... Ja jeszcze posiadam jakiś zapas butelek tego wina, a jest to wino, jak je prawdziwie analizował ksiądz Jezierski, złożone: „z ognia, balsamu i czasu“. *(XXXVII)*.

Wist.

Gra w karty dziś tak powszechna i rozszerzona, jak chleb lub ziemniaki. Upowszechnienie

jej jest szczególniej teraz w Polsce wielce dogodne, gdzie nie wolno o polityce mówić, — a zresztą są i takie czasy, w których nie ma mówić o czem. Teraz zejdzie się towarzystwo, przywitają się, posiędą około stolików, zaczną grę, i w salonie panuje jak najzupełniejsza cisza. Jest to złe, które wypchnęło z towarzystw złe większe, to jest pijatykę, bo ci, co przy wiście siedzą, mało piją.

W ostatnich latach bytu Polski w Krakowie ledwo 4 osoby umiały grać w wista. Byli to tacy, którzy podróżowali za granicą. Dziś ktokolwiek tylko w surducie chodzi, każdy zna grę wista — bo być lepiej ubranym, a nie umieć grać wista, byłoby toż samo, co nie umieć czytać. Gra ta dawniej nie miała tylu przydatków, co teraz; kiedym ja się jej nauczył, nie było tylko 4 figury w niej, nie znano kajenny, szturmu, 5-ciu honorów, korony i t. p. Niedługo, a może i 9-ka dociśnie się honoru, że zostanie figurą. *(XXXIV).*

Postęp cywilizacyi w Krakowie.

Przed laty może 15-tu, około r. 1825, umarł w Krakowie znany tu powszechnie Wojciech Morsztyn, który miał tytuł pułkownika i zwykle go mianowano „pułkownik Morsztyn“. Był to mąż dawnego wieku, lat mógł mieć około 70, który dobrze pamiętał dawne czasy. Bywał u mnie często w księgarni, i nieraz kupił sobie jakie nowe dzieło, ale częściej wstępował dla samej pogwarki, gdyż lubił łazić, a zatrudnienia nie miał.

Razu jednego, nie pomnę już z jakiej okazyi, tak do mnie mówił: „Ile pamiętam, za czasów dawnej Polski, w całym Krakowie znajdowały się

dwa klawikordy albo spinety (instrument nakształt fortepianu, a ze strunami), na których grała panna starościanka Skotnicka i druga panna (którą wymienił, lecz ją zapomniałem). — Teraz przyjdź do domu każdego kupca lub mieszczanina krakowskiego [1]), a niezawodnie ujrzysz córkę jego siedzącą przed fortepianem i grać się uczącą, a niezadługo przyjdzie ten czas, że już szewcówny i krawcówny muzyki się uczyć będą". — Jakoż wyprorokował to zacny pułkownik, bo już teraz nie trudno o przykład, że i niektórzy lepiej się mający rękodzielnicy dzieci swoje uczyć każą i wyższą im dają edukacyę, co nawet niekiedy na nic im się nie przyda.

To rzecz niezawodna, że już teraz (r. 1840) w Krakowie nie znajdziesz domu, w którymby się nie znajdowało fortepiano, a są dosyć gęste domy, w których są dwa, trzy i nawet więcej fortepianów, tak dalece się upowszechniło granie na tym instrumencie.

Różnica wychowania płci żeńskiej w dawniejszych czasach od teraźniejszego w Krakowie.

Nic ja tu mówić nie będę, jakiem było wychowanie dziewcząt w domach szlacheckich, bo to nie należy do rzeczy krakowskich. Tylko chcę wspomnieć choć kilku słowami, jakie dawano wychowanie córkom mieszczan krakowskich, t. j. kupców i rzemieślników, a szczególniej w ostatnich

[1]) Trzeba wiedzieć, że pułkownik był z owej dawnej szlachty, co chciała być wszystkiem, a kupiec i mieszczanin aby był niczem.

latach przed upadkiem kraju, bo to jeszcze pamiętam; znałem wiele kobiet w Krakowie z rodziców stanu miejskiego urodzonych, które poznałem po mojem przybyciu do tego miasta, i wiem, jakie miały wychowanie.

W owych czasach nie było w Krakowie tylu domów i instytutów edukacyi dziewcząt, jak było tychże później i jest teraz. Między rokiem 1780 do 1790, istniała w Krakowie jedyna pensya Mme Wentzel, w której brały edukcyę i uczyły się po francusku córki tylko znakomitszych rodzin szlacheckich. Zaś córka mieszczanina krakowskiego nie wychowywała się tam żadna, bo może nawet nie byłaby mogła być tam przyjętą.

W ogólności córki rzemieślników ówczesnych nie pobierały żadnej edukacyi; najwięcej, gdy którą nauczono czytać, czyli jak i dotąd jeszcze lud nasz wysławia się: mówić na książce, czyli modlić się; bo z tej klasy dotąd mało kto, a przedtem nikt innej książki prócz do nabożeństwa nie znał. Nauki czytania udzielały zwykle kobiety, które nazywano szwaczkami — i kiedy kto mówił, że moja córka chodzi do szwaczki, znaczyło to, że chodzi do jakiejś letnej kobiety, która uczy ją czytać. Takie szwaczki mieszkiwały po przedmieściach, i ja je sam jeszcze pamiętam, do których dziewczęta uczęszczały; a gdzie może przy czytaniu i sposobu użycia igły nauczyły się.

Pisać prawie dziewcząt nie uczono (mówię o klasie rzemieślniczej) i żadna też nie umiała. Przyczynę tego przytoczę tu w przykładzie. Tekla Gröblowa, u której męża w nauce księgarstwa od r. 1797 pozostawałem, była pasierbicą stolarza na-

zwiskiem Wójcikiewicz, a matka jej sprzedawała płótno na lokcie w kramach tak zwanych pod Krzyżem. Gdy już Teklusia znacznie podrosła i czytać się nauczyła (zapewne u szwaczki), prosiła matki, aby ją kazała uczyć pisać. Koleżanki matki zadziwiły się bardzo na tę propozycyę, raczej prośbę — zahuczały córkę i matkę, mówiąc jej: „tak, tak! każ waszeć uczyć ją pisać, nie wiedzieć na co, chyba na to, żeby potem do chłopów pisywała“ [1]).

Jakoż, mówiła ś. p. Gröblowa, matka nie dała jej uczyć pisać — i dopiero poszedłszy w służbę do dworu Walewskich, tam nauczyła się trochę pisać, lecz zawsze znać było, że to pisała osoba, której ani prawidła pisowni, ani kaligrafii znane bynajmniej nie były.

Mało staranniejsze odbierały wychowanie córki kupców miasta Krakowa. Prawie cały stan kupiecki krakowski pochodził z Niemiec, t. j. Śląska, Tyrolu i innych prowincyi austryackich. Rekrutował on się tym sposobem. Kupiec z Krakowa, potrzebując chłopca do terminu w swym handlu, pisał do krewnych swoich, aby mu tam w miejscu, skąd sam pochodził, wyszukano takowego. Przybywał terminator boso, ubogo, jak zwykle dzieci po wsiach i miasteczkach chowają się. Obejmował miejsce w sklepie, używany do wszelkich posług i handlowych i domowych. Po kilku latach praktyki, kupiec wyzwalał go na czeladnika, przypuszczał do stołu razem z sobą i familią, wyznaczał małą pensyę roczną, i tym sposobem młodzieniec

[1]) Z opowieści samej ś. p. Gröblowej, potem Mateckiej.

wstępował w nową dla siebie erę i prawie zaczynał należeć do familii. Przez ten czas już się nauczył po polsku, a języka tego zwykle używano w domu; bo żona i dzieci kupca już to byli Polacy — sami zaś kupcy między sobą i ludzie ich handlowi mówili zawsze po niemiecku. Jeżeli w domu tym były córki dorastające lub dorosłe, wnet kojarzyły się małżeństwa; czeladnik kupiecki właśnie jak drugi Jakób u niemieckiego Labana wysłużył sobie Lię lub Rachelę i teść dawał mu za pomogę, wprowadzał do gremium czyli kongregacyi kupieckiej, wyrabiał mieszczaństwo krakowskie — i osadzał w sklepie lub kramie żelaznym; poczem nowy kupiec zaczynał takie samo zatrudnienie i życie, jakiego nauczył się i nawykł w domu teściowym.

Gdy tedy ojcowie rodzin, kupcy krakowscy, zaledwo sami tyle posiadali nauki lub wykształcenia, ile potrzeba było do prowadzenia kupiectwa, t. j. umieć list niemiecki napisać po towary i rachunki kupieckie — zatem o potrzebie dania edukacyi córkom niewielkie mieli pojęcie, zwłaszcza że i żony ich tylko czytać i trochę pisać umiały. To też było dostatecznem przy gospodarstwie i zarządzie domu — i o ile mam w pamięci, żadna kupcowa więcej nad to, com wspomniał, nie umiała. Nie uczono jeszcze wtedy córek kupieckich ani muzyki, ani rysunków, ani też innych nie udzielano im nauk — nie tak, jak w czasach dzisiejszych (r. 1841), kiedy każda córka kupca krakowskiego uczęszcza na pensyę płci żeńskiej, których tu jest wiele — uczy się muzyki, tańca, języka francuskiego, niemieckiego, oraz i innych

nauk, i wychowaniem tak daleko odeszła od swej babki, że mógłbyś pomiędzy babką i wnuczką wygodnie kulę ziemską przetoczyć.

W młodości mej sam przeszedłem tę drogę, jak tu piszę o czeladnikach handlowych. Od roku 14-go mego życia wychowałem się i wzrosłem w domu Gröblowskim, a nawet prawie jak zaręczonym był z Elżbietą Gröblówną, córką Ant. Ign. Gröbla, przez ś. p. jej matkę, lecz gdy ta w roku 1812 umarła, a panna przyszedłszy do przyzwoitego wieku (r. 1816) drożyć się zaczęła, ja też, nie chcąc uproszonej lub zniewolonej żony, udałem się gdzieindziej i tam, z upodobaniem przyjęty, małżonkiem zostałem. Panna później poszła za Jarzyńskiego, lecz wkrótce umarła. Nagrobek jej u Panny Maryi. *(XII).*

Małżeństwa polsko-niemieckie.

Gazety zagraniczne ciągle teraz (r. 1840) zapełniają swoje kolumny wiadomościami o tem, że całe wsie, całe gromady z swymi zwierzchnikami wiejskimi po kilkaset osób opuszczają Europę i udają się za ocean, za dalekie morza do Ameryki północnej szukać nowych siedzib i tam swą założyć ojczyznę. Są to Niemcy, sprawdzający to przysłowie: *ubi bene ibi patria.*

Polacy, choć im w domu bieda, nie tak łatwo opuszczają swoją strzechę i z wielką trudnością wchodzą w związki małżeńskie z innymi ludami, a przynajmniej mężczyźni, bo kobiety w tej mierze mniej mają skrupułu. Pamiętam to dobrze, iż w czasie, kiedy przed r. 1809 Austryacy Kraków zajmowali, Niemcy żenili się z Polkami,

i sam wiem kilka takich przypadków, jak n. p. urzędnik austryacki Rapp ożenił się z Janikowską, córką kotlarza krakowskiego, kasyer austryacki Meidinger pojął za żonę Krakowiankę, córkę prof. akademii Szeidta, kupiec Hauser, który ani słowa po polsku nie umiał, połączył się ślubem z Ziobrowską, a Jaschke, także kupiec z Austryi niedawno przybyły, wziął za żonę Cypcerównę, wszystkie rodowite Krakowianki, a nie wiem ani jednego Polaka, któryby połączył się z Niemkinią. *(XLIII).*

Ospa krowia.

Dawniej, aż do wieku XIX, wszyscy odbywali ospę naturalną — taką ja i ś. p. żona moja odbyła i na obojgu nas ślady na twarzach od tej choroby pozostały. Bardzo wiele dzieci, bo prawie połowa, marło na ospę, i wiele utracało wzrok. — Na początku wieku bieżącego zaprowadzili w Krakowie Austryacy szczepienie krowianki, także i po wsiach; rządy następne ściśle przestrzegały, aby wszystkie dzieci ospę miały szczepioną, co trwa dotąd (r. 1843*).*

Prawda, że teraz dzieci na krosty nie umierają, ludność też coraz bardziej wzrasta i pomnaża się, atoli to jeszcze jest problematyczne, czyli *vaccina* jest dobrodziejstwem dla ludności, bo od czasu upowszechnienia jej zjawiła się i coraz się częstszą staje choroba skrofuliczna, na którą mnóstwo dzieci klas dostatniejszych cierpi, o czem za czasów dawniejszych wcale nie było słychać, i może być, że to jest materya ospy naturalnej, która pod postacią skrofułów wojuje. Czas to wyjaśni. *(XII).*

Nowe zjawisko.

Dnia 3-go marca (r. 1855) pierwszy raz pojawiły się na rynku krakowskim nowo zaprowadzone jednokonne dorożki, czyli fiakry. Te niezbędne ku wygodzie publicznej powozy dotąd niepotrzebnie zaprzęgano parą koni, kiedy jeden tęż samą posługę dopełnić może, a oszczędność przy żywieniu drugiego konia będzie znaczną. Naśladowano tu zwyczaj wielkich miast, Wiedna, Berlina i t. d., a urośnie stąd korzyść i dla publiczności, bo cena najmu fiakra jednokonnego mniejszą będzie.

(III).

Ubóstwo dawnych czasów w Krakowie, także i w całej Polsce.

Jeszcze i teraz słyszeć mi się zdarza ludzi narzekających na obecne ubogie, a dobre dawne czasy, kiedy pieniędzy było wiele, a rzeczy w taniej cenie. Nieraz ja przekonywam, że to mylne twierdzenie, i że się rzecz ma odwrotnie — ale ciężko mi nieraz idzie przekonać, chociaż na to są dotykalne dowody.

Najlepiej nam maluje to ubóstwo dawne i jak rzadki był pieniądz, że jeszcze dotąd zdarza się, iż znajdują w ziemi zachowane w wojennych czasach pieniądze, a te są szelągi, pieniążki bez wartości, za pomocą których pod panowaniem Wazów kraj cały w przepaść ubóstwa wtrącono.

Za mojego już pobytu w Krakowie przy reparacyach domów znajdowano ukryte skarby tego rodzaju, n. p. szelągi miedziane Jana Kazimierza; a osobliwiej też w ulicy Szewskiej, kiedy Paweł

Bielecki reparował kamienicę niegdyś będącą własnością Żelichowskich, pogłębiając piwnice, ludzie wywożący ziemię znaleźli w tejże schowany taki skarb bez najmniejszej wartości, t. j. szelągów i pieniążków Jana Kazimierza może ćwierć korca. Była to zapewne suma wówczas ogromna, a dzisiaj nawet bułki nie można było kupić za te pieniądze. Sam widziałem, jak te monety uwijały się po rękach ludzi służących i dzieci się niemi bawiły — a przez ten czas długiego leżenia w ziemi zbiły się one i zlepiły w jedną bryłę czyli masę; miedź się przetrawiła i na nic przydatną być nie mogła.

Mnie samemu służąca darowała garść takich numizmatów staroświeckich, których ona posiadała pełną pończochę.

Już też teraz w tych ubogich czasach nikomuby nie przyszło w myśl schować grosze do ziemi, a jeśliby tego czuł i widział potrzebę, wymieniłby je na monetę srebrną, która w owych, wielkiej biedy czasach, zapewne bardzo była rzadką i do dostania niepodobną. *(XII).*

IV.

O różnych zajęciach i zawodach.

Węgrzyni olejkarze.

Od dwóch węgrzynów, co w pudła przybrani,
Noszą olejki aż od Złotej bani...[1]).
Pulpit żyjący, poema.

W owym czasie — a to nie tak dawno i jeszcze to we wszystkich jest pamięci — kiedy granice pomiędzy krajem a krajem łatwiejsze były do przebycia — chodzili po całym szerokim kraju polskim rozmaici handlarze i trudniący się różnym przemysłem, a najwięcej węgrzyni; ale właściwie byli to Słowacy, mieszkańcy kraju podtatrzańskiego z tamtej już strony gór, czyli ze strony węgierskiej. Co prawda, to i dzisiaj widzieć można takich górali-Słowaków noszących po Krakowie suszone śliwki, powidła, niekiedy włoskie orzechy, którzy z tymi owocami udają się i do Prus, i sam ich spotykałem we Wrocławiu; również jeszcze i teraz włóczą się po kamienicach ubodzy mieszkańcy gór, którzy się trudnią ściąganiem starych glinianych naczyń, garnków, rynek i t. p. drutem, czyli druciarze; a ci jeśli nie znajdą w którym domu roboty, proszą o kawałek chleba, o jaką jałmużnę. Jeszcze w Rzpltej krakowskiej po wioskach spotykać można było Słowaków, którzy się trudnią czyszczeniem źrebiąt, byczków, kiernozów, czyli miskarzy; ci chodząc po

[1]) Nagy — bania po węgiersku.

wsiach wołają: *ne mate co miskowat?* Chodzą także jeszcze górale z małym zapasem drobnych szybek i narzędziem szklarskiem, którzy szczególniej pod jesień trudnią się naprawą okien w chatach wiejskich.

Ale najznakomiszą klasą tych przemyślników bywali zawsze Węgrzy, noszący w ogromnych pudłach na plecach różne bławatne towary; którzy nawet ubiorem różnią się od poprzednich, gdyż ci mniej więcej używają ubiorów wiejskich, góralskich — a ci już noszą z miejska, z węgierska, spodnie obcisłe i kurteczkę do pasa węgierską z sukna koloru jasno niebieskiego, kapelusz z wielkim obwodem czyli kołem; oni to nosili po wsiach i po dworach różne towary bławatne, chustki i inne t. p. Lecz przez zaostrzenie celne i ścisłą straż granic Królestwa Polskiego trudny im tam do kraju przystęp, dlatego ich teraz mało co w Krakowie uświadczy, gdzie dawniej jako przechodnie częstymi byli gośćmi.

Ciż sami, czy też inni, podobni tymże, chodząc po kraju, trudnili się leczeniem prostego ludu. Byli to właściwiej aptekarze przenośni, których się lud radził, a ci zaopatrywali go w słabościach lekarstwami, po większej części olejkami różnymi zaprawianymi, i stąd zwano ich olejkarze, preolejkarze. Chodząc po wsiach ogłaszali oni swe leki wołając: *Mam preolejky na oczy, na ruki, na nogy, ku wszemu dobremu doprowadzajucy, od hłowy bolenia, od kurku stojenia, kupte sy, kupte!*

(XXXIV).

Nowe rodzaje przemysłu w Krakowie.

Zanotuję tu dwa nowe rodzaje przemysłu, jakie się teraz pojawiły w Krakowie. W r. b. (1837) zaczęły po domach chodzić kobiety i ubogie dzieci, wybierając w śmieciach kości, kawałki potłuczonych rzeczy szklanych, gałgany płócienne i t. p. Co do kości, te noszą koszami do żydów, którzy je skupują, ładują na galary i posyłają na dół Wisłą. Takowe użyte być mają w dwojakiej drodze, raz jako potrzebne do rafineryi cukru, drugie jako nawóz sztuczny. W tych latach wywieziono ogromną ilość kości ze stałego lądu do Anglii. Mówią, że nie przebaczono nawet kościom nieboszczyków, którzy w r. 1813 polegli w wielkiej bitwie pod Lipskiem, bo i te wyzbierane poszły na podniesienie płodności ziemi angielskiej. Tam te wszystkie kości mielą w osobnych na to młynach na mąkę czyli trociny, a temi prowadzą wielki handel wewnątrz kraju; są one używane są jako bardzo dobry sztuczny nawóz za pomocą potrząśnienia ziemi tą kościaną mąką. Już teraz kościotrupy końskie nie zawalają miejsca po trawnikach, gdyż uważałem we wsiach Skotniki pod Tyńcem i w Filipowicach za Krzeszowicami, że włościanie, którzy kupują stare konie, duszą je i skóry ich wyprawiają, już i kości tych zwierząt nie marnują: sam widziałem, jak przy chacie takiego garbarza w Filipowicach zgromadzona była na kupę znaczna ilość kości, z któremi zapewne czekał na kupca hurtownika, a tym jest pospolicie żydek.

(II).

Berlinki na Wiśle.

Dotąd nie budowano w Krakowie innych wodnych statków, tylko galary i krypy, na których Wisłą spuszczano na dół zboże i inne produkta ziemi naszej. Jeszcze na początku r. b. (1837) w zimie zaczął p. Piotr Steinkeller, bankier warszawski — syn tutejszego kupca, także Piotra Steinkellera, tu w Krakowie zmarłego, który także i tu w Krakowie prowadzi różne spekulacye — robić próbę budowy berlinek, statków większego gatunku, z masztem i t. p., w widoku, że przy taniości robotnika i materyałów drzewnych budowa ich w Krakowie korzystną się okaże. Sprowadził do tego majstra cieślę z Elbląga czy też Królewca, nazwiskiem Fryd. Weberta (obacz Gazetę Krak. r. 1837 nr. 281), a reszta robotników są ludzie tutejsi, cieśle. Miejsce budowy obrał za przedmieściem Zwierzyniec na Przystani, gdzie kilka starych nadwiślańskich topoli dotąd jeszcze rośnie. Tam ukończono dotąd trzy berlinek, i dzisiaj dnia 24-go października, wyszedłszy na przechadzkę w tamto miejsce, zwane Kępa, byłem przypadkiem, jak ukończone zupełnie, zaopatrzone w maszt i kotwicę, z porządną na przodzie kajutą, odbiły od lądu i poszły Wisłą do Nowego-Miasta, gdzie zbożem ładowane będą. Trzy inne stoją na warsztacie; są to statki długie i całe nakryte, naliczyłem jednej długości kroków 54. *(II).*

Dawny zwyczaj rajców m. Krakowa.

W czasach dawniejszych dygnitarze ci miejscy nie mieli żadnych dochodów czyli pensyi, tyl-

ko przypadkowe, t. j. utraktowanie się winem za pieniądze z kasy miejskiej. W dawnych wiekach bywało rajców 24, lecz wbliższych nam latach liczbę ich zmniejszono do 12, i wyznaczone mieli szczupłe pensye. Zwano ich panami, a wielka sala posiedzeń Rady w ratuszu zwała się izba pańska.

Gdy ciż rajcy dowiedzieli się, że który majster rzemiosła jakowego nieźle się ma i posiada jakąś zamożność, tedy wysyłali do niego pachołka miejskiego z doniesieniem, że zamierzają uczcić go odwiedzinami. Ten, przyszedłszy do majstra, mówił: „Panowie będą jutro u waszeci na podwieczorku“. Majster, skłopotany niezasłużonym honorem, mówił do swej małżonki: „Marysiu! jutro panowie rajcy będą u nas; przygotujże posiłek dla nich, gęś pieczoną i ćwiartkę cielęcą“ — posyłał po garniec lub dwa wina i czekał ich przybycia, wymiatając izbę z nagromadzonych w kątach śmieci. Przybywają goście, gospodarz przyjmuje u drzwi z uszanowaniem, zaprasza zająć miejsce i po krótkiej z panami rozmowie gospodyni zastawia posiłek i gąsior wina, z którego rzęsista kolej idzie z rąk do rąk. Majster prosi, zachęca, nie szczędzi ukłonów i często napełnia szklanice... Gdy już panowie uznali, że mają do syta, zabierają się do wyjścia, a majster prosi, aby dokończyć tej resztki, na co panowie odpowiadają: „przyjdziemy tu później na tę resztkę“. — I znowu biedny szewc lub krawiec musiał połowicy swej zalecić, aby jedzenie przygotowała — a sam przysposobił nowy gąsior napitku.

(IX).

Apteki.

Tak jak w innych miastach, tak i w Krakowie niektóre zakony miały apteki własne, z których lekarstwa na miasto wydawały. Aptekarz Pfeil darował aptekę swoją OO. Reformatom w Krakowie, i przytem być musiała znaczna biblioteka dzieł lekarskich, gdyż jeszcze liczny zbiór książek takowych widziałem u OO. Reformatów, którzy mi tę bibliotekę do kupna proponowali; było tam i dzieło *Przymiot* przez Wojciecha Oczko. Nawet miałem spis tych książek.

Pamiętam jeszcze, że i OO. Dominikanie mieli tu swoją aptekę, która istniała w tym gmachu na cmentarzu na dole, przy kaplicy ks. Zbarazkich — nawet znałem jeszcze fratra, aptekarza dominikańskiego. Apteka ta sprzedana potem była i nabył ją aptekarz Żuchowski. *(II).*

Bractwa żebracze i żebractwo w Krakowie.

Gdzie jest tak wielka liczba kościołów, klasztorów, odpustów, cudownych obrazów i t. p., tam nie mogło brakować i dziadów-żebraków. Często późny wiek, kalectwo przypadkowe, stan chorobliwy, sprowadzały niedołęztwo i niemożność utrzymania się z pracy rąk własnych, częściej jeszcze nałóg pijaństwa, próżniactwo i za niemi idące wady pchnęły niestarego i zdrowego człowieka do klasy tych istot, których rzemiosłem było żyć o cudzym koszcie, spuszczać się na litość bliźnich, a jak oni mawiali, puścić się na świętą jałmużnę.

Jak w dawnych, tak i w obecnych czasach, Kraków utrzymywał i utrzymuje ogromną liczbę żebraków, nie będącą w żadnym stosunku z liczbą jego mieszkańców, a szczególniej w dawnych czasach przed rozbiorem Polski. Byli to po większej części ludzie, którzy stanu tego nadużywali, prawie sami wyrobnicy i rękodzielnicy zubożeli wskutek nieporządnego życia i skłonności do trunków, a najwięcej baby. — W dawniejszych czasach żebracy składali osobne stowarzyszenie w Krakowie pod nazwą bractwo żebracze. Zwykle ubóstwo to obsiadało przez cały tydzień przysionki licznych kościołów, a nadewszystko w dnie odpustu a w sobotę każdego tygodnia krążyło całemi chmarami od sklepu do sklepu po całem mieście, tudzież po domach, przykrząc się o jałmużnę, którą gdy już przez cały poranek zebrali, po południu w sobotę zgromadzali w ulubionych sobie miejscach, t. j. w szynkowniach wódki, i tam przepijali cały owoc żebraniny, którym ich litość mieszkańców obdarzyła. Podochoceni trunkiem, dziady i baby rozpoczynali pląsy, tańce, wprawdzie bez muzyki i tylko przy odgłosie śpiewek, przyczem nie obeszło się bez kłótni, szarpań, szturchań i bicia z błahego czasem powodu, z przymówki i t. d. Wtedy to, gdy się taka rozpoczęła kłótnia, można było zebrać wielkie bogactwa do słownika obelg, nazwiska nieznane, nigdy nie słyszane, a tylko tu w obiegu będące. Panowała i tu arystokracya, opierająca się na dawności pochodzenia, na szeregu antenatów w rzemiośle żebraczym; nieraz żebrak wyrzucał drugiemu: „Cóżeś jest, ty charłaku? Ja jestem dziad z dziadów, a tyś recuszek“. (Recuszek jest

jakiś gatunek świeżego ciasta, placuszek lub t. p.). Więc to znaczyć miało, że ja dawny dygnitarz, a ty świeży, dopiero do rzemiosła przystały.

Za mojej pamięci miejscem takiej schadzki (resursu) w Krakowie była w ulicy Szpitalnej szynkownia w domu Grzybowskiego, drugim od rogu po prawej ręce wchodząc z Małego Rynku do ulicy Szpitalnej — szynkownia zawołana, gdyż w tej ciągle dziady gościły. Potem przenieśli się oni do szynku w domu Filipowskiego w ulicy Stolarskiej, drugiego od rogu ulicy Szerokiej po lewej ręce, skąd nieraz kłócących i bijących się dziadów policya rozpędzać, a bohaterów kłótni i junaków bitki do kozy zabierać musiała.

Dawny Kraków, siedlisko niegdyś panów, biskupów i licznego, bogato uposażonego duchowieństwa, posiadał w murach swych wiele pięknych fundacyi na korzyść starych i ubogich, które wprawdzie w znacznej części przepadły przy rozbiorach kraju, ale zawsze jeszcze aż do naszych czasów były znacznemi. Było tu kilka tak zwanych szpitalów, ale właściwiej domów schronień dla starych mieszczan, ubogich wdów, zubożałej szlachty i t. p., mających swoje fundusze, które bywały pod zarządem prokuratorów, jak n. p. szpital na ulicy św. Szczepana i t. p. Prokuratorami bywali księża, którzy dochody zjadali, a ubogim czasem po kilka groszy udzielali, jak to sam wiem o ks. Saczewskim, prokuratorze szpitala św. Szczepana.

Te zatem fundusze wszystkie zgromadził senat Rzeczypltej krakowskiej w jedno źródło; szpitale jak n. p. powyżej św. Szczepana, szpital ubogich wdów w ulicy stolarskiej, szpital św. Leo-



UBIÓR PRZEDMIESZCZAN KRAKOWSKICH Z DŁUGIEJ ULICY, Z CZĘŚCI ZWANEJ »NA PIEKARACH« (OB. STR. 283).

RYSUNEK J. K. WOJNAROWSKIEGO.

narda na Stradomiu sprzedał na własność prywatnych; a kapitały stąd zebrane ulokowane zostały i stanowią fundusz Towarzystwa Dobroczynności krakowskiego, pod którego opieką utrzymuje się w domu schronienia na zamku przeszło 300 ubogich obojej płci i szkółka dzieci kilkadziesiąt, które się tamże wychowują i naukę pobierają, a gdy dorosną, chłopcy do nauki rzemiosł, a dziewczęta do służby oddawane bywają.

Atoli prócz tak wielkiej liczby ubóstwa, które Towarzystwo żywi, okrywa i schronienie im daje, jeszcze krąży po mieście wielka liczba dziadów i bab, które żądają wsparcia; a kto chce to widzieć naraz zgromadzone, niech tylko uda się na cmentarz w czasie pogrzebu jakiego lepiej się mającego obywatela krakowskiego — a tam spostrzeże tłum bab pijanych, obszarpanych, że aż oczy bolą parzeć na to zaniedbanie się ludzi, którzy wskutek nałogu i próżniactwa samochcąc w biedę wpadli. Pisałem to w r. 1841. *(XII).*

Żydzi krakowscy.

Na sejmie Rzpltej krakowskiej, odbywającym się w miesiącu czerwcu 1844 r., Zgromadzenie prawodawcze uchwaliło, aby odtąd żadnemu żydkowi nie było wolno wnijść w śluby małżeńskie, skoro nie wykaże się, że już trzema laty wprzód złożył ubiór żydowski, czarny sarafan, a przybrał ubiór zwyczajny, surdut i t. p., w Krakowie powszechnie używany, w czem uważano środek zbliżenia się do cywilizacyi.

Na tę nowość, na to targanie się na dawny zwyczaj stare żydy oburzyły się okropnie i swoim

zwyczajem udali się do zwykłych zabiegów przeciwko temu postanowieniu, to jest podali do senatu energiczną prośbę, opatrzoną mnóstwem podpisów, aby uchwałę tę wstrzymać, cofnąć i odwołać. Lecz odpowiedź nastąpiła odmowna. To szczególna, że młode pokolenie żydków okazało stąd wielką radość i zupełną skłonność do przebrania się, a więc *damnum unius, alterius commodum.* — Obaczą to czasy następne, czyli to osiągnie w przyszłości zamierzony skutek, bo trudno przypuścić, aby z ubiorem naród ten złożył szachrajstwo, oszustwo i t. p.

Żydowskie kobiety już od dawna pokazały się przystępniejsze dla reformy w stroju. Kiedym do Krakowa przybył w r. 1797, nie obaczył żydówki zamężnej inaczej ubranej, tylko okrytą od głowy zacząwszy białem prześcieradłem, które było spięte pod brodą i wisiało do samej ziemi. Na głowie zaś nosiły bindy perłowe. Teraz już, gdy stare żydówki wymarły, młodsze zarzuciły to okrycie i od lat może 15-tu noszą ubiory takie jak chrześcijanki, szale, chustki, suknie, szlafroczki i czepeczki z kwiatkami, zgoła nie różnią się strojem od dam krakowskich, a nawet widać, że się pomiędzy nie zakradł zbytek, na co stare żydy, burczymuchy, wyrzekają i są wielce z tego niekontenci.

Mężczyźni daleko byli dotąd wierniejsi ubiorom swych ojców, i wszyscy prawie ubierają się w czarne, długie szafarany czyli bekiesze, jak oni je sami zowią, chociaż ten rodzaj sukni żadnego do bekieszy podobieństwa nie ma.

Główny stek żydowstwa krakowskiego jest w Rynku, a największy był niedawno około kościółka św. Wojciecha. Lecz włóczą się oni i po

ulicach, po zakątach, za osobnym handlem, wołając dwoma językami: „psiedać, psiedać, handele, handele“.

Prócz szacherki, oszustwa, handlu i t. p. lekkiego chleba chwytają się teraz żydzi i pomniejszych spekulacyi; nie pomijając przemycanki t. j. handlu kontrabandowego, tak zwanej szwarcówki do państw ościennych oddawna w użyciu mianej — fabrykują w Krakowie cygara. Ten nowy rodzaj palenia tytoniu rozkrzewia się od lat kilku coraz bardziej; kupcy dotąd sprowadzali ogromną ilość cygar z Niemiec północnych a najwięcej z Bremy. Te przychodzą zwykle w pudełkach czworobocznych drewnianych, czyli skrzyneczkach. Gdy z takiego pudełka cygara się pojedynczo rozsprzedadzą, kupiec sprzedaje takowe żydkom z całym napisem *fabricirt in Bremen* i t. d. Żydkowie zakupują liście tytoniowe na Łobzowie u ogrodników, na Czarnej wsi lub w Krowodrzy, robią z tychże cygara, pakują w te bremeńskie pudełka i szwarcują czyli przemycają do Galicyi lub do Królestwa Polskiego, gdzie te za prawdziwe podług napisu na pudełku są sprzedawane — i dopełniają dwojakiego oszustwa, raz na konsumentach, drugi raz na rządach, mających u siebie monopol tytuniowy. A nie jestże to piękny i szlachetny przemysł?... Lecz wcale nie żałuję tych, którzy, wdrożywszy się w paskudny nałóg dymienia, sami dobrowolnie bicz na siebie kręcą — ani mi też nie przychodzi na myśl stawanie w obronie monopolów. Lecz niech rządy i na cygara i spirytusy największe nakładają spłaty, nie będzie stąd ni-

komu krzywda, bo to dwoje do koniecznych potrzeb życia nie należy.

W dzieciństwie mojem, w miasteczku Kentach, gdzie żydom nie wolno było zamieszkiwać — kiedy się pokazał jaki żyd przechodzeń, tedy my chłopcy małe biegliśmy za nim gromadą, ciągle za nim wołając:

— „Żydzie, żydzie,
Świnia za tobą idzie".

— „Ny, nie baj plotka,
Wszak to jest moja ciotka".

(II i XII).

Wojskowość niedawnych czasów w Krakowie.

W owych nie bardzo odległych czasach, kiedy pił król, pili magnaci, szlachta, a nawet i niższe stany (za panowania Sasów), a Polska spała i w największem była zaniedbaniu, a rządu, porządku w kraju nie dopatrzył się, Kraków utrzymywał własną swoją straż (garnizon, jak wtedy mówiono), składający się z dowódzcy i kilkunastu starych ludzi, których obowiązkiem było trzymać warty w bramach i do kozy zabierać bijących się pijaków i swarzące się przekupki. Ludzie ci o służbie wojskowej żadnego nie mieli wyobrażenia, a musztra ich tak była pojedyńcza, prosta, jak za czasów patryarchalnych n. p.: „Teraz będziemy masierować, Macieju! idźcie naprzód, a reszta za nim gęsiego". Albo: „Michale, stańcie z kraja, a wy koło niego ławą". Albo: „Obróćcie się przod-

kiem ku panu Juszce [1]), a tyłem ku Sukiennicom“ i t. d.

Czasem spokojne to wojsko robiło paradę w czasie jakiej uroczystości kościelnej (odpustu) a wtedy dawali niekiedy ognia z ręcznej strzelby, przyczem dowódzca ich tak komenderował:

„Stańcie wszyscy ławą!
Szykujcie się dobrą sprawą!...
Wsypcie prochu w rury!
Odwiedźcie kury!...
Dajcie razem ognia z dziury!...

Aż tu słychać pojedyńcze paf, paf, paf.

Że się strzelanie nie udało, bo każdy z osobna wystrzelił, rzekł im natenczas dowódzca z flegmą:

„Otoście bzdury!“...

(IX).

Ostatnie ślady wojskowości polskiej. Milicya wolnego miasta Krakowa r. 1840.

Kiedy już po smutnym upadku rewolucyi polskiej r. 1830—31 rozwiązane zostało wojsko polskie ukazem cesarskim w Petersburgu wydanym, został jeszcze niejakiś cień wojskowości polskiej w milicyi wolnego miasta Krakowa, złożonej z Polaków, bo z Galicyan, którzy, połowę kapitulacyi w wojsku ces. austryackiem wysłużywszy, zostawioną sobie mieli wolność resztę lat tejże kapitulacyi do-

[1]) Nazwisko mieszczanina krakowskiego.

służyć w milicyi krakowskiej [1]), a służba ta ograniczała się do lat sześciu i wolno było żołnierzom milicyi odnowić tę kapitulacyę na lata następne lub też żądać uwolnienia i powrócić na łono rodzin. Tym więc sposobem kraina krakowska prawie nie dostarczała ludzi do swego wojska — małą tylko liczbę ochotników wyjąwszy — bo rządy protegujące ją nie chciały na to zezwolić, aby służba w milicyi była obowiązkową dla jej ludności i sposobem poboru rekrutów aby ta milicya uzupełniana była. Dla jakich to następowało przyczyn? Z jakiego powodu uwolniono od tego ciężaru ludność Rzczpltej krakowskiej?... prędzej się tego domyślać, niż na to stanowczą odpowiedź daćby można.

A więc do szeregów milicyi krakowskiej wstępowali już ludzie ze sposobami użycia broni oswojeni, którym tylko jeszcze pokazano niektóre tempa musztry francuskiej, pozostałe od czasów ks. Warszawskiego, jak n. p. prezentowanie broni na dwa tempa i t. p. Ale ostatnie ślady wojskowości polskiej były w tem, że pomimo, iż oficerowie po zreformowaniu milicyi roku 1836 byli rodowici Niemcy (z wyjątkiem tylko dwóch Polaków, Kopińskiego i Piątkowskiego, z dawniejszego składu milicyi pozostałych), przecież komenda żołnierzy pozostała w języku polskim, jako to: w ramię broń — za broń — prezentuj broń — do nogi broń. —

---

[1]) Urządzenie to nastąpiło po zajęciu Krakowa w r. 1836 przez wojska trzech mocarstw, kiedy dawna milicya została rozwiązaną, a nowa utworzoną z wojskowych ces. austryackich z oficerami niemieckiego rodu.

Było to arcypocieszną rzeczą słyszeć na rynku krakowskim w czasie zaciągu na odwach straży dziennej, jak oficerowie ciż z niemiecka wymawiali słowa polskiej komendy: „sa bron! — f ramie bron! — do nogy bron!“ i t. d. *(LIX).*

Nowy przemysł żydowski. Bazar książkowy.

Niemasz przedmiotu jakiegobądź, którym żydzi kupczyć nie mieliby. Dawniej tylko trudnili się sprzedażą starych sukien, podartego obuwia i innej starzyzny; później chwycili się handlu używanymi meblami, a naostatek przygarnęli do siebie handel staremi książkami. Przemysł ten może dopiero istnieje pomiędzy nimi od r. 1820, bo dawniej tylko kupowali po licytacyach książki na stary papier, takowe rozparali i przekupkom na masła i sera sprzedawali.

Dziś już urządzili oni antykwarstwo na wielką skalę. Kilku żydów wynajęło izby w ulicy Szpitalnej i rozstawili stragany na placu św. Krzyża w końcu ulicy Szpitalnej; tam rozkładają mnóstwo książek, które, Bóg wie, skąd nabywają. — Dawniej te ruchome księgarnie znajdowały się w rynku krakowskim pod kościołem św. Wojciecha, lecz je stamtąd policya krakowska w r. 1836 wyrugowała i przeniosła w miejsce, gdzie są teraz — a że się to działo w tej epoce, kiedy rządy opiekujące się Krakowem wydalały tak zwanych emigrantów polskich (uczestników wojny r. 1830—31) do Ameryki, przeto i oni plac św. Krzyża nazywali Ameryką lub Afryką. Aluzya ta miała w sobie trochę konceptu.

Najważniejszą figurą w handlu żydowskim książek jest stary siwobrody Szmul, a po nim idzie chudy, żółto-sinej cery Lejb. Atoli obadwaj ci mają synów, z których każdy osobną swą posiada *officinam librariam*, a ci ojców swych bardzo w nauce przewyższają, bo umieją czytać i pisać po polsku, czego ich ojcom brakuje; z bibliografią są obeznani, bo wiedzą, że Krasickiego dzieła są wierszem, a Skargi prozą, i inne tym podobne posiadają wiadomości.

Na tymże jeszcze placu św. Krzyża istnieje druga gałąź przemysłu żydowskiego, a mianowicie handel starem żelaziwem. Jest tam kilka sklepów ze starymi żelaznymi gratami, a więcej jeszcze handlów ambulansowych, co swoje towary rozkładają po ziemi. Po domach dzieją się prawie codziennie kradzieże starego żelaztwa, które kradną uliczniki i papry i na ten swój przemysł znajdują odbyt u żydów na placu św. Krzyża.

Wszelki w domu nieużyteczny sprzęt, część jaką ubioru, lada gałgan, żydek tandeciarz kupi i póty nim handluje, po domach nosi, dopóki nań kupca nie znajdzie. *(XLIII).*

Kilka wspomnień z mojego zawodu księgarskiego.

Księgarstwo, gałęź znakomitego przemysłu we Francyi, Anglii i Niemczech, u nas jeszcze dotąd jest tylko gałązką małej krzewiny, podczas kiedy u obcych jest konarem wielkiego drzewa.

Przecież wszystko powoli wzrasta i to wielkie drzewo u obcych nie odrazu wyrosło, więc da to Bóg, że i u nas się rozkrzewi. Już teraz w porównaniu do czasów, kiedym ja wszedł do nauki czy prak-

tyki księgarskiej w domu Ant. Ign. Gröbla, przemysł ten znacznie wyżej stoi — i w wielu większych miastach dawnej Polski, n. p. Tarnowie, pozakładano księgarnie, w których niegdyś nawet o tem, co to jest księgarstwo lub księgarnia ani słyszano.

Nie wyżej dotąd u nas stało i autorstwo. Ile pamiętam, honoraryum za literacką pracę albo nie dawano żadnego, albo dawano tak liche, że wspominać nie warto. Tylko jeden kalendarzopis sławny na początku wieku XIX, Franciszek Ryszkowski, w którego przepowiednie o deszczu i pogodzie wszyscy ślepo wierzyli, choć on to bardzo ostrożnie wyrocznie swoje meteorologiczne ogłaszał n. p.: „stronami deszcz, miejscami pogoda — tu i ówdzie wiatry podmuchują“ i t. p. — ten tylko pobierał za rękopis swego kalendarza na początku XIX wieku dukatów 20 lub 24; a twierdzić mogę, że je sprawiedliwie zabierał, gdyż od świtu do nocy ciągle siedział w drukarni, i prawie cały kalendarz ręką swą składał, a zaś zecer (składacz druku) tylko uporządkowaniem kolumn się zatrudniał.

Ks. Męciński, reformat, który tyle dzieł z druku wydał (obacz moje *Starożytności historyczne polskie*, tom I-szy), ten zwykle za rękopism swój odbierał każdego dzieła swego po wydrukowaniu egzemplarzy sto. Konwent Reformatów krakowskich rozsyłał je potem po innych konwentach w Polsce, a te odstępowały je księżom wiejskim, bądź to za gotowiznę, bądź za jaki produkt rolniczy, a czasem dawały egzemplarz kazań plebanowi lub wikaremu na wsi, wkładając na tychże obowiązek

odprawienia pewnej liczby mszy, na które OO. Reformaci od pobożnych brali gotówkę.

Jan Nowicki, który tyle natłomaczył lichych romansów francuskich Floriana, Darnauta i innych n. p. Estella, Lorezzo i Nina, Pierwiastki Anusi, Odpoczynki człowieka czułego, Gonzalo z Korduby i inne t. p., ten otrzymywał w nagrodę za swą pracę jakieś małe wynagrodzenie w pieniądzach, ale to była bardzo drobna kwota.

W naszych dopiero czasach autorowie i wydawcy dzieł lepiej swą pracę oceniać zaczęli i znakomitsze uzyskiwać honorarya, a dom księgarski w Wilnie Zawadzkich dał temu początek. W roku 1841 w dniu 6 czerwca, księgarz warszawski Józef Węcki, bawiąc w przejeździe do wód w Krakowie dni kilka, wspominał mi, że synowie księgarza Zawadzkiego, zabierając się do wydawania wielkiego dzieła: *Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk*, zawarli umowę z Adamem Jocherem, wydawcą tego dzieła, mocą której płacą temuż za każdy poszyt rbs. sto, czyli zł. pol. 666 i 20 gr. honoraryum, a takich poszytów weszło do tomu 1-go 5 — a zatem honoraryum za ten tom wynosi zł. pol. 3333 $^1/_3$.

Mnie za moją pracę wynagradzał Józef Czech, właściciel drukarni i księgarni, w ten sposób:

Za *Opis Krakowa* wyd. 1-sze dano mi drukowanych egzemplarzy sztuk 100. Za wydanie 2-gie drukowanych egzemplarzy 100, zaś za wydanie 3-cie drukowanych egzemplarzy 130.

Wreszcie za pracę około wydania *Starożytności historyczne polskie*, 2 tomy, otrzymałem w gotowiźnie zł. pol. tysiąc i drukowanych egzempla-

rzy 30, którem rozdawał; tudzież dostarczył mi p. Czech gratis dzieło Raczyńskiego *O medalach.*

Dodam, że podobnie jak księgarstwo, tak i drukarstwo krakowskie na bardzo nizkim stopniu stało w Krakowie w końcu wieku XVIII, jakto poświadczają druki ówczesne. Upadł niezmiernie świetny stan drukarstwa krakowskiego, po jakiego wzniosło się było w wieku XVI, n. p. drukarnia Łazarza.

Dopiero od r. 1820 zaczynają się ulepszać drukarnie krakowskie, i piękne wydania mnożą się — tylko papier dają niegodziwy, na oko piękny, bieluchny, cienki, ale tak słaby i nietrwały, że teraźniejsze druki zniszczeją niedługo, bo się papier w proch rozsypie. (*XII*).

Zajmując się księgarstwem, interesowałem się zawsze nietylko nowemi książkami, ale również i dawnymi zabytkami w książkach i rękopisach, których wiele przeszło przez moje ręce, odprzedane potem przezemnie do zbiorów prywatnych lub publicznych.

Na dowód, jakim przypadkiem udawało mi się ratować cenne zabytki lub całe archiwa, opowiem tu o odszukaniu archiwum Zamoyskich w Koniecpolu.

Jeszcze w czasach kiedy byłem księgarzem, przychodził do mnie X. Mastelski do sklepu na pogadankę, gdyż był ze mną w zażyłości, a wtedy był on jeszcze plebanem w Czernichowie, później zaś przeniósł się do Krakowa i objął probostwo św. Anny, na którem i umarł. Było to jeszcze przed rokiem 1830, kiedy, rozmawiając ze mną,

przyszło mu wspomnienie, że posiada jakieś stare papiery, listy i t. p.; o czem posłyszawszy, uczyniłem mu propozycyę, aby mi odstąpił tych papierów w zamian za książki, na co on też zezwolił i papiery te z Czernichowa mi przywiózł — opowiedziawszy, że je wydobył z komórki jakiejś na kościele w Koniecpolu, gdzie ich jeszcze wielka ilość się znajduje.

Te to papiery ja otrzymawszy, kazałem je porządnie oprawić w półskórek *maroquin* i napisałem do hr. Zamoyskiego do Warszawy, że jeśli sobie życzy nabyć do Archiwum rodzinnego ten spory *volumen in folio*, złożony z pamiątek jego rodu, to mu tenże odstąpię za niską cenę.

W krótkim czasie odpisał mi ś. p. Ignacy Lojola Rychter, bibliotekarz ordynacyi zamoyskiej, że hrabia zgadza się na propozycyę i zaraz wskazał mi tu w Krakowie osobę, która księgę odemnie odbierze i cenę jej wypłaci.

Jakoż nabycie tej księgi odemnie opłaciło się nabywcy w sposób nieoceniony, gdyż w niej napisałem, skąd te papiery pochodzą, i wspomniałem, że tam w Koniecpolu jeszcze jest wielki zapas tychże w komórce na kościele; a X. Mastalski też wkrótce powiedział mi, że otrzymał wiadomość, iż do Koniecpola zjechał delegowany z upoważnieniem od rządu i zażądał od X. Plebana wydania sobie tych papierów, które też troskliwie zebrawszy, do Warszawy je powiózł. (*III*).

Tu także wspomnę o innem zdarzeniu, rzucającem światło na ówczesną niedbałość o dawne bi-

blioteki i archiwa, a mianowicie o losach rękopisu z poezyami Jana Gawińskiego.

Około r. 1806—7 introligator krak., Teodor Wisłocki, mający kramik z książkami do nabożeństwa w rynku krak., przystawiony do murów Szarej kamienicy na rogu ulicy Siennej, gdzie takich kramików było kilka, zaczął amatorom dostawiać niekiedy dawnych książek polskich, gockim drukiem, (a później się wydało, skąd on te rzadkości nabywał). Między innemi był w posiadaniu księgi oprawnej w formacie in folio, w której na przodzie znajdowały się drukowane sielanki in 4-to Gawińskiego; każda kartka z osobna obklejona po brzegach papierem białym, tak, aby był format *in folio;* za temi następowały poezye jego pisane, zapewne autograf Jana Gawińskiego, rękopismo. Książkę tę miałem i ja w ręku, ale że za nią Wisłocki żądał sporą kwotę (zdaje się, że reńskich 25), których ja nie mając dać mu nie mogłem, sprzedał tę księgę Adamowi Czapskiemu, miłośnikowi książek, który trochę wcześniej sprzedał zbiór swój rzadkich dzieł polskich, nabywanych na licytacyi tu w Krakowie i innemi drogami, księciu jen. ziem podolskich Adamowi Czartoryskiemu do Puław. Czapski, posiadając tę księgę, pokazał ją hr. Józefowi Ossolińskiemu może nawet z propozycyą ustąpienia mu jej, ale że ten pan nawykły był, jak mi dobrze wiadomo, nabywać książek najczęściej darem, czyli za darmo, przeto do kupna nie przyszło. Ale Ossoliński wyrobił sobie to u Czapskiego, że mu księgi tej pożyczył, a on ją kazał przepisać. Taki jest początek nowej kopii tej poezyi, co są we Lwowie w zbiorze Osso-

lińskiego we Lwowie, z którego pan Żegota Pauli wydanie swe obmyślił. Czapski zaś rękopis jak mniemam autograficzny, czyli tę wyżej wspomnianą księgę poezyi Gawińskiego, darował Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Warszawie, w którem siedziało tylu basałyków, a nikomu z nich na myśl nie przyszło, aby je drukiem ogłosić. Księga ta, o której mowa, powędrowała z całą biblioteką Towarzystwa do Petersburga.

Wydało się potem, gdy sprawcę złapali, że Wisłocki nabywał te książki od jakiegoś posługacza z klasztoru niegdyś OO. Trynitarzów na Kazimierzu będących, który piecem właził do biblioteki tych ojców i stamtąd książki wynosił, przeto niechybnie i poezye stamtąd wyszły do rąk Wisłockiego. A trwała ta spekulacya lat kilka, aż wreszcie wydało się, chłopca ukarano, a gdy nie można było dojść, co było skradzione, bo księża Trynitarze wymarli, a sami nie wiedzieli co ta ich biblioteka mieściła, przeto się Wisłockiemu jakoś zmełło, i nie wiem, czyli jaką karę otrzymał za kupowanie rzeczy kradzionych — rzeczy, na których się ojcowie *redemptionis captivorum* nie wiele znali, a najpewniej o nie mało dbali.

Po zupełnem wygaśnieniu tego zakonu w Krakowie już za ustanowieniem wolnego miasta Krakowa, przeniesiono do gmachu klasztoru ks. Trynitarzów szpital braci Bonifratellów z samego miasta Krakowa, a gdy ci objęli całą własność po wygasłym zakonie, przeto i resztę biblioteki trynitarskiej odziedziczyli, która, jak widziałem, złożona była na stos jak drzewo w wieży tego kościoła, i z niej korzystał, kto chciał. Te to reszty

biblioteki trynitarskiej, złożone już z samych książek niewielkiej wartości: ascetów, teologów, kazań i t. p., zakupywał za każdem przybyciem do Krakowa poczciwy Bartłomiej Jabłoński, księgarz (lecz niewielki znawca ksiąg) ze Lwowa, i podobno całą tę bibliotekę od Bonifratrów nabytą po trochu do Lwowa przeniósł, czemu tu nikt nie przeszkadzał.

W kramikach pod Szarą kamienicą, których było pięć, sprzedawano książki i stare suknie, tandetę. W ostatnich czasach przed ich zburzeniem sprzedawali tam książki: introligator Bensdorf (Wisłocki już nie żył), Puciłowska, córka Anny Dziedzickiej, Jacek Drelinkiewicz. *(XLVII).*

Tak to niszczały dawne biblioteki w czasach przewrotów i upadku krajowego. Ale i całe wydawnictwa spotykał nieraz los podobny, czego przykładem może być między innymi IV tom Herbarza Niesieckiego, który dopiero w lat kilkanaście po poprzednich tomach wyszedł z druku. Dzieło to należało do własności OO. Jezuitów, po których skasowaniu rząd austryacki sprzedał pozostałość po nich, a zatem i księgi nakładu ich przez licytacyę. Należały do niej i rozmaite u nich wyszłe księgi, będące jeszcze w arkuszach czyli *in crudo*, a między temi i Herbarz Niesieckiego poszedł w świat jako makulatura i wiele jej zakupywano do gospodarskiego lub sklepowego użytku. Takiej makulatury znaczną ilość kupił także jeden z introligatorów lwowskich, a ja, będąc jeszcze terminatorem księgarni, znałem starego czeladnika introligatorskiego, który był w robocie u introliga-

tora Masiewicza tu w Krakowie. Od tego to czeladnika, nazwiskiem Nadarzyński, słyszałem, że z arkuszy Niesieckiego on sam kleił tekturki, potrzebne do oprawy książek!... *O tempora!...* jakiż to los spotkał tego męża, ostatniego już może z Jezuitów, który tyle zasług w piśmiennictwie naszem położył.

Takiż sam los spotkał tu w Krakowie dzieło nawet nie dokończone *Zbiór prawa szkolnego*, którego tylko wyszło ark. 24, a poszły one na obwijanie pieprzu i imbieru u korzenników [1]).

(XXXIII).

[1]) Mówiącemu o smutnych losach naszych ksiąg i bibliotek przypomina się opowiadanie o zmarnowaniu biblioteki Załuskich, jakie słyszałem od jednego Litwina, z którym miałem księgarskie stosunki. „Ojciec mój — opowiadał mi on — mieszkał w wiosce leżącej na trakcie do Petersburga (w Litwie), przez którego wieś przewożono bibliotekę Załuskich. Często transporty z pakami czyli skrzyniami ksiąg stawały w karczmie do niego należącej. Zwykle udawał się on tam, gdy jaki transport nadciągnął, zabierał znajomość z podoficerem lub kozakiem jadącym przy transporcie, poczęstował go raz i drugi wódką, a gdy go już dla siebie ujął, proponował mu czyliby nie można dostać parę książek z której skrzyni Reszty dokazywa obietnica kilku kopiejek. Więc przynoszono siekierę, odbito wierzch skrzyni, wydobyto z niej to co przypadek nadarzył, a czasem przebrano co się zdało, i tym sposobem wstrzymano nie jedną księgę, wędrującą za rzekę Styx, bo dla nas na wieki przepadło to, co się tam dostało.

Mogło być i więcej podobnych amatorów, którzy się tym sposobem książek dokupywali. Po takim wypadku zabierano skrzynię napowrót i ta pod okiem dozorców szła na północ".

Objaśnia się przez to, skąd tyle książek do biblioteki Załuskich należących uwija się po rękach prywatnych. Ja sam posiadałem już nie jedną ze znakiem bibliotecznym, a jest nim nazwisko Załuski na tytule wybite. *(XVI).*

V.

Teatr krakowski.

Gmach teatralny dawny i nowy.

Gmach teatralny jest już dzisiaj częścią integralną każdego większego miasta: już teraz jest wielu takich, którzyby się prędzej obeszli bez kościoła, bo można pomodlić się w domu, w polu i t. p., a komedyi trudno grać gdzieindziej, jak w gmachu, do tego przeznaczonym.

Ile wiem, Kraków nie miał teatru jak dopiero w końcu wieku XVIII.

Pierwszy był hr. Jacek Kluszewski, starosta brzegowski, starzec żyjący dotąd (październik r. 1840), który w pałacu Spiskim, własnością jego wówczas będącym, urządził na drugiem piętrze salę teatralną i tam grywali aktorowie polscy: Ryłło, Kaczkowski i inni (o których obacz Dzieła dram. Wojciecha Bogusławskiego a nadewszystko tom I). Było to około r. 1780 i później [1])

[1]) Już w r. 1784 dnia 4 sierpnia pisał z Warszawy do magistratu krakowskiego jakiś I. Srokowski list tej treści: „I) o praszam się tego pozwolenia, abym za mojem przybyciem mógł mieć wolność okazania sztuk operycznych przez przeciąg miesięcy kilku. Dało nam się tu słyszeć, iż teatr i aktorowie znajdują się w Krakowie; ja nie tym zamiarem zjeżdżać chcę, abym jakową przykrość miał im uczynić, ale i owszem zgodnie umiarkować się z nimi chcę etc...“

Już więc w tym czasie musiał istnieć urządzony teatr w pałacu Spiskim, bo przed nim innego gmachu teatralnego w Krakowie nie było, a jak widać z treści wyżej pomienionego

Już w r. 1796 grywała na tym teatrze kampania niemiecka pod entrepryzą Karola Wothe i to do końca tego stulecia. Na początku nowego wieku wybudował tenże sam hr. Kluszewski nowy gmach teatralny, który na łeb, na szyję kończono w zimie przy świecach, do murowania wapno roztwarzając ciepłą wodą. Nareszcie tyle dokazał Kluszewski [1]), że na Nowy Rok 1801 grano już pierwszą reprezentacyę w tym gmachu. Ale budowla nagle i na prędce stawiana nie pokazała się trwałą; po latach kilkunastu wyprowadzona komisya znawców dała opinię, że dłużej w tym teatrze grywać nie można, gdyż głowy belek i innych drzew w murach zbutwiały i wielkie grozi niebezpieczeństwo. Z tych i innych powodów rząd zajął się ob-

---

listu, już w r. 1784 sztuki dramatyczne w Krakowie grywano, skoro byli tu aktorowie i teatr.

W każdym razie przed panowaniem Stan. Augusta o stałym teatrze w Polsce, a tem samem i w Krakowie, nie było mowy. Przytoczę przy tej sposobności charakterystyczną anegdotę, jaką słyszałem z opowiadania starych ludzi, a która świadczy o braku zrozumienia dla teatru w dawnej Polsce. August II mianowicie mieszkając w Warszawie urządził tam teatr i sprowadził aktorów, t. j. śpiewaków oraz muzykę Włochów. Polacy tak mało znali się na operach włoskich i muzyce, że zwykle zawsze teatr bywał pusty, co zaiste dla spektatorów, kiedy w teatrze nie ludno, nie bardzo jest przyjemne. Nie lubił tego i król, przeto chcąc koniecznie mieć teatr pełny, kazał przed zaczęciem się sztuki obstawić miejsce przed teatrem straży czyli hajdukom, którzy każdego, który tamtędy przechodził, łowili — i czy on chciał czy nie, pakowali do teatru, gdzie musiał być do skończenia sztuki. Był to zapewne oryginalny sposób zachęcenia spektatorów, bo inaczej zyskać ich nie było można. (*XII* i *XXXIV*)

[1]) Szło tu o zakład, który wygrał Kluszewski.

myśleniem innego gmachu teatralnego. Po skończeniu się kontraktu z Kluszewskim wziął entrepryzę teatru Jan Mieroszewski (który już wprzód kupił od Kluszewskiego Spiski pałac, a żona jego, z domu Klose, córka niegdyś kupca i mieszczanina krakowskiego, była właścicielką miasteczka Chrzanów w Rzeczpltej krakowskiej) i teatr nowy urządził w dawnym kościele św. Urszuli w ulicy św. Jana. Jest to budynek wązki, długi, niedogodny, tak że teraz znowu jest mowa o wystawieniu nowego teatru, gdyż dawny właściciel gmachu kościoła św. Urszuli Maciej Krotz umarł, a rodzina jego sprzedawała ten gmach obywatelom Leonowi i Janowi Bochenkom.

Różne są na przeszkodzie trudności, dla których nie wiadomo, gdzie obecnie grywać będą. Jeszcze r. 1840, a nawet r. 1841 grywają na ulicy św. Jana. W zimie 1840 –41, dawała reprezentacye kompania polska; na wiosnę r. 1841 przywlokła się do Krakowa kompania francuska (jak mówią paryzka, boć jeszcze nie widziałem Francuza, któryby rodem był nie z Paryża) i dała tu 12 przedstawień, na które klasa, *la haute volée* zwana, licznie uczęszczała mimo podniesienia ceny miejsc. Teraz w lecie r. 1841 grywają tamże aktorowie niemieccy, ale nie mają wielkiego powodzenia.

W roku 1841 w lecie rząd buduje a raczej tylko przebudowuje dawniejszy teatr przy ulicy św. Szczepana narożnie leżący, który to gmach rząd krakowski (senat) kupił od spadkobierców po ś. p. Kluszewskim, w r. 1840 zmarłym. Także przykupił rząd i kamieniczkę małą przylegającą

do teatru, która, gdy do niego będzie włączona, to znacznie się scena rozprzestrzeni.

Budowlą tego nowego teatru prowadzi dwóch architektów Krakowian, t. j. Karol Kremer i Tomasz Majewski.

Kamieniczka ta, przykupiona dla powiększenia sceny teatralnej, ma przywiązane do siebie tkliwe moje wspomnienie. W niej mieszkali rodzice mojej pierwszej małżonki, Józefy z Nowakowskich, i z niej wywiodłem do ołtarza nieodżałowaną Józefę do zawarcia z nią ślubów małżeńskich dnia 6 maja r. 1817; były one wstępem do szczęśliwego z nią pożycia, które dopiero słabość jej zachmurzyła, a śmierć r. 1832 nastąpiona doszczętnie przecięła.

Teraz w r. 1841 ciągle budują gmach teatralny. Fabryka idzie kosztowna, bo dawne mury teatru prawie mało co przydały się i prowadzą je od fundamentów, szczególnie tę część, gdzie będzie sala redutowa, leżąca w przecznicy, pod którą biorą głębokie fundamenta, gdyż tu jest nasypisko, a grunt twardy, to jest piasek, dopiero się w głębokości może 9 lub 10 łokci pokazał.

Za dawny gmach ten teatru zapłacił rząd Rzczpltej krakowskiej sukcesorom Kluszewskiego, t. j. rodzinie Nakwaskich i Rastawieckich kwotę zł. pol. 40 tysięcy, a za zakupioną kamieniczkę w ulicy św. Szczepana, która ma scenaryum powiększyć, dano zł. pol. 18 tysięcy, razem zł. pol. 58 tysięcy.

Baron Edward Rastawiecki, to ten sam, który posiada piękny i bogaty zbiór medali polskich, a teraz razem z p. Ignacym Zagórskim wydać ma

dzieło numizmatyczne. Scheda sukcesyi teatru po Kluszewskim przypadła Nakwaskiemu, przeto ten sam jeden figurował przy sprzedaży tego gmachu, który mu zapłacono bardzo dobrze, bo jako pustkę można było nabyć go o kilka tysięcy taniej; tylko trzeba było wytrzymać p. Nakwaskiego, i ten zapewne byłby spuścił z ceny, ale widać, że korzystał z pośpiechu i dobrze na tem wyszedł.

Kluszewski umarł bezdzietnie i stądto sukcesya po nim spadła na linie poboczne. Krzysztofory pałac przypadł na schedę Rastawieckiego, i ten jest jego właścicielem.

Przez całą zimę r. 1841—2 budowanie wewnętrzne trwało, szczęściem zima nie była zbytecznie wytężona, bo mrozy największe do stopni 14-tu dochodziły, a i takich nie było wiele. Przeto ułatwiały się wewnątrz gmachu roboty ciesielskie, t. j. stawiano z drzewa loże i t. p.

Z wczesną wiosną, bo jeszcze w marcu roku 1842, już rozpoczęto roboty murarskie. Pokazało się, że dwie ściany gmachu teatralnego, t. j. północna i wschodnia, są byle jako przez Kluszewskiego wystawione i znacznie porysowane; przeto dla uniknienia w przyszłości niebezpieczeństwa i szkody senat zdecydował, aby te dwie ściany rozebrać i na nowo je murować. Wybrano już fundamenta niezmiernie głębokie, bo twardy grunt (piasek) bardzo się nizko znalazł, i zaczną murować te dwa boki gmachu, czego w początkowym planie budowy nie miano w zamiarze. Oby tylko i dalej takie usterki nie wykazały się. *(XI).*

Otwarcie nowego teatru.

Dnia 1 go stycznia r. 1843 daną była w nowo wystawionym teatrze pierwsza reprezentacya inauguracyjna: przedstawiono dwie sztuki, t. j. *Barbarę Zapolską* przez Ludwika Dmuszewskiego i *Nowy Rok* przez Jasińskiogo.

Według twierdzenia powszechnego teatr ten, odpowiedni wielkością potrzebie miejscowej, jest bardzo gustownie urządzony, z wygodą na zimę, bo jest opalony według systemu Meisnera. Obecnie dyrektorem czyli przedsiębiorcą jest T. A. Chełchowski, a kompania dobrana ze zdatnych artystów.

Do urządzenia wewnętrznego w teatrze rząd krakowski wezwał ludzi biegłych z Wiednia, bo miejscowi albo się podjąć nie chcieli czy nie mogli — albo żądali zapłaty daleko większej niż zagraniczni. Maszyneryę urządził Hock. Dekoracye niektóre i ma owanie sali teatralnej, sufitu i t. d. malował Aumajer, a roboty wyzłotnicze ktoś nieznany mi nazwiskiem, wszyscy z Wiednia sprowadzeni, którzy, wykończywszy roboty, odjechali — tylko maszynista tu nazawsze przy teatrze pozostał.

Architektem budowy był Karol Kremer, dyrektor budownictwa, a dozorem i zawiadowstwem fabryki ze strony rządu był p. Wiktor Kopff, senator. *(XI).*

Moje najdawniejsze wspomnienia z teatru.

Kiedy już Kraków i to z całą częścią Polski po ostatnim rozbiorze przeszedł pod panowanie austryackie pod nazwiskiem Galicyi Zachodniej,

przybyła do Krakowa — jak wyżej wspomniałem — kompania artystów dramatycznych niemieckich pod dyrekcyą Karola Wothe, a właściwiej kierował nią sam hr. Kluszewski, amator i wielki znawca muzyki i sam pięknie na instrumentach grający. To więc towarzystwo odgrywało tragedye, dramaty, jak Beniowski na Kamczatce, Śmierć wodza Rolli czyli Hiszpanie w Peru, oraz opery ówczesne, jako to: Flet czarnoksięski Mozarta, Zwierciadło arkadyjskie, Wykradzenie z Seraju i t. p., a tego towarzystwa celną była ozdobą sama pani Wothe, prócz dramatycznego talentu i kształtną postawą obdarzona — także pan Karl, znakomity w rolach tragicznych.

Pierwsza sztuka teatralna, którą mi się widzieć zdarzyło, była to właśnie jedna z tych sztuk, grana w języku niemieckim około roku 1797 lub 1798, pod tytułem: *Rolla's Tod*, t. j. Śmierć wodza przez Aug. Kotzebue. Byłem spektatorem z galeryi a gdy się zasłona podniosła, s ałem się cały okiem, i osłupiałem na widok nieznanych mi ubiorów Amerykanów i owych nigdy nie widzianych wspaniałości, owych przepychów złotych i kosztownych kamieni z lichego szkła. Odurzony tem wszystkiem, chociaż mało co zrozumiałem z treści sztuki, nie mogłem przyjść do siebie z zadziwienia.

Drugą sztukę teatralną widziałem pod tytułem: *Graf Beniowski oder die Flüchtlinge aus Kamtschatka* przez tegoż Kotzebuego, na benefis p. Wothe, w tymże teatrze w pałacu Spiskim, która także wielkie na mnie zrobiła wrażenie. Kiedy

aktor Karl grający Beniowskiego wyszedł na scenę w kurtce granatowej z amarantowemi wyłogami i czapce czworogrannej, powstał niezmierny oklask, witający ten ubiór wojskowy polski — ale tylko na balkonie i na galeryi, bo tam byli spektatorowie Polacy, a parter już tylko zapełniała pomięszana z Niemcami publiczność polska.

(VIII).

WAP
Biblioteka
t. 1
33462/2
Naukowa